

**KATHRYN HARRISON**

**TYSIĄC DRZEWEK  
POMARAŃCZOWYCH**

*A thousand orange trees*

Przełożył: Mariusz Ferek

*Umieram, bo nie umieram*

*św. Jan od Krzyża*

*Śpiew duszy udręczonej pragnieniem widzenia Boga*

*Tę książkę poświęcam pamięci babci,  
dzięki której poznałam wiele opowieści*

W roku obfitego deszczu sto arów morwowego sadu rodzi wystarczająco dużo liści, ażeby wykarmić sto czterdzieści cztery tysiące gąsienic jedwabnika. Pierwsze pąki zawiązywały się na drzewkach zaraz po Niedzieli Palmowej. Liście rozwijały się na Zesłanie Ducha Świętego, a pełną, dojrzałą postać osiągały tuż przed świętem Wniebowzięcia Najświętszej Panienki. Jesienią przycinaliśmy nagie odrosty. Otrzymywaliśmy w ten sposób tyle gałęzi, że rozpaliliśmy więcej ognisk świętojańskich niż którakolwiek rodzina w miasteczku Quintanapalla.

Dni upływały nam zgodnie z rytmem życia morwowych drzewek i jedwabników. Rok w rok zanosiliśmy do domku gąsienic prawie siedem tysięcy funtów morwowych liści. Poukładane w koszach albo poupychane w workach, dźwigaliśmy je na nosidłach lub przewoziliśmy na starym wózku. Owinięte w płótno, opieraliśmy na wyprostowanej głowie albo też ciągnęliśmy po suchym gruncie. Wówczas jednak głowy pokrywały się pyłem i trzeba je było myć.

Jako pięcioletnia dziewczynka byłam mniejsza od swoich rówieśnic, byłam taka niska, że mogłam wejść pod stół mojego dziadka, nie pochylając głowy. Nie byłam za mała, aby dźwigać liście. Jak ojciec i matka, dziadek i siostra, przenosiłam je z morwowego sadu do gąsienic w trzymanym na głowie koszyku, takim szerokim i płaskim jak ten mojej matki, z tą różnicą, że mój był o połowę mniejszy.

Gąsienice jedwabnika jadły bez ustanku. Dzień w dzień i noc w noc zmuszaliśmy je do jedzenia. Przerywały ucztę wyłącznie na czas linienia. Po czwartym i ostatnim linieniu wszystkie gąsienice, długie i grube jak kciuk mojego ojca, zaczynały zawijać się w oprzęd. Sto czterdzieści cztery tysiące pierwszorzędnych, zdrowych, zadbanych gąsienic wytwarzało około dziewięćdziesięciu funtów jedwabnych kokonów. Tyle ważyły wraz z poczwarkami. Poczwarki uśmiercaliśmy, kładąc blaszane tace z kokonami na gorących kamieniach i polewając je wodą. Musieliśmy je zabijać. Gdybyśmy tego nie zrobili, zamieniłyby się w ómy i uciekły po przegryzieniu warstwy jedwabiu, którą naprzędły.

Każdego roku na krótko przed Świętem Zmarłych zawoziliśmy na targ mniej więcej dziewięćdziesiąt funtów jedwabnych kokonów. Stamtąd towar od nas oraz innych hodowców jechał wielkim wozem ciągniętym przez woły do ogromnych zbiorników wodnych w Sorii. Tam nasze kokony długo się moczyły. Potem je rozwijano. Zajmowały się tym dziewczęta, które używały paznokci środkowych palców, ponacinanych w jednym, dwóch albo trzech miejscach - ponacinanych ze szkodą dla pleców kochanków albo bliskich, których chciałyby dotknąć, a także dla nich samych.

Surowiec na razie nie opuszczał Sorii. Przechodził tylko do jednej z pracowni, gdzie skręcało się jedwab w nici. Na podwórzu warsztatu powiązany w bele jedwab rozładowywali pracujący tam mężczyźni. Oto połyskujące dzieło naszych gąsienic przechodziło z rąk dziewcząt do rąk młodzieńców: jak sekret, jak pozdrowienie, jak obietnica i zapowiedź innych, lepszych podarunków. W każdym razie tak to sobie wyobrażałam podczas karmienia gąsienic. Chociaż sama nigdy nie widziałam takiego warsztatu, wiedziałam, że klekoczące, skrzypiące urządzenia obsługują młodzi mężczyźni. Wszyscy pracowali codziennie przez wiele godzin w zamian za mizerną zapłatę, nawet nie za sto maravedis, za skąpą garść monet, która zdaniem mego taty wystarczała jedynie na zakup kolacji i czasami jakiejś błyskotki dla ukochanej.

Pozwijane w motki cieniutkie, ale mocne nici pakowano i przewożono do pobliskiej manufaktury, gdzie jedwab oczyszczano: najpierw gotowano w mydlanej wodzie, później płukano, na koniec zaś suszono i bielono w oparach płonącej siarki.

Następnie pakowano jedwab po raz ostatni i wieziono do Epili, do mistrzów farbiarstwa. Ich ręce, nieustannie zanurzone w barwnikach, były czarne; czarne były ich uszy i nosy, jeśli, tak jak ja, mieli zwyczaj bezwiednie się po nich drapać. Mistrzowie farbiarstwa barwili nasz jedwab na purpurowo, czerwono albo zielono, wrzucając białe kłębki do odpowiedniego kotła z farbą. Z łatwością wyobrażałam sobie niemal nagich chłopców, jak drewnianymi kołkami wprawiają w ruch zawartość kadzi, jak pot spływa po ich szczupłych torsach i ginie pod płóciennymi przepaskami na biodrach. Przecież podczas pracy przy gorących kotłach nie mogli mieć na sobie niczego więcej. Potem tak samo nadzy wynosili ociekające nici na podwórze i rozwieszali je, by schły na wielkich stojakach.

Tkanina powstawała w tym samym mieście. Każda barwna, błyszcząca nić, uderzana oczkami nicielnicy, zaczynała przylegać posłusznie do poprzedniej, by w końcu na zawsze pozostać między swymi sąsiadkami - jedna barwna kreska za drugą, tworząca z innymi wzór, połyskującą, baśniową scenę: zastygły w skoku jeleń, krążące ptaki, fantastyczne zwierzęta, które się gonia; obraz utrwalony w tkaninie na wieki. Albo też sekwencję geometrycznych figur: kwadraty wewnątrz kwadratów, koła, paski, sierpy, trapezy, trójkąty i piramidy.

Rok obfitego deszczu. Co prawda pamiętam tylko jeden taki rok, jeśli nie liczyć tego, w którym między jedną a drugą niedzielą woda zalała góry i przepłynęła przez nasz dom. Tak czy inaczej w umiarkowanie wilgotnym sezonie nasze gąsienice wytwarzały dość jedwabiu, aby mogło powstać około czterdziestu par spodni. To najskromniejsza postać, jaką przybierał jedwab,

efekt wysiłków całej mojej rodziny. Postać jedyna, jaką potrafiłam sobie wyobrazić. Oczywiście do czasu, gdy w marzeniach wytworzyłam tyle owej szlachetnej tkaniny, że można w nią było ubrać taką liczbę ludzi, jakiej świat nie widział. Dość jedwabiu dla uczestników królewskiego ślubu albo pogrzebu. Na setki sukien, tysiące surdutów. Na kołnierze, płaszcze, mankiety i krezy. Dość na gobeliny, by przykryć każdy centymetr chłodnej ściany madryckiego pałacu. Dość, aby wyłożyć wszystkie stopnie schodów i utworzyć połyskującą ścieżkę, którą król podążałby do sypialni królowej. Dość dla jego wojsk, piechoty i marynarki. Dość, by wyposażyc całą armadę w żagle i wanty: czerwone, zielone, białe, złote - mieniające się wszystkimi barwami rozszczępionego w wodzie światła. Dość na tysiąc pantofelków do tańca.

Wyobraźcie to sobie. Wyobraźcie sobie, tak jak ja to robiłam wiele razy, jedną rozwiniętą, nieskończenie długą, falującą, połyskliwą wstęgę. Pewnego razu wzięłam kokon, wymoczyłam go i rozwinęłam. Ostrożnie wyciągałam włókno - z tego jednego kokonu - i jednocześnie okrążałam dom więcej razy, niż byłam w stanie zliczyć. Wchodząc do domu, mama przerwała spódnicą nić, którą rozciągnęłam przed progiem. Pobiegłam tam czym prędzej, by uchronić jedwab przed wiatrem, ale wymknął mi się spomiędzy palców. Jednakże z dala od niezdarnych rąk i od spódnic zapracowanych kobiet, dzięki staraniom dziewcząt odwijających nici i chłopców z przędzalni, nasz jedwab się nie marnował.

Ale nawet bez udziału moich życzeń, pragnień i wyobraźni nasze gąsienice - dziewięćdziesiąt funtów kokonów - wytwarzały ostatecznie blisko czterdzieści dwa tysiące mil jedwabnej przędzy. Prosiłam tatę, by policzył to wszystko dla mnie. Rachując, mrużył oczy, ja również je mrużyłam. I widziałam wówczas niteczkę tak cieniutką, że w innym świetle pewnie byłaby niewidoczna. A przy tym tak magicznie mocną, że wytrzymałaby każdy sztorm. Nić dość długą, aby siedmiokrotnie połączyć mnie z Nowym Światem.

Gdybym miała popłynąć śladem Cortesa, wyruszyć z La Coruni jak on przed stu siedemdziesięciu jeden laty, to znaczy w roku 1518, gdybym miała żeglować mniej więcej na zachód, ku zachodzącemu słońcu, w stronę miejsca, o którym myśleli poeci, pisząc o śmierci, tam, gdzie płonący rydwan Heliosa z sykiem pary zanurza się w odmęty oceanu - trasę mojej podróży odmierzyłaby przędza o długości potrzebnej do wytworzenia, dajmy na to, tuzina pantofelków do tańca. A byłaby to podróż daleko za Azory, za przerażający spokój Morza Sargassowego, za Hiszpanię, Kubę i głębinę Nares (gdzie, jak powiadają, tonące statki idą pod powierzchnię wód tak głęboko, jak wysoka jest góra Ararat), i dalej za odległą krainę kwiatów,

Florydę, gdzie zmarł Ponce de Leon, szukając lekarstwa przeciwko śmierci.

Dodawałam kilka następnych pantofelków i dzięki nim docierałam do ciepłej zatoki Campeche. Zawijałam do portu Vera Cruz. Miasta nazwanego imieniem prawdziwego chrystusowego krzyża. Miasta, przez które wstępuje się do nowego, nie zepsutego świata: kraju kolejnej szansy i kraju nadziei. Czy krzyż nie jest najprawdziwszym symbolem nadziei? Czyż to nie nadzieja popłynęła z boku Chrystusa? Z jego serca, dłoni i stóp? Czy to nie nadzieja zachęca ludzi, aby wkładali pantofelki do tańca? Ależ tak! Zarówno ona, jak i rozpacz. Rozpacz w takim samym stopniu skłania do tańca.

Jakby wystarczyło odziać stopy w jedwab, by unieść się w przestworza na jakąś przedziwną, skoczną krucjatę. Drobić lekko, podskakiwać, kręcić piruety nad wyspami i wodami oceanów. Płynąć i tańczyć w powietrzu ponad falami wśród burz i sztormów. I dotrzeć wreszcie do złota i srebra Nowej Hiszpanii.

Siedem razy przez morza.

Siedem. Magiczna cyfra. Nieparzysta. Za ostatnim razem nie mogłabym już wrócić do domu. Musiałabym pozostać na zielonym brzegu krainy dzikich, którzy nie noszą ubrań ani jedwabnych, ani żadnych innych.

\* \* \*

Jestem marzycielką. Marzycielką, nie inaczej. Spędzając wiele czasu w sąsiedztwie larw jedwabnika, obserwując je, nauczyłam się być gąsienicą. Gąsienice przekształcają liście w jedwab. Podpatrzyłam, na czym polega ich sztuka. Odkryłam sposób przekształcenia życia, którym mnie obdarzono, w inne życie, życie niezwykle, nieoczekiwane.

Zbyt żywa wyobraźnia była w naszej rodzinie przypadłością dziedziczną. Codziennie po obiedzie siadaliśmy przy ogniu, tata na krześle, mama, Dolores i ja na ławie. Matematyczne wyliczenia, zachłanność i pragnienie wzbogacenia się odbierały nam sen do białego rana, kiedy należało powrócić do zwykłych obowiązków. Fantazjowanie było naszą rodzinną przypadłością, ale ja byłam nią szczególnie dotknięta. Nawet gdy potem kładłam się do łóżka, które dzieliłam z siostrą, śniłam o jedwabiu. O całym jedwabiu królestwa Hiszpanii. Zdawało mi się, że należy on do nas albo że to my nosimy suknie i płaszcze, które powstały z przedzy wysnutej przez nasze gąsienice. Kiedy prosta, płócienna sukienka nie chroniła mnie przed chłodem, moje marzenia o jedwabiu stawały się jeszcze cieplejsze, niemal tak ciepłe, jak ciepła może być szata. A wszyscy doskonale wiedzą, iż nie istnieje nic tak ciepłego i lekkiego jednocześnie jak jedwab. I marzenia.

Wyobrażałam sobie, że gdy pewnego dnia tata i mama staną się bardzo bogaci, wynajmą robotników, którzy uwolnią ich od codziennych obowiązków. Że mama będzie mogła siedzieć na krześle z podnóżkiem i nosić piękną, purpurową sukienkę z jedwabnego adamaszku. Tak, wówczas moglibyśmy ubierać się w jedwabie. Gdybyśmy stali się bogaci. Mama wiodłaby spokojny żywot damy, señory, która mieszka z rodziną i sługami w wielkim domu i nie ma nic innego do roboty poza siedzeniem przy kominku, przebieraniem się i rozważaniem, co by tu zjeść na kolację. I cokolwiek by to było, smakowałoby wybornie, tym bardziej że większość ludzi zazwyczaj chodzi z pustym żołądkiem. Lecz mama nie pozwoliłaby sobie na beczynność, o nie. Każdą wolną chwilę wykorzystywałaby rozsądnie, przede wszystkim na naukę czytania. Trzymałaby książkę w czystych, wypielęgowanych dłoniach. Już wtedy miała kilka książek. Były to niewielkie nabożne teksty, które tata przywiózł z targu. Wszystkie litery i słowa w nich zawarte były dla nas tylko wzorami na papierze, tajemniczymi, nie do przeniknięcia. Otwierałam te książki i wpatrywałam się w poszczególne strony, usilnie próbując odgadnąć sens słów. Maleńkie znaczki wirowały i wykrzywiały się przed moimi oczyma niczym gąsienice na półkach z pożywieniem. Wydawało mi się jednak, że nie na zawsze jestem skazana na beznadziejny wysiłek. Gdybyśmy stali się bogaci i gdyby mama nauczyła się czytać, to przecież i mnie nauczyłaby słów. Hiszpańskich i łacińskich.

I tata spałby spokojnie. Wiedziałam, że sen należy do przyjemności, których nigdy nie użył do woli. I dlatego specjalnie dla ojca wymyśliłam osobliwe i zdumiewające łoże: łóżko na podobieństwo łodzi o wysokich burtach, łóżko niczym koń na wysokich nogach, łóżko niczym forteca nie do zdobycia. Wygodnie ułożony w pościeli (naturalnie jedwabnej), ojciec spałby tak długo, jak by chciał, co według mnie trwałoby miesiące albo nawet lata. Gdyby już się porządnie wyspał, wówczas mógłby zdecydować, co zrobić ze swoimi pieniędzmi. Kiedy mu opowiadałam o łóżku, które dla niego zbudowałam w wyobraźni, przymykał zmęczone oczy, podnosił twarz do sufitu, ku niebu, i śmiał się z luksusu spokojnego, niezakłóconego snu w olbrzymim kokonie z jedwabiu. Oczywiście już jako dziecko zdawałam sobie sprawę, że to wszystko jest całkowicie nieprawdopodobne. Ojciec nie mógł odpocząć, ponieważ trzeba było zarabiać pieniądze; nigdy nie uważał, że powodzi mu się na tyle dobrze, aby mógł spokojnie usiąść.

Starszej siostrze, Dolores, powiedziałam, że wielki posag, jaki jej przypadnie, gdy zbijemy fortunę, pozwoli jej poślubić Luisa Robredo. Wprawdzie nie była jeszcze w odpowiednim wieku, aby przyjąć Pierwszą Komunię, ale jej myśli już zaczynały krążyć wokół

małżeństwa i swatów. Znalazłam dla niej odpowiedniego kandydata na męża, młodzieńca w wieku około dwudziestu lat, syna miejscowego właściciela ziemskiego. Twarz Dolores, zazwyczaj surowa w wyrazie, stała się niemal ładna, gdy wspomniałam jej o posagu i sukni.

- Wezmiesz ślub w dniu Wniebowstąpienia - powiedziałam, na co pokiwała skwapliwie głową, a oczyma wyobraźni na pewno widziała już siebie wznoszącą się do nieba niczym Chrystus we własnej osobie. To moje marzenia napełniły ją optymizmem. Powiedziałam też, iż jako bogatej pannie udzieli jej ślubu sam arcybiskup Burgos, a nie jakiś niedorozwinięty ksiądz, który zimą chodzi po śniegu w sandałach z grubej skóry. O nie - stopy arcybiskupa, który przecież chadza wyłącznie po posadzkach katedr i pałaców, będą obute w nasz jedwab. Dolores i Luis zamieszkają w domu, w jakim mieszkają grandowie. Będzie on położony nie w Quintanapalli, lecz w jakiejś okolicy, gdzie nigdy nie pada śnieg, na przykład w Andaluzji albo Walencji, i gdzie kwiat pomarańczy opada z klifów wprost do Morza Śródziemnego.

- Co będzie z tobą, Francisco? - pytała, składając ręce. - Gdzie ty zamieszkaż, kiedy zostaniesz damą?

- Zostanę w domu z mamą - odpowiadałam. Już wtedy wiedziałam, że mam to, czego pragnę. Chociaż marzyłam bez końca, chociaż spiskowałam z gąsienicami i wymyślałam najrozmaitsze historie o naszym jedwabiu, nigdy nie chciałam opuścić rodzinnego domu, gdzie zawsze mogłam chwycić się spódnicy mamy i gdzie w powietrzu stale wyczuwałam jej bliską obecność.

- Ale na pewno istnieje coś, czego pragniesz, Francisco. Coś, co może ci kupić tata - mawiał często ojciec, ciągnąc mnie za warkocz, aby zwrócić na siebie uwagę. Odpowiadałam, że chcę lampę podobną do tej, która wisi na ołtarzu w kościele, srebrną lampę z czerwonym szkiełkiem wokół zawsze wysokiego płomienia. Wyjaśniałam, że podarowałabym ją mamie, aby mogła wieczorami czytać. Wyobrażałam sobie, jak światło tej lampy dotyka stron jej książki, dotyka jej rąk i twarzy, malując wszystko czerwoną barwą.

Nocami leżałam w łóżku obok mojej śpiącej siostry i rozmyślałam o obliczeniach ojca.

- Czterdzieści dwa tysiące mil - szeptałam raz po raz do siebie niczym zaklęcie, dopóki, zmęczona i senna, nie zostawałam na końcu jedwabnej nici gdzieś między rybami w morzu i dzikimi ludźmi na wybrzeżu Nowej Hiszpanii.

\* \* \*

Pewnego razu do naszego miasteczka zawitał wysłannik dusz, jeden z tych starszych



mężczyzn, którzy za każdą minutę swojego czasu żądają jednego maravedi. Chowają twoje pieniądze do kieszeni, zamykają oczy i mówią, że widzą cię martwym. Taki właśnie wysłannik chwycił mnie pod brodę.

- Ta jedna - rzekł do mojej matki - ta jedna zbłądzi. - Zajrzał do swojego tobołka. - Weź to - powiedział, wciskając jej do ręki amulet. - I wbij w jej łóżko kilka gwoździ. - Niektórzy wierzyli, że żelazo odstrasza czarownice. Potrząsnął głową. - Powiedz mi, dziecko, czy umiesz odmówić Ojciec nasz? - zapytał, przyglądając mi się uważnie, i wykręcił moją głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

- Umie - odpowiedziałam urażona. - Znam też Ave, Credo i Dziesięć Przykazań.

- W takim razie odmawiaj to wszystko jak najczęściej i bądź posłuszna mamie. - Potem podszedł do naszych sąsiadów, którzy czekali w kolejce za nami, a w dłoni, w której zniknęła moja moneta, znalazł się następny pieniążek.

Oczywiście miał rację. W końcu trafiłam na bezdroża. Ale stało się to dopiero wówczas, kiedy już nie było z nami mamy. Gdy żądza mojego ojca sprzymierzyła się z fatalnym losem, by odebrać nam gąsienice, mamę, a potem całą resztę. Ja także miałam pewien udział w doprowadzeniu do ruiny naszej rodziny. Marzyciele są mimo wszystko ludźmi beztroskimi; kiedy odkryłam, że utraciłam bezpieczne miejsce przy spódnicy matki, zaczęłam szukać pociechy. Nawet nie pomyślałam o grzechu czy niebezpieczeństwie.

Podróż, którą odbyłam, nie należała do tych, o których marzą dzieci. Nie wiązała się z pokonywaniem rozległych przestrzeni na statku czy z leciutkim stąpieniem w pantofelkach do tańca. Pojechałam do Madrytu, położonego ledwie dwa dni drogi od Burgos, którego katedrę było widać z okna mojego rodzinnego domu. W naszym domu były trzy okna: dwa z natłuszczonego pergaminu, które po zdjęciu okiennic na ciepłe miesiące roku wpuszczały do środka światło, ale nie przepuszczały obrazu, oraz jedno szklane. Wyglądanie przez pełną pęcherzyków, pofalowaną tafłę szkła przypominało patrzenie przez drgające nad ogniem powietrze. Okno wychodziło na południe, gdzie w oddali rzeka Arlanzon przecinała Burgos i opływała tamtejszą katedrę, potężną budowlę, której odległa wieża niczym gruby palec wskazywała ludziom niebiosą. Ale nie tylko ona kierowała myśli ku niebu.

Dwa dni drogi na południe od tej wieży leżał Madryt. Królewska rezydencja, prostokątna i biała, wznosiła się na końcu Calle de Arenal. Potężne madryckie więzienia, obszerne i mieszczące się pod ziemią, rozciągały się też pod fundamentami pałacu. Nad madryckimi

ulicami, w pałacu, odebrano życie mojej matce. Pod nimi, w lochu Inkwizycji, powoli odbierają mi moje własne.

\* \* \*

Ojcu wydawało się, że wszystko wyliczył. Każdej nocy kolejny raz powtarzał obliczenia. Nie musiał się upewniać, czy są poprawne, ponieważ miał wyjątkowy talent do liczb. Prawie każde matematyczne zadanie potrafił rozwiązać w głowie. Liczył dla samej przyjemności liczenia.

- Francisco - mawiał do mnie często - czy zyczysz sobie, abym coś obliczył?

Wówczas wymyślałam zadania podobne do tego:

- Jeżeli zasadzimy następnych trzydzieści osiem morwowych drzewek, a z każdego uzyskamy siedemnaście buszli liści w roku, to ile zarobimy, jeżeli jedwabne kokony zostaną sprzedane po dwadzieścia dziewięć maravedis za funt?

Tata podczas liczenia wpatrywał się w ogień, mrużył oczy; drgał mięsień na jego policzku.

- Jedenaście dukatów - odpowiadał po krótkim namyśle. Prawie nie potrzebował czasu na zastanowienie. - Nowe buciki dla wszystkich moich dziewcząt! I perfumy! Kolorowe świece! Szale! Zabiorę was na targ i wybiercie sobie wszystko, na co będziecie miały ochotę.

Po sprawdzeniu okazywało się, że obliczenia taty są jak zwykle bezbłędne. Pisemnych rachunków dokonywał wyłącznie dla przyjemności. Z radością pisał liczby węglem na płaskich kamieniach paleniska i wycierał prowizoryczną tablicę przedramieniem. Nie studiował liczb, on je po prostu znał. Kiedy liczył, wyglądał prawie jak nawiedzony. Jego usta poruszały się wraz z ruchami dłoni, a pot spływał mu ze skroni.

Zazwyczaj raz na tydzień tata ruszał w górę wzniesienia. Mijał drzewa morwowe i wchodził do domku jedwabników, gdzie razem z larwami mieszkał jego ojciec. Dziadek był człowiekiem niezwykle upartym. Jadał mięso i chleb w naszym towarzystwie, ale powiadał, że bardziej odpowiada mu hałas, jaki podczas pożerania liści robią gąsienice niż gwar naszej rodziny przy stole. Połykał jedzenie szybko, tak jak to robią gąsienice, potem zaś zbierał swoje rzeczy i wracał na swoje miejsce w domku gąsienic. Dzięki niewielkim paleniskom w każdym z czterech kątów małego budynku ciepło rozchodziło się równomiernie. Przy jednym z nich dziadek miał swoje własne krzesło z wysokim oparciem i stołek pod nogi. Zwykle siedział tam, palił fajkę i od czasu do czasu rzucał gderliwie jakieś polecenie pod adresem Dolores albo moim,

jeśli akurat tak się złożyło, że karmiłyśmy gąsienice. Mocny i słodki dym tytoniowy zdawał się otaczać głowę dziadka niczym osobliwy kapelusz. Po wypaleniu jednej lub dwóch fajek staruszek zapadał w drzemkę. W domku panował spokój. Wystarczyło przymknąć oczy, by nie patrzeć na obrzydliwe larwy, a odgłos żucia tysięcy szczęk zaczynał stwarzać wrażenie deszczu bębniącego ustawicznie o dach.

Co tydzień tata próbował przekonać dziadka, że należy dokonać zmian, podjąć próbę zastosowania nowych metod dla osiągnięcia celu, czyli bogactwa. Uważał, że należy zasadzić nowe drzewka i karmić gąsienice w odmienny sposób. Dodawać do pokarmu marzannę, indygo i koszenilę, aby produkowały barwny jedwab, który by nie wymagał farbowania i osiągał, w co tata nie wątpił, wysoką cenę na rynku. Karmić jedwabniki liśćmi namoczonymi w winie, które miały sprawić, że kokony byłyby większe i miały luźniejszy oprzęd, co ułatwiłoby znacznie początkowy proces pozyskiwania jedwabiu. Zaniechać metody zabijania owadów gorącą parą na rzecz opiekania kokonów w glinianym piecu. Użyźniać morwę ciastem na oleju, jak to robią w Chinach, i bardziej przycinać gałęzie. Malować pnie dziegciem i smarować pierwsze pąki mlekiem młodych kóz. Pomysłów miał bez liku ten mój ojciec.

Raz w roku, w czasie targu, tata uczestniczył w spotkaniach naukowych w Epili. Należał do towarzystwa zajmującego się rozwojem sztuki agrarnej - nazwanego przez dziadka „zgrupowaniem bęcwałów”, które „ztruwa jego umysł stekiem rozmaitych bredni”. Ale ojciec pragnął zastosować każdą nowinkę, każdy pomysł udoskonalenia natury, o jakim kiedykolwiek słyszał. Bez ustanku nawoływał do postępu, lecz mój dziadek powiadał, że u podstawy takiego zachowania leży skąpstwo. Twierdził, że taty wcale nie interesuje postęp i wiedza, a kieruje nim jedynie miłość do pieniędzy. Zdaniem dziadka ludzie, którzy organizowali tego rodzaju spotkania, także byli chciwi.

- Oni przynajmniej są od ciebie sprytniejsi, Feliksie! Bo odkryli sposób, jak utrzymać się dzięki głupcom. Głupcom takim jak ty, którzy płacą pieniędzmi za bzdurne gadanie! - mawiał.

- Señor - odpowiadał ojciec, ponieważ właśnie tak zwracał się do swego ojca - cóż złego jest w drobnych spekulacjach? Moglibyśmy zainwestować dajmy na to pięć dukatów i po pięciu latach zyskać sumę dziesięciokrotnie większą. Moglibyśmy...

- Dość! - wołał dziadek i odsuwał od ucha dłoń, którą zwijał w trąbkę, by wychwytywać z powietrza słowa i kierować je w porośnięty szpeceniastymi włoskami ślimakowaty kanał. Zawsze przykładał rękę do ucha, jeśli chciał słyszeć, o czym się mówi. Ale wystrzegął się

sytuacji, w których ktokolwiek mógłby podejrzewać, że bawią go rozważania na temat nowo - modnych nawozów, ulepszania drzewek, nasączania czegokolwiek winem i w ogóle wszystkiego, co sugerował ojciec w odniesieniu do hodowli jedwabników. Słuchał, dopóki nie odwrócił twarzy do ściany; z profilu przypominał biskupa w mitrze z dymu. Ojciec wtedy wypluwał z siebie jakieś przekleństwo i ruszał w drogę powrotną do domu. Szedł w dół wzniesienia i rzucał gniewne spojrzenia na stare drzewka, którymi pogardzał jak piekłem, chociaż ubierały go i żywiły przez wszystkie lata jego życia.

Sztuka wytwarzania jedwabiu w Hiszpanii wymaga więcej starań niż na Wschodzie albo chociażby w Tehuantepec, prowincji Nowej Hiszpanii. Mimo to mieszkańcy naszej krainy od pokoleń hodują jedwabniki i wytwarzają jedwab. Tutaj zawsze ceniono ów produkt, który nie był skażony kontraktem z niewiernymi ani wpływami Buddy, Wisznu, Allacha czy też innych bogów, przed którymi dzicy pochylają głowy. Ludzie, którzy kiedykolwiek kupili ubranie ze sprowadzonego jedwabiu, narzekali, że wydziela ono woń Orientu, czyli, jak powiadali, równie ohydną jak Żydzi. Dlatego zawsze istniał popyt na hiszpańskie jedwabie, co tłumaczyło uprawianie drzewek morwowych w surowym klimacie Kastylii, w naszej ojczyźnie, gdzie od Pirenejów wieje śniegiem i wzniesienia składają się przeważnie z nagich skał. Poza tym powszechnie wiadomo, że w każdym miejscu na ziemi hodowla jedwabników jest sztuką dla wytrwałych, cierpliwych i głupich.

Nowa odmiana morwy niemal bez reszty zajmowała wyobraźnię mojego ojca; poświęcał jej coraz więcej czasu i myśli. Każdej wiosny na targu w Epili można było kupić mieszaną odmianę drzewek z gospodarstwa położonego jeszcze dalej na północ niż Quintanapalla; tam została wypróbowana jej odporność na niezwykle surowy kastylijski klimat. Co roku zdawało się ojcu, że nowa odmiana morwy już nigdy nie pojawi się na rynku i że na zawsze ominęła go szansa wzbogacenia się. Nieustannie kłócił się z własnym ojcem z powodu tej odmiany i przez lata dziadek opierał się próbom przekonania go, by wymienić połowę albo czwartą część, albo chociaż jeden rząd naszych starych drzewek. Tata zapewniał, że nowa odmiana pod wieloma względami przypomina starą: liście mają taki sam kształt i taką samą jasnozieloną barwę, tak samo błyszczą z jednej strony, a z drugiej mają taki sam meszek. Tylko ich sok był inny. Nasz przypominał mleko, ten z nowej odmiany miał inną barwę. Był złocisty niczym miód, bardziej gęsty i kleisty. Drzewka o nazwie „Mirabela” dobrze znosiły niedobór wody i opierały się atakom szkodników, na przykład czerwonych żuków i larw, które czasami pożerały nie tylko

roczne odrosty, ale nawet pień. Uzyskiwanie większej liczby liści przy niedoborach wody i przy mniejszym nakładzie pracy rzeczywiście byłoby cudem w Kastylii, gdzie przynajmniej raz na dziesięć lat panuje susza, a deszcz pada jedynie wówczas, gdy krztusimy się już suchym pyłem, który wiatr przywiewa z odkrytych pól.

- O, nie! - wykrzyknął któregoś razu dziadek. - Jesteś leniwy, Feliksie. Z pustego i Salomon nie naleje. Nie istnieje droga na skróty w hodowli jedwabnika. Nie istnieją proste sposoby. Nie istnieje kura, co znosi złote jaja.

Mówił, mówił i mówił, posługując się barwnymi powiedzonkami, z których wiele, jak się później dowiedziałam, zapożyczył od pewnego mędrca zwanego Ezopem. Nie potrafię zgadnąć, ile ich znał. Potężny huk piorunu przerwał ich kłótnię, dziadek poderwał się na nogi i chwycił za szczypcę. Z najbliższego paleniska wyjął węgiel. Z nadzwyczajną zwinnością zaczął krążyć po pomieszczeniu, machając rozżarzoną kawałkiem drewna między stojakami i półkami.

- Taka burza to diabelska sprawka! - powiedział do mojego ojca, potrząsając dymiącym węgielkiem przed jego nosem.

Tata tylko założył ręce i prychnął. Diabelska sprawka czy nie, piorun mógł zniechęcić gąsienice do jedzenia; powszechnie wierzone, że kołysanie rozpalonym węglem uspokaja je.

- Żeby im pomóc wrócić do równowagi, powinieneś użyć octu - powiedział ojciec. - Spryskaj podłogę octem.

- Gadanie - odrzekł krótko dziadek.

- Żar nic tu nie pomoże. To tylko przesąd - dodał tata.

- A twój ocet to niby coś innego? Możesz sobie skrapiać, co chcesz, ale po mojej śmierci!

Wypełzłam z mojego miejsca przy drzwiach i przyglądałam się, jak tata kroczy sztywno w dół wzniesienia. Padał ulewny deszcz, a on poruszał się tak, jakby w ogóle nie był tego świadomy. Nie spieszył się ani nie rozglądał za jakimś drzewem, pod którego listowiem mógłby znaleźć schronienie. Tego samego dnia wieczorem, kiedy Dolores naskarżyła na mnie, że podsłuchiwałam, tata nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Do kolejnej konfrontacji dochodziło zazwyczaj w okresie, gdy jedwabniki wytwarzały oprzęd. Dziadek co roku upierał się, że tylko opary pieczonego czosnku mogą sprawić, by gąsienice przestały jeść i przystąpiły do snucia oprzędu. Woń lawendy albo innych ziół, których używaliśmy, aby odświeżyć powietrze, jedynie wzmagala ich apetyt. Tylko gryzący, nieprzyjemny zapach czosnku mógł je zniechęcić do jedzenia.

Ustalonego dnia dziadek nalegał, żeby ojciec smażył czosnek na każdym z czterech palenisk, lecz tata pragnął załatwić sprawę naukowo, przy użyciu wapna i magnezów. A czemu nie wykorzystać chłodnego strumienia powietrza, by gąsienice zechciały uprząść sobie ciepłe płaszcze? Przy każdej sposobności mój ojciec i dziadek walczyli ze sobą.

Dziadek miał niewiele ziemi. Należeliśmy do najuboższej linii rodziny Luarca, do tej jej części, która zamieszkała na północy Hiszpanii. Niektórzy nasi krewni mieszkali w andaluzyjskich zamkach, o czym my mogliśmy jedynie marzyć. Jednak, jak często podkreślał dziadek, ziemia, którą posiadał, była jego własnością. Nie byliśmy dzierżawcami jak większość naszych sąsiadów. Na dodatek w całej Kastylii nikt nie znalazłby bardziej urodzajnych gruntów. Mieliśmy niewielki sad. Stojąc na szczycie wzgórza w jasny, wietrzny dzień, mogliśmy obserwować, jak cienie chmur przesuwają się między drzewkami, mijając kolejno rząd za rzędem. W ciągu wielu lat teren oczyszczono z kamieni. Sad opadał tarasami ze wzniesienia, które nie było bardzo strome, dzięki czemu woda transportowana na górę za pomocą nosideł spływała, nasączając jednocześnie grunt. Dziadek w taki sam sposób hodował jedwabniki przez wszystkie lata swojego życia i nie zamierzał niczego, zmieniać. Mówił prawdę: naszej rodzinie żyło się dość dobrze, podczas gdy inni chodzili głodni; ostrzegał ojca, że Bóg jest dla nas łaskawy i byłoby grzechem chcieć więcej, niż mamy.

Przekonywał, że zachłanność nie prowadzi do niczego dobrego. Powracał do pouczających przykładów doprowadzenia do ruiny z powodu skąpstwa, jak to było w przypadku brata mamy, Ernesta, którego nigdy nie widziałam, jako że przed dniem moich urodzin tragicznie zginął. Wpadł do parowu, kiedy w bezksiężycową noc zmuszał osła do marszu na targ w Epili. Ernesto liczył, że zarobi mnóstwo pieniędzy na sprzedaży medalionów przeciwko zarazie. Były to małe krążki z ołowiu, które zrobił, wlewając płynny, rozgrzany metal do formy z podobizną świętej Eulalii, z której ust wylatywał gołąb. Na drugiej stronie medalionu znajdował się wizerunek świętego Sebastiana, świętego chroniącego przed wszystkimi plagami. Medalion należało nosić w kieszeni albo w sakiewce, dzięki czemu przez kolejny rok albo choć dzień diabeł trzymał się z daleka.

- Na pewno miały jakąś moc! Przynajmniej Ernesto nie umarł na zarazę! - wołał od drzwi mój tata i ruszał z powrotem ze wzgórza. Zawsze wycofywał się przed końcem kłótni. Spór wygaszał dopiero wtedy, kiedy odległość między nimi była zbyt duża, aby mogli się słyszeć. Uwaga ojca na temat zarazy nie wynikała wyłącznie ze złości. Wielu członków naszej

rodziny wywieziono na wozach z trupami, piętnaście osób z ostatniego pokolenia, nie licząc tych sześciorga lub siedmiorga dzieci, ochrzczonych w ostatniej minucie życia, którym z rozpalonych gorączką głów święcona woda wyparowywała prawie natychmiast.

Opinie na temat tego, co dokładnie przytrafiło się mojemu wujowi, były podzielone. Zdaniem taty pomieszało mu się w głowie na skutek ciągłego kontaktu z trującym ołowiem i w chwili utraty świadomości przypadkiem spadł z urwiska. Mama twierdziła, że powód jego śmierci musiał być zgoła inny. Uważała, że jej brat ujrzał Świętą Dziewicę, która zapraszała go do bogato zdobionego powozu zaprzęgniętego w dwanaście lwic.

Kiedy zapytałam, skąd się dowiedziała, jakie było ostatnie widzenie zmarłego, spojrzeniem napomniała mnie, że dobrze uczynię, jeśli będę siedziała cicho jak moja siostra.

Następnego dnia wyjaśniła mi na osobności, że Ernesto nawiedził ją kiedyś we śnie. I nie tylko ją, ale także inne swoje siostry. Wszystkim opowiedział identyczną historię. Co więcej, nie była to tylko zwyczajna opowieść. Przecież wszyscy wiedzieli, że nigdy nie znaleziono jego ciała. Z przepaści wydobyto jedynie zwłoki szalonego osła. Ernesto zaś musiał odjechać z Dziewicą.

- Sądziłam, że to on zwariował od ołowiu - powiedziałam. - Nie podejrzewałam o to jego osła.

Mama znowu przyjrzała mi się uważnie.

Zimą, kiedy nagle temperatura spadła i skuty lodem staw zaczął wydawać dziwne, złowróżbne dźwięki, powiedziałam Dolores, że to jęczy zmarły Ernesto, uwięziony pod lodem. Tak ją przestraszyłam, że już nigdy nie chciała przechodzić obok stawu. Błagała matkę, żeby iść na rynek inną, dłuższą drogą.

- Po jakie лихо brnąć przez śnieg? - pytała mama, ale Dolores tylko potrząsała głową i mocniej ścisnęła ją za rękę. - Nie przy stawie! Nie przy stawie! - błagała.

Nie znosiłam dzielić się miłością matki. Nie mogłam znieść widoku ręki Dolores zamkniętej w dłoni mamy. Zazdrość sprawiała, że byłam okrutna dla mojej siostry. Ponieważ miała kręćka na punkcie ślubów, innym razem opowiedziałam jej o śnie, w którym tata stracił wszystko. Jej skrzynia z posagiem świeciła pustką i byliśmy zmuszeni wydać ją za mężczyznę o psiej głowie.

- Och, nie martw się tak - powiedziałam i odciągnęłam jej rękę od uszu, bo chciałam, aby mnie dokładnie wysłuchała. - Miał za to długi, czerwony i wilgotny język i sięgał nim głęboko,

aż do twojego gardła!

Moimi historyjkami doprowadzałam ją do płaczu. Często ogarniała ją taka rozpacz, że nie mogła wykrztusić słowa. Wówczas mama patrzyła na mnie surowo i podejrzliwie, ale nie potrafiła dopatrzeć się przewinienia, za które powinna mnie ukarać.

Choć miałam zaledwie kilka lat, chociaż nie byłam wyższa niż balustrada przed kościelnym ołtarzem, ludzie dawali wiarę moim słowom. Zdarzało się, że i mamę przestraszyłam którąś z moich opowieści. Kiedy ze zmarszczonym czołem patrzyła w moją stronę, zdawała się wierzyć, że moje sny są prawdziwe; że wiele z tego, o czym mówię, się spełni.

Dolores nigdy nie wyszła za psa, ale tata zbankrutował. Dokładnie tak, jak to sobie wymyśliłam. Zapadł w głęboki sen, spał i spał, aż w końcu umarł. Jednak nie w łóżku, jakie dla niego wymyśliłam, i wcale nie owinięty jak poczwarka warstwą jedwabiu. Mama nauczyła się czytać. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że uda się po naukę do pałacu; nie przewidziałam też, że w moim życiu pojawi się ktoś, kto zajmie jej miejsce i kto zapozna mnie z czymś więcej niż tylko ze sztuką czytania. Nie podejrzewałam, iż umiejętność przekładania znaków z kart książek może zawieść mnie do raju, a potem, jak owoc z rajskiego drzewa wiadomości, wyrzucić mnie daleko poza granice szczęścia, jeszcze dalej niż Ewę, matkę wszystkich ludzi.

Klęska taty była rezultatem agresji przeciwko własnemu ojcu. Dziadek miał rację, kiedy twierdził, że rodzinne spory na temat morwowych drzewek skończą się dopiero po jego śmierci.

Zanim do tego doszło, dziadek, choć się sprzeciwiał, został przeniesiony do naszego domu. Nie mógł już chodzić o własnych siłach, więc tata przeniósł go na rękach i położył do łóżka, które normalnie sam dzielił z mamą. Przeniósł dziadka z jego pieniędzmi i Biblią. I jedno, i drugie dziadek kazał zawinąć w prześcieradła. Nie był w stanie czytać ani Biblii, ani żadnej innej książki, ale za to nadal znakomicie liczył. Opierał głowę na Ewangeli i mruczał do siebie:

- Trzydzieści cztery dukaty, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć...

Wykonywał obliczenia tylko wtedy, gdy sądził, że nikt nie słucha. Nie miał dość siły, aby wstać i utrzymać się na nogach. Nocami gniewnie do nich przemawiał. Rozkazywał, by następnego dnia stały się znowu posłuszne i zaniósł go z powrotem na szczyt wzniesienia.

- Przecież nie jestem znowuż taki ciężki i nie mam ze sobą aż tak wielu pieniędzy, byście nie mogły dać sobie z tym rady - mówił. I może w końcu wspiałby się na górę, gdyby się tak nie męczył całonocnymi próbami. Zsuwał wychudłe nogi z łóżka, stawiał sękaty stopy na podłodze,



prostował się na kiju, po czym na koniec tracił równowagę i przewracał się. Wreszcie mama zabrała mu kij. Owinęła dziadka w łóżku tak mocno, że musiał się czuć przywiązany do siennika. Następnej nocy już nie usiłował wstawać. Umarł.

Tata obrócił go na bok, nim ciało na dobre ostygło. Przesunął go tak, że twarz dziadka, zastygła w wyrazie dezaprobaty, była zwrócona do ściany. Bez najmniejszej zwłoki przystąpił do liczenia pieniędzy, które dziadek zaoszczędził. Monety były jeszcze ciepłe, gdyż dziadek spał bezpośrednio na nich, rekompensując sobie niewygodę intymnym kontaktem z namiastką bogactwa.

Na stole, przy którym jadalіśmy, ojciec rozłożył monety na sześć równych części. Liczył je. Liczył i przeliczał od nowa; odsunął na bok jedną część z przeznaczeniem na podatki i dwie z przeznaczeniem na dziesięcinę.

- Jedna połowa dla naszej zwierzchności, tej doczesnej i tej wiecznej - mruknął. - A oto suma, za którą przeżyjemy najbliższe trzy lata. - Zebrał resztę monet do sakiewki i wręczył ją mamie.

Tego samego popołudnia spalił stare drzewa morwowe. Spalił je wszystkie. Drzewka, które wymagały tak wielu starań, a przede wszystkim nawadniania - w sezonie bezdeszczowym setek a nawet tysięcy wędrowek na wzniesienie z ciężkimi wiadrami wody. Brnięcia przez błoto i szlam do zwężonego koryta rzeczki, by zanurzyć krawędź wiadra pod powierzchnię ginącej strugi. Mozolnych powrotów, by opróżnić je nad korzeniami drzew. Siostra i ja byłyśmy zbyt małe, aby dźwigać wiadra na nosidłach ale widziałyśmy, jak męczą się z tym rodzice. Staraliśmy się pomagać w miarę naszych możliwości, zabierając się do porannego karmienia tuż przed świtaniem, kiedy liście w koszach były jeszcze chłodne i należało je ogrzać przed podaniem jedwabnikom. Rozkładałyśmy liście przy ogniu, który podtrzymywał dziadek. Potem w trójkę karmiliśmy gąsienice, a mama i tata mogli tymczasem pozostać w łóżku nieco dłużej.

Ustawiczne kłótnie z dziadkiem nie tylko nie przekonywały taty, że pomysł uprawiania innej odmiany drzewek jest szaleństwem, ale przeciwnie, sprawiały, iż coraz bardziej się przy nim upierał. Każde słowo wypowiedziane w kłótni z dziadkiem wzmacniało jego upór. W rezultacie zamiast zrealizować ostrożniejszy plan, który w ogólnych zarysach przedstawiał dziadkowi - by pozostawić połowę drzewek, a drugą połowę zastąpić nową odmianą - tata zniszczył cały sad, wszystkie drzewka zasadzone niegdyś przez któregoś z jego przodków. W noc śmierci jego ojca na niebie ujrzeliśmy niezwykle zjawisko. Księżyc oraz dwie planety utworzyły

trójkąt nad pobliskim Burgos i zapłonęły nad wieżą katedry niczym wielka pochodnia. Razem z siedmioma martwymi żabami, które tata znalazł w wiadrze tydzień wcześniej, wróżyło to nową erę w życiu rodziny Luarca; ojciec potraktował te znaki jako zezwolenie na roztrwonienie reszty zdrowego rozsądku.

Dziadek umarł w grudniu. Po suchej jesieni drzewka morwy były ogołoczone i szare. Tata chodził z płonąca żagwią i górę i w dół pomiędzy rzędami uszpionych drzewek i kolejno je podpalał. Stawały w ogniu dosyć szybko, co bardzo nas dziwiło - mamę, Dolores i mnie. Stałyśmy w drzwiach naszego domu i spoglądałyśmy na wzgórze oświetlone jaśniej i bardziej odświętnie niż kiedykolwiek wcześniej, bardziej nawet niż podczas uroczystości w dniu świętego Jana. Iskry strzelały w górę na tle ciemnego nieba niczym fajerwerki. Później dowiedziałyśmy się, że tata poświęcił jedną z monet dziadka na zakup oleju i zostawił między konarami każdego drzewka nasączoną szmatę; trudno byłoby znaleźć w przyrodzie materiał, który szybciej stawałby w płomieniach. Tata niszczył stare drzewka w najkrótszy dzień ostatniego miesiąca roku, dzień przesilenia zimowego. Wiał silny wiatr, dlatego ogień palił się znacznie żywiej niż mógłby w innych okolicznościach. Tata krążył dookoła sadu i pilnował, żeby płomienie nie przygasły.

Między ludźmi krąży pewna opowieść. Podobno kiedy Hernan Cortes wylądował w Nowym Świecie, zmusił wszystkich swoich ludzi - wszystkich, którzy nie umarli na chorobę morską albo od poparzeń słonecznych, nie powypadali za burzę, nie zostali zabici przez dzikusów lub nie ulegli tropikalnym przypadłościom - aby zeszli na ląd, i rozkazał trzystu członkom załogi przyglądać się, jak pali ich okręty. Stali na kamienistym wybrzeżu Vera Cruz, statki zaś, mocne i duże, płonęły długo, nim w końcu poszły na dno. Paliły się jeszcze, gdy zapadał zmierzch; pozostał jeden maszt, sterczący z fal niczym monument upamiętniający postanowienie dowódcy. Wiedzieli wówczas, że albo podbiją ten kraj, albo dostaną się w ręce barbarzyńców. Odwrót został odcięty.

\* \* \*

Gdyśmy rankiem wyszły na zewnątrz, ujrzałyśmy pole czarnych kikutów. Niektóre miały wysokość człowieka. Stały spokojnie niby armia zastygła w diabelskim zauroczeniu. Dolores zaczęła płakać. Jej łzy zamarzały na zimnym wietrze. Moja siostra nigdy nie wyglądała jak dziecko. Jej twarz o zdecydowanych, wyrazistych rysach nie zdradzała niczego, co miało się jeszcze na niej pojawić. Dolores, wówczas dziewczynka zaledwie jedenastoletnia, nawet gdy płakała, wyglądała wprawdzie na drobną, ale zarazem całkowicie dorosłą kobietę, taką, której

życie miało do zaoferowania wyłącznie znoje i ubóstwo.

Przyglądałyśmy się, jak tata wyrąbuje spalone pnie i zabiera się do usuwania korzeni. Oczywiście nie dał rady. Nie był w stanie oczyścić pola, by zasadzić nowe rośliny.

Dziwiło mnie teraz, że tata tego nie przewidział i wierzył, iż uda mu się wyrwać stare drzewa z ziemi, choć przecież nie mieliśmy nawet jednego wołu. Tylko że tata był uparty do szaleństwa - co stanowiło następną przypadłość rodziny Luarca - i chciał udowodnić dziadkowi, nawet po jego śmierci, że się mylił.

Bez zahamowań wynikających z obecności dziadka, tata zaczął coraz namiętniej ulegać marzeniom. Już nie fantazjowałam razem z nim na głos, bowiem nazbyt śmiało zapędział się w te obszary wyobraźni, których ja nie chciałam odwiedzać. Jego marzenia o ilości wyhodowanych kokonów, o dobrach, jakie miał nabyć, stawały się coraz mniej realne. Zaczęłam się nawet obawiać, czy nie upodobił się do któregoś z tych zapalonych głupców, którzy wyruszyli do Nowego Świata w przekonaniu, że tam czekają na nich góry złota; byli oni tak pełni wiary w świetlaną przyszłość, że nawet gdy umierali na febrę albo trafieni strzałą dzikich, nadal oczyma wyobraźni widzieli przed sobą płonące złotem miasto Inków. I władcę tamtej krainy, postać o pozłacanej skórze, oczach szaleńca, ze złotymi insygniami, złotymi płomieniami włosów, która tańczy i krzyczy, podczas gdy oni skręcają się w bólach. Tata niczym się nie różnił od tych ludzi ani od prapradziadka, Wiktora de Luarca, który zostawił hodowlę jedwabników, by wyruszyć z Cortesem, i który około roku 1527 powrócił do domu w drewnianej skrzyni i z dziennikiem na rozkładającej się piersi. Zgodnie z rodzinną legendą, ostatnie słowo zapisane w dzienniku brzmiało „złoto”, podobnie jak ostatnie słowo wy powiedziane przez mojego ojca miało brzmieć „jedwab”.

Ktokolwiek słyszał przemowy mojego ojca, miał wrażenie że uważa się on za kogoś w rodzaju jedwabniczego imperatora, który panuje nad wszystkimi gildiami, wszystkimi wytwórcami i wszystkimi, najdrobniejszymi nawet elementami wielkiego przemysłu. Decyduje o manufakturach, w których bieli się i farbuje jedwab, o modnych kolorach i wzorach, o losach mistrzów tkackich, uczniów i czeladników, o krosnach, na których pracują, o wszystkich szczegółach produkcji, wliczając w to każdą żarłoczną gąsienicę. Potrząsał głową, cmokał z dezaprobatą, a kiedy nastawał wieczór i ogień przygasał, zaczynał uparcie wpatrywać się w jeden kąt domu, pomrukiwać, miotać przekleństwa, czasem gestykulować, jakby się kłócił. Pewnego wieczoru zobaczyłam tam dziadka.

- Dziadku! - krzyknęłam i ruszyłam w jego kierunku, ale on pogroził mi palcem.

- Nie zbliżaj się, dziecko - ostrzegł, chociaż uśmiechał się do mnie przez dym, który snuł się wokół jego głowy. Chwilę później zniknął.

W końcu tata zrozumiał, że nie sposób usunąć z ziemi korzeni starych drzew. Wówczas orzekł, że grunt, w którym tkwią, i tak jest skażony. Następnie przystąpił do zakładania sadu w nowym miejscu, na kawałku ziemi będącym wprawdzie naszą własnością, ale dotychczas przez nas nie uprawianym i akurat nie dzierzawionym. Dziadek nazywał je „fasolowym polem”, ponieważ rokrocznie zamierzaliśmy coś tam posadzić, tylko że przez cały sezon byliśmy bez reszty zajęci hodowlą gąsienic. Niegdyś oddawaliśmy to pole w dzierżawę. Warunki, w jakich przyszło nam teraz żyć, nie sprzyjały wydawaniu pieniędzy na tego rodzaju cele. Brakowało też chętnych do zawarcia kontraktu. Wszyscy wiedzieli, że wcześniej czy później zostaną przyłapani przez Kościół na jakimś karygodnym uczynku - na przykład za przestępstwo tak drobne jak niedotrzymanie świętego terminu wypełnienia obowiązku - i starali się trzymać pieniądze w garści, zachowując je na opłacenie grzywny. W razie potrzeby bezzwłoczna zapłata stwarzała szansę, że nie stracą więcej pieniędzy i nie zakończą żywota w jednym z lochów Inkwizycji. Taką przynajmniej mieli nadzieję. Panowała opinia, że jeżeli już raz Kościół zainteresuje się kimś, jeżeli już raz poczuje u kogoś zapach choć jednego maravedi, zaraz przychodzi mu apetyt na wszystko. Tylko cały majątek jest w stanie go zadowolić. Zatem ludzie oszczędzali monety i nie dzierzawili naszego kawałka ziemi. I dlatego tata bez kłopotu mógł przystąpić do wrywania wrzośców i chwastów.

Nawet zimą pracował bez ustanku, chociaż czynił niewielkie postępy, gdyż ziemia przemarzła i musiał używać motyki. W końcu jednak powstał całkowicie nowy gaj w sąsiedztwie pozostałości po starym. Tata zasadził młode drzewka, które kupił razem ze specjalnie przygotowaną ziemią, po pięćdziesiąt maravedis sztuka. Wkrótce zaś wyrosły z nich bujne zdrowe drzewa. Jakżeż zdrowe! Rosły na niczym, potrzebowały mniej wody, jak zaczarowane pokryły się kwiatami i rozwinęły. Po trzech latach były wyższe ode mnie. Tata nie posiadał się z radości. Gotowy był tańczyć między roślinami. Jego radość pewnie nie byłaby tak wielka, gdyby nie założył nowej uprawy niedaleko osmolonych kikutów. W każdym razie tak było na początku.

Mój praprapraprzodek - dzieli nas zbyt wiele pokoleń, aby to zliczyć - należał do pierwszych hodowców jedwabnika w Hiszpanii. Dopóki pewnie trzymał się na nogach, miał silne ręce i nie narzekał na zdrowie, żeglował na statkach handlowych. Zszedł na ląd akurat w okresie,

kiedy jedwabniki, drzewa morwowe i sztuka wytwarzania jedwabiu przywędrowały do Hiszpanii z Dalekiego Wschodu. Ów przodek, Sandoval de Luarca, powrócił do swego domu w Kastylii z transportem sadzonek morwy. Pewnej wiosny drzewka ukorzeniły się i podrosły do odpowiednich rozmiarów (ta odmiana dojrzewała szybko). Wówczas Sandoval już tylko czekał na przybycie przesyłki z Chin zawierającej jajeczka gąsienic. Nadeszły drogą morską w małych skrzynkach, obłożonych rzeczonym lodem i trocinami. W Hiszpanii odbyły podróż na wozie Sandovala zaprzężonym w muły. Także tutaj leżały w pobliżu lodu, nie za blisko aby nie pomarzęły, ale w chłodzie, który zapobiegał wylęgowi nim transport dotarł do pomieszczeń, które dla gąsienic przygotował mój praprzodek. Podczas jazdy po drogach Kastylii starannie opakowane bryły lodu stopniowo topniały, aż w końcu zmieniły się całkowicie w przenikającą trociny wilgoć.

Dobre jajeczka jedwabnika są niezwykle drogie. Dziś już nikt nie sprowadza chińskiej greny, ale pierwszy jedwab w Hiszpanii powstawał na pewno z jajeczek, które przyplłynęły ze Wschodu jednym z szybkich statków żaglowych. Na czas rejsu trzymano je w chłodzie dzięki ładunkowi lodu wraz z innymi nietrwałymi towarami: maścią na potencję ze sproszkowanych kopyt jednorogich koni rzecznych, specyfikiem z korzenia żeńszenia na puchlinę wodną, ostrą i jednocześnie słodką papryką z prowincji Hunan, maleńkimi chińskimi pomarańczami, przysmakiem króla Filipa i całego dworu. Sandoval nie miał własnych pieniędzy na jajeczka; dostał je jako wyrównanie bardzo wysokiego rachunku.

Podczas jednej z morskich wypraw uratował życie pewnemu mężczyźnie, zdejmując mu z karku wielkiego węża i wysysając ranę do czysta.

- Wypluł jad prosto do oceanu! - oświadczył dziadek, przekazując mi tę opowieść.

Wdzięczny kupiec podarował Sandovalowi jajeczka gąsienic w podzięcie za uratowanie życia. W ten oto sposób osobliwym zrządzeniem losu - za sprawą cudzego nieszczęścia - staliśmy się rodziną hodowców jedwabników. Ponieważ nie byliśmy Maurami jak większość hodowców, nikt nas nie torturował ani nie wypędzał. Wszelako powodzenia rodziny chyba nie powinno się budować na wypadku, nawet jeśli skończył się szczęśliwie. Oczywiście później ojciec zaczął przywiązywać wagę do historii o Sandovalu i wężu. Powiadał mianowicie, iż mój przodek wprawdzie wypluł jad, ale połknął nasiona złego losu, który miał wcześniej czy później powrócić; nie wszyscy jednak podzielali punkt widzenia taty.

Czekając, aż morwowy gaj dojrzeje, tata przystąpił do spółki z Jorgem Encimadą, także

hodowcą jedwabników. Razem zajęli się eksperymentalną hodowlą jednego pokolenia gąsienic należących do pana Encimady. Karmili je liśćmi z dodatkiem wyciągu z koszenili, robaczków, które żyją na dębach i żywią się słodkim sokiem, znajdującym się tuż pod korą. Tata kazał nam, Dolores i mnie, zbierać te robaczki; zobowiązał się zapłacić po jednym maravedi za każde dziesięć, które uda nam się schwytać. Musiałyśmy też odrywać im skrzydełka, nie bacząc na to, że rozpaczliwie przebierają nóżkami, a potem wrzucać ich wierzchnie ubranka do octu. Zdarzało się, że korzystając z nieuwagi Dolores, wrzuciłam jej któregoś za kołnierz albo wkładałam we włosy. Wówczas moja starsza siostra zaczynała przerażająco krzyżeć, krzyk zaś szybko sprowadzał częściowo rozbawioną, a częściowo zdenerwowaną mamę.

- Don Pascualu! - wołała, ale niezbyt głośno. Nie, nie - zaledwie składała usta, by wypowiedzieć imię Pierwszego Inkwizytora. - Przybądź do nas swoim powozem i zabierz tę niegrzeczną dziewczynkę! - Wtedy ja przytulałam się do niej i ukrywałam twarz w fałdach jej spódnicy.

Kiedy odeszła od nas na wieki, wielokrotnie zastanawiałam się, czy cokolwiek stamtąd dostrzeże i czy widziała, że pewnego dnia przyjechał po mnie jeden z inkwizytorów; wrzucił mnie do takiego samego powozu, jaki był przedmiotem naszych żartów. Miałam nadzieję, że jednak nie. Wszakże niektórzy ludzie utrzymują, że nagroda w niebie na tym właśnie polega: na możliwości obserwowania udrek potępionych. Że sprawiedliwi radują się, gdy kara dotyka zatwardziałych grzeszników, i to nawet jeśli są nimi ich własne dzieci albo inne osoby kochane przez nich za życia.

Czy kiedykolwiek, gdy byłam jeszcze dzieckiem, przyszło mamie do głowy, jaką okażę się grzesznicą? W rodzinnym domu byłam wcale posłuszna, zwłaszcza wtedy, gdy spodziewałam się otrzymać nagrodę. Kłótnie nie zmniejszały gorliwości, z jaką dążyliśmy do zarobienia pieniędzy. Nie osłabiał jej nieprzyjemny charakter pracy, którą zlecił nam ojciec. Byłyśmy bardzo zawiedzione, gdy tata oświadczył, że nie potrzebuje już więcej owadzych pancerzyków. Odebrał ode mnie ostatni koszyk i pochylił się, by spojrzeć mi w oczy.

- Masz bardzo sprytnego tatę - rzekł i skinął głową. Prawie w tej samej chwili ujrzałam ducha dziadka, który stał przy tacie i potrząsał przecząco głową. Jego również usłyszałam.

- *No te rejis* - powiedział z odrazą. - Przestań się chwalić!

Eksperyment taty i pana Encimady - którego celem było wyhodowanie czerwonego jedwabiu - nie zakończył się sukcesem. Kokony wytworzone przez gąsienice okazały się

bladuróżową kpina z ich marzeń. Mimo wszystko udało się im sprzedać towar na rynku. Wprawdzie nie wszystkie kokony, ale znaczną ich część. Większość zakupił pewien Holender, sądząc, że ma do czynienia z lokalną osobliwością. Gdyby tylko tata potraktował całe zdarzenie jako pewnego rodzaju przestrożę, nasze życie potoczyłoby się zapewne zupełnie inaczej. Ale chyba opętał go sam diabeł.

Mój ojciec był prawdziwym synem Kastyliei, najbardziej ponurej i groźnej krainy w całej Hiszpanii. W jego oczach, szarych jak skała, dostrzegałam smagane wiatrem równiny, które nagle rozpoczynają się u stóp Pirenejów, opadają z Gór Kantabryjskich, łamią się, pękają i strzępią. Budzą zachwyty. Jakąś magię wysokości, urwiska, przełęczy, potoku, parowu, otchłani. Magię czegoś niebotycznie wysokiego, co z nagłą staje się niskie. Oszłomienie, utratę równowagi. Zapierające dech w piersiach poczucie wzbijania się ku niebu. Skłonność do marzeń o tym, co jest daleko, bardzo daleko ponad twoją głową. Przypomnijcie sobie don Kichota, w którego chorej wyobraźni wiatraki przybrały formę olbrzymów, a zwykła chłopka przeobraziła się w księżniczkę. Ojciec chyba nie czytał tej opowieści, ale w Quintanapalli, miejscu urodzenia Rycerza o Smutnym Obliczu, otumaniały go wizje nie mniej silne niż tamte don Kichota. Mój ojciec był prawdziwym Kastyljczykiem, człowiekiem, który gotów był poświęcić wszystko dla realizacji swych marzeń, nawet to, co kochał najbardziej. Ja zaś jestem nieodrodną córką mojego ojca. Jestem nieodrodną córką Kastyliei.

Na wiosnę roku pańskiego 1667 mój tata, Feliks de Luarca, udał się do Sorii, gdzie kupił jajeczka od pewnego starszego człowieka, który hodował ćmy jedwabnika. Blżej naszego domu mieszkało wielu innych hodowców z tej branży, ale najlepiej dokonywać zakupu ze sprawdzonego, pewnego źródła. Zdrowe jajeczka jedwabnika mają szarą barwę i połyskują niczym łupek. Martwe jajeczka są żółte. Zналиśmy przypadki, że pozbawieni skrupułów sprzedawcy moczyli martwe jajeczka w winie, póki nie nabrały szarego koloru; potem je sprzedawali.

Zatem tata odbył podróż do godnego zaufania sprzedawcy z Sorii; wyprawa trwała trzy dni. Wrócił do domu czwartego dnia z małymi skrzynkami z greną umieszczoną w sianie. Jak nam później opowiedział, w drodze powrotnej zatrzymał się w świątyni w Querannie. Kupił przednią oliwę, wytłoczoną z ostatniego zbioru oliwek i wylał ją w ofierze na nogi cudownej figury Najświętszej Dziewicy. Po tym zabiegu całkowicie przestał wątpić, czy wszystko ułoży się po naszej myśli. Los rodziny Luarca miał się odmienić. Ja, mama i Dolores dyskretnie

wymieniłyśmy spojrzenia. Tata dał się ponieść bezkrytycznej radości. Śpiewał, gdy otwierał drewniane skrzyneczki z taką ilością jajeczek, jakiej nigdy dotychczas nie nabyliśmy za jednym razem, śpiewał, przekładając jajeczka do sakwy z kozłej skóry, w której zawsze się wylęgały. Zacisnął mocno rzemienie, a mama poluźniła stanik. Robiła tak każdej wiosny. Dzięki ciepłu jej ciała i szumowi krążącej krwi jajeczka mogły się ogrzać, ożyć, przebudzić ze stanu odrętwienia. Tata wręczył mamie miękką sakiewkę, ona zaś umieściła ją w zagłębieniu między piersiami. Przed upływem trzech niedziel z jajeczek miała się wylęgnąć armia gąsienic.

Ów akt musi być dokładnie zaplanowany, ponieważ powinien współgrać z rozwojem liści morwy. Gąsienice i liście dojrzewają jednocześnie przede wszystkim z konieczności. Małe larwy mają ledwie tyle siły, by żywić się delikatnymi, młodymi listkami. Gdy stają się starsze i większe, jedzą starsze i twardsze liście. Tata miał nadzieję, że nowe drzewka pozwolą mu wreszcie wyhodować dwa pokolenia jedwabników w jednym roku, co było zupełnie normalne w ciepłym klimacie Orientu, ale jeszcze nigdy nie udało się w naszych stronach. Wiązało się to z koniecznością podcięcia odrostów w środku lata, dokładnie w momencie, kiedy jedno pokolenie gąsienic przestaje przyjmować pokarm i przystępuje do wytwarzania oprzędu. Chińczycy, czego tata dowiedział się na jednym z seminariów naukowych, pozostawiali po kilka listków na każdej gałęzi po to, aby ściągały z rośliny soki, podtrzymywały jej funkcje życiowe i aby zmuszały roślinę do wydania nowych liści po raz drugi w tym samym roku. Widziałam, że mama krzywi się, kiedy tłumaczył jej szczegóły tego procesu. Jego oczy płonęły tak zawsze, kiedy robił plany; zdawał się koncentrować wzrok na czymś, czego poza nim nie widział nikt inny.

- Ale jeszcze nie teraz - powiedział - nie w tym sezonie ani nie w następnym. Drzewka nadal są zbyt młode.

Mama przez dwa tygodnie wykonywała swe obowiązki możliwie jak najostrożniej. Codziennie rano delikatnie odwracała mieszek, który wisiał blisko jej serca między piersiami, sprawdzając jego zawartość. Tata chełpił się, że zawsze, ale to zawsze wykluwały się wszystkie jajeczka, które umieścił w staniku mamy. Że ani jedno nie zawiodło i że nie ma na świecie hodowcy jedwabników równie szczęśliwego jak ten, który poślubił Conception de Luarca. Potem, kiedy myślał, że nie patrzymy, rozchyłał stanik i szybko całował każdą pierś mamy i wiszącą między nimi sakiewkę. Na ten widok i ja chciałam uczynić to samo. Mama miała smak czegoś, czego nigdy nie miałam dosyć.

Gąsienice wylęgły się na Wielkanoc. Właśnie wówczas zaczęły się rozwijać pąki.



Zanieśliśmy gąsienicom listki, które z pozoru niczym się nie różniły od liści ze starych drzew dziadka. Chociaż to prawda, że kiedy podrosły, wydawały się znacznie lepsze, większe i bardziej błyszczące. Nosiłyśmy liście w koszykach - mama, Dolores i ja. Tata karmił gąsienice trzy razy w ciągu nocy, podczas gdy my spałyśmy. Gąsienice przez pięć niedziel jadły bez ustanku, pomijając czas, raz w tygodniu, który przypadał na linienie. Znosiłyśmy do domku gąsienic kosze, a w nich liście połyskujące woskowatym odcieniem zieleni. Rozkładałyśmy pokarm na półkach. Przez jakiś czas wszystko wyglądało niezwykle obiecująco.

Larwy jadły i rosły równomiernie. Przyglądaliśmy się, jak chwytają liście przednimi odnóżami i nadgryzają je. Z niepokojem obserwowaliśmy pierwsze linienie, ów niebezpieczny okres, kiedy pozostają w odrętwieniu przez prawie cały dzień, a ich odwłoki stają się jaśniejsze. Potem na ich główkach pojawiają się czarne plamki, znacząc miejsce, od którego stare otoczki zaczynają pękać i odstawać. Dokładnie tak jak powinny. Wszystkie larwy powychodziły w nowych, luźnych ubrankach, które wkrótce również miały zostać zrzuczone; pożarły najpierw swoje stare okrycia, później dopiero zabrały się do liści. Wszystko przedstawiało się jak najlepiej.

Tylko mnie się wydawało, że są już stracone. Nasze larwy, moje larwy. Moje partnerki w skomplikowanym procesie wytwarzania jednej rzeczy z drugiej. Śniłam o ich śmierci na jawie i kiedy spałam. Opowiedziałam mamie o tych wizjach. Nie złażała mnie, tylko przyciągnęła do siebie; przycisnęła moją głowę do swojej piersi, abym przestała prorokować. Przywarłyśmy do siebie, tuliłyśmy się mocno i długo. Kiedy w końcu wyzwoliłam się z jej objęć, zobaczyłam, że na sukience mamy został ślad mojego wilgotnego oddechu.

W domku gąsienic, który stał na wzgórzu powyżej naszego domu, larwy przestały przyjmować pokarm. Nie wszystkie od razu, ale stopniowo. Pomiędzy drugim a trzecim linieniem większa część naszych gąsienic przestała jeść. Straciliśmy je, a wraz z nimi większą część zainwestowanego kapitału.

Nie mieliśmy do czynienia z żadną znaną nam bliżej chorobą. Nic nie przypominało krystalicy, przy której larwom nabrzmiewała skóra, robiła się błyszcząca, a z ich otworów gębowych sączyła się żółta ciecz. Nic też nie przypominało czerwunki, przy której po czwartym linieniu larwy wychodziły czerwone i umierały. Ta śmiertelna choroba nie manifestowała się tak wyraziście. Polegała na zwykłej utracie apetytu. Larwy nie chciały jeść; nie chciały jeść liści z nowych drzew. Ich szczęki przestawały się poruszać, zamierały. Kiedy to się stało,

wiedziałyśmy, że to koniec.

Rankiem, tak, aby ubiec tatę, biegałyśmy, Dolores i ja, na górę do domku gąsienic. Wybierałyśmy martwe osobniki i wyrzucałyśmy je na zewnątrz. Jedynie ptaki naprawdę skorzystały na realizacji planów ojca. Tej wiosny okoliczne wrony wyraźnie przytyły. Larwy, które nadal jadły liście, rosły wolno, a kokony były małe i podrzędnej jakości. Zbyt małe na sprzedaż. Tego wieczoru, kiedy zabiliśmy poczwarki, umieszczając tace nad parującymi kamieniami i przewracając kokony za pomocą dużej łopatką, póki nie mieliśmy pewności, że są martwe, tego samego wieczoru tata naprawdę się upił. Upił się, wypił bowiem dużo wódki, ale nie dlatego, że roznosił go entuzjazm. Na targ też pojechał pijany. Kokony zajęły ledwie czwartą część koszy, których potrzebowaliśmy do ich przewiezienia w minionych latach. Na targu dowiedzieliśmy się, że zgodnie z regułami gildii kokony nie nadają się do sprzedaży z uwagi na nieodpowiednią wielkość.

Ojciec poszedł ze swoją sprawą do zwierzchnika gildii. Obniżył cenę wywoławczą. Próbował przekupić nadzorcę, starego przyjaciela dziadka. Ale nie był to rok posuchy i jedwabiu było w bród. Jadąc na targ, widzieliśmy inne wozy, na których stały kosze pełne dużych, białych kokonów. Błyszczały. Dotykały ich promienie słońca. Bezlitośnie smagaliśmy naszego muła batem, żeby wyprzedzić konkurencję. Zostałyśmy na zewnątrz siedziby gildii, przy wozie, tymczasem ojciec poszedł błagać, zaklinać, poświęcać honor - bez skutku. Nad naszymi głowami na gałęziach siedziały jastrzębie; czekały, kiedy tłum rozproszy się w pył i kurz. Mogły spodziewać się uczyty z resztek pozostawionych przez rzeźników. Ptaki przekrzywiały głowy i mrugały do nas powoli, kpiąco, albo może mi się tylko zdawało; w każdym razie czułam się ogromnie zawstydzona.

Zarząd gildii pozostał niewzruszony. Na nic się nie zdały pochlebstwa i błaganie.

Tata spokojnie zamknął za sobą drzwi do siedziby gildii i zanim wsiedliśmy na wóz, wyrzucił cały produkt pracy naszych larw. Wszystkie małe jedwabne domki z martwymi lokatorami w środku wylądowały na cuchnącym stosie odpadków obok budek rzeźników. Razem z nimi tata wyrzucił na śmietnik swoje marzenia. Od tej pory - po śmierci dziadka i klęsce ojca - losy rodziny Luarca zaczęły zależeć od aktywności należących do niej kobiet. Z tym nie było znowu aż tak źle. Wkrótce okazało się, że mama posiada pewną osobliwą umiejętność. Ów talent otworzył przed nią drogę do pałacu. W istocie był to dar, który pozwolił nam spokojnie żyć. Póki nie stał się również naszym przekleństwem.

- *Scissoque corde, ut dixi, anima mea fuit ab hac carne sounta.* - Mówił płynnie, łagodnie. Językiem dotknął mojej powieki.

Czy to możliwe, że byłam w jego ramionach tak krótko? Sto razy popołudniami, nie więcej. Z początku przez kilka godzin skradzionych co tydzień i wreszcie nocami pod osłoną ciemności. Każdy uścisk ekscytował i uświęcał przez wyzwanie, jakie podejmowaliśmy, oddając się miłości.

- *Scissoque corde...* - powtórzyłam.

Położył dłoń na moich ustach.

- Nie - powiedział. - Przetłumacz. - Jego palce pachniały kadzidłem. Mężczyzna, który uczył mnie czytać, który zlizywał słowa z moich powiek i wydierał gramatykę z mego gardła, był księdzem.

Kiedy mówił, słyszałam - zdawało mi się, że słyszę - skrzypiący na zewnątrz wóz. Lecz któż by tam był na dworze o tej porze? Przeniosłam pusty wzrok na okno. Nasłuchiwałam, ale nie udało mi się wychwycić charakterystycznego turkotu. Ludzie opowiadali, że urzędnicy Inkwizycji obwiązują szmatami obręcz kół, aby hałas nie zdradził ich przybycia. Podług powszechnej opinii byli na tyle przezorni, aby obwiązywać również kopyta i przecinać koniom struny głosowe. Zwierzęta nie rżały i nie parskały, nie wydawały żadnego odgłosu, który mógłby stać się ostrzeżeniem. Inkwizycja zwykle rozpoczynała się w ciszy.

- Posłuchaj! - powiedziałam.

Płomyk jedynej świecy zakołysał się w jego ciemnych oczach.

- Niczego nie słyszę - odrzekł. Być może niczego nie słyszał, zbyt głośno bowiem biło mu serce i zagłuszało zwiastuny niebezpieczeństwa.

- Zdmuchnij świecę - szepnęłam. - W ubiegłym tygodniu przyjechali do Rubeny.

Przybyli do sąsiedniego miasteczka po garbarza. Pod drzwiami do jego domu pozostawili tylko buty, aby ustrzec jego żonę i synów przed popełnieniem grzechu nadziei - nadziei złudnej - że ich męża i ojca spotkał jakiś inny, łaskawszy los, że na przykład odszedł z kochanką albo uciekł przed bandytami. Bez tego jakże ewidentnego znaku mieszkańcy Rubeny mogliby niemądrze tłumaczyć zniknięcie garbarza zgubnym wpływem namiętności, czynami złoczyńców albo działaniem czarnej magii. Skóra, nad którą rzemieślnik pracował, nadal leżała na stole, podobnie jak nóż, zmatowiały i ubrudzony kawałeczkami zeskrobanego mięsa.

Cóż takiego uczynił ów garbarz, że skierował na siebie uwagę Świętego Oficjum? Rzekomo regularnie co sobota zmieniał bieliznę. Ktoś podobno widział, że w któreś święto nie chciał jeść potrawy z wieprzowiny. Najwidoczniej - o czym ktoś doniósł do Świętego Oficjum - był ukrywającym się Żydem.

- Proszę - powiedziałam. Zdusił płomyk palcami.

- *Scissoque corde*, Francisco.

Mrok wypełnił się westchnieniami. Czyimi? Czy to my wzdychaliśmy? Czyżbym ja wzdychała?

Zaczęłam się zastanawiać nad koniugacją czasownika. Mówiłam powoli, ale nawet nie zająknęłam się w tłumaczeniu. Talent do języków miał się później obrócić przeciwko mnie, ponieważ biegłość w tej dziedzinie jest uważana za dowód posługiwania się diabelskimi mocami.

- Jako już rzekłam, serce mi pękło i uleciała dusza z mego ciała - przetłumaczyłam.

- Dobrze - powiedział. - Bonissimus. Wspaniale. - Wymawiał słowa bezpośrednio w moje otwarte dłonie. Dłonie, które nadal płonęły od pocałunków i nad którymi panowało pożądanie.

- Któż to powiedział?

- Święta Katarzyna ze Sieny.

- Kiedy umarła święta Katarzyna?

- Wcale nie umarła. Nie umarła nigdy.

- Kiedy przyszła na świat?

- W roku pańskim 1347.

- A kiedy ty się urodziłaś, Francisco de Luarca? - Oddychał płytko i szybko. Dzielił słowa na sylaby: Fran - cis - co. Leżeliśmy na podłodze pod stołem, na którym tego popołudnia czytaliśmy *Legendę i Acta Sanctorum*, opowieści o życiu świętej Katarzyny ze Sieny, spisane przed ponad trzystu laty przez Raymonda z Capui, jej spowiednika.

- Nie urodziłam się - odrzekłam.

- Kiedy się urodziłaś, Francisco?

- Nie urodziłam się jeszcze.

Czuję pieczenie. Ale nie od rozgrzanego węgla, nie od razów pokrzywą, nie od wrzącej wody. To nie jest zjawisko zmysłowe. Jakże byłoby przyjemnie, gdyby ciało mogło się na to otworzyć, potrafiło odebrać doznania inne niż dotyk.

A ciało oczywiście jest w stanie poznawać - ciało przyswaja wszystko. Krew zasila

umysł, ćwiczą się kości, uczy się każdy kawałek skóry. Jedynymi prawdami godnymi poznania - one tylko zapisują się w naszej pamięci - są te, których uczymy się za pośrednictwem naszych ciał.

W którym miejscu zaczęło się pieczenie? Tam, gdzie po raz pierwszy dotknął mnie językiem. Tak jest, właśnie tam. Dlaczego nie tam, i to bez zwłoki? Nie wahałam się rozchylić nóg przed jego językiem. Nie mieliśmy czasu do trwonienia na bardziej skromne pocałunki. W istocie nie miało najmniejszego znaczenia, gdzie zaczął. Zdawało mi się wówczas, że dotyka mnie wszędzie jednocześnie. Paliły mnie stopy, płomienie sięgały pomiędzy moje palce w jego włosach.

Ze wszystkich sił starałam się zachowywać spokojnie w trakcie lekcji, której udzielał mi jego język; jego dotknięcia następowały po rozmyślnych, rozpalających przerwach. Mój nauczyciel był zegarem kpiącym sobie z czasu.

Oczywiście wyobraźni widziałam wyłącznie niebo. Mimo że było późno, a pokój tonął w ciemności, leżałam na plecach i podziwiałam jasny dzień, dzień zalany światłem. Poczułam na sobie dotyk i w tym samym momencie ujrzałam prawie niewidoczną, cieniutką jedwabną nić rozwieszoną między gałęziami, połyskującą i kołyszącą się na wietrze. Dlaczego nie pękała? Ledwie o to zapytałam, pyk, przedza uleciała. To ja uleciałam. Poddałam się i uleciałam.

Odsunął się ode mnie.

- Kiedy się urodziłaś? Westchnęłam spazmatycznie.

- Teraz - odrzekłam. Właśnie... w tej chwili... przychodzę na świat.

Dotknął mnie: brzucha, ramion, twarzy. Ja dotykałam jego. Czy byliśmy tam oboje? Czy on tam był? Czy byłam ja?

- *Bonissimus*. Rozumiem - powiedział. - Oto właśnie teraz przychodzisz na świat.

Wokół nas wzdychała noc. Wokół nas, wspólnie z nami, przez nas na wskroś. Jego usta wydawały się bardziej pełne, kiedy ich nie widziałam, kiedy próbowałam poznać je przez dotyk. Policzyłam w ciemności jego zęby, wsunęłam palec w miękką, wilgotną studnię pod jego językiem. Przyciągnęłam go do siebie. I w siebie.

\* \* \*

- Och, proszę, błagam. - Prezę się w ich stronę, wyginam ciało w łuk, próbuję oderwać kręgosłup od kozła, do którego mocno mnie przywiązali. - Proszę. Nie powstrzymujcie się. Zabijcie mnie. Przebijcie mi serce. Błagam.

Wszystko odbywa się przy świetle. Przy jasnym świetle. Stoją blisko. Kiedy zaciągają więzy, brzegi ich długich habitów zmiatają podłogę. Spod kapturów nie widać twarzy. Nie udaje mi się dostrzec niczego poza przypadkowym błyskiem światła w powilgotniałych oczach moich prześladowców.

Mają na sobie habitury i kaptury, które pozwalają im zachować anonimowość, wykonane z najprzedniejszego, lśniącego jedwabiu. Jakże pięknego jedwabiu, jakże podobnego do tego z moich dziecięcych marzeń. Pragnę go dotknąć. Rozmyślam, jaki byłby w dotyku.

Habitury są czarne. Owa czerń w blasku ognia zdaje się mienić wieloma kolorami: czerwienią, zielenią i purpurą, wszystkimi odcieniami. Większość kapturów jest biała, nieliczne z nich - czerwone. Władzę oznaczają czerwone kaptury, białe to posłuszeństwo. Jeden z tych ludzi, tylko jeden, zadaje pytania. Jest szefem tego więzienia. Nosi purpurowy kaptur.

Oczywiście niczego nie robią w ciemności. Potrzebują światła, aby widzieć, potrzebują światła do zapisywania moich wyznań. Ale mogę zamknąć oczy. Przecież wcale nie muszę być tutaj z nimi.

*Scindite cor meum.* Rozszarpicie mi serce.

Zadziwiam ich siłą ziemskiego uporu. Moje ciało nie chce się poddać. Wpadają w gniew, gdyż uparcie trzyma się życia. Interpretują to jako objaw skrajnego zachwalcstwa. Martwią się, niepokoją. Bo jak wytłumaczyć, że ja, istota drobna i krucha, mogę przeżyć to wszystko bez pomocy jakiejś nadprzyrodzonej - boskiej lub diabelskiej - siły.

Zaczynamy od kozła; zazwyczaj zaczynamy od kozła. Najpierw jeden z białych kapturów skuwa kajdanami moje kostki i nadgarstki, a potem za pomocą korby naciąga ciało, póki nie wypręży się ono mocno niczym struna harfy. Drugi zatyka mi nozdrza woskiem. Woskiem, który zawczasu ugniół tak, aby się rozgrzał i stał odpowiednio plastyczny, ciepły i okropny jak palce oprawcy. Kiedy nos mam już zaklejony, wciska mi lejek między zęby i z niewielkiej wysokości wlewa powoli wodę do moich wnętrzności. Przelykam, dławię się, duszę.

Ponieważ nie chcą mnie zgładzić, póki nie usłyszą tego, co muszę powiedzieć, przerywają po jednym lub dwóch dzbanach wody, którą niemal w całości wymiotuję. Później Purpurowy Kaptur przystępuje do przesłuchania. Oczywiście przestrzega mnie wcześniej, że milczenie przyspieszy kolejną zachętę do mówienia.

Wcześniej przyznałam się do wszystkiego. Przyznałam się do zbyt wielu występków, więc zabieramy się do tego wszystkiego ciągle od początku.

Albo, jak oni to określają, „będziemy kontynuować”.

Moja niefortunna skłonność do wybuchania śmiechem w niewesołych przecież okolicznościach również wszystko przedłuża. Nie wolno nikogo torturować dwukrotnie w związku z tymi samymi zarzutami - takie jest prawo - ale tortury można przedłużać. Tak się właśnie dzieje w moim przypadku.

Mój ksiądz nie żyje. Nie żyje moja mama. Mimo to kaptury pragną zebrać materiał przeciwko nim. Przecież nigdy nie jest za późno na skazanie. We mnie zaś kryje się prawda: Purpurowy Kaptur z pewnością coś takiego podejrzewa. Stawia pytania. Na temat księdza: Czy kiedykolwiek zdradzał brak wiary w sakramenty? Czego doszukiwał się w studiowanych tekstach? Kogo jeszcze uczył? Na temat matki: Ile razy chodziła w ciąży? Co działo się z ciałami poronionych dzieci? Jakiej płci były martwe noworodki?

Choć aresztowano mnie przed ponad trzema laty, w przesłuchaniach biorę udział dopiero od końca ostatniej wiosny. Być może chodzi o przypadek urzędniczego opóźnienia. Więzienie jest przepelnione. Większość z nas umiera, zanim ktoś władny przejrzy relację z aresztowania, zanim powstanie konkretny plan przesłuchania. Jednakże w moim przypadku wydaje się bardziej prawdopodobne, że pytania Purpurowego Kaptura są konsekwencją spraw, którymi żyją rezydenci królewskiego pałacu.

Dwór miota się w paroksyzmie obłędu. Czarownice znajduje się dosłownie wszędzie. Po zatonięciu *Bellavente* w ubiegłym roku u wybrzeży Malagi spalono dwadzieścia kobiet, mieszanek tego portowego miasta, oczywiście bez żadnej rozprawy. Rozeszła się wieść, że powyrywano im serca, które następnie ugotowano oddzielnie w dużym kotle, podobno w tym samym, za pomocą którego zdaniem oskarżycieli wywołały fatalną w skutkach burzę. Owe dwadzieścia kobiet zginęło w odległości pięciuset kilometrów od Madrytu, gdzie nie dawniej niż w sierpniu król Carlos wygłosił oficjalne przemówienie. Drżąc, stał na królewskim balkonie od strony Plaža Mayor i czytał własne słowa spisane na pergaminie. „Na skutek działania czarów królowa Maria Luisa nadal nie jest brzemienna”, powiedział. Jego słowa brzmiały cicho. Jeden z dworzan musiał je za nim głośno powtarzać. Tłumnie zebrani ludzie przyglądali się swemu królowi w dziwnym milczeniu. Po obwieszczeniu wszyscy rozpierzchli się bez wiwatów i innych zwyczajowych oznak entuzjazmu. Nie było odgłosów zgromadzeń, które w podobnych wypadkach przenikają w dół uliczek, póki nie zaszczekają więzienne zamki i nie zaskrzypią zawiasy.

Następnego dnia okazało się, że w królewskiej rezydencji znajdowało schronienie siedemnaście czarownic. Bezzwłocznie poprowadzono je na przesłuchanie. Należało wyjaśnić, dlaczego królową omijał dotąd błogosławiony stan. Dokonano przeglądu wszystkich zatrudnionych w pałacu od dnia przyjścia na świat króla Carlosa do dnia obecnego. Między nimi była również moja matka. Właśnie wówczas przeniesiono mnie do jednej z cel przeznaczonych specjalnie dla czarownic, które zagrażały królewskiej rodzinie. Uczyniono to ze względu na pokrewieństwo. Ponieważ moje występki były raczej drobne, a powiązania matki z dworem niezwykle bliskie i znaczące, mój przypadek potraktowano jako szczególny. Obecnie zajmuję celę pomiędzy tłumaczką i sekretarką królowej: powiększam szereg groźnych dam dworu, niebezpiecznie spiskujących karlic, praczek, których mydło przenosiło diabelską moc, pokojówek, z których piersi sączyły się uroki. Och, doprawdy, każda dziedzina związana z obsługą króla i królowej ma swą przedstawicielkę w tych ekskluzywnych kwaterach.

\* \* \*

Niewykluczone, że tamtej ostatniej nocy okaleczony, cichy koń inkwizytora rzeczywiście zatrzymał się na ulicy za oknem. Być może owinięte w szmaty koła zwolniły i niemal bezgłośnie stanęły na jedynej wybrukowanej uliczce mojego miasteczka, tej samej, przy której mieszkał mój nauczyciel. Być może tamtej nocy, kiedy wróciłam do niego wbrew wszelkim ostrzeżeniom i kiedy pozwoliliśmy, by świeczka płonęła o moment za długo... No właśnie, co ze świeczką? Nie istniało żadne prawo zabraniające palenia światła. Poza tym on studiował księgi całymi nocami. A jednak mogło się przecież zdarzyć, że ktoś mnie dostrzegł albo tylko usłyszał mój mało ortodoksyjny katechizm. Stał pod oknem, tak samo jak ja kiedyś stałam, czekając na odgłos pióra albo szelest odwracanej kartki.

Czy bałam się odkrycia naszej tajemnicy, gdy byłam z moim nauczycielem? Tak. Ale strach tylko mnie bardziej rozpałał.

\* \* \*

Po powrocie z przesłuchania odzyskuję przytomność, by stać się świadkiem poruszenia wśród strażników. Słyszę imię królowej i obrzydliwy śmiech. Coś się dzieje w świecie ponad moją głowę. Tylko co? Kucam przy kracie. Ktoś czegoś się dowiedział. Ktoś pragnął podzielić się wiadomościami.

Nie pozwala się nam tutaj rozmawiać. Mamy pozamykane usta, przynajmniej niektóre z



nas. Stalowe pręty, sięgające od szczęki do obojczyka, powstrzymują piękne kobiety przed otwieraniem ust. Inkwizytorom wydaje się, że dzięki temu nie możemy sobie przekazywać heretyckich myśli. Trudno napić się z zamkniętymi ustami - trzeba zanurzyć głowę w wiadrze i wciągać wodę. Kawalki chleba należy wpychać sobie do ust palcem, a gdy staną się wilgotne i miękną, wsysać je przez zęby, jeśli któraś jeszcze je ma. Fałszywie świadczącym i niepoprawnym bluźniercom obcięto języki, co naturalnie wyklucza ssanie i pojękiwanie. Mimo wszystko pogłoski się rozchodzą.

Wiadomości przekazujemy, wodząc palcem na tablicy z otwartej dłoni. Te z nas, które znają litery - a jak na czarownice więzione na najniższym poziomie katakumb tworzymy wcale wykształcone towarzystwo - pocieszają się bezgłośnie rozmową, posługując się palcami. Czasem pochwycenie drżącej dłoni wystarcza do przekazania pewnych wieści: pozdrowienia, pożegnania.

Kiedy strażnicy odchodzą, zabierając ze sobą jedyną lampę, ostrożny szept tych więźniarek, które są przytomne i świadome, powoli ustępuje szmerowi plotek i domysłów. Nie może być prawdą, jakoby Maria Luisa ośmielała się udawać następne poronienie. W tym gronie nie jest tajemnicą, że póki jej postępek nie został odkryty, królowa w ciągu ostatnich dwóch lat kilkakrotnie udawała, że jest w ciąży. Czy istnieje jakiś lepszy sposób stwarzania pozorów, że się wypełnia jedyny obowiązek przynależny jej pozycji? Niewykonalne zadanie żony króla, o którego impotencji nie wolno nawet wspomnieć? Królowa, która nie może donosić dziecka, znajduje się w znacznie bezpieczniejszej sytuacji niż królowa, która jest bezpłodna.

Udawane poronienie. Na coś takiego nie mogła się powążyć osoba tchórzliwa, inaczej nie umiem tego sobie wyobrazić. Bładym świtem, nim wstał pomocnik kucharza, by zagotować wodę, nim obudził młodą pomywaczkę (szarpiać ją za uszy, jeśli nie podnosiła się dość szybko, i napędzając jej takiego strachu, że wybiegała na zewnątrz i wybierała kurom jajka, zanim jeszcze roztarła piekące miejsce i zdążyła pomyśleć: Oj, ty podły bękarcie!) - tak jest, zanim ktokolwiek w ogóle się poruszył, jakiś tajemniczy sprzymierzeniec królowej przemycił świńską krew z kuchni do królewskiej komnaty. Lojalny, chociaż na pewno okropnie przestraszony współnik - ten sam, który w poprzednich miesiącach dyskretnie pomagał królowej pozbyć się świadectw comiesięcznej niedyspozycji, usuwał krwawe ślady jednego rodzaju i zarazem przygotowywał się do ujawnienia innych - już wcześniej przy kilku okazjach pomagał królowej plamić świńską krwią jej koszulę nocną, pościel, wstydlive części ciała, misę, podłogę przy łóżku. Przyjaciel zniknął, a królowa wołała swoje pokojówki. Krzyczała tak głośno, że natychmiast wzywano

lekarza. Królowa zanosila się od płaczu, szlochała; zła nowina wydostawała się na zewnątrz, a dzwony obwieszczały kolejną utratę spadkobiercy królestwa.

Zwilżam usta i opieram głowę o chłodną ścianę; sięgam ręką, by sprawdzić, ile włosów mi jeszcze zostało. Ostrzyżono mnie prawie przed tygodniem. Nieprzyjemna sprawa: dwa rozcięcia na karku i następne na skroni miały upewnić moich oprawców, że pod włosami nie znajdują się żadne diabelskie napisy. Można się jednak doszukać pewnych dobrych stron całej tej sytuacji. Chociaż z pewnością nie było to intencją moich prześladowców, ich rutynowe postępowanie przynosi osobliwą korzyść: podług długości odrostów mogę odmierzać upływ czasu. Na dodatek dla najbardziej dokuczliwego robactwa nie jestem obiektem szczególnie atrakcyjnym - właśnie z powodu ostrzyżonej głowy. Oczywiście jestem wdzięczna losowi za wszystko. Przebywam w miejscu, gdzie nie muszę wybierać i mogę się cieszyć ze wszystkiego. Cieszę się, że jestem drobna, ponieważ nie potrzebuję dużo jedzenia i kiedy siadam prosto, mam dość przestrzeni na wyciągnięcie nóg.

Ciemność również ma zalety. Nieprzenikniony, intensywny mrok jest najlepszym sprzymierzeńcem marzeń. Przecież mrok wcale nie oznacza pustki, o nie. Sprawdźcie to przy okazji. Zamknijcie oczy albo skryjcie się przed słońcem, a najlepiej znajdźcie miejsce pozbawione wszelkiego światła.

Wówczas mrok zaludni się w mig.

Królowa jest moją rówieśniczką, ma dokładnie tyle samo lat co ja: Maria Luisa, czyli Marie Louise de Bourbon, księżniczka rodem z Paryża, królowa Hiszpanii. Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, była niczym wizja z przeszłości, z czasów, gdy jeszcze wierzyliśmy w dostatek i powodzenie rodziny Luarca. Identycznie jak w moich marzeniach królowa miała na sobie suknię z najdelikatniejszego, przejrzystego jedwabiu - mnóstwo jedwabiu, jedwabne fale, jedwabne warstwy, jedwabne haleczki, pantalon, pończochy, pantofelki, wszystko, co mieściło się pod jedwabną spódnicą, obszerną niczym namiot poniżej wąskiej jak młode drzewko talii. Była wysoka, o całą głowę wyższa od króla Carlosa.

Stała w oddali, a mnie wydawało się, jakbym miała przed sobą rezultat pracy stu tysięcy jedwabników. Zobaczyłam liście wszystkich naszych drzewek drżących na wietrze; słyszałam odgłosy przeżuwania wydawane przez nasze gąsienice, odgłosy silne jak potężny sztorm. Tamtego lata nie spadła ani jedna kropla deszczu, ale przez kilka tygodni poprzedzających

uroczystości ślubne padało niemal bez przerwy, trwała jesienna ulewa, która zmyła kurz z naszego jedyne go szklanego okna.

Pierwsze wiadomości, które dotarły do nas z pałacu, dotyczyły właśnie Marii. *Francisco* - rozpoczynało się zdanie prawie na samym dole listu od mojej matki, która wtedy potrafiła już i czytać, i pisać - *książę Carlos jest zaręczony z małą dziewczynką, z prawdziwą francuską księżniczką. Ona jest bratanicą króla Ludwika. Nazywa się Maria i ma dokładnie tyle samo lat co ty, moja córko. Dokładnie. Urodziłyście się tego samego roku, tego samego miesiąca i tego samego dnia.*

Sami nie umieliśmy odczytać listów, które mama nam przysyłała - nie poznałam jeszcze mojego nauczyciela - musieliśmy więc prosić kogoś obcego, aby nam je przeczytał. Najczęściej właściciela gospody, który czytał, jękając się przy tym tak bardzo, że odgadywałam większość słów, zanim przeszły mu przez gardło. Czasem tego zadania podejmowała się żona szynkarza, ale ta czytała jeszcze wolniej.

*Pamiętasz może, co zwykł mawiać twój dziadek?* - tak rozpoczynał się inny list. - *Że jedynie kotu wolno patrzeć na królową. I oto stało się: ja jestem tutaj i opowiem ci o wszystkim, co zobaczę w pałacu.*

Zatem matka wypełniała mi głowę szczegółami o dworze, księciu Carlosie i jego matce. O karłach, strojach, kłótniach i zdradach. Sądziłam, że mama opisuje świat, którego sama na własne oczy nigdy nie ujrzę. Ale czas upływał, a los szykował nam swoje niespodzianki. Pewnego dnia znalazłam się w pobliżu księżniczki, o której pisała mi mama - kobiety odwiedzającej mnie wówczas w snach i marzeniach.

Przed dziesięciu laty miałam lat osiemnaście; przed dziesięciu laty ona miała lat osiemnaście; i przed dziesięciu laty Maria wyszła za mąż w Quintanapalli, w moim rodzinnym miasteczku.

Marie Louise de Bourbon. Czarownica. Ladaczniczka. Święta. Obca. Ta sama dziewczyna, o której powstał szyderczy wierszyk. Tłum powitał ją, wykrzykując przesiąkniętą złośliwością rymy, gdy pierwszy raz przybyła do Madrytu. Nadal je wykrzykuje, tyle że głośniej. Tak głośno, że kamienne mury naszego więzienia odbijają echem te drwiny. Tak głośno, że ostatnio królowa zaczęła jeździć powozem skulona, zatykając przy tym uszy.

*Parid, bella flor de lis*

*Que, en aflicción tan extrana,*

*Si paris, paris a España,*

*Si no paris, a Paris.*

Nowa królowa nie rozumiała słów, którymi posługiwał się tłum, gdy rankiem w dniu jej przybycia powóz toczył się wolno przez bramy pałacu. Nie mogła ich zrozumieć, ponieważ nie mówiła po hiszpańsku.

Pewien głupiec pokonał zaporę i uczeplił się powozu, który królowa dzieliła z tłumaczką, powozu jadącego za karetą Carlosa; królowi towarzyszył spowiednik. Ów mężczyzna przytrzymał się bocznej lampy i zajrzał przez szybę do środka.

- *Parid! Bella flor!* - zdążył syknąć, nim zabił go jeden z żołnierzy, a z jego ust zamiast następnego wersu popłynęła krew.

Maria potrząsnęła spoconą i zimną ręką tłumaczki.

- *Comment! Comment!* - rozkazała. - Co oni wykrzykują? Obca królowa ścisnęła palce dziewczyny, kalecząc je pierścieniami.

Tłumaczka najpierw się zawahała, następnie zaś wyjaśniła. *Parir* znaczy tyle, co rodzić. *Paris* to nie tylko nazwa pierwszego miasta Europy, rodzinnego miasta królowej, miasta jej szczęścia. To również druga osoba liczby pojedynczej od słowa *parir*. *Parid* to tryb rozkazujący: urodź.

Tłumaczka przygryzła wargi, łzy napłynęły jej do oczu. Jeszcze przed miesiącem wiodła spokojny żywot w klasztorze, nieświadoma, jakże błogi jest spokój przy przepisywaniu świętych manuskryptów. Nad jej czołem krótko przyszczyżone, brązowe włosy nadal jeszcze przylegały do głowy, ponieważ zbyt długo przyciskał je do niej czarny kornet.

*Parid*, piękna królowo. Daj nowe życie!

Męskiego potomka, sukcesora, oto czego żądał cały kraj. I żąda tego również teraz. Następcy tronu, zdrowego mężczyzny, który będzie miał dość inteligencji i woli, by zapanować nad ministrami, hidalgami, grandami i biskupami, dzień po dniu odbierającymi coraz więcej władzy spragnionemu narodzin syna królowi Carlosowi. Do dnia swego ślubu ów mężczyzna, będący niemal rówieśnikiem panny młodej, zdążył zaprzepaścić wiele z odziedziczonego bogactwa i osłabić wojsko. Z miesiąca na miesiąc tracił terytoria na rzecz Francji, Holandii, ustępował przed barbarzyńcami w koloniach. Aby ocalić Hiszpanię, następca Carlosa musiał pojawić się szybko i równie szybko przejąć władzę - nim skończyłby lat dwadzieścia, a choćby nawet dziesięć. Musiał być cudownym dzieckiem, kimś w rodzaju mesjasza.

Zatem od samego początku królowa Maria Luisa wiedziała, czego się od niej oczekuje.

Marię Luisę zobaczyłam o poranku w dniu jej ślubu. Nad jej koroną widziałam nasz uśpiony gaj nieudanych morwowych drzewek, sterczących uparcie na tle nieba. Patrzyłam na nią i przypominałam sobie sylwetkę matki, która stawała się coraz mniejsza i mniejsza, gdy oddalała się w kierunku powozu z królewskimi insygniami na drzwiczkach.

„Uciekaj” - szepnęłam. Stała przed biskupem, obok króla Carlosa. Po chwili miało być już za późno, miała wyjść za niego, za człowieka, który odebrał życie mojej matce. „Uciekaj do lasu, ukryj się tam pośród drzew! Przybędę i cię odnajdę” - obiecałam. „Przyniosę ci zwykły płaszcz z wełny. Wezmę rzeczy, które mogłyby cię zdradzić. Spalę tę jedwabną sukienkę”. Ale oczywiście Maria Luisa nie mogła mnie słyszeć. W takim stroju żadna kobieta nie uciekłaby daleko.

Na ślubnym kobiercu stawali: don Carlos Jose, principe de las Espanas - Carlos Segundo albo, jak go nazywano w próbie wyjaśnienia jego życiowych niepowodzeń, El Hechizado, czyli Zauroczony - i Marie Louise de Bourbon. Francuska księżniczka stawała się hiszpańską królową, a Marie Louise de Bourbon Marią Luisą. Ale zmienić się miało o wiele więcej niż tylko jej imię. Przemiana objawiła się przede wszystkim w podniesieniu wysokości kołnierzyka sukni o jakieś dziesięć cali, od piersi w stronę szyi, od tych gorących wzgórków, które pojawiły się tak niedawno, wyrosły ze staniczka niczym ciasto na pączki, słodkie i pachnące, a teraz zostały zduszone i wyglądały jak przaśny chleb pokutników. Została zmuszona do przyjęcia także innych zmian. Jedną z nich wiązała się z koniecznością poskromienia jej czarnych loków.

„Diabeł wczepia się w długie włosy kobiety” - oświadczyła matka Carlosa, Marianna. I postarała się, aby wszystkie spirale i loczki zostały usunięte.

Nigdy w życiu nikt nie próbował prostować jej włosów. Przeciwnie, codziennie przed udaniem się na spoczynek nakręcano je na sto papierowych zwitków, dlatego noc spędzona w łóżku była męczarnią znoszoną dla urody. A jakże, we Francji fryzura Marie Louise przypominała katarakty, płynącą wodę, kojarzyła się z pieśnią Owidiusza o Aretuzie, która zamieniła się w źródło, nim dopadł jej Alfejos. „Ciemne krople spadają deszczem z jej ciała” - powiedział wielki poeta. Och tak, Maria Luisa miała włosy jak żadna inna księżniczka. Na ślub przystrojono je złotymi wstążkami, perłami, girlandami i spinkami z szylkretu. Na ślub jej włosy zaczesano do tyłu tak mocno, że oczy królowej załśniły jak klejnoty.

Osiemnastoletnia Maria marzyła o Hiszpanii, marzyła o tym kraju od lat, podobnie jak ja

śniłam o Francji i o niej. Maria została narzeczoną Carlosa, kiedy miała pięć lat, a nasze gaśienice jeszcze żyły, pożerały morwowe liście i przędły. Pracowały dla księżniczek. Szykowały jedwab na stroje. Obszerne i wielowarstwowe suknie z jedwabiu gęsto poprzątanego brokatem i zdobionego szlachetnymi kamieniami. Ubrana w jedną z nich, kobieta musiała mieć i siłę, i wprawę, by się nie przewrócić.

Marie zostawiła w Paryżu matkę, ojca, brata i wyruszyła wraz z pokojówkami oraz sześcioma posłami, by rozpocząć nowe życie. Prawie całą porę roku trwała jej podróż z Francji do Kastylii. Trwała tak długo, ponieważ Marie się nie spieszyła. Dopóki pogoda była znośna, podróżowała na końskim grzbiecie, cwałując w pobliżu powozów z posłami i pannami służebnymi. Na końskim grzbiecie zataczała kręgi, znaczyła spirale, badała zagłębienia i stawy na płaskich terenach otaczających Paryż; meandrami posuwała się na południe, gdzie krajobraz przechodził w pagórkowate i górzyste winnice, gdzie wiatr potrząsał liśćmi winorośli i zamieniał Francję w rozkołysane, potężne, zielone morze. Marie Louise jechała w ten sposób, póki deszcz nie ustąpił mokremu śniegowi, póki dwa miesiące po opuszczeniu Paryża trzy powozy nie dotarły do granicy między Francją a Hiszpanią, granicy na niewielkiej rzece Bidassoa.

W maleńkim porcie rzeczonym miasteczka Orhy czekał na księżniczkę prom, płaska, niebieska łódź z nowym, czerwono - białym baldachimem. W każdym z czterech narożników łopotały flagi Francji i Hiszpanii. Jeden z trzydziestu siedmiu gapiów zebranych w porcie wskazał palcem na Marie Louise i powiedział do siedzącego na jego ramionach dziecka: „Spójrz! Teraz będziesz mógł opowiedzieć swoim wnukom, że widziałeś królową Hiszpanii”.

Prom poruszał się między francuskim a hiszpańskim brzegiem za pomocą lin nawijanych przez woły na ogromne szpule. Marie Louise, panny służebne i posłańcy wsiedli na pokład łodzi. Z przerażającym skrzypieniem mechanizmu prom zaczął pokonywać spieniony nurt rzeki. Fala była wysoka, wiatr ostry, a łódź stawiała linom silny opór. Kiedy dotarła mniej więcej do połowy drogi, jeden z wołów kopnął drugiego. Nastąpiła cała seria ryków zwierząt i krzyków nadzorca, który próbował rozdzielić i uspokoić rozwścieczone bestie. W trakcie tej walki drżały liny. Prom zatrzymał się pośrodku rzeki i unosił przez prawie godzinę na neutralnym terytorium wód granicznych. Radość, jaką księżniczka odczuła z powodu owej przypadkowej godziny zwłoki, była tak wielka, że pierwszy raz po opuszczeniu starego domu Marie zmuszona była przyznać przed sobą, że się boi. Cóż naprawdę wiedziała o Hiszpanii, o Carlosie? O wypełnianiu funkcji królowej? Na wodzie panował chłód, ale mimo wszystko strużka zimnego potu spływała ze

strachu po plecach francuskiej księżniczki.

Zbyt szybko rozplatano liny i zastąpiono zdenerwowane zwierzęta wypoczętymi. Łódź ruszyła w dalszą drogę, mechanizm wydawał pisk, przy którym żadna rozmowa nie była możliwa. Jedna z panien służebnych, która podczas podróży powozem narzekała bez przerwy na ból głowy, na łodzi poczuła się jeszcze gorzej. Zwymiotowała za drewnianą barierkę całą zawartość żołądka, aż w końcu zaczęła zwracać jedynie srebrzysty śluz, który opadł na wodę porwany wiatrem. Kiedy wreszcie prom dotarł do hiszpańskiego brzegu, dziewczyna; wysiadła na ląd przed Marią. Zbiegła z łodzi, gwałcąc skandalicznie zasady etykiety i międzypaństwowe ustalenia, postanowiono bowiem i zapisano w kontrakcie, że francuska świta będzie towarzyszyła swej księżniczce jedynie do granicy: nie miała prawa stanąć na hiszpańskiej ziemi.

- Natychmiast wracaj na pokład! - niemal unisono zawołali posłańcy, a biedną szlochającą dziewczynę wciągnięto z powrotem na prom, gdzie upadła na kolana i prawie natychmiast znowu dostała torsji.

- Mamo, mamusiu! - wołała żałośnie. Maria również zaczęła płakać. Nie płakała z powodu stanu dziewczyny, wzruszyło ją rozpaczliwe wzywanie nieobecnej matki.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa - jeszcze w Paryżu powiedziała Marii matka, a łzy zmywały puder z jej policzków - już nigdy na tym świecie nie będziemy mogły się uściskać. Potem padły sobie w objęcia, przytuliły się do siebie mocno, tak mocno, że pękł jeden z fiszbinowych prętów, i nagle zaczęły się śmiać.

- Twój czy mój? - zapytała Maria, rozcierając oczy, śmiejąc się i jednocześnie płacząc.

- Zapewne mój - odrzekła jej matka. - Oj, rzeczywiście mój! - Pokazała na zdeformowany bok swojej sukni.

Na hiszpańskim brzegu czekał francuski ambasador, który przybył z Madrytu. Pocałował najpierw jedną, potem drugą dłoń księżniczki - obie ukryte w rękawiczkach - gdy tymczasem pozostali posłowie przyglądali się z łodzi. Woda zalewała pokład, niszczyła skórzane buty, pryskała na ciągle wymiotującą dziewczynę. Znowu zaskrzypiały korby, łódź zaczęła się cofać, cichł szloch.

Między hiszpańskimi wysłańcami znajdowała się Marianna, matka króla Carlosa. Wyszła Marii naprzeciw.

- Oto jest twoja tłumaczka - powiedziała po hiszpańsku. - Dobra i skromna dziewczyna. Bardzo dobrze zna twój język.

Królowa matka pchnęła lekko do przodu młodą dziewczynę, która dygnęła i przetłumaczyła dosłownie słowa Marianny: „Oto jest twoja tłumaczka...”

- Czyżbyś nie miała imienia? - zapytała księżniczka.

- Esperte. Nazywam się Esperte.

Orszak wyruszył na południe. Dróg na północy Hiszpanii nie pokonałyby koła żadnego powozu, okulałyby każdy koń. Przyszła królowa podróżowała więc wraz z tłumaczką w lektyce, niesionej na ramionach i nogach mężczyzn. Na silnych nogach, na nogach szlacheckich. Wszystkie kolana i ścięgna, golenie i paznokcie u nóg wywodziły się wprost od króla Ferdynanda. Nogi mniej godne byłyby afromem.

Tego rodzaju transport zdawał się przenosić Marię o kilka stuleci w przeszłość, coraz dalej od Paryża w czasie i przestrzeni, mimo to z początku była zadowolona. Prawem młodości ekscytował ją romantyczny charakter podróży. Niewygody jej nie doskwierały, póki wiązały się z poznawaniem rzeczy nowych. Poza tym coraz bardziej niepokoiło ją nieuchronne zbliżanie się do miejsca przeznaczenia. Nieraz słyszała pogłoski, że król Hiszpanii jest osobą dość szczególną. Oczywiście Maria wiedziała, że kiedyś nie był w pełni sprawny. Jednakże teraz wyobrażała go sobie jako mężczyznę cieszącego się dobrym zdrowiem i zupełnie wyleczonego z dolegliwości. Wysokiego i jeżeli nie przystojnego, to przynajmniej pełnego życia. Wierzyła, że król Hiszpanii bierze udział w grach sprawnościowych, którym oddawali się młodzi mężczyźni w Paryżu. Miała nadzieję, że nauczy ją czegoś nowego w tej dziedzinie.

- Widziałaś go? - zapytała tłumaczkę.

- Tylko z daleka.

- Jeździ konno?

- Chyba nie.

- Aha. A czy może gra w krykieta?

- Krykieta?

- Tak, za pomocą deski i... Nie gra się u was w krykieta?

Tłumaczka potrząsnęła głową.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Kiedy lektyka stanęła na zmianę tragarzy, Rebenac, francuski ambasador, stanął przy zasłonce i odchrząknął.

- Śmiem zasugerować, pani, byś wzięła pierwszą lekcję hiszpańskiego - powiedział, ale



zaledwie oddalił się od lektyki, Maria zaczęła wypytywać tłumaczkę o więcej szczegółów i wyciągać od niej plotki.

- Słyszałam, że jego wysokość sypia w łożu z relikwii - szepnęła Esperte. - Podobno kolumny są zrobione z kości udowych, a zamiast gałek są czaszki. Mówią na dworze, że baldachim wykonano ze skóry świętego Epipodiusa, którego obdarto z niej, gdy nie chciały go pożreć lwy. Mówiono mi, że nie ma zębów i że nie jada tych rzeczy, które zazwyczaj jadają królowie. Prawdopodobnie dręczą go koszmary. Lunatykuje. Nadal pije ludzkie mleko.

- *Assez* - powiedziała Maria. Dosyć. Gestem nakazała Esperte zamilknąć. Jestem w trumnie, pomyślała nagle księżniczka o lektyce niesionej wysoko przez sześciu mężczyzn. Ścianki zakołysały się, jakby miały ją zgnieść.

Może rzeczywiście już była martwa. Może ucierpiała we Francji na skutek wypadku i teraz znajdowała się w drodze do piekła. Kamienna twarz hiszpańskiego marszałka dworu przybrała wyraz, który byłby najbardziej stosowny na długą uroczystość pogrzebową. Nie minęła godzina od przekroczenia granicy, a już nakazał Esperte poinstruować Marię, iż nie wolno jej pokazywać się podczas jazdy konnej oraz jedzenia ani wychylać się z lektyki. W tych rzadkich chwilach, kiedy ktoś mógł ją zobaczyć, jej twarz nie powinna zdradzać żadnych emocji.

*Defense de manger. Defense de sourire.* Zatem równie dobrze mogła już nie żyć i leżeć w grobie. Nikt z jej przyszłych gości nie miał prawa liczyć z jej strony na nic więcej poza chłodnym, sztucznym uśmiechem, ponieważ Hiszpania nie tolerowała żadnych oznak życia u swojej królowej.

Maria Luisa, zmęczona pierwszymi przeżyciami, zwłaszcza paniką, przespała większą część drogi, podobnie jak jej tłumaczka. Obie dziewczęta znalazły się nagle w nowym świecie, rozpoczynały nowe życie. Tak bardzo to przeżywały, że nawet sen przynosił ulgę. Nie mogły się powstrzymać od ziewania, zasypiały w połowie zdania. Ich głowy kołysały się w rytm ruchów lektyki, czasem zderzały się, gdy tragarze potykali się przypadkiem na nierównościach terenu. Esperte śniła o klasztornej bibliotece. Jej palce były złączone, jakby trzymała pióro. Maria widziała we śnie bale i upojne tańce, dlatego jej nogi bezwiednie poruszały się pod spódnicą.

- Wyjrzyj za zasłonkę - powiedziała księżniczka, rozcierając bok głowy, po bolesnym zderzeniu z głową Esperte. - Powiedz, co widzisz?

Żółtą trawę, szare skały, niebieskie niebo, szare niebo. Powykrzywiane drzewa oliwne o liściach tak ciemnych, że na tle wyschniętej trawy wyglądają prawie jak czarne. Miasteczka

niczym brudne paciorki nanizane na poskręcaną, srebrną nić rzeki. Ciągące się w nieskończoność kamienne mury poprzerywane rumowiskami. Owce pasące się pośród otoczków. Wiejskie chaty i kilku chłopów zdumionych na widok lektyki i całej świty. Prostyh mieszkańców prowincji ani słowem nie uprzedzono o wydarzeniach dotyczących króla i królowej. Oni nawet nie wiedzieli, że są Hiszpanami. Składali hołd żywiłom, Świętej Dziewicy i już chyba nikomu więcej.

Czasem zasłonka kołysała się i Maria natrafiła wzrokiem na buty tragarzy, widziała kurz unoszący się spod ich stóp. Pył wnikał do lektyki i osiadał na pasażerkach. Brud zbierał się pod paznokciami i w zagłębieniu między piersiami. Księżniczka wydmuchiwała nos, czego również w żadnym razie nie wolno jej było robić publicznie. Starła się więc dokładnie oczyścić nos, zanim pokaże się na zewnątrz. Śluz zmieszany z kurzem na białej chusteczce wydawał się czarny, był jak pierwsza zapowiedź śmierci.

Przez całą drogę rozpacz ścisła ją w gardle. Łzy cisnęły się jej do oczu. Powieki piekły ją od piasku, który przedostawał się przez zasłony lektyki. Jednak Maria nie płakała, ponieważ kiedy po raz pierwszy i zarazem ostatni zaczęła płakać - niefortunnie podczas ceremonialnego obiadu - marszałek dworu pochylił się, spojrział na nią przez soczewkę, powiększającą groteskowo oko, i powiedział, co Esperte natychmiast przetłumaczyła:

- Nie płacz, pani. Płacz może ci przynieść tylko nieszczęście. Jeżeli będziesz płakała bez powodu, Bóg sprawi, że przyczyna sama się znajdzie.

- Szs! - powiedziała matka Carlosa. - Nie strasz dziecka. I tak jest dość wystraszona. - Królowa matka spojrziała na księżniczkę z dezaprobatą, mimo że uspokajająco poklepała ją po ręce. - Nie martw się - rzekła. - Już niedługo połączysz się z Carlosem. - Esperte przetłumaczyła to i dodała, że król jest w Toledo, gdzie uczestniczy w tradycyjnych przedślubnych walkach byków.

Maria pohamowała się i nie pozwoliła łzom spłynąć po policzkach. Być może nie zapanowała nad sobą dość szybko, być może Pan Bóg zdążył coś zauważyć. Być może On to sprawił, że wiatr wiał bezlitośnie przez wzgórza Kantabrii i równiny Kastylii, że wzdychał i zawodził, po czym znów wzdychał. Być może pewnego razu wiatr zapłakał bez przyczyny i Bóg unieszczęśliwił go na zawsze.

Za zasłonami lektyki tragarze dyszelili, sapali, potykali się, a czasem nawet padali z wyczerpania. Kiedy wreszcie zbliżali się do miejsca spotkania króla z królową, dworzanie

przystąpili do woskowania wąsów, damy dworu chwyciły za zwierciadła i pesety. Ponieważ uwaga wszystkich była zaprzątnięta czymś innym, Maria skorzystała z okazji i wychyliła głowę zza zasłonki akurat w chwili, gdy lektyka przesuwiała się wzdłuż leniwej rzeki Arlanzon. Zieloną wodę zarastała roślinność. Na jej oleistej powierzchni trawy falowały niczym włosy nieboszczyka.

Uroczystości ślubne miały się odbyć w Burgos, w tamtejszej katedrze. Gdzież bowiem, jeśli nie w największym kościele w całym królestwie, w którego cieniu rozciąga się nasze miasteczko Quintanapalla? Na kilka dni przed uroczystością miejscowy biskup o mały włos nie zszedł z tego świata; dwór nie miał dosyć pieniędzy, aby zakupić opał do ogrzania potężnej kamiennej budowli; młody król niecierpliwił się w oczekiwaniu na pannę młodą; Maria cierpiała na jakiś tajemniczy paraliż, usztywnienie, które całkowicie unieruchomiło jej kark i wprawiło w zakłopotanie towarzyszącego jej medyka. Koniec końców stwierdził on, że jest skonfundowany, ponieważ nie byłoby zbyt dyplomatycznie twierdzić na głos, że księżniczka zeszywniała ze strachu.

Umierający biskup, brak pieniędzy, zakochany król, odrętwiała księżniczka. Wszystko to przedstawiono jako wyjaśnienie niesłychanego wydarzenia, jakim stał się ślub pary królewskiej w Quintanapalli. Ludzie przez długie lata mieli o tym rozprawiać i powtarzać właśnie takie wyjaśnienia. Ale żadna z tych rzeczy nie była prawdziwą przyczyną mających nastąpić zdarzeń.

Carlos oraz jego matka obawiali się diabelskich uroków, magicznej siły mogącej zniszczyć plany Habsburgów dotyczące splotenia księcia. Tak bardzo pragnęli, aby Maria jak najszybciej stała się brzemienna, że obawiali się uczynić królewskie zaślubiny widowiskiem publicznym. W tłumie z łatwością mogłaby się ukryć niejedna czarownica; czarownice, jak powszechnie wiadomo, w jednym tylko celu uczestniczą w obrzędach zaślubin: pragną rzucić zły czar na intymne części ciała narzeczonych. Ich ohydne palce o czerwonych kostkach, schowane pod jakimś szalem albo ukryte w koszyku, zawiązywały supły na baranich jelitach, końskim włosie, na nici wełnianej, lnianej albo ze śliskiego jedwabiu. Węzły, jeśli powstały podczas składania małżeńskiej przysięgi, zespajały ujście łona, zamykały je tak mocno, jak rzemienie zamykają sakiewkę. Potem nieszczęsna para już nigdy nie mogła mieć potomstwa.

Oczywiście mieszkańcy miasteczka w ogóle nie wiedzieli o udzielanym w niezwykłym pośpiechu sakramencie. Wieść o nim zachęciłaby do przybycia miejscowe czarownice. Ostatecznie ceremonia miała się odbyć po kryjomu w hacjendzie służalczego, pyszałkowego,

wymuskanego hidalga, Santiago, właściciela ziemskich włości. Ten zaszczyt tylko pogłębił jego próżność. Dom owego hidalga był bardzo wygodny, ładnie zaprojektowany i porządnie zbudowany, w każdym razie lepiej niż większość budynków w okolicy. Był jednak z drewna, nie z kamieni. Spłonął po przybyciu wszystkich uczestników uroczystości. Jedna iskra wyskoczyła z kadzielnicy na zasłonę i zamiast wypełnić dom pyszałka zapachem świętości, uświęciła go całkowicie. Bez wątplenia nie była to zwykła świecka pożoga. Ogień w jednej chwili pojawił się wszędzie. Języki ognia lizały kaftany i suknie, opalały przyozdobione piórami kapelusze, trawiły jedwabne peleryny, dywany i krzesła. Zebrane towarzystwo musiało wybiec na zewnątrz i pokazać się miejskiej gawiedzi. Oczywiście zgromadziliśmy się licznie, tworząc ożywione kręgi. Ze strachem snuliśmy przypuszczenia, co może oznaczać tak wiele czarnych pojazdów z królewskimi insygniami.

- Na pewno palą tam jakąś czarownicę! - krzyknął ktoś, kiedy dym zaczął się wydobywać nie tylko przez komin, lecz buchnął również przez prowadzące na zewnątrz drzwi. Nie tylko królewska rodzina obawiała się czarów.

- Dziesięć czarownic!

- Pięćdziesiąt!

Zgodziwszy się, że w owym jakże dramatycznym obrzędzie ginie pięćdziesiąt czarownic, przypadkowa publiczność odczuła głębokie rozczarowanie. Także moja siostra Dolores, dla której woń palonej czarownicy jest najbardziej ekscytującym i najmiłszym z zapachów.

Popołudniowe niebo było jasne. Chmury szybko przepływały pod słońcem. Cienie weselnym gości pokazywały się na tle ściany albo parkanu, później zaś równie szybko znikwały niczym upiorne zgromadzenie świadków, psotne duchy, które przez króciutką chwilę zdradzają swoją obecność, by rozpląnąć się w miejscu, gdzie się przed momentem ukazały.

Wśród gapiów byłem ja, Francisca de Luarca, ubrana w filc, len, wełnę i drewniaki - bez śladu jedwabiu. Patrzyłam na ślub mojego króla i księżniczki rodem z Francji.

Stałam sama, bez przyjaciół i znajomych. Miałam osiemnaście lat. Zdążyłam już zostać oskarżona o uprawianie czarnej magii, przesłuchana i ostrzeżona przez Święte Oficjum (choć nikt nie łączył moich występków z moją matką ani też nie stawiał jej jeszcze żadnych zarzutów). Byłam młoda i znana. Nosiałam *sanbenito*, luźną, sięgającą kolan szatę, która przykrywała ubranie i z przodu miała wyszyty szkarłatną nitką krzyż, pióro i zwój pergaminu, co wskazywało na grzeszne zamiłowanie do pism. Obok znajdował się jeszcze inny wizerunek: wąż wypinający

piersi, symbol lubieżności. Z drugiej strony chałatu, którego nie wolno mi było ściągać nawet do snu, diabeł trzymał na widłach małą kobietę i właśnie wrzucał ją w płomienie. Nawet ci, którzy nie potrafili czytać, mogli zrozumieć przesłanie: oto jest Francisca, podejrzana o szerzenie herezji i poddana świętej kwarantannie. Mimo wszystko byłam wówczas wolna. Czułam na twarzy powiew wiatru. Nie zaliczałam się do ludzi szczęśliwych tylko dlatego, że nie wiedziałam jeszcze, jak bardzo można być nieszczęśliwym.

W dniu swojego ślubu Maria Luisa miała na sobie suknię, gorset, mnóstwo wstążek i szarf, buciki, woalkę. Tak samo dokładnie ukryła się pod maską rozpaczony jak pod jedwabiem i biżuterią. A strój utkany z rozpaczony ciążył jej nie mniej niż ślubna suknia.

Jego wysokość król Carlos stał przy boku Marii Luisy i trzymał jej dłoń w koronkowej rękawiczce. Za nimi na wzgórzu rosło czternaście rzędów morwowych drzewek, po dwadzieścia drzewek w każdym; żółte liście lśniły jasnym światłem, odbijając promienie jesiennego słońca. Drzewka, które tata posadził, rozwijały się bez przeszkód. Wyrosły na piękne, naturalnie symetryczne drzewka. Bezużyteczne liście opadały na czarną ziemię niczym zmarnowane monety, jedyne nasze bogactwo. Królowa Hiszpanii nosiła jedwab, ale nie był to nasz jedwab.

Była młoda, miała tyle lat co ja. Chociaż dobrze pamiętałam treść listów mojej matki, wszystkie zawarte w nich słowa, w chwili gdy podczas ceremonii odczytano datę urodzin Marii - czwarty lutego 1662 roku - wzdrygnęłam się. Dokładnie tego samego dnia przed osiemnastu laty przyszły na świat dwie dziewczynki: jedna we Francji, w zamku położonym niedaleko Paryża, a druga w Hiszpanii, w skromnym domku hodowcy jedwabników w miasteczku Quintanapalla. Obie zdrowo przeżyłyśmy narodziny i przeszłyśmy zwykłe dziecięce choroby. Dojrzałyśmy, w stosownym czasie cierpiąc na anemię, powszechną dolegliwość dziewczyc.

Panowała opinia, że Maria jest najpiękniejszą księżniczką w Europie. Miała melancholijne, rozmarzone brązowe oczy, długi nos i usta w kształcie łuku Kupida, białą skórę, może nieco ziemistą albo po prostu bladą ze strachu; z każdym oddechem, z każdą chwilą od momentu, gdy zaręczyła się i na mocy kontraktu wyruszyła do Hiszpanii, Marie Louise, czyli Maria Luisa, żegnała się z życiem.

Noc poprzedzającą zaślubiny księżniczka spędziła na kolanach, powtarzając słowo, o którym miała na zawsze zapomnieć. *Maman*, modliła się bez ustanku, nad Boga przedkładając istotę, którą kochała najbardziej. *Maman. Maman. Je t'en prie*. Błagam cię.

- Już czas - powiedziała jedna z dam do towarzystwa i wyciągnęła rękę ku Marii. Mówiła,

a Esperte tłumaczyła:

- Matka pani jest daleko, nie usłyszy. Pora już wstać.

Ujrzałam ją na dziedzińcu przed domem Santiaga. Ścisnęłam w dłoni lusterko, małe, okrągłe zwierciadełko, które zwykłam nosić przy sobie i przesłałam w jej kierunku odbity promień słoneczny. Trafiłam w twarz. Co zobaczyła? Zapewne nic. Nic poza błyskiem światła grającym na woalce. Odwróciła twarz w moją stronę. Na krótko pokonała swój rzekomy paraliż. Zadrzałam. Jej woalka skojarzyła mi się z całunem mojej matki.

- Ciebie również zabiją - szepnęłam i szybko przysłoniłam usta dłonią. Nie chciałam przekląć Marii. - Ale może do tego nie dojdzie - skłamałam.

Przed uświęcającym pocałunkiem Maria, skryta za woalką, przeżywała chwilę prywatności, jedną z nielicznych w swoim życiu. Oczywiście rozmyślała o nowym domu. Przypomniała sobie zapach ogrodów Paryża. Podczas ślubu jej ręce były puste. Czyżby w całej Hiszpanii w ogóle nie było kwiatów? Nawet jednego, choćby tylko dla panny młodej? - rozmyślała.

Brakowało jej kwiatów - miała za nimi tęsknić przez dziesięć następnych lat - ponieważ w Kastylii było ich niewiele. Tak samo brakowało jej pięknych stawów. Gondoli wypełnionych do granic możliwości minstrelami; łodzie często tonęły, a muzykująca załoga musiała zmierzać w kierunku brzegu z uniesionymi nad głową skrzypcami, fletami, lutniami, cytrami, obojami, waltorniami i klarnetami. Uczt o północy: ostryg, lodów, ciast. Dziecinnych, frywolnych gier, w których uczestniczyli wszyscy, także wdowcy i wdowy - zwłaszcza one! - ściśnięte gorsetami, czerwone, z trudem chwytające powietrze, dodające ukradkiem kropki na dominach, aby tym pewniej zdobyć pocałunek. Oczywiście tańców, tańców, podczas których stopy pokrywały się pęcherzami. I jeszcze gazet przemycanych przez pokojówki i czytanych pod kołdrą, co często kończyło się podpaleniem narzuty. Marii brakowało wszystkiego, lecz najbardziej matki i kwiatów.

Rokrocznie, jeśli w Niderlandach akurat nie toczyła się wojna, Ludwik XIV sprowadzał cztery miliony cebulek tulipanów. Holenderskich tulipanów, wonnych żonkili i narcyzów. Małe kwiaty z tysięcy grusz ścieliły się na łąkach niczym ogromny, gruby dywan. Delikatne płatki przywierały do butów, oklejały piłkę i brudziły rakiety. Gra w krykieta stawała się na jakiś czas niemożliwa.

Zanim dojrzały owoce grusz, lato przybywało wraz z zapachem kapryfolium. Intensywna,

słodkawa woń przesycala powietrze wokół pałacu i okolicznych pól. Nawet pracowite pszczoły rozleniwiały się w tym gęstym powietrzu. Przylatywały z łąk i objadały się nektarem z królewskich kwiatów, póki tylne nóżki nie zginęły pod pękatymi żółtymi brzuskami, a ich lot nie przekształcił się w niezgrabne, pijackie opadanie.

Czy to możliwe, że minęło już ostatnie lato, kiedy Maria była jeszcze Marie, śmiała się i bawiła z innymi dziewczętami? Biegała długimi alejkami wysadzonymi klonami, w letnie popołudnia chowała się pod baldachimem z klonowych liści w ich tajemniczym, głębokim cieniu. Biegała po trawie, przewracała się, niszcząc jedwabne sukienki, plamiąc je już na zawsze. Pracunki boczyły się i narzekały, krawcowe miały pełne ręce roboty. Ciągłe były potrzebne nowe ubrania na nowe letnie dni, trwonione na zabawach. Maria zaczęła szlochać pod woalką. Sens ceremonii zaczął do niej docierać tak wyraziście jak poczucie umykającego czasu. Obiecująca przyszłość przemieniła się nagle w tęsknotę za tym, co bezpowrotnie minęło. Nieoczekiwanie uświadomiła sobie prawdę, znaną zwykle starszym kobietom: że nie w terażniejszości znajduje się przyjemność. Że epizody życia są jak dwa stosy monet: jeden to monety wydane, drugi - to kapitał. Poza tym nie istnieje żadna inna waluta.

W Paryżu aromat kwiatów stawał się silniejszy i bardziej intensywny; wprawiał w oszołomienie, aż całe królestwo zdawało się kołysać. I w apogeum tej orgii przybyło z Hiszpanii dziesięciu posłańców. Nadszedł czas sfinalizowania kontraktu zawartego przed laty. W zamian za pewne polityczne ustępstwa, sprowadzające się do korzystnego uregulowania granic czy też utraty terytorium, Hiszpania miała zyskać gotową do zamążpójścia, płodną księżniczkę: dziewczynę wprawdzie kosztowną, ale której posag złożony z klejnotów i jedwabiu był niczym wobec ogromu nadziei, wiązanych z bogactwem, jakie przynieść miało jej ciało. Posłańcy z Hiszpanii przywieźli ze sobą medyka, który zbadał te części ciała księżniczki, które większość ludzi zwie sekretnymi, ale które już niedługo miały przestać być sekretne. Lekarz musiał upewnić się, że Maria jest zdolna do poczęcia i rodzenia dzieci. Posłowie przez tydzień każdego ranka spotykali się z królem Ludwikiem. Popołudniami zaś, prywatnie, starali się sprawdzać postępy w rozmowach. Spacerowali w swych czarnych spodniach po ogrodach, obserwowali przechadzki kobiet wokół zwierciadlanych stawów. Przyglądali się karpom, które przecinały powierzchnię wody i poruszeniami chciwych pyszczków wywoływały długotrwałe serie kręgów. Przyglądali się pająkom wodnym, które od czasu do czasu marszczyły skrzące się zwierciadła. Francuskie damy również spoglądały na stawy. Widziały w nich odbicia swych doskonale uróżowionych

policzków na tle czystego błękitu nieba. Damy, również matka księżniczki Marie, grały pod drzewami w karty, jadły racuchy i kiedy już nie mogły myśleć o niczym, tylko o odpoczynku, wracały do swoich komnat i przesypiały resztę popołudnia, aby wieczorem, po zapadnięciu zmroku, w porze tańców i gier, mieć siły i wyglądać świeżo. Posłowie z Hiszpanii spacerowali w skwarze, póki nie opadli z sił. Udawali się na spoczynek w chwili, gdy inni akurat wstawali. Nie uczestniczyli w nocnych zabawach, których nieodłącznymi elementami były wywrotki gondoli, śmiechy, tańce i inne radosne figle. Ale i tak nie przypadłyby im one do gustu. Pod koniec tygodnia wizyta dobiegła końca ku zadowoleniu obu stron, francuskiej i hiszpańskiej. Posłowie zabrali ze sobą najnowszy portret Marie Louise oraz pisemną obietnicę, że księżniczka wyruszy ich śladem zaraz po przygotowaniu stosownej wyprawy.

Co w starym życiu mogło jej pomóc przygotować się do nowego? Wszyscy przybysze z Madrytu nosili zdobione kamieniami, olbrzymie okulary. W ten sposób przydawali sobie raczej dostojeństwa niż poprawiali wzrok. Księżniczka uświadomiła to sobie, gdy pewnego razu podczas bankietu przymierzyła okulary pozostawione przez kogoś na stole i stwierdziła, że soczewki zrobione są ze zwykłego szkła. Hiszpańskie damy nosiły kolczyki sięgające ramion, małe zegary kołyszące się na końcach złotych łańcuszków. Nie sposób było dostrzec, która jest na nich godzina. W Paryżu przez ostatni sezon nosiło się buty na wysokich obcasach. Tymczasem w Hiszpanii szlachetnie urodzeni potraktowali nową modę jako okazję do dosłownej manifestacji wyższości. Dlatego kobiety z arystokratycznych rodów chodziły prawie na szczytach - im wyższą zajmowały pozycję w arystokratycznej hierarchii, tym z większej wysokości spoglądały. Kiedy dama do towarzystwa przyniosła Marii jej ślubne buciki, księżniczka padła na łóżko i przysłoniła dłonią usta.

- Wielkie nieba, a to co takiego?! - zapytała.

Tak oto Maria stanęła nad biskupem w ślubnej sukni (o wadze niemałego kamienia), czternastu haleczkach oraz drewniano - stalowej konstrukcji, utrzymującej wieżę z materiału (kolejne dwa spore kamienie). Kapłanowi aż coś chrupnęło w karku, gdy podniósł głowę, by spojrzeć na twarz najbardziej nieskorej do działania damy z najwyższych sfer społecznych Hiszpanii.

Księżniczka była przeświadczona, że tylko kunsztowna konstrukcja stroju chroni ją przed utratą równowagi, zmuszając do trzymania się prosto. Kiedy wreszcie stanęła pewnie na swoich szczytach tuż przy Carlosie (który sięgał jej teraz zaledwie do ramion), uświadomiła sobie, że



może się nieco odprężyć, wbita w darń niczym zdobiony klejnotami parasol. Być może to właśnie stanowiło klucz do podolania publicznym funkcjom, wynikającym z nowej pozycji: zawsze znaleźć odpowiednio miękki grunt.

Na biesiadnym stole pod purpurowym baldachimem ustawiono dwanaście pieczonych pawi. Ich opierzone szyje z wdziękiem sterczały z przeznaczonego do zjedzenia korpusu; wspaniałe ogony, przyczepione do kuprów, jeszcze dymiły po wyjęciu z pieca. Wyglądały jak rząd gargantuicznych wachlarzy, kołyszących się na wietrze. Przeniesione z hacjendy potrawy z całą pewnością szybko stygły, a woń spalonych draperii - ogień opanowano dzięki wodzie zachowanej w beczkach po ostatniej burzy - unosiła się powoli w kierunku wzgórza ku zgromadzonym tam chłopom, tłumiąc nieco ich apetyt, pobudzony widokiem tak wielu smakołyków.

Gdy słudzy pakowali resztki po zdumiewającej fiescie (której widok wraz z samą uroczystością ślubną był tak nieoczekiwany, że każdy naoczny świadek z pewnością miał wątpliwości co do stanu swoich zmysłów), gdy ostatnia kareta zniknęła z pola widzenia, miejska gawiedz z Quintanapalli zbiegła ze wzgórza i przeszukała podwórzec w poszukiwaniu zapomnianych okruchów. Chłopi zabrali do domów fragmenty pawich piór na pamiątkę wydarzenia, na dowód zadziwiających odwiedzin, cudów, o których mieli w przyszłości opowiadać swoim dzieciom i wnukom. Owe pióra, które uświetniały tę jakże podniosłą uroczystość, miały ich zdaniem okazać się potężnymi amuletami, zdolnymi odeprzeć moc spojrzeń szatana. Istotnie, tego rodzaju pióra same przypominały oczy, a każde z nich było jak urzekające oko kurtyzany.

Nie udało mi się zdobyć ani jednego. Dobrze rozumiałam, że kobieta w moim położeniu - kobieta napiętnowana przez Święte Oficjum - nie miała prawa skorzystać z takiej gratki; nie miałam ochoty dostać kamieniem w twarz. Mimo wszystko w gasnącym świetle tamtego przedziwnego dnia, kiedy wreszcie tłum się rozproszył, przeszłam po ubitej ziemi, na której wcześniej rozstawiono stoły dla nowej królowej oraz zaproszonych gości. Niczym niewierny Tomasz włożyłam palec w otwór, dziurę w ziemi, ślad po jednym z wysokich koturnów panny młodej. Rzeczywiście istniał dowód, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

Zerwał się wiatr, uderzył w drzewa na wzgórzu i zdmuchnął ostatnie żółte liście. Spadały dookoła mnie. Były jak złoto na drzewczkach królewskich karet. Jeden z liści złapałam w powietrzu i zacisnęłam mocno w dłoni.

\* \* \*

Królowa Hiszpanii widzi żółć. Opuszkami palców uciska przymknięte oczy i widzi żółte kręgi, które opadają jak liście. Cała komnata tonie w promieniach słońca. Maria nie może już dłużej unikać spotkania z rzeczywistością. Gdzie jest ta karta, na której zapisane są losy wszystkich ludzi? - zastanawia się. Po chwili przez jej umysł przepływa kolejna myśl: Mój Boże, pora jeszcze zbyt wczesna, aby zaprzętać sobie tym głowę.

Jak na moment tuż po przebudzeniu się ze snu, je stanowczo za dużo. Przed opuszczeniem łóżka wypija filiżankę gorącej czekolady. Potem przy stole na parterze posiła się pieczywem. Pulchnymi racuchami z pęcherzykami powietrza uwieczonymi w skórce. Słodkimi ciasteczkami świętej Agaty, małymi dyskami z rodzynką pośrodku, sklejonymi parami miodem i melasą, ciasteczkami przywodzącymi na myśl obcięte i podane na talerzykach piersi męczennicy. Z posagu Marii niewiele już zostało. Królestwo jest zatrwająco ubogie. Nieczęsto podaje się wyszukane potrawy, a właściwie nie podaje się ich wcale. Nie ma bażantów, nie ma ryb parujących na podgrzewanych, srebrnych talerzach. Brakuje węgorki, dziczyzny, baraniny. Nie ma daktyli ani innych sprowadzanych z daleka specjalów. Są tylko jajka, a prócz nich dania przyrządzone z jaj i mąki. Wreszcie kończą się rodzynki i słodkie piersi Agaty tracą brodawki.

Maria zostawia Carlosa przy stole. Król je tak powoli, że trzeba czekać wieki, nim skończy. Nie powstrzymuje jej obyczaj nakazujący pozostać przy nim, nawet gdyby śniadanie miało się przeciągnąć do obiadu; tak przynajmniej szepczą za jej plecami dworzanie. Od dnia ślubu powinna siedzieć i cieszyć się, że zajmuje miejsce obok niego, patrzeć, jak jego miękkie usta sięgają brzegu kielicha i drżące palce unoszą naczynie.

Monarcha odżywia się jak dziecko. Chlebem rozmoczonym w mleku, pokarmem chorych, którego nie musi nawet przeżuwać swymi zębami o zgryzie tak nierównym, że wargi wcale mu się nie stykają. W dodatku wcale nie zwyczajnym chlebem, ale eucharystycznym; Carlos osobiście dogląda ceremonii wyjmowania go z tabernakulum i błogosławienia. Co więcej - król Hiszpanii żywi się chlebem rozmoczonym nie w zwykłym, krowim mleku, tylko w ludzkim, które - dzięki Bogu - pije z filiżanki. Uśmiecha się osobiście, odsłaniając dziąsła, szeroko i krzywo jak idiota. Natomiast jego pocałunków nie sposób opisać słowami.

Kiedy królowa po raz pierwszy ujrzała go bez odzienia, syknęła. Nie zdążyła się powstrzymać. Syknęła, a następnie udała, że ów odgłos miał zupełnie inną przyczynę: jakiś skurcz mięśni.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Carlos okropną francuszczyzną. Był nagi.

Skinęła głową, oniemiała, niezdolna wykrztusić słowa. Nadal trzymała dłoń przy ustach. Od uroczystości zaślubin upłynęło już kilka godzin. Przebywali w zajeździe w Burgos. Carlos zbliżał się do niej, powłócząc nogą. Wyglądało to tak, jakby najpierw wyrzucał do przodu głowę, a za nią podążała reszta ciała. Gdyby był otyły, sylwetką przypominałby gołębia, ale on przeciwnie: był przeraźliwie chudy i chorobliwie blady. Maria dotychczas nigdy nie zetknęła się z podobną bledością twarzy. Nawet jego usta zadziwiały brakiem barwy. Gdyby nie łokcie i kolana, pokryte czerwoną, plamistą wysypką, można by odnieść wrażenie, że nie ma w sobie ani jednej kropli krwi. Małe jądra zwisały nisko jak u starca. Wypełniony krwią organ sterczał zdecydowanie w lewo i miał sierpowaty kształt.

Młoda królowa nigdy wcześniej nie widziała żadnego mężczyzny bez szat, ale przypuszczała - była niemal pewna - że inni tak nie wyglądają.

Król rozebrał pannę młodą powoli i wstydliwie. Manipulował przy sznurówkach gorsetu delikatnie, jakby miał do czynienia z lontem przy beczce prochu i obawiał się, że Maria wybuchnie jak fajerwerki. Kiedy skończył, przysunął płonąca świecę do jej ciała tak blisko, że czuła ciepło ognia. Zrazu nie powiedział ani słowa. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

- Wyglądasz znacznie lepiej bez ubrania.

Maria milczała.

Zmarszczył brwi, szukając odpowiednich słów. Zanim wydobył z siebie głos, potrząsnął głową, spojrział w bok, zerknął do tyłu.

- Wiem, że tego samego nie można powiedzieć o mnie - rzekł.

Maria usiadła na ich małżeńskim łożu i zaczęła szlochać. Gdyby choć podejrzewała, jaki jest odstręczający, może nie doszłoby do tej sytuacji. Albo przynajmniej nie tak szybko.

Od chwili gdy Carlosa i Marię połączyły więzy małżeństwa, zdolność króla do odbywania miłosnego aktu była podawana w wątpliwość przez całą Europę. Jednakże własne ułomności w żadnym stopniu nie wpływały na stan jego uczuć; z upływem lat jego pociąg do Marii bynajmniej nie słabł. Nieważne, że Maria ze smukłej księżniczki przemieniła się w otyłą królową. Sama nie odwzajemniała namiętności, jaką darzył ją mąż już od pierwszej nocy, kiedy zdjął z niej odzienie. Choć przecież wiedziała, że powinna starać się zająć w ciążę, i to szybko, przez pierwsze miesiące po ślubie wieczorami starała się jak najwięcej czasu spędzać przy kartach.

Z nadzieją na odwołanie do granic możliwości momentu, w którym należało przystąpić

do wypełniania małżeńskich obowiązków, pogodnie znosiła ataki teściowej. Marianna traciła cierpliwość wobec powolności, z jaką Maria przyswajała zasady trocera i pikiety. Chociaż niewykluczone, że królowa matka po prostu była rozczarowana synową. Czas mijał, a nic na razie nie zapowiadało zjawienia się na tym świecie upragnionego wnuka. Niepokój ten znajdował wyraz w jej zachowaniu przy kartach. Każdego popołudnia podczas tasowania talii drobiazgowo wypytywała Marię Luisę o jej dietę i stan zdrowia.

- Może nie powinnaś jeść tyle lodów owocowych - powtarzała. - Zapewne nadmiernie schładzasz sobie łono.

Zalecała herbatę z goździkami, cynamon, ostre sosy i gorące okłady: wszystko, co mogło pomóc rozgrzać organizm. Nerwowo rozdawała karty, rozrzucając je po całym stoliku. Wyjaśniała zasady gry po hiszpańsku i zbyt szybko, by Esperte nadażyła z wiernym tłumaczeniem. Kiedy królowa matka zechciała, aby Maria nauczyła ją modnych francuskich gier, takich jak na przykład landsknecht, ta zupełnie nie potrafiła sobie przypomnieć ich reguł, chociaż znakomicie pamiętała je jeszcze przed rokiem.

Czyżby była głupia? Czy może młoda królowa świadomie udawała naiwną? Nie okazując żadnych oznak niepokoju, zaczęła zachowywać się nagannie. Dopuszczała się czynów, które nigdy nie poszły w zapomnienie. Narobiła sobie wrogów. Cóż, niektórym ludziom przydarza się to częściej niż innym.

Oszukiwała przy kartach, a jej teściowa traktowała gry karciane ze śmiertelną powagą.

- Pośpiesz się - popędzała Marianna synową. - Może już przestaniemy grać, skoro przez ciebie zabiera nam to tak dużo czasu. - Królowa matka kręciła się nerwowo, wachlowała kartami i wzdychała.

Maria miała zupełnie zdrowe oczy, ale mrużyła je, przypatrując się figurom w ręku. Dawniej lubiła karty. We Francji. Lubiała wsłuchiwać się w odgłos, jaki wydawały, gdy jej matka tasowała je wprawnie albo porządkowała bezładny stos. Partyjka z matką była czystą rozkoszą, lecz tutaj każda gra, w której brała udział, wlokła się, dłużyła. O to chodziło. Strategia Marii polegała na zwlekaniu. Tak czy inaczej owa strategia nie chroniła jej bezwarunkowo i niezawodnie.

Ledwie Carlos zaczynał się kręcić, Marianna natychmiast ponaglała synową, by nie zwlekając, udała się na górę. Znając skłonność żony do unikania rozrywki odmiennego rodzaju, król zaczynał ziewać znacząco - i odstręczająco, ale akurat temu w żaden sposób nie mógł

zaradzić - wkrótce po ostatnim posiłku. Nim minęła dziesiąta, Carlos wstawał od karcianego stolika.

- Idę do siebie - powiadał. - Czy nie zechciałabyś mi towarzyszyć, Mario? - Chociaż używał hiszpańskiego, królowa nie patrzyła na Esperte, aby sprawdzić, czy właściwie go rozumiała.

- Dobrze, tylko skończymy rozdanie - odpowiadała, unikając i jego wzroku, i teściowej. Fałdy sukni ciążyły jej na kolanach. Ukrywała w nich asa kier.

- Idę do siebie - powiedział Carlos. - Czy zechcesz pójść ze mną? - Esperte szeptem przetłumaczyła jego słowa.

Maria pomrukiem wyraziła zgodę, ale nawet nie podniosła głowy znad kart. Walet nie nadaje się do niczego - pomyślała.

A może na coś się przyda? Jak mogła zapamiętać tak dużą liczbę skomplikowanych zasad? Na dodatek wyjątków było chyba tyle, ile zasad. Po cóż znowu pytać? Gdy Marianna wpadała w złość, wyrzucała z siebie hiszpańskie słowa coraz szybciej i szybciej, aż Marii zaczynało się wydawać, że słyszy kastaniety. Królowa ssała koniec czarnego loka, który uparcie wysuwał się jej spod czepka. Jak powinna postąpić? Musiała iść na górę. Musiała zająć w ciążę. Jeśli stałoby się to tego dnia, byłaby bezpieczna. I spokojna. Przynajmniej przez rok. Z bożą pomocą. Dlaczego nie potrafiła niczego zapamiętać? Na pewno przeszkadzało jej nadmierne zdenerwowanie. Czy tylko króla się nie przebija? Może nie przebija się również jakiejś innej figury? Chyba trzeba wyciągnąć asa. Ależ nie, przecież nie mogła wyciągnąć asa w chwili, gdy spoglądała na nią wzburzona teściowa. No pewnie, należało położyć waleta. Dlaczego teściowa znowu patrzy na nią z wyrazem przygany? - Jeszcze chwileczkę, spró... - zaczęła, ale Carlos nie pozwolił jej skończyć.

- Idę do siebie - powtórzył. - Czy zechcesz mi łaskawie towarzyszyć? - Maria podniosła na niego wzrok. Był rozczarowany. Mrużył oczy, powstrzymywał łzy urażonej dumy.

- Tak, oczywiście - odrzekła. I co teraz miała zrobić? Nie było sposobności wyjąć asa, więc musiała pozwolić, aby przy wstawaniu upadł pod stół na podłogę. Odłożyła karty, pochyliła głowę i ostrożnie, powoli wstała.

- Dokończ za mnie, Esperte - poprosiła. - Może dzisiaj dopisze ci szczęście.

Ukryty as ześlizgnął się po powierzchni sukni, trącił czubek pantofelka i wylądował na podłodze. Zanim tłumaczka zdążyła podejść do stolika, matka Carlosa podniosła karty Marii i

kontynuowała grę, trzymając jedną część talii w lewym ręku, drugą - w prawym.

Wychodząc z pokoju karcianego, Maria usłyszała odgłos energicznie przekładanych łyżek - z braku monet do rozliczeń posługiwały się sztucami - i szelest odkładanych kart.

- Och, wygrała! - zawołała matka Carlosa. - Albo raczej wygrałaby, gdyby potrafiła rozegrać tę partię dokładnie tak, jak ja to uczyniłam. Swoją drogą nie bardzo chce mi się wierzyć w taką ewentualność.

Maria przystanąła na korytarzu i przysłuchiwała się teściowej, gdy tymczasem Carlos wchodził po schodach. Kiedy bardzo chciała, rozumiała hiszpańskie słowa lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, nawet Marianna.

- Na pewno nie przyszłoby jej do głowy zagrać waletem - mówiła matka Carlosa. - Strategia gry z pewnością nie jest jej mocną stroną. - Odgłos tasowanych kart rozniósł się niczym sekwencja niecierpliwych parsknięć. Odpowiedź, jeśli w ogóle padła, musiała zabrzmieć bardzo cicho. - Oczywiście, skąd miałabyś wiedzieć, skoro przybyłaś do nas z klasztoru? - rzekła Marianna do Esperte.

Carlos nadal się wspinał, za nim podążał służący, a Maria w dalszym ciągu stała u podnóża schodów. Usłyszała niewiele więcej, ponieważ zbyt głośno biło jej serce.

- Postawię sobie pasjansa, jeśli nie masz ochoty na grę. - Pomruk Esperte, którym może zbyt gorliwie wyraziła swoje zadowolenie, zginął zagłuszony szelestem rozkładanych kart. Marianna zaczęła dobierać je kolorami. - Na Boga, brakuje asa kier! - krzyknęła w pewnej chwili.

Dwie pokojówki oraz Esperte, posłuszne rozkazowi, zaczęły przeszukiwać komnatę. Słychać było szelest jedwabiu i skrzypienie odsuwanych krzeseł. Królowa matka wystukiwała obcasami uporczywy rytm, jakby chciała ukarać podłogę za współdziałanie w sprawie. Maria wyjrzała zza rogu i ujrzała poruszenia bioder Esperte poniżej krawędzi stołu. Marianna uderzała w niego wachlarzem.

- O, jest tutaj! - miękko, stłumionym głosem powiedziała spod stołu tłumaczka.

- Na tchnienie Świętej Dziewicy! - zawołała Marianna, chwytając odnalezioną kartę. - Oto po raz drugi, odkąd do nas przybyła, znajdujemy asa na podłodze. - Przyjrzała się karcie z jednej strony, potem z drugiej. Odwróciła ją do góry nogami i z powrotem. - Na pewno oszukuje - oświadczyła w końcu.

Królowa zdążyła jeszcze usłyszeć ściszy pomruk zamiast odpowiedzi, westchnienie,

kaszlnięcie i ponowny szelest kart. Ruszyła za Carlosem, który tymczasem ponaglił ją po raz kolejny.

Jedenasta. Gdyby Maria znowu znalazła się we Francji, noc byłaby jeszcze przed nią. Po aperitifie czekałaby na kolację, podawaną zwykle o północy. Na bazanta, kaczkę albo przepiórkę, a wszystko tak delikatne, że mięso odchodziło od kości z cichym westchnieniem, ginącym w odgłosach błęgiego zadowolenia biesiadujących. W nowym domu cierpiała na niestrawność. Bez przerwy odbijało się jej jajkami. Czy podobna, że w Hiszpanii jada się jaja codziennie? Leżąc na plecach, starała się przypomnieć sobie wszystkie posiłki z minionego tygodnia. Poniedziałek: jajka z kolendrą. Wtorek: jajka w zupie; długie włókna białka zwisające z łyżki niczym śluz. Środa: jajka i marynowana rzepa, okropna mieszanka z ostrymi przyprawami, które w trakcie jedzenia wyciskały z oczu łzy. Czwartek: jaja na twardo w skorupkach wewnątrz żółtego ciasta uformowanego na kształt małych bułeczek, po jednej na każdym talerzu. No, no, któż to słyszał, żeby coś takiego wymyślić? Kucharz stryja Ludwika zemdlałby na sam widok. Poza tym po jajach na twardo Maria zawsze odczuwała dokuczliwy ból w krzyżu. W trakcie jedzenia odnosiła wrażenie, że powoli opadają jej w przełyku, jak gdyby zrobione były z gliny. Piątek: suflety w kształcie ryby. No i ostatniego dnia - o zgrozo! - jaja a la francaise, czyli omlety z mało apetycznie wyglądającymi brązowymi skwarkami. Ciekawe tylko, z czego powstały te skwarki? Z kiełbasy? Po przeżuciu jednej, resztę Maria zdecydowała się przełknąć w całości.

Podczas każdego posiłku Carlos spoglądał znad namoczonego w misce z mlekiem Ciała Chrystusa. Maria starała się omijać wzrokiem talerz męża, gdyż widok ten przypominał jej o grupie korpulentnych, melancholijnych mamek, które ściągając własne mleko do miseczek, starały się jak najlepiej zapracować na życie, póki ich na zawsze nie zwolniono (albo nie skazano na śmierć, jak to się zdarzyło w dwóch przypadkach) za przyczynienie Carlosowi mnóstwa dolegliwości.

W łóżku Carlos rzucił się na nią, czemu towarzyszył odgłos pękającego szkła.

- A cóż to takiego? - zapytał król, lecz królowa jedynie wzruszyła ramionami.

Dowiedziawszy się, że mąż dawno już zabronił używania w pałacu luster, Maria ukryła wszystkie swoje zwierciadła między materacami. Rozumiała, że Carlos boi się własnego wizerunku. Że nie chce oglądać własnej brzydoty i wątlej postury. Albo że obawia się możliwości stłuczenia lustra, sprowadzenia kolejnych nieszczęść i ściągnięcia uroków, co i tak chyba stało się już wcześniej.

Kładł dłonie na jej piersiach. Gniótł je jak ciasto, najpierw rozplaszczając, potem ścisnął bez końca, jak gdyby pragnął uformować z nich kule. Taki sposób miłowania zapewne bawiłby Marię, gdyby nie dotyczył jej męża. Czuła twardą męskość na udzie, nigdy zaś pomiędzy nimi. Wówczas podniecenie ogarniało go do tego stopnia, że wszystko nieuchronnie kończyło się opryskaniem jej nóg i niczego poza tym. Wtenczas mruczał, wzdychał, stękał i układał się na wznak. Chętnie obserwował walki byków, psów, kogutów, nawet niedźwiedzi, ale w żaden sposób nie natchnęły go one duchem męstwa. Przyglądał się uważnie, jak do rozmnażania zabiera się bydło i jak spółkują ogiery z klaczami, lecz mimo nienasyconej pasji, z jaką to czynił, niczego się nie nauczył. Nawet małe koguty, które atakowały oczy przeciwników połączanymi ostrogami i które rzucały się na kury z trzepotem skrzydeł, nawet ptaszki o wadze dziewięciu uncji - wszystkie miały w sobie więcej męskości niż król Hiszpanii.

- Czy kazałaś sobie... to... usunąć? To znaczy wszystko? - pytał.

W końcu zorientowała się, o co mu chodzi. Prawdopodobnie pragnął obciążyć odpowiedzialnością za swoją niesprawność osobliwy, rzekomo brakujący element kobiecego ciała.

Czasami udawała, że nie rozumie Carlosa, chociaż w rzeczywistości było inaczej. Udawała, że go nie rozumie albo że skromność nie pozwala jej odpowiedzieć nawet na delikatnie postawione pytania. Jeśli padało jakieś słowo, którego znaczenia nie знаła, starała się je zapamiętać i następnie pytała o nie Esperte. Jak na dziewczynę sprowadzoną z klasztoru, tłumaczka okazywała się nadzwyczaj pomocna.

Na szczęście żalosne zmagania króla rozpoczynały się po zgaszeniu świec, zatem Maria nie musiała patrzeć na jego twarz ani ukrywać własnej udręki. Carlos ssał jej piersi, a dotyk jego ust wywoływał w niej obrzydzenie i wściekłość. Ze złości dostawała na głowie gęsiej skórki. Och, czemu nie ssał mleka bezpośrednio z piersi swoich mamek? Być może wówczas dałby jej spokój i miał z tego przynajmniej jakąś korzyść.

Niestety, sprawy nie układały się zgodnie z jej życzeniami. Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd żyła w małżeńskim stanie a już całkowicie utraciła nadzieję, że król kiedykolwiek uczyni ją brzemienną. Carlosowi ani razu nie udało się w nią wejść, przynajmniej nie tą częścią ciała, która miała w tej kwestii znaczenie. Natomiast wpychał w nią palce, i to bez zdejmowania pierścieni, poruszał nimi badawczo, jakby sprawdzał możliwość bardziej śmiałej eksploracji. Nigdy jednak nie wsunął w nią swego męskiego oręża. Ssał jej piersi, wił się na niej i



spryskiwał nasieniem jej uda niczym duże, nieporadne dziecko. Nawet miauczał w jej ramionach jak dziecko. Odgłosy, które z siebie wydawał, pełniły jedną użyteczną funkcję: zagłuszały jej szloch.

Kiedy poprosiła go, aby to zrobił, kiedy jękając się, szepnęła po hiszpańsku:

- Włóż to do środka. - (W rzeczywistości musiało to zabrzmieć jak „Połóż to na wierzchu” - wyjaśniła jej nazajutrz Esperte) i starała się odpowiednio nim pokierować, poczuła w ręku, że zwiotczał. Po chwili Carlos zerwał się z łoża i w pośpiechu opuścił sypialnię.

Czy miarą naszej niegodziwości był fakt, że podobało się nam robić to na kolanach?

Kościół nie zezwala ludziom upodabniać się pod tym względem ani do psów, ani do bydła.

Kościół nakazuje korzystać z kolan podczas modlitwy.

Kościół żąda, aby mężczyzna i kobieta, kładąc się razem, mogli jednocześnie patrzeć na swoje twarze.

Czy dlatego właśnie bardziej przypominaliśmy bydła, że nie widzieliśmy nawzajem naszych oczu i ust ani innych części ciała, które odróżniają nas od zwierząt? Naszej nagiej skóry?

Kiedy klęczałam, istotnie niczego nie widziałam. Szeroko otwartymi oczyma spoglądałam w ciemność; podpierałam się rękoma. Kładłam dłonie na ścianie albo na podłodze. Czasem przymykałam oczy. Bywało tak, że pochylałam głowę nisko, coraz niżej, póki nie dosięgłam piersiami podłogi.

Kiedy wysuwał się ze mnie zbyt daleko, energicznie protestowałam.

„Nie rób tego” - mówiłam. Pragnęłam go mieć w sobie, głębiej i głębiej. I żeby nigdy ze mnie nie wychodził. Gdy zdradzałam oznaki bólu, gdy zaczynałam pojękiwać i przygryzać wargi, mój kochanek zatrzymywał się, a ja wpadałam w złość.

„Nie!” - wołałam.

„Ale nie mogę znieść twego płaczu”.

„Nie płaczę”.

Czasem nie dotykał mnie wcale, to znaczy nie dotykał rękoma. Innym razem zaciskał palce na mojej szyi. Wyobrażałam sobie, że mnie dusi; nie miałby z tym żadnego kłopotu.

Kiedy przyszło mi to do głowy, zdziwiłam się, że ta myśl wcale mnie nie przeraża.

Pierwsze dzieci przyniesiono do naszego domu w tygodniu, w którym przypadało Święto Zwiastowania. Jednakże wcześniej nie zjawił się żaden anioł, aby zapowiedzieć ich przybycie. Zamiast niego wszedł do naszego domu dość niechlujny mężczyzna w skórzanej kamizelce. Miał ze sobą dokument, którego nikt z nas nie potrafił odczytać. Pokazał, gdzie moja matka ma się podpisać. Przy stopach postawił duży koszyk z solidnym uchwytem i dwiema brudnymi główkami, po jednej z każdej strony, wystającymi z fałd płótna, które kiedyś było z pewnością białe, teraz jednak pokrywał je kurz drogi.

Stałam blisko mamy. Trzymałam ją mocno za nogę i przyglądałam się maleństwu. Należało je wykapać. Pachniały okropnie i miały zaropiałe oczy. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni gęsie pióro i umoczył jego czubek w małej buteleczce z atramentem. Według tego człowieka umowa z pieczęciami klasztoru Przemienienia Pańskiego zawierała postanowienie, że w zamian za karmienie piersią tychże dzieci, Conception de Luarca otrzyma prawie sto maravedis tygodniowo na jedno dziecko, sumę wystarczającą na zakup wszystkiego, na co nie mogliśmy sobie pozwolić, nie posiadając jedwabników ani innych dochodów. Jak niemal wszyscy nasi sąsiedzi uprawialiśmy fasolę, hodowaliśmy świnie i mogliśmy to wymienić na mąkę, jajka i sól, ale potrzebowaliśmy świec, mydła, ubrania i butów, a prawie nie mieliśmy pieniędzy na tego rodzaju przedmioty.

Mama oczywiście wcale nie zamierzała zostać mamką. Miała dwoje własnych dzieci, nie licząc poronionych płodów i dzieci zmarłych w okresie niemowlęctwa. Wszystkie były płci męskiej, co wyznaję w odpowiedzi na pytanie Purpurowego Kaptura.

- Aha - powiada. - Mhm, hmm. - Kiedy coś rozważa, często wsuwa dłoń pod kaptur i drapie się po twarzy.

Rok po moich narodzinach mama przyjęła do wykarmienia dziecko sąsiada, którego żona umarła przy porodzie. Mama stwierdziła wówczas, że bez kłopotu wykarmi dwoje dzieci. Była malutka, ale miała mnóstwo mleka, tak dużo, że ciągle narzekała na mokry stanik i ból obrzmiałych, twardych jak kamień piersi.

Po tym pierwszym dziecku często pomagała karmić niemowlęta, których matki były chore albo nie miały dość mleka. Karmiła dzieci z naturalną łatwością, a ponieważ nie przestawała tego robić, mleko nieustannie wypływało z jej piersi.

- Co się stanie, jeśli ktoś zachoruje? - mawiała, najczęściej do siebie. - Co będzie, jeżeli któremuś dziecku umrze matka? - Jeśli więc akurat nie zajmowała się jakimś pechowym

dzieckiem, stale utrzymywała się w gotowości, ściągając pokarm do jakiegoś naczynia. Wiele razy widziałam, jak robi to w kącie izby, odwrócona do mnie plecami, a potem wylewa za drzwi bładożółty płyn. Cienka stróżka spływała szybko po ścieżce, jakby spiesząc się w świat. Mleko mamy najwidoczniej było słodkie i dlatego zwabiało mrówki.

W czwartym roku po śmierci mojego dziadka - cztery lata od chwili, gdy jeszcze bez wątplenia zaliczaliśmy się do szanowanych hodowców jedwabników i w porównaniu z innymi mieszkańcami Kastylii powodziło nam się zupełnie dobrze - domek gąsienic opustoszał. Tata siadał w tym samym kącie, w którym niegdyś przesiadywał dziadek. Nie doglądał jednak gąsienic; nie zamykał oczu i nie wsłuchiwał się w szmer, jaki wydają larwy podczas pożerania liści, by usłyszeć w nim szum deszczu, jakże rzadkiego w naszych stronach. Tata zajmował ręce i oczy wyrabianiem najprzeróżniejszych drobiazgów, które potem starał się sprzedać na targu. Przede wszystkim były to drewniane grzebienie. Zabawki dla dzieci: kolorowe baki z drewna, wyważone w sposób tak doskonały, że na gładkiej kamiennej powierzchni za każdym razem kręciły się dobre kilka minut; lalki o włosach z farbowanej wełny, która pochodziła od naszej jedynej owcy, trzymanej specjalnie w tym celu. Małe kukielki przywiązane mocnym szpagatem do dwóch listewek. Wystarczyło odpowiednio ścisnąć listewki, a figurka wykonywała salta, przy których nogi, kołysząc się, sięgały ponad jej twarz. Twarz wyrysowaną z dbałością o szczegóły - małe brwi unosiły się w wyrazie przestachu powodowanego niepewną pozycją figurki, rozciągniętej na zawsze pomiędzy dwiema poprzeczkami.

A może twarz kukielki wyrażała strach, którego inne twarze wyrazić nie były w stanie? Obawy nie towarzyszące nam bynajmniej na co dzień, lęk przed zarazą, suszą, ubóstwem, nieszczęśliwym wypadkiem, złym fatum, spojrzeniem diabła - o nie. Największy strach w latach mojego dzieciństwa, strach niewypowiedziany, strach, który ogarniał mnie wcześniej, nim umiałam go nazwać, budziła we mnie Inkwizycja. Nasze miasteczko, choć przecież małe, było obiektem żywego zainteresowania Świętego Oficjum. Można to tłumaczyć względami geograficznymi, gdyż Quintanapalla leży na trasie pomiędzy Madrytem a Burgos, dwoma bastionami katolicyzmu. Tędy niemal bez ustanku podróżowali gorliwi dostojnicy Kościoła w poszukiwaniu grzeszników, by ich wtrącić do lochu albo włożyć do swych świętych kufrów kolejną garść pieniędzy.

Pewnej wiosny wyprowadzono mieszkańców z dwóch domów, zabrano ich prosto z łóżek - kamieniarza oraz jego starego ojca. Jednego dnia jeszcze tam byli, drugiego zniknęli. Pozostał

po nich jedynie rząd butów przed drzwiami. Ponieważ kamieniarz przekraczał w sposób wielce karygodny święte terminy zobowiązań, od dawna przypuszczano, że wcześniej albo później zwróci na siebie uwagę. Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zabrano jego żonę, zniedołężniałych rodziców oraz dzieci.

Przechodziłam z siostrą obok pustego domu małej Antonii i zobaczyłam tam jej niebieskie buciki. Jeśli w ogóle jej współczułam, owo szlachetne uczucie ustąpiło pragnieniu posiadania tych - teraz bezpańskich - niebieskich pantofelków ze srebrnymi klamerkami. Stałam, aby im się dobrze przyjrzeć. Spoglądałam zachłannie, aż moja siostra szarpnęła mnie za rękę.

- Zobacz! - powiedziałam, aby ją przestraszyć. - Antonia stoi tam w swoich butach. Cała jest we krwi i płoną jej włosy!

Dolores puściła moją dłoń i uciekła do domu. Podkradłam się i wzięłam małe pantofelki. Uczyniłam coś, na co by się nie odważył żaden inny mieszkaniec miasteczka. Lecz ulica była pusta, a ja tak bardzo pragnęłam mieć te buciki. Ukryłam je w domku gąsienic i nosiłam, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Opowieść, którą wymyśliłam, aby wystraszyć Dolores, podziałała również na mnie. Ilekroć miałam na nogach pantofelki Antonii, tylekroć wyobrażałam sobie, że moje włosy stają w ogniu. W końcu wyrzuciłam buciki do stawu.

W tamtych dniach krążyły opowieści, że dzieci, nad którymi Święte Oficjum roztoczyło pieczę, nie oddawano do przytułków, ale wcielano w szeregi dziecięcej krucjaty. Rokrocznie armię świętych niewiniątek, jak nazywano zrehabilitowanych małych grzeszników, wysyłano na południe do kraju Maurów w nadziei, że Bóg spojrzy łaskawym okiem na panujący w naszej krainie ewangeliczny zapał i jeszcze raz uśmiechnie się do Hiszpanii, do nowych pokoleń, które nastąpiły po złotym wieku militarnych zwycięstw i zasobnych kolonii. Nie wiadomo, czy Boga obchodził los niewinnych na Saharze, tak czy inaczej postępowanie Kościoła miało wymiar praktyczny: usuwało potrzebę żywienia i ubierania tych dzieci.

Przez kilka lat, które nastąpiły po naszej klęsce w hodowli jedwabników, w Kastylii panowała susza. Powysychały rośliny w ogrodzie. Mieliśmy zaledwie trochę cebuli. Zbrzydła nam zupa przyprawiona wyłącznie kawałkami solonej wieprzowiny.

Z powodu głodu i zarazy opustoszała połowa domów w Quintanapalli. Ludzie silnej wiary powiadali, że od woli Boga zależy, czy zechce czuwać nad ludźmi, i że tylko On wie, dlaczego tego rodzaju plagi dotyczą wierzących. Ci natomiast, których wiara była słaba,

postępowali słusznie, jeśli milczeli. W przeciwnym razie mogli się spodziewać, że którejś nocy podjedzie pod ich dom czarna karetka Inkwizycji i zabierze ich do miejsca, gdzie czekał skryba i cały zestaw narzędzi znakomicie zwiększających skłonność do mówienia.

Docierały do nas plotki, że niektóre dzielnice Madrytu opustoszały niemal całkowicie. Najbogatsi mieszkańcy miasta wyjechali pierwsi, zabierając ze sobą tyle dobytku, ile mogło się zmieścić w ich powozach. Pognali konie na północ, gdyż tam powietrze było ponoć zdrowe. Pozostali przy życiu żebracy przenosili się do domów opuszczonych przez bogaczy, jedli suszone mięso i pili wino z zasobnych piwnic, by w końcu umrzeć w wygodnych łóżkach.

Przerażające, białe aleje śmierci. Ojciec mamy dość szybko podjął się pracy polegającej na posypywaniu wapnem rynsztoków odgrodzonych ulic. Wcześniej handlował mydłem, ale stracił na nie nabywców, ledwie wybuchła zaraza. Ludziom bardziej zależało na pobożności niż na czystości.

- Myjcie się! - wołał na placu do ludzi. - Ratujcie się!

Ale oni tylko przechodzili w pośpiechu, a dziadek wcale nie mógł sprzedać towaru. W końcu musiał szukać zajęcia w służbie miejskiej Madrytu, gdzie otrzymał godziwy zarobek. Istniał pewien wybór prac oferowanych przez zdesperowanych rajców: po pierwsze posypywanie ulic wapnem z furmanki, po drugie jazda na ośle i sprawdzanie kordonów odcinających ogniska zarazy; po trzecie wyłapywanie szczurów stalowym kolcem i wrzucanie ich do umieszczonej na kołach beczki z octem. Ostatecznie dziadek zdecydował, że im wyżej będzie się znajdował nad brudnymi ulicami, tym większe sobie zapewni bezpieczeństwo. Wynajął się zatem do rozrzucania wapna i stanął na siedzisku furmanki. Codziennie cztery razy mył się swoim mydłem od stóp po czubek głowy, możliwie jak najdokładniej, ale mimo to zmarł po kilku miesiącach, gdy czarne plamy wielkości monet - waluta samego diabła - wystąpiły mu na rękach i nogach. Wyjął z worka garść wapna i natarł nim skórę, która prawie natychmiast zaczęła go palić, jakby już znalazł się w piekle. Ale na nic się to nie zdało.

Zaraza panowała w całej Kastylii. Śmierć wielkiej liczby chłopów i robotników oznaczała zmarnowanie pszenicy, której nie miał kto zebrać z pól. Wzrosły niebotycznie ceny mąki. Po raz pierwszy Dolores i ja czułyśmy nocami głód. Nie przymierałyśmy głodem, ale kiedy leżałyśmy w ciemności, dawał nam o sobie znać pusty żołądek. W snach widywałyśmy jedzenie.

Pewnego razu tata wrócił z targu. Koszyk z zabawkami postawił przy piecu.

- Conception - powiedział, podszedł do mamy i ujął jej ładną twarz w swe duże dłonie. -

Conception, spotkałem dzisiaj Enrique'a. Opowiedział mi, jak sobie radzi jego rodzina. Podobno Ilena przyjmuje do siebie dzieci z przytułku w Madrycie. Karmi piersią sieroty, za co otrzymuje godziwą zapłatę.

Wokół taty unosił się zapach portugalskiego wina, które z pewnością wypił w towarzystwie Enrique'a. Na jego kapeluszu widniały plamy potu. Mama zmarszczyła brwi i czekała na bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Odsunęła dłonie taty i przytrzymała je mocno, wpatrując mu się w oczy.

Wszystkie sprawy mojego taty przybierały po kolei niekorzystny obrót. Żeby odpędzić diabelskie moce, wsuwałyśmy pod jego poduszkę rozmaite amulety, a do butów wkładałyśmy koniczynę. Bez skutku. Mama sądziła, że szczęście odwróciło się od niego, ponieważ nie szanował swego ojca. Jakiś czas wcześniej uciekło do lasu nasze ostatnie prosię. Tata usiłował zapędzić je z powrotem do domu, ale musiał uciekać na drzewo przed stadem głodnych wilków, gotowych zjeść go na obiad wraz z pechowym prosięciem.

Najpierw przyglądał się, jak wilki pozerają naszą zimową rację żywnościową, a potem siedział na gałęzi prawie całą noc; nie ruszył się stamtąd jeszcze długo od chwili, gdy prosię zakwiczało po raz ostatni. Bał się zejść, chociaż wilki już dawno znudziły się czekaniem na niego pod konarami i powędrowały swoją drogą. Po tej przygodzie tata już nigdy nie doszedł do siebie. Jego dłonie drżały tak bardzo, że teraz potrzebował znacznie więcej czasu na zrobienie tej czy innej zabawki. Już nie potrafił wymalować twarzy lalkom i żołnierzom równie starannie jak poprzednio. Jego wytwory sprzedawały się z trudem, chociaż powstawały z większym wysiłkiem.

- Conception - powiedział do mamy - przecież mogłabyś się tym zająć.

Spojrzała na niego uważnie. Prosił o coś zupełnie innego niż przyjmowanie do domu dzieci w akcie miłosierdzia. Wynajęcie się do takiej pracy mogło uchodzić za zajęcie wstydlive. Zagrażało dobremu imieniu rodziny. Zmniejszało szansę jej córek na dobre zamążpójście. Mama nadal patrzyła na tatę. Nic nie odrzekła, tylko puściła jego dłonie i usiadła na ławie przy piecu. Byłam pewna, że wyobraża sobie tych kilka monet, które otrzymywała za jajka; jak pozbywa się ich z konieczności zawsze wcześniej, zanim uzbiera się suma wystarczająca na zakup butów dla mnie i Dolores. Tego wieczoru mama nie odpowiedziała na pytanie taty. Nie odpowiedziała na nie także przez dwa kolejne dni. Trzeciego dnia wieczorem postawiła na stole miskę z wodnistą zupą. Dolores i ja zrobiliśmy kwaśne miny. Spojrzała na nas.

- Niech już będzie, mężu - powiedziała, skinęła głową w kierunku taty, po czym opuściła wzrok na talerz.

Z początku przyjęła dwoje dzieci, następnym razem - troje. Miała dość pokarmu, aby je wszystkie wykarmić. Chyba tylko w bajkach zdarzają się takie cuda jak kubek, z którego nie ubywa, albo kociołek mnożącej się kaszy. Cóż, głodni lubią tego rodzaju opowieści, ale doprawdy akurat w tym wypadku niczego nie wyolbrzymiam. Wcale nie działa tu owa osobliwa właściwość pamięci, która może sprawić, że pełen siana strych z czasów dzieciństwa wydaje się wielki niczym sala balowa. Mama była urodzoną mamką. Taki niezwykle talent otrzymała od natury.

Nie dziwiłyśmy się wcale, ponieważ wiedziałyśmy, że mama posiada ogromną żywotną moc. Urodziła nas. W okresie niemowlęctwa podawała nam pierś; ożywiała gąsienice, trzymając jajeczka w niebiańskim cieple między półkulami czegoś, co, jak mi się dzisiaj zdaje, było po prostu miłością. Jajeczka gąsienic krążyły wszędzie tam, gdzie ja chciałam być. Poruszały się między piersiami mamy. Wszystkie drgania jej ciała wzywały gąsienice: Obudźcie się! Obudźcie się! - tak samo jak wówczas jej ciało przemawiało do sierot: Śpijcie. Jedzcie. Rośnijcie. Mama posiadała właśnie ten rodzaj ciała - i duszy; dawała to, co było potrzebne.

Miałam dziewięć lat. Jeszcze nie przyjąłam Pierwszej Komunii Świętej, przeznaczonej dla mnie części Ciała Chrystusa, ale byłam na tyle dorosła, aby mnie obarczać ciężarami domowych obowiązków. Zawsze starałam się podolać im szybko, aby mieć więcej czasu dla siebie. Z drugiej strony byłam przecież dzieckiem i najbardziej pragnęłam towarzystwa mamy. Lubiałam stać obok niej, przyglądać się, jak siada z dzieckiem przy ogniu. Czasem mleko tryskało z piersi zbyt silnym strumieniem. Oserek krztusił się i odsuwał od sutka, który miał ciemną barwę, był ładny i tak duży, że sprawiał wrażenie owocu, który wyraźnie oddziela się od reszty ciała. Cieniutka strużka mleka tworzyła w świetle ognia kształt łuku, trafiała prosto na dziecięcą główkę albo padała na rozgrzane kamienie, by w jednej chwili zamienić się w parę, jakby to była jakaś magiczna substancja, która ma zniknąć, nim dojrzy ją oko śmiertelnika. Jeśli się pospieszyłam, zdążyłam przesunąć palcem po parujących kropkach.

Przy ogniu było ciepło. Przy nim czułam się bezpieczna i rozleniwiona. Ciepłe światło malowało nasze cery na pomarańczowo. Wyglądałyśmy w nim tak ładnie jak damy z obrazów. Ciemne, chciwe oczy obcych dzieci chwytaly iskierki z płomieni. W kąciakach maleńkich ust połyskiwały kropelki mleka. Podczas ssania niemowlęta błogo i radośnie mrużyły powieki, czego

czasem nie mogłam ścierpieć i przerywałam zabawę z lalką u stóp mamy. Przysuwałam lalkę do swej płaskiej piersi, ale potem odrzucałam ją, podrywałam się na równe nogi i ogarnięta zazdrością starałam się wcisnąć głowę między pierś mamy a ruchliwe usta dziecka. Chyba się obawiałam, że maluchy wyjedzą wszystko i nic dla mnie nie zostanie.

Czy miłość skłania ludzi wyłącznie do dobrego? Mam wrażenie, że we mnie obudziła najgorsze skłonności. Z czasem zaczęłam nienawidzić tych dzieci za to, że odwracały ode mnie uwagę matki. Nie życzyłam im dobrze.

Pewnego razu mama zostawiła mnie ze śpiącym niemowlęciem. Poszła na targ w towarzystwie Dolores, a mnie kazała zostać i przypilnować dziecka. Jakiś czas bawiłam się przy piecu. Rozplatałam gałęzie miotły. W spiżarni odgryzłam kawałeczek sera i zrobiłam z niego przynętę, na którą starałam się schwytać mysz. Zajrzałam do drewnianej szkatułki mojej siostry i brałam kolejno do ręki wszystkie przedmioty, których zwykle nie wolno mi było nawet dotknąć. W końcu podeszłam do kołyski, która stała tuż przy łóżku mamy.

Mała dziewczynka spała na wznak. Oddychała, a powietrze cicho świszcząco w jej nosku. Otwarte usta, układające się w kształt litery „o”, poruszały się, jakby w dalszym ciągu ssała. Nie zbliżałam się do dziecka z zamiarem uczynienia mu krzywdy. Po prostu nasunęłam pościel na ruchliwe usta i świszczący nos. Przez minutę przyglądałam się, jak pod oddechem dziewczynki drży płótno. Potem położyłam dłoń na twarzy dziecka i nie zabrałam jej, nie zabrałam jej nawet wówczas, gdy w moich uszach rozległ się głos - głos mamy: „Co ty robisz?!”

Potem dziecko poruszyło się. Poczułam, że zaczyna walczyć. Rzuciło się nieporadnie pod pościelą podobnie jak mól, którego kiedyś złapałyśmy z Dolores pod jednym z fartuchów mamy. Nagle zobaczyłam tego mola, martwego, i tak się przestraszyłam, że odskoczyłam od kołyski. Kiedy mama i Dolores wróciły, dziecko płakało żałośnie, a ja kuliłam się w przeciwległym kącie izby.

- Co się stało?! - zapytała mama. Przy jej boku Dolores patrzyła na mnie z wyrazem satysfakcji na twarzy.

Do niczego się nie przyznałam. Mój grzech był nazbyt okropny. Obawiałam się, że gdybym opowiedziała o wszystkim, straciłabym to, na czym mi najbardziej zależało: miłość mamy. Zadręczałam się w milczeniu. Wkrótce też znenawidzone przeze mnie dziecko stało się jedną z osób zaludniających me sny. Miało czerwone, puciołowate policzki, pełne strachu i potępienia; tak bardzo się wstydziłam, że na jego widok za każdym razem przymykałam oczy.



Staralam się ukryć, ponieważ od tej pory zaczęły mnie prześladować koszmary.

Tymczasem jedyny pozostały przy życiu syn króla Hiszpanii Filipa, Carlos, przechodził kolejną ze swych licznych i długotrwałych chorób. Był słabowity od dnia urodzenia i uważano, że jest bardziej wątłego zdrowia niż jego starszy brat Baltazar, który zmarł rok wcześniej. Choć książę Carlos był moim rówieśnikiem, jeszcze go zdecydowanie nie odstawiono od piersi. Chwiał się na nogach i miał kłopoty z trawieniem, co oznaczało, że dziewięcioletniego księcia nadal noszono na rękach i utrzymywano dla niego całą armię mamek. Ich pozycja na dworze była wysoka. Zajmowały najwyższe stanowisko, jakie mogła osiągnąć kobieta, zajmująca się nową profesją mojej matki. Ponieważ król Filip był nazbyt chory, by spłodzić jeszcze jedno dziecko, należało więc za wszelką cenę zachować przy życiu jedynego kandydata do objęcia tronu.

Mama zawsze ładnie pachniała. Była czysta. Myła się często. Nigdy nie roztaczała wokół siebie kwaśnej woni jak inne mamki. Dzieci, które karmiła, a które dostarczano wychudzone i małe, przybierały na wadze w niezwykłym tempie. Przybywały ze skrofulozą, gorączką, czyrakami, zaropiałymi oczyma. Przybywały odrętwiałe i przemarznięte. Jedynie ich usta poruszały się, ssąc bez przerwy pomarszczone kciuki. Po miesiącu albo dwóch przy mamie, wszystkie bez wyjątku wysypki, dreszcze i inne dolegliwości mijały. Dzieci uśmiechały się i śmiały, zaokrąślały im się brzuszki. Ani jedno nigdy nie dostało torsji. Na wiosnę siostry zakonne z sierocińca poprosiły mamę, aby przeniosła się do Madrytu; sieroty chciały nam ją zabrać i mieć ją tylko dla siebie.

Ale stało się inaczej. Mama stała się sławna jako uzdrowicielka dzieci i dostała pod opiekę córeczkę diuka de Pastrana, niemowlę pomarszczone niczym łasica, którego błękitne paluszki zamknęły się na karku mamy i pozostawiły na nim czerwone ślady. Od chwili, kiedy wniesiono je w koszyku, nasz dom wypełniły krzyki, które nie pozwalały nam zasnąć przez sześć kolejnych dni. Ale otrzymana w zamian kwota wystarczyła na ubrania dla nas wszystkich i posiłki z mięsa zakupionego u rzeźnika, żadne tam wiewiórki czy króliki. Siódmego dnia dziecko uspokoiło się wreszcie i przestało wydzierać. Mama krzątała się, nosząc Mercedes w szalu obwiązany dookoła ramion; miała rozpiętą sukienkę i obnażoną pierś. Mała ssała dniami i nocami. Jakże trudno było mi to znosić! Nie minęły jednak dwa tygodnie i dziecko przestało odstręczać wyglądem. Kiedy po miesiącu przybył sługa księcia, by się dowiedzieć o stan dziecka, jedynie znamię na czole Mercedes (takie, jakie mieli na czole wszyscy członkowie rodziny diuka) świadczyło o tym, że ona i umierające dziecko, które do nas przywiózł, to jedna i ta sama

osoba. Tak rozeszła się wieść: Bóg obdarzył Conception de Luarca cudownym mlekiem. Nie minęło wiele dni, a wiadomość o tym dotarła na dwór królewski. Dotarła do królowej Marianny, której jedna z dam dworu należała do rodziny diuka.

Do tej pory, do wiosny dziewiątego roku życia, książe Carlos Secundo skorzystał z usług dwóch setek mamek, z których wszystkie spełniały surowe wymagania stawiane przez dwór królewski, spisane w specjalnej książeczce, oprawionej w błękitną skórę. Widziałam tę książeczkę (i przeczytałam ją, ale wiele lat później), ponieważ mama otrzymała jeden egzemplarz wraz z dwoma pouczającymi tekstami medycznymi i kiedyś przywiozła to wszystko do domu. Królewska mamka nie może mieć mniej niż dwadzieścia lat i więcej niż czterdzieści. Powinna mieć dwoje albo troje własnych dzieci, być zdrowa i odpowiedniej budowy ciała. A do tego skromna, cnotliwa i bez skłonności do napadów melancholii. Nie może się zdarzyć, aby w żyłach jej przodków płynęła krew Żydów i Maurów.

Przez wszystkie próby mama przeszła pomyślnie. Do przeprowadzenia ostatniej nadworni medycy zatrudniali pewną staruchę. Nazywała się Constanza i na łysej głowie nosiła perukę z alpaki. Opowiedziała mamie, że straciła wszystkie włosy ze strachu, kiedy okazało się, że posiada nadnaturalne moce. W dotarciu do prawdy pomagało jej zagładanie do starożytnej arabskiej księgi, choć, jak sama się przyznała mamie, nie rozumiała z niej ani słowa. Oczywiście tego rodzaju pisma były zakazane przez Kościół. Zwykłemu śmiertelnikowi za samo ich posiadanie groził stos. Ale Constanza nawet uwięzienia nie musiała się obawiać. Nigdy nie była przesłuchiwana przez inkwizytora. A przyczyną jej nietykalności był wyjątkowy dar wyczuwania krwi niewiernych, w szczególności Żydów.

U progu śmierci pozostaje na usługach Inkwizytora Generalnego. Nie kryje już łysiny, ponieważ pod ciężarem peruki nie jest w stanie prosto utrzymać głowy. Jada wyłącznie pokarm świętego Jana, czyli miód i szarańczę. Z jej porad korzysta się wyłącznie w najtrudniejszych przypadkach. Zaprowadzono mnie do niej przed miesiącem. Przesunęła drżącym nosem po moim karku, wsunęła mi go pod pachy i pod kolana. Nie poinformowano mnie, kim jest, ale od razu domyśliłam się, że to właśnie ona. Mama opowiedziała mi kiedyś, że kiedy przybyła do Madrytu, postawiono ją nagą przed jakąś staruchą, która palcami w rękawiczkach podniosła każdą z jej piersi, przytrzymała w górze sutki, dokładnie przyjrzała się położonej niżej fałdzie skóry i przysunęła do niej nos. Powąchała również bieliznę mamy oraz jeszcze bardziej intymne miejsca. W taki właśnie sposób Constanza rozstrzygała, czy dana osoba nie została przez przodków

skazona choćby kroplą żydowskiej krwi. Ale nie znalazła jej ani u mnie, ani u mamy.

Po przeprowadzeniu na królewskim dworze wszystkich koniecznych badań, mama powróciła do domu. Nie minęły dwa tygodnie, gdy otrzymała zawiadomienie, że będzie karmić dziecko - jego księżącą wysokość Carlosa. Królewska karetka zabrała mamę do pałacu w Madrycie, gdzie około trzech tuzinów mamek trzymano w pełnej gotowości na wypadek konieczności zmiany karmiącej. Do chwili, gdy dwunastoletniego Carlosa odstawiono od piersi (ale nie od jej produktu), na dworze zatrudniono trzysta dziesięć mamek. Ile spośród nich rzeczywiście podawało pierś Carlosowi, nie wiem, ale za każdy objaw niedyspozycji, niekoniecznie związany z układem pokarmowym - od pryszczka na tyłku Carlosa do bólu w kolanach - obwiniano mamkę. Zatem wcale nie było to beztrudne zajęcie. Mama nigdy wcześniej nie przywiązywała uwagi do diety i nocnego wypoczynku. Ale pod nadzorem nadwornych medyków ograniczono jej posiłki do owsianego kleiku, baraniny, jaj i szpondra, czyli tej części wołu, która rzekomo znacznie wzmacnia ciało. Zaglądali jej pod spódnicę dla sprawdzenia, czy ma miesięczne krwawienia. Bez przerwy niepokoił ją i absorbowali. W tej sytuacji jej mleko nie mogło zachować dobroczynnych właściwości, jakie miało, gdy przebywała w domu.

Tęskniłam za mamą, gdy wyjechała od nas do pałacu. Z drugiej jednak strony jej nieobecność oznaczała spokój. Nie było niemowląt, nie było zazdrości i poczucia winy. Podczas karmienia córeczki diuka mama także cierpiała. Zeszczupiała i stała się bardziej drażliwa. Szybko wpadała w złość i nie śmiała się już tak często jak dawniej. Jeśli nawet miała przyływ dobrego humoru, szybko zagłuszał go płacz albo kaszel dziecka. Przed samym wyjazdem mama podrapała każdą z nas za uszami.

- Bądźcie grzeczne, Dolores i mała Francisco - powiedziała. - Słuchajcie taty.

Zarobione przez nią pieniądze docierały do nas cztery razy w roku. Cztery razy w roku przywoził je mężczyzna ubrany w pałacową liberię. Była to spora suma, jak się nam zdawało: piętnaście sztuk złota w małym, czarnym mieszku, związanym i zabezpieczonym królewską pieczęcią. Tata kupił Dolores lalkę z porcelanową głową. Ja dostałam naszyjnik z czerwonych kamieni. Sam zaczął palić ten sam tytoń, którego używał dziadek. Słodki, błękitny dym unosił się nad nami zawsze po kolacji.

Kiedy chłopiec stajenny wszedł do komnaty królowej, słońce stało na niebie tak wysoko, że światło tworzyło wokół zasłon srebrzystą obwódkę. Zgodnie z poleceniem nadwornego

medyka Severo po wypadku z koniem nie podano królowej niczego do jedzenia, jedynie wodę. Maria śniła o tych wszystkich potrawach, za którymi przepadała, a których nie jadła od przybycia do Hiszpanii. Zmrużyła oczy przed promieniami słońca i pod powiekami wodziła wzrokiem za wyimaginowanym obrazem. Lekko zacisnęła palce, jakby starała się utrzymać coś w dłoniach. Chłopiec stajenny cierpliwie czekał. Kiedy królowa poruszyła się, Obdulia szturchnęła go, a on podniósł grube pasmo brązowego włosów.

Maria na razie nie odzywała się, pomyślała tylko: Jakież piękne. Jako młoda dziewczyna do stroju balowego nosiła długie, rozpuszczone włosy. Rosły tak szybko i były takie mocne, że któregoś upalnego lata kazała je skrócić. Potem, rozpuszczone, sięgały jej nie do kolan, tylko do pasa. Niania zachowała odcięte włosy i Maria mogła je upinać znacznie wyżej na kolejne zimowe bale. Albo też splatać w długi warkocz i tak go układać, by kosmyk u samego końca kokieteryjnie wpadał w dekol. Mogła je nakręcać, fryzować na gorąco, układać w fale, przewiązywać wstążkami albo upinać w kok. Och, istniało tysiące sposobów noszenia takiego wspaniałego pasma włosów, twierdziła niania. Włosy dostarczono w drewnianej skrzynce do szwaczki, która zebrała je na jednym końcu i mocno zszyła. Treskę przechowywano bezpiecznie w garderobie, gdzie spoczywała w wyłożonym pluszem kuferku z cedrowego drewna. Raz na tydzień bez względu na to, czy treska była używana, służąca rozczesywała ją, a następnie zawijała w irchę. Maria przywiozła ją ze sobą do Hiszpanii.

Królowa wyciągnęła ku chłopcu rękę i gestem zachęciła go, by podszedł. Jakież to osobliwe, że ów chłopiec je przyniósł. Przecież nie mogła zostawić ich w stajni. W ogóle rzadko je nosiła, nigdy zaś do jazdy. Właściwie nie działo się nic takiego, aby czuła potrzebę upinania większej ilości włosów. Poza tym na samą myśl o włosach miała ochotę się rozplakać. Tak działało na nią opium: ogarniał ją głęboki smutek albo równie głęboko odczuwała szczęście. Ciekawe, dlaczego Ignacio wyglądał, jakby przed chwilą płakał? Oczy miał opuchnięte i zaczerwienione powieki. A malutka Esperte, która stanęła przy drzwiach, spuściła swe brązowe oczy.

Maria jeszcze raz skinęła na Ignacia. Tym razem chłopiec podszedł do jej łoża. Kasztanowate pasma trzymały się z jednej strony, lecz zamiast obszycia, które by je łączyło, dostrzegła krew, ciemną i zakrzepłą. Włosy pachniały stajnią.

Królowa spojrzała chłopcu prosto w oczy i od razu domyśliła się, co go dręczy. Być może zobaczyła w nich również podobiznę Rosynanta, ogiera z gardzielią przeciętą ledwie kilka minut

po zjedzeniu ostatniego w swoim życiu kosza owsa. Rana była tak głęboka, że zabarwione na czerwono, przeżute ziarno zostało wypłukane przez doskonałą, czystą krew, która obficie zboczyła sierść wierzchowca i utworzyła w obszernej zagrodzie sporą kałużę krwi. Piękna biała gwiazda na czole konia gasła jak światło spadającego meteorytu; białe skarpety stały się nagle purpurowe. Ładne, duże i szkliste oczy zwierzęcia spoglądały pytająco na chłopca, który, szlochając, odrzucił nóż na słomę i opadł na kolana w tę ofiarę z krwi.

Ignacio nie pozwolił, by okrutny rozkaz króla wykonał ktoś inny; nie wierzył, że ktokolwiek poza nim postąpi litościwie i zabije zwierzę zdecydowanie, po męsku, wbijając ostrze sztyletu szybko i głęboko. Chłopiec stajenny, niczym chorobliwie zazdrosny kochanek, rzucił się ze sztyletem na konia i zakłuł go w ostatnim, niezdarnym uścisku. Po chwili nogi zwierzęcia zachwiały się i Rosynant osunął się na kolana. Chłopiec przytulił się do niego. Potem oboje leżeli na słomie, ręce chłopca obejmowały potężną, jeszcze ciepłą szyję, a jego spodnie nasiąkały ciepłą krwią.

Maria zacisnęła palce wokół końskiego ogona. Zdawało się jej, że w przyspieszonym rytmie uderzeń własnego serca słyszy równomiernie narastający tętent. Widziała się w siodle, dwie złączone sylwetki, które stają się coraz mniejsze, coraz bardziej odległe. Widziała poruszenia ogona Rosynanta, gdy oboje znikali za żywopłotem.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, nie, nie.

\* \* \*

W życiu Marii Luisy, która poślubiła króla ocalonego przez moją matkę, powoli mijał dzień za dniem, jeden podobny do drugiego jak codzienne posiłki. Upłynął jeden rok, drugi, trzeci i czwarty.

Królowa nudziła się i dlatego, jak się zdaje, popełniła błąd, nie zasięgając rady marszałka dworu dostatecznie często, aby pozostać w zgodzie z nakazami przezorności. Strategie prowadzonych przez nią rozgrywek na królewskim dworze były jeszcze pośledniejszego gatunku niż te, które stosowała przy karcianym stoliku. Oczywiście, jeśli w ogóle można powiedzieć, że posługiwała się czymś tak wyrafinowanym jak strategia. Maria nie potrafiła rozstrzygnąć, czyim interesom powinna sprzyjać i o czyje względy zabiegać, tak jak nie wiedziała, czy asy są kartami silnymi, czy słabymi. Jej przeciwnicy i przeciwniczki - a tych według moich sąsiadek z lochu wcale nie było mało - na pewno zgodziliby się co do jednego: trudno było dać wiarę, że królowa wychowała się w Wersalu, uznawanym przez przeciętnego hiszpańskiego dworzanina za miejsce

w takim samym stopniu zbudowane z cegły i zaprawy murarskiej, jak z miłosnych i politycznych intryg; za pałac bardziej zdobny w pochlebstwa i pretensje niż w złoceń.

Złowróźnie Maria najszybciej zaprzyjaźniła się z nadwornym błaznem, karłem pochodzącym ze starego i znamienitego rodu karłów z Penarroyi, miasteczka znanego z wydobycia ołowiu, gdzie każda rodzina dochowywała się co najmniej jednego idioty, gdzie można było spotkać nawiedzonego dostojnika Kościoła, szalonego piekarza, garbarza o dwunastu palcach u nóg, niewidomego sprzedawcę świec czy wiecznie zaślinionego sprzedawcę ostróg. Mieszkańcy Penarroyi byli tak bardzo zatruci, że całkowicie normalny poród stawał się tutaj niebywałym wydarzeniem. Na wieść o cudzie wszyscy - nie tylko krewni - biegli do kościoła, aby wzniesić modły dziękczynne.

Eduardo Zarragoza, karzeł, był jedynym dzieckiem spośród potomstwa swej matki, który urodził się z sercem na właściwym miejscu. Wszyscy jego bracia i wszystkie siostry, urodzeni tak przed nim, jak i po nim, zostali pogrzebani w tym samym grobie, który otwierano po zakończeniu każdego z kolejnych porodów, by złożyć w nim maleńki korpus z sercem wiszącym jak truskawka na zewnątrz klatki piersiowej. Maleńkie, skrwawione serca zabiły najwyżej po kilka razy w ziemskim wcieleniu.

Piętnastoletni Eduardo z wielką ochotą przybył na dwór do Madrytu i dołączył do pałacowej grupy potworkowatych osobliwości. Maria nie widziała czegoś podobnego w Paryżu, chociaż Król Słońce, znany ze swego eklektyzmu, gromadził wszelkie możliwe niezwykłości. Król Ludwik miał wyjątkową słabość do dziewczyn o kilku parach piersi. Ich małe cycuszki drżały pod jego królewskim wzrokiem jak u karmiących kotek: dwie, trzy, a nawet cztery pary pod przejrzystym płótnem drapowanych okryć. Były to jedne z wielu pereł we francuskiej kolekcji, która wypełniała budynek o stu siedemnastu pokojach po drugiej stronie sztucznego stawu, niską budowlę schowaną za brzozowym gajem. W przeciwieństwie do Francuzów, Hiszpanie byli specjalistami: ich pasje były ściśle określone, ugruntowane i niezmiennie. Tak bardzo faworyzowali karłów, że królewska rodzina nie gromadziła żadnych innych wybryków natury. Eduardo był siódmym z siedmiu karłów na dworze.

Cierpiał na migrenę podobnie jak wszystkie inne karły. Królowa matka co tydzień wydzielala mu porcję pigułek od bólu głowy i laudanum. Dostarczanie karłom środków przeciwbólowych miało charakter kontraktowy. Dzięki medykamentom krzywe kręgosłupy i pałkowate nogi nie przeszkadzały im podskakiwać, płaszać i obracać się w powietrzu. Ze

względu na laudanum karły chętnie szukały zatrudnienia w pałacu. Pobyt na dworze nie tylko umożliwiał zażywanie odurzających leków, ale także zmieniał perspektywy życiowe: siedem istnień czynił znośnymi.

Co tydzień stawiali się w komnatach Marianny: Eduardo, Pedro i Dominguez; Escobar, Diego Valdez, Diego Zarragoza (kuzyn Eduarda) i Juanito (także rodem z Penarroyi). Przychodzili nie do doktora Severo, królewskiego medyka, lecz do królowej matki. Marianna chciała czuwać nad lojalnością karłów. Pragnęła, by myśleli o niej jako o osobie, która uwalnia ich od cierpienia. Chciała uchodzić za kogoś w rodzaju świętej. Naprawdę zależało jej na władzy nad każdym rezydentem pałacu, a laudanum stanowiło narzędzie panowania nad karłami. Zatem co niedziela zjawiali się u niej w porze nieszporów. Marianna przyjmowała ich w sali audiencyjnej w zachodnim skrzydle pałacu. Siedziała w czarnej sukni. Wydatny podbródek opierała na białym, wysokim kołnierzu, a na kolanach trzymała różaniec. Wywoływała karły kolejno według alfabetu. Każdy z nich występował, klękał przed nią i otrzymywał mały zwitek z pigułkami (którego bezzwłocznie się pozbywał jako bezużytecznego) i fiolkę z laudanum (którą, jako bezcenną, chroniłby bardziej niż monety, gdyby je dostał).

Spośród karłów jedynie Eduardo nie był uzależniony od opium. O nie. W piątym roku swego panowania to Maria potrzebowała jego porcji. To Maria czekała na nią co tydzień. Na zaklętą w kroplach porcję snu. Na porcję jedzenia, śmiechu, oddechu pełną piersią. Królowa i jej karzeł - na takie miano Eduardo w pełni zasłużył i tak go wówczas nazywano: „Jej karzeł” - umawiali się na spotkania co tydzień w innym miejscu. Mijali się na którymś z korytarzy, przy grocie, obok pokoju z mapami, obok relikwiarza. Karzeł wsuwał fiolkę w dłoń królowej, w mufkę, za krawędź buta do konnej jazdy.

Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu laudanum pozwalało królowej znosić hańbę niepłodności. Pozwalało powstrzymać łzy poniżenia, gdy poddawano badaniom najintymniejsze części jej ciała. Umożliwiała zachowanie obojętności, gdy doktor Severo pobierał próbki miesięcznych krwawień, wrywał włosy z jej łona do badań alchemicznych, zmywał uda, pośladki i każdą fałdkę ciała piekącym wyciągiem ściągających ziół, które zgodnie z intencją medyka miały przyspieszyć przemianę.

Bez laudanum nie umiałyby spokojnie leżeć podczas beznadziejnych prób Carlosa uczynienia ją brzemienną, prób obserwowanych teraz przez medyka, przez spowiednika i nawet przez przygodnego eksperta, którego poproszono o konsultację.

- Wszystkie czynności wykonuje należycie - konkludował za każdym razem doktor Severo, któż bowiem ośmieliłby się krytykować sposób, w jaki król uprawia miłość, i liczyć przy tym na zachowanie głowy na karku?

- No dobrze, ale czy modlicie się podczas każdej próby? - pytał króla spowiednik.

Eksperci jedynie kiwali głowami, mruzcili coś pod nosem, zerkali na boki, po czym udawali się do swych komnat, by sporządzić jakiś całkowicie niezrozumiały raport. Maria czasem obawiała się, że Severo spostrzeże jej rozszerzone źrenice. Jednakże medyk był całkowicie pochłonięty niepowodzeniem w prokreacji - niepowodzeniem, które niemal w równym stopniu podkopywało na dworze jego pozycję, jak pozycję królowej - był tak zaabsorbowany badaniem dolnych partii kobiecego ciała i prawdopodobnie tak skrupowany regułami swego zawodu, że nigdy nie spojrzał na twarz Marii, w oczy powilgotniałe i szeroko rozwarte tak z powodu udręki, jak pod wpływem laudanum.

W chwili samotności, to znaczy podczas wypróżniania się, królowa, siedząc na sedesie, otwierała maleńką fiolkę i zaglądała w błękitną szklaną szyjkę. Powoli i ostrożnie wydzielala sobie na język krople narkotyku.

Każda buteleczka laudanum zawierała dokładnie i niezmiennie siedemdziesiąt kropli: dziesięć na każdy dzień tygodnia. Jeżeli któregoś dnia Maria potrzebowała zwiększonej dawki - gdy udzielała audiencji, w święto lub z powodu innych nadzwyczajnych okoliczności - starała się obyć bez opium albo dzień wcześniej, albo następnego dnia.

„Ten stary karaluch!” - mówił Eduardo o matce Carlosa. Królowa matka ciągle nosiła żałobne suknie, bo choć ojciec Carlosa nie żył od piętnastu lat, czerń doskonale odpowiadała jej usposobieniu; jedwabny stan mienił się zielenią, w innym świetle - błękitem. Stukała obcasami, idąc w wysokich pantofelkach; zgodnie z denerwującym wszystkich nawykiem przemykała się korytarzami i znikła za rozmaitymi drzwiami; wszystko to sprawiało, że według kapryśnej królowej i jej przyjaciela królowa matka przypominała dużego karalucha, który poluje w zakamarkach pałacu na drobniejsze ofiary. Zdarzało się, że zza pleców Marianny Eduardo poruszał rękoma nad swoją głową, imitując czułki, czym rozśmieszał Marię. I czasem rzeczywiście śmiała się - niemądrze. Czyniła jeszcze bardziej nierozsądnie, wając się przy udziale Eduarda na znacznie poważniejsze sztuczki. Lata upływały, a królowa nadal nie urodziła nawet jednego dziecka. Macierzyństwo zapewne wpłynęłoby na poskromienie jej figlarnej natury.



Królowa matka była przesadna. W sypialni miała mały ołtarz. Klękała przed figurką Świętej Dziewicy i powierzała jej swe zmartwienia. Pewnego popołudnia, gdy Marianna w innym skrzydle pałacu konferowała z ministrem finansów - comiesięczne spotkanie miało na celu naprawienie szkód, które powstawały z winy Carlosa przez cztery minione tygodnie - Maria zakradła się do komnaty teściowej. Towarzyszył jej Eduardo. Oboje spojrzeli na Dziewicę Bolejącą.

- Sądzisz, że figurka rozmawia z nią? - zapytała Maria.

Eduardo uśmiechnął się.

- Możemy to sprawić - powiedział.

- Istotnie - odrzekła Maria; oczy jej błyszczały. - A to ci dopiero byłby zaszczyt. Pomyśl tylko, jakiego szczęścia dostąpiłby karaluch. Oto Królowa Niebios znajduje czas dla dawnej hiszpańskiej królowej!

Mistrz bruchomówstwa, Eduardo, umiał wydobyć z siebie dowolne tony o dowolnej wysokości. Nawet głos brzmiący niebiańsko nie przekraczał jego możliwości. Tego samego dnia karzeł ukrył się pod łóżem Marianny, przykrytym kapą sięgającą posadzki. Kiedy wieczorem królowa matka poprosiła Świętą Dziewicę o wskazówki, otrzymała je. Matka Boska Bolejąca głosem słodkim i melodyjnym poleciła jej obciąć włosy i przez dziewięć dni nie jeść niczego poza surowymi białkami, co miało zaświadczyć o jej oddaniu.

Następnego dnia włosy matki Carlosa znalazły się w madryckiej katedrze obok stosu długich warkoczy i loków u chłodnych, marmurowych stóp Dziewicy. W ciężkich czasach ludzie stawali się bardziej pobożni. Ostatnimi czasy kościelny już trzykrotnie prznosił podobne wota do małego pomieszczenia pod nawą. Znalazły się tutaj skrzynie i worki z włosami. A także jedwabne peruki - pełne beczki. Laski, buty, okulary, szlachetne kamienie, kosztowne kapy obszyte futrem. Wszystko darowane Świętej Dziewicy, by wobec owych świadectw oddania zechciała uczynić świat szczęśliwszym.

Tego samego dnia podczas kolacji Maria starała się nie patrzeć, jak Marianna zмага się z przezroczystą, ciągliwą substancją, która ustawicznie uciekała jej z łyżki i wpadała z powrotem do talerza. Przez jakiś czas Marii udawało się panować nad sobą, ale tylko dlatego, że na nikogo nie patrzyła. Ledwie jednak spojrzała na zmieszany wyraz twarzy Carlosa, zaczęła się śmiać.

- Cóż to znaczy, matko? - zapytał.

Maria zakrztusiła się okruchami chleba. Skoro już raz wybuchła śmiechem, nie potrafiła

się opanować. Na głowie czuła gęsią skórę, policzki płonęły jej rumieńcem. Podskakiwały guziki przy gorsecie. Zanosila się śmiechem i piała.

Zachowanie królowej uznano za histerię. Odesłano ją do jej komnat, a zavezwany doktor Severo zaaplikował jej tyle środków przeczyszczających, że na śmiech nie miała już ani siły, ani ochoty.

Wkrótce odwiedził ją Eduardo. Wdrapał się na krzesło stojące przy łóżku. Wyglądał śmiertelnie poważnie.

- Powinniśmy zachowywać się bardziej przezornie - powiedział. - W przyszłości już nie poważę się na coś tak wielce nieroztropnego. Przepraszam.

- Och, ja wcale się tym nie zmartwiłam! - wykrzyknęła Maria. - Było warto!

- Szsz - przestrzegł. Kiwnął głową w kierunku pokojówki, która stała przy drzwiach i nadstawiała uszu. Maria nie przejęła się. Długo siedział w milczeniu. - Byłbym bardzo samotny - rzekł w końcu.

- Samotny? O czym mówisz?

- Ponieważ odesła cię do Francji. Jeżeli nie będziesz odpowiednio ostrożna.

- Ojej! - zawołała, prostując się w łóżku. Pościel opadła, odsłaniając jej ramiona. - Sądzisz, że mogłabym zrobić coś tak okropnego, aby narazić się na odesłanie do domu?

Spojrzał na nią.

- Nie - odrzekł wreszcie. - Odesłaliby cię do domu tylko wówczas, gdyby dwór hiszpański uzgodnił z dworem francuskim miejsce twojego pochówku.

Zapadła cisza. Eduardo spoglądał przez okno, królowa zaś patrzyła na niego.

- Mario - odezwał się po dłuższej chwili milczenia. - Sprawy układają się coraz gorzej. W kuchni nie mówi się o niczym innym. - Przyjrzał się swoim paznokciom. W zadumie pochylił nieproporcjonalnie dużą głowę, ręce ułożył pod takim kątem, że jego krótkie palce przyciągały uwagę Marii. Pałkowate nogi kończyły się małymi, delikatnymi stopami wsuniętymi w ekstrawaganckie buty. Eduardo był dumny ze swoich ładnych stóp i dużych, wyrazistych oczu pod wysokimi łukami brwi.

- Co powiedziałaś? - zapytała Maria.

- Że jesteś bezpłodna i...

- Nie jestem bezpłodna! Żadna kobieta w mojej rodzinie nie była bezpłodna, żadna...

- Nie była, zgoda. - Uśmiechnął się. Jego usta otaczał starannie przystrzyżony zarost. -

Ale następca tronu nie urodził się albo z twojej winy, albo z winy króla. Z góry można przewidzieć, kogo będzie się oskarżać. - Maria zamilkła. Skrzyżowała ramiona. - Wiesz przecież, że jeśli Hiszpania ma oprzeć się Francji i zachować resztki swej potęgi, potrzebny jej będzie zdrowy następca tronu. Nawet jeśli nie obchodzi cię polityka, nie wolno ci jej ignorować. - Eduardo mówił szeptem, ale bardzo dobitnie. - Nie rozumiesz, że jeśli zostanie oficjalnie stwierdzone, że wina za brak potomka leży po twojej stronie, co, jak się zdaje, niedługo nastąpi, wówczas zostaniesz usunięta? - Pochylił się do przodu. - Nie rozumiesz, co to oznacza? Albo oszalejesz, albo zamkną cię w jakimś miejscu odosobnienia. Orzekną, że jesteś chora na tuberkulozę i odeślą cię w Alpy. Doprowadzą do rozpacz, a gdy wypłaczesz oczy, zbadają cię specjaliści i poddadzą egzorcyzmom. Może też zdarzyć się coś gorszego. Niewykluczone, że cię otrują.

Maria spojrzała przez okno na ponure ogrody, na regularne kształty żywopłotów, rośliny przyszytych tak, by otaczały niczym ścianą inną ścianę, następną i jeszcze następną.

- Ach tak - powiedziała, siląc się na pogodny, ironiczny ton, co jednak nie wypadło zbyt naturalnie. Oboje zamilkli na wspomnienie dotkliwych, nie wyjaśnionych chorób, na które ostatnio cierpiała. - Zatem będzie ci przykro, tak? - spytała po chwili. - Będziesz niepokieszony?

Karzeł westchnął, podniósł oczy na sufit. Nogi wystawały mu zabawnie poza krzesło. Jedynie w komnatach karłów meble były dostosowane do rozmiarów ich mieszkańców. W pozostałych pomieszczeniach mali rezydenci pałacu musieli sobie jakoś radzić. Pośród mebli królowej Eduardo wyglądał komicznie, w żadnym zaś razie dostojnie. Smutek zupełnie karłom nie przystoi, wszystko zaś, co ich dotyczy, zdaje się komiczne.

- Eduardo - powiedziała Maria i wyciągnęła ku niemu ramiona, jak gdyby była dzieckiem, on zaś jej pokurczonym ojcem. - Wiem, zachowuję się denerwująco. Na pewno zmęczyłeś się, usiłując mnie czegoś nauczyć.

Karzeł znowu westchnął. Zszedł z krzesła i podszedł do łóżka. Maria pozwoliła, żeby oparł głowę na pościeli. Eduardo uważał swą panią za osobę nader tajemniczą. Jako człowiek, którego talent polegał na wyjątkowej umiejętności przeżycia mimo rozmaitych przeciwności losu - wszystkie te ekwilibrystyczne, słowne sztuczki były zaledwie igraszkami podporządkowanymi sztuce wymagającej znacznie większego artyzmu - wiedział, że zawsze będzie czynił to, do czego zmusi go sytuacja. A Maria? Czyżby Maria nie myślała o przeżyciu? Czyżby za nic w świecie nie chciała zrezygnować z dziewczęcych marzeń, o których często mu opowiadała?

\* \* \*

Jedna pora roku ustępowała przed drugą i w zasadzie nie doszło do żadnych poważnych incydentów. Siedem zim, siedem wiosen. Siedmiokroć lato i siedmiokroć jesień. Drzewa, które niegdyś tata zasadził, wyrosły tak wysoko i bujnie, że ich liście każdej jesieni tworzyły pomiędzy niebem i ziemią potężny, złocisty baldachim. W tym czasie byłam już w moim ostatnim domu, w więzieniu, pozbawiona wszystkiego, co kochałam. Już nie mogłam spacerować między drzewkami morwy albo leżeć na plecach i przyglądać się, jak wiatr strąca żółte liście. Z powierzchni ziemi pnie wznosiły się nade mną uroczyście jak kolumny, jak nogi - jak nogi mojej mamy ginące pod obszerną, żółtą spódnicą. Czasem przekreślałam się na bok i obejmowałam jeden z pni. Gdy wiatr rozchyłał liściasty strój i odsłaniał skrawek nieba, serce zaczynało mi bić zdecydowanie szybciej. Kiedy wyciągam dłoń głęboko w mrok, napotykam chropawe kamienie mojej celi. W dotyku przypominają korę drzew. Czasem.

Wypadek z koniem przydarzył się jesienią siódmego roku panowania Marii.

Pechowy dzień rozpoczął się zwyczajnie, jak każdy inny. Po śniadaniu królowa wróciła do swojej komnaty. Chociaż zbliżało się prawie południe, służąca Obdulia wiedziała, że jej pani będzie chciała wrócić do łóżka, i jak zwykle wsunęła między prześcieradła butelkę z gorącą wodą, by odpędzić chłód, który wkradł się z murowanych ścian pod ciężką narzutę.

Królowa Maria Luisa zdjęła suknię przeznaczoną na dzień i włożyła z powrotem koszulę nocną, rozpuściła włosy i wsunęła się pod kołdrę. Spała z pulchną dłonią przy ustach. Było jej smutno, więc spała. Lecz kiedy miała już dość snu, nim zdążyła zażyć pierwszą dawkę laudanum, była rozkapryszona i niespokojna. Zaczynała powracać do przytomności, kiedy dzwon wybijał trzecią. Obudziła się z krzykiem, spocona, z włosami przyklejonymi do policzków. Usiadła w łóżku i wezwała Obdulię, aby ta przyszła i ubrała ją w amazonkę. Zrobiła to jak lunatyczka, dzwoniąc dzwonkiem z nocnego stolika. Gdy zjawiała się służąca, Maria wyciągnęła ku niej bladą rękę, by pomogła jej zsunąć się z łóżka. Podczas toalety nie musiała robić absolutnie nic: zdążyła do tego przywyknąć, gdyż już wiele razy, wiele tysięcy razy siedziała cierpliwie, biernie poddając się dłoniom pokojówki.

Maria nie zachęcała służącej do rozmowy - tylko Eduardo i Esperte cieszyli się jej zaufaniem - zatem Obdulia pracowała w milczeniu. Tak czy inaczej pokojówka знаła swoje miejsce. Znała wymogi wiążące się z jej pozycją. Dama, która oddawała się do dyspozycji królowej, musiała być spostrzegawcza. Powinna zrelacjonować, czym żyje pałac, jeśli tylko w

gestach swej pani dostrzegła zaproszenie do pogawędki. Natomiast gdy oczekiwano od niej milczenia, powinna umieć to odczytać chociażby z postawy, znaczącego westchnienia. Powinna umieć skupić swoją uwagę wyłącznie na części, nie na całej osobie. I tak manikiurzystki koncentrowały się na paznokciach i skórkach; fryzjerki interesowały się lokami za uchem; garderobiane zajmowały się już to kostką, już to guzikiem albo pętelką u gorsetu. Każdego dnia niewielu ludzi rzeczywiście patrzyło na Marię, której pozycja, której „wysokość” pozwalała spoglądać, na kogo chciała, i to dowolnie długo. Wpatrywała się w rysy, patrzyła na opuszczone oczy, pragnąc wyczytać z nich, co się dzieje na królewskim dworze, co zamierza królowa matka i czy Carlos pojawi się tej nocy w jej sypialni. Carlos był wprawdzie królem, władcą, ale także człowiekiem, nie więc dziwnego, że i jemu coraz bardziej doskwierały prokreacyjne niepowodzenia, na pewno nie mniej niż Marii. Już nie podniecał się natychmiast; teraz potrzebował widoku odpowiedniego stroju, zapachu pewnych perfum, a nawet dźwięku pewnych słów. Niechybną zapowiedzią nocnej wizyty króla u małżonki było przesłanie jej przez służącego i pokojówkę najciaśniejszego gorsetu. Król Carlos pragnął, by miała wąską talię jak w czasach, kiedy była jeszcze księżniczką, talię, którą mógłby objąć swymi drżącymi rękoma.

Przyszedł do niej nocą przed wypadkiem. Nie podziałała magia jego ulubionego gorsetu. Ani przez chwilę nie poczuł się mężczyzną i wyszedł przed upływem godziny. Nie krzyczał, nigdy tego nie czynił, ale zdarł z Marii gorset i gwałtownym ruchem odrzucił go na bok. Ów element damskiej garderoby nadal leżał na podłodze pod umywalką. Maria patrzyła w tamtą stronę, podczas gdy pokojówka czesała jej długie włosy i układała je przed nałożeniem kapelusza do jazdy.

Gorset wydawał się mały i niezwykle ciasny. Jak to się stało, że nie udusiła się w nocy? Poruszenie szczotki sprawiło, że przestała patrzeć w tamtą stronę. Jeszcze niespokojna po śnie, pozapinana i zasznurowana, uczesana, ubrana w buty i rękawiczki, królowa ruszyła w dół długich schodów w zachodnim skrzydle pałacu. Za nią kroczył służący z biczyskiem.

- Och! - zawołała nagle. Służący stanął w miejscu. - Muszę wrócić do siebie. Wracam za minutę. Zaczekaj na mnie w ogrodzie przy południowej bramie. - Zmarszczył brwi. - Potrzeba natury - wyjaśniła. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i zaczęła wchodzić po stopniach. Na piętrze skręciła w lewo (a nie w prawo, jak powinna, by dojść do swoich komnat) i wślizgnęła się do pomieszczenia z mapami dokładnie w chwili, gdy dzwony biły na nonę. Eduardo wyłonił się zza wielkiej mapy, na której kolorowe szpilki wskazywały miejsca wszystkich przypadków

śmierci Hiszpanów z rąk Apaczów i Komanczów, Indian Nasoni i Tonkawa. Śmierć poległego w walce diuka oznaczono szpilką z niebieską główką, granda - z purpurową, hidalga granatową, caballero zieloną i tak dalej, zgodnie z pozycją nieustraszonych odkrywców. Śmierci barbarzyńców nie upamiętniał żaden znak. Ich rzeczywistym wrogiem była ospa, która zbierała swoje żniwo obojętna na mapy i szpilki.

Królowa odebrała fiołkę od króla, ale zanim odeszła, przyjęła dokładnie dwie krople bursztynowej cieczy na wysunięty język: zbyt mało, by wywołać narkotyczny efekt, lecz dosyć, aby usunąć skutki narkotycznego głodu.

Maria spotkała służącego w ustalonym miejscu i oboje podążyli alejką między wysokimi żywopłotami, które akurat przechodziły metamorfozę od czysto geometrycznych form do bezkształtnej armady złożonej z nieruchomych, zielonych okrętów. Zawczasu, na sześć lat przed terminem - wzrostu roślin nie można przyspieszyć, w żadnym razie nie można, orzekł królewski ogrodnik - ogrodnicy byli przygotowani do obchodów dwusetnej rocznicy przybycia Kolumba do wybrzeży Nowej Hiszpanii. Wszyscy liczyli na to, że w 1692 roku stara Hiszpania będzie posiadała nadal dostateczną ilość odebranego Inkom złota, by godnie uczcić owo wydarzenie. Maria i jej służący szli w milczeniu po obwodzie skomplikowanego labiryntu, do którego jeszcze nigdy nie ośmieliła się wkroczyć. „Niby dlaczego miałabym to zrobić - zapytała pewnego razu urażonego artystę, biegłego w sztuce strzyżenia krzewów - skoro w pałacu jest dość zakamarków? Nie starczyłoby życia, aby zwiedzić wszystkie”.

W stajni chłopiec stajenny trzymał za uzdę osiodłanego Rosynanta. Usłyszawszy stukot butów królowej na kamiennej posadzce, bursztynowy koń zaczął parskać. Został nazwany imieniem rumaka należącego do Rycerza o Smutnym Obliczu ze słynnej powieści Cervantesa. Służący pomógł królowej wspiąć się na siodło, potem sam wskoczył na wierzchowca i ruszył dziesięć długości za Marią, a za nim wyjechały dwie amazonki.

Królowa jeździła konno lepiej niż ktokolwiek spośród służby. Po kilku minutach zniknęła z zasięgu ich wzroku. Popędziła konia, zmuszając go do przejścia z cwału w galop. Jak zawsze Maria Luisa naprawdę budziła się dopiero w siodle, kiedy Rosynant miał za sobą co najmniej milę. Tylko podczas takich ucieczek odzyskiwała pełną przytomność umysłu. Spod końskich kopyt pryskały w górę kawałki czarnej ziemi, wilgotne liście przyklejały się do wysokich butów.

Z początku wysiłek sprawiał jej ból. Albo może tylko gnębiło ją sumienie. Ale później było już całkiem dobrze, czuła się wspaniale. Kiedy włosy spływały jej na plecy, kiedy kapelus

pofrunął z wiatrem na spotkanie ponurego służącego, poczuła przyływ euforycznej radości. Ostre światło jesiennego słońca zdawało się wypełniać jej głowę i spływać do serca. W życiu królowej, odartym niemal z wszelkich rozkoszy, w szczególności pod dachem pałacu, gdzie w każdej chwili ciążyła jej świadomość, że pokój dziecięcy jest pusty, pozostała jedna, niewątpliwa przyjemność - jazda konna. Koński galop do pewnego stopnia rekompensował jej inne ograniczenia. W końcu udało się jej opanować chodzenie w pantofelkach na wysokich obcasach, a tylko takie nosiła publicznie - nie tylko najwyższe w całym królestwie, lecz najwyższe w historii - ale nawet najsilniejsza kobieta czułaby się skępowana w stroju obowiązującym na hiszpańskim dworze.

Zdarzało się, że królowa wywoływała zamieszanie swymi upadkami, spowodowanymi reakcją organizmu na zażycie laudanum. Ośmielona zawartością małej, błękitnej buteleczki, Maria opanowała do perfekcji sztukę spania z otwartymi oczyma podczas długich ceremonii; kiwała głową i gestykulowała automatycznie i w odpowiednich momentach. Bywało, że czasem potknęła się, zachwiała, przewróciła.

Tego dnia, dokładnie w chwili, gdy zaczęła się śmiać - tak bardzo czuła się szczęśliwa - zaledwie kilka długości konia od środka polany, na której słońce zdawało się świecić niezwykle jasno, Maria straciła panowanie nad Rosynantem. Potem przypomniała sobie, jak odniosła wrażenie, że przekręciło się siodło; być może nie dopięto popręgu - być może, że zgodnie z przestrogą Eduarda, ktoś świadomie chciał ją skrzywdzić. Niewykluczone też, iż pod wpływem narkotyku zachowała mniejszą ostrożność, niż tego wymagał pełen werwy koń.

Rosynant pochylił łeb i skoczył w bok. Królowa zgubiła jedną z wodzy, silnie szarpnęła za drugą, lecz rumak nie rozpoznał sygnału, którym jego pani usiłowała go powstrzymać. Ruszył galopem. Rosynant był młodym i - choć został wykastrowany, nim stał się kapryśny - pobudliwym wierzchowcem. Jego radosne rzenie wydobywało się z głębi pięknej szyi i brzmiało jak coś w rodzaju śmiechu. Z dala od stajni i pałacowego podwórca ów koń tańczył na kopytach; wokół przeszkód i nad pniami drzew; jego podkopy wystukiwały melodyjny rytm na kamiennym podłożu. Chętnie skakał, to prawda, ale niezwykle rzadko podążał niezgodnie z wolą jeźdźca. Jedyń jego wadą był strach przed węzami. Na ich widok pochylał głowę, zrywał się i uciekał.

Maria ponownie szarpnęła za wodze, ściągnęła je najsilniej, jak tylko potrafiła. Zdenerwowany tak brutalnym traktowaniem, koń stanął dęba. Albo stracił równowagę. Albo zobaczył skreconą gałąź, która przypominała węza. Tak czy inaczej, bo przecież nie można go

było o to zapytać, wspiął się na tylne nogi, tak że wyżej chyba już nie mógł, potem zaś opadł gwałtownie na kolana, jak gdyby nieoczekiwanie przystąpił do zwierzęcej modlitwy. Maria wyleciała do przodu. Spadła z siodła i po końskim karku ześlizgnęła się na ziemię. Nie zdołała się podnieść. Tak mocno była ściśnięta gorsetem, że nie była w stanie oddychać ani się nawet poruszyć. Leżała bez ruchu, aż podjechały amazonki ze służącym i wszyscy pomogli jej wstać.

Rosynant z początku pocwałował w stronę najbliższego wzgórza. Po chwili wrócił, jakby nic się nie wydarzyło. Nastawił uszu i wydawał się dobrze usposobiony. Maria chwyciła za lejce. Z jej polecenia jedna z dziewcząt sprawdziła popręg, który był nieco luźny, ale nie na tyle, by podejrzewać, że ktoś chciał skrzywdzić jeźdźca.

Królowa stała z policzkiem przyciśniętym do końskiego boku. Oddychała szybko i płytko, ponieważ jej klatkę piersiową opinał ciasny gorset oraz strój do konnej jazdy. Chmury nie wracały na miejsce; w jej oczach zdawały się opadać i spychać drzewa do jeziora. Miała stłuczony bok. Obawiała się, że nie zdoła z powrotem wspiąć się na siodło. Poprosiła sługę, aby odwrócił się, a towarzyszące jej dziewczęta, aby pomogły jej zdjąć amazonkę. Po rozsznurowaniu gorsetu długo chwytiała oddech, oparta o wilgotny zad wierzchowca, którego zapach wciągała w nozdrza. Intymna woń, jakże znajoma, przywołała wspomnienia dzieciństwa, czasów beztroskiej przeszłości i cudownych nadziei. Naraz Maria zaniósła się gwałtownym szlochem.

Służący pocwałował do stajni na końskim grzbiecie, by powrócić w powozie i zabrać do pałacu królową i towarzyszące jej panny. W drodze do pałacu koła pojazdu podskakiwały na kępach trawy i bryłach ziemi. Przy każdym drgnieniu bok królowej przeszywał kłujący ból.

Po przebadaniu Marii w jej apartamentach, Severo stwierdził złamanie żeber. Zaordynował królowej wypoczynek w łóżku, a parze królewskiej, co czynił z ogromnym żalem, wstrzemięźliwość małżeńską na co najmniej osiem tygodni.

- Gdyby Bóg chciał, by kobieta poruszała się na czterech nogach, to by ją w nie wyposażył - zauważyła Marianna przy obiedzie, choć bynajmniej nie była to myśl oryginalna, również jak na nią.

- Severo powiada, że świeże powietrze sprzyja zachowaniu dobrego zdrowia i... hmm... płodności - odparł Carlos.

- Zatem niech Maria chodzi na własnych nogach - odrzekła jego matka.

W stajni Rosynant znajdował się pod opieką Ignacia. Chłopiec obandażował koniowi



nogi. Poglądził go po nozdrzach, a piękne zwierzę parsknęło i uderzyło w kark swego opiekuna jedwabistymi wargami, z których wyrastały kolące wąsy.

- Daj spokój! - powiedział Ignacio, reagując śmiechem na łaskoczący dotyk, ale zaraz spoważniał. - Jesteś w tarapatach, mój przyjacielu - rzekł i poklepał konia po ciepłym karku. Rosynant odwrócił się do niego. Jego długie rzęsy zdrząły, jakby zrozumiał słowa chłopca.

Następnego ranka po mszy i po godzinnej naradzie ze swoim spowiednikiem Carlos zawyrokował, że całą winą za wypadek należy obarczyć konia. Tymczasem Ignacio zdjął zwierzęciu bandaż z nóg i przyniósł pastę do butów. Zaczął usuwać białą gwiazdkę i skarpety z sierści konia. Starannie wcierał w nią ciemny olej z orzecha włoskiego. W królewskiej stajni trzymano pięćdziesiąt trzy konie, z których zaledwie cztery miały białe skarpety. Niedługo, myślał sobie Ignacio, tylko trzy będą się wyróżniać. Lecz w pracy przeszkodziło mu przybycie królewskiego wysłannika.

Następnego dnia po wypadku królowa nadal sprawiała wrażenie niezwykle cierpiącej, dlatego Severo przepisał jej silniejszą nalewkę opiumową niż ta, którą otrzymywały karły. Maria miała wrażenie, że unosi się nad łóżkiem. Nadal czuła przenikliwy ból w boku, ale wcale się tym nie przejmowała. Nawet fakt, że nie mogła zajść w ciążę - potężny wir smutku i niepokoju - wydawał się mniej okropny niż zazwyczaj. Zaczęła się zastanawiać, czy narzekanie na chroniczne dolegliwości nie pomogłoby jej przejść na trwałą kurację opiumową.

Zażyła podwójną dawkę po przybyciu chłopca stajennego z ogonem Rosynanta. Potem przyjęła jeszcze połowę porcji i dopiero wówczas zdołano odwinąć koński ogon z jej dłoni, zdołano to uczynić, pomimo że zacisnęła mocno palce i szorstki włos poprzecinał miejscami miękką, białą skórę. Na nic jednak zdało się opium, by skłonić królową do zamilknięcia. Krzyczała, krzyczała, aż każdy, kto żyw w królewskiej rezydencji wyniósł się możliwie najdalej od owego źródła rozpacz; aż wreszcie świątobliwa Marianna poczęła bluźnić, a Carlos się rozplakał; aż kury przestały się nieść; aż koty rzuciły się sobie z pazurami do oczu, psy pogryzły sobie łapy; aż kucharz pozatykał uszy kawałkami zimnego smalcu, który topiąc się poplamiał mu kołnierzyk; aż jedna z mamek straciła mleko, co stało się przyczyną jej oddalenia, inna po prostu odeszła, twierdząc, że całe złoto Hiszpanii nie zmusi jej do pozostania.

Maria krzyczała do zmroku, póki nie straciła głosu, póki Severo nie otrzymał polecenia, aby zaaplikować królowej dowolnie dużą dawkę laudanum, byleby tylko ucichła.

- Dlaczego? - zapytała rankiem pokojówkę błagalnym tonem. Mówiła głosem ochryłym,

prawie niezrozumiale. - Och, dlaczego? Komu zależało, żeby zrobić coś takiego? Chciano mnie zabić?

- To jego wysokość - powiedziała Obdulia, splatając dłonie i wygładzając pościel świadczącym o zmieszaniu gestem. Przygryzła wargi. - Jego wysokość król Carlos wydał dekret: koń, który zrzucił królową, musi zostać zgładzony. Wydał rozkaz po tym, jak spadłaś, pani, z siodła. Zasugerował też, by Ignacio przyniósł waszej wysokości koński ogon i pokazał, że dokonała się zemsta. - Mała pokojówka chciała pogłodzić dłoń Marii, ale jej pani zdążyła się odsunąć.

Oto zniszczono jeszcze jeden z powodów, dla których warto było próbować, pomyślała królowa. Straciła jedną z przyjemności, które czyniły jej życie tutaj znośniejszym.

Powiedziała to pokojówce - powiedziała to, stojąc na łożu, gdy jej stopy były zaplątane w kołdrę. Twarz miała opuchniętą od płaczu, jedną ręką trzymała się za pęknięte żebro, druga ginęła w bandażach. Powiedziała:

- Pomiedzy mną a nimi, pomiedzy francuską królową a jej hiszpańskimi prześladowcami trwa wojna. - Powiedziała to po francusku: *la guerre*. Przestała płakać i zaczęła się śmiać, piskliwym, przerażającym, histerycznym śmiechem. - Wypowiadam tę wojnę i oświadczam, że rychlej skonam, niż poddam się potworom, które poważyły się zabić mojego konia - powiedziała. Potem z powrotem opadła na łóżko, szlochając i śmiejąc się jednocześnie.

\* \* \*

W moich rodzinnych stronach ludzie z niesmakiem patrzają na jeżdżące wierzchem kobiety, niechby to nawet była ich królowa, która nauczyła się dosiadać konia w wieku lat siedmiu. Która kiedyś jeździła po zagajnikach Wersalu. Widywała tam świeżo wyrosłe kępki przebiśniegów i konwalii niczym wysepki śniegu tuż przed roztopieniem; płatki kwiatów spadające z tysiąca wiśniowych drzewek, różowe i wonne jak łyzy cherubinów. Czasem padał grad; lodowe pociski odbijały się od łupkowych dachówek *chateau*. Wtedy Marie nie mogła wyjść pod otwarte niebo. Musiała tkwić wewnątrz ogromnego budynku - samotna dziewczyna, spacerująca długimi korytarzami. Były tam misy pełne owoców z drewna, pokryte złotą folią; lubiła zostawiać ślady swoich zębów na nie nadającej się do zjedzenia gruszce albo brzoskwini. Krzesła w kolorze pistacjowych lodów, szerokie kobierce z seledynowego jedwabiu, czerwone i purpurowe kapy, ciągnące się w nieskończoność galerie luster i ogromne okna, przez które wpadało do środka światło dzienne. Całe *chateau* syciło się światłem, pożerało światło, spijało je.

Jej stryj, Król Słońce, wypełniał je światłem od środka.

Pomiędzy salą, gdzie ćwiczyła taniec, a pokojami jej matki znajdowało się aż siedem galerii. Biegła nimi, zatrzymując się tylko po to, by poślizgać się na podszwach swych dziecięcych pantofelków, by pokonać ślizgiem kałuże światła, rozlane na ciepłej podłodze. We Francji światło było różowe albo tak jej się przynajmniej zdawało. Zielone ogrody rozciągały się pod różowymi firanami światła. A jakże, przecież słońce świeciło na rozkaz francuskiego króla. Planety obracają się dookoła Słońca, czego Marie dowiedziała się podczas pierwszej lekcji przyrody. A świat cały kręci się wokół Ludwika XIV, co było lekcją jeszcze bardziej podstawową, ponieważ nawet jego łabędzie, pływające w kierunku wskazówek zegara po lśniącej powierzchni jeziora, wiedziały, że Ludwik jest pierwszą przyczyną, najważniejszą sprężyną w potężnym zegarze - Francji - odmierzającym czas nowej ery, ery panowania Rozumu, wieku, który prowadził czarownice na szubienice, przynajmniej jedną na tydzień.

Co do czarownic, to także i one stały się częścią mechanizmu owego przerażającego zegara. Ich nogi kołysały się w tył i w przód ponad tłumem wiwatujących na przybycie śmierci. Marie chodziła na egzekucje. Chodzili na nie wszyscy. Po fetach, po wystawnych obiadach i po tańcach, po najnowszych dramatach Racine'a wieszanie ludzi było najlepszą rozrywką dla publiczności. Marie i inne księżniczki cieszyły się szczególnymi względami u ogrodnika. Umiały wyprosić od niego bukietki nagietków, dzięgieli, piołunów.

- Znakomite przeciw czarownicom - powiedział pan Clement. - Rozsądnie byłoby też wziąć kilka ostów - wołał za nimi. - A tutaj mam jeszcze odrobinę portulaki do powozu! - Rzuciły kwiatkami w stronę szubienicy. Jeśli prawdą jest, jak powiadają, że żółte kwiaty niepokoją praktykujących czarną magię, to może właśnie dlatego nim czarownice zaczęły się kołysać, przedtem gwałtownie podrygiwały.

Publiczne egzekucje w Madrycie nie bawiły Marii. Nawet ta ostatnia i największa z nich - pierwsza i ostatnia, którą widziałyśmy obie, królowa i ja - najwyraźniej wcale jej nie przypadła do gustu. Oczywiście rozumiem, że woń palonych heretyczek nie może radować tak jak zabawne podrygi pary ohydnych stóp.

Wspaniałe autodafe przed trzema laty przypadło na św. Pawła, dwudziestego pierwszego czerwca, najbardziej upalnego czerwca, jaki zachował się w mojej pamięci. Rozpoczęło się wczesnym świtem i trwało do późna w nocy tego najdłuższego dnia w roku. Zebrano bluźnierców i heretyków z całej Hiszpanii, by ich skazać i publicznie poniżyć. Żydów,

czarownice, bigamistów. Nierządnicę, cudzołożników, bluźnierców, winnych symonii, stręczycieli, fałszerzy. Lochy Madrytu i pobliskiego Toledo z trudem mieściły grzeszników, ale pośród nich nie dość było tych najbardziej winnych, najbardziej występnych, aby widowisko miało należyłą oprawę. Wobec tego powyciągano ich i przywleczono do Madrytu ze wszystkich najbardziej nawet zapadłych zakątków Hiszpanii. Z wilgotnych lochów Sewilli, z pływającego hospicjum u wybrzeża Malagi, z kopalni soli w Bajadoz i piwnic pod Alhambra. Żalose, wychudłe korpusy potępionych, jeszcze bardziej wycieńczone po kilkunastodniowej podróży na furmankach, upchnięte w klatkach niczym owce wiezione na rzeź. Ci, którzy umarli w podróży, mieli szczęście.

Dwudziestego dnia czerwca słońce świeciło jaskrawo, intensywnie, co dobrze harmonizowało z fanatyczną naturą św. Pawła Apostoła. Setki łokci purpurowego adamaszku udrapowano na rusztowaniu owego teatru pod gołym niebem i na balkonach. Osiem z nich zajmowały damy dworu, następnych dziesięć trzeszczało pod grandami, a hidalgowie zgromadzili się na galerii tak tłumnie, że musieli stać, aby cokolwiek widzieć. Wszyscy pocili się w strojach ciężkich od brokatu, symboli wyszytych jeden obok drugiego. Na samej górze zasiadł Pierwszy Inkwizytor.

Uwięziono mnie zaledwie miesiąc przed wielkim autodafe i do tego dnia trzymano dokładnie w tej samej, dość obszernej celi, którą zajmuję obecnie. W mroku tego samego pomieszczenia było nas szesnaście czarownic, skutych w kostkach kajdanami. Prowadzone szeptem powitalne rozmowy ujawniły obecność sześciu akuszerok, dwóch mamek, pięciu nierządnic i trzech oszalałych wdów. I oto mamy listę win: pomoc w narodzinach, karmienie niemowląt, cudzołóstwo i droga ku szaleństwu. Nieprawości, których się dopuściliśmy, potwierdzali świadkowie. Zeznawali oni pod przysięgą, że zauroczyliśmy im bydło, że widzieli nasze twarze w płomieniach żywego ognia, że dostawali ataków choroby, kiedy przecinali nam drogę albo że zrywał się wiatr, kiedy przybywaaliśmy do miasta. Nikt z nich nie mówił fałszywego świadectwa przeciwko nam. Każdy święcie wierzył w prawdziwość swoich słów.

Po przybyciu do więzienia białe kaptury poddały nas dokładnym oględzinom. Kazano nam się rozebrać, po czym nasze ciała obejrzano dokładnie w poszukiwaniu diabelskich sutków. Jak się później okazało, miałyśmy je wszystkie. Nikogo to nie zdziwiło. Przestałam bronić się przed bezbożną inspekcją, gdy zrozumiałam, że białe kaptury prędzej połamią mi ramiona, nogi i kark, niż zrezygnują z przebadania każdej fałdy mojej skóry w poszukiwaniu owego ukrytego

sutka, który ponoć każda czarownica daje do ssania mistrzowi sztuk czarnoksiężskich. Specjalnymi klamrami rozsunęto mi kolana. Podobne narzędzia mogłyby się przydać każdemu mężczyźnie w tym samym bądź w innym celu.

- To nie jest sutek! - powiedziałam, ale zupełnie niepotrzebnie. Jeden z białych kapturów czubkiem buta rozciągnął sekretne miejsce mojego ciała; nie chciał dotykać mnie dłońmi. Podszedł pisarz z latarnią, podniósł ją na mnie, następnie zapisał coś na pergaminie.

Specjalnie na autodafe my, czarownice, jeszcze nocą zostałyśmy przyobleczone w długie, luźne szaty. Podano nam także śniadanie, ponieważ inaczej mogłybyśmy potem mdleć i nie dać Boże zepsuć całą procesję. Kawałek miękkiego, czarnego chleba, posmarowany gęsim tłuszczem, duży kawałek dla każdej z nas. Wyszłyśmy z naszej tymczasowej celi, zanim rozległo się triumfalne bicie dzwonów. Po wilgotnych schodach wspięłyśmy się do bramy o trzech skrzydłach pomiędzy sklepami piekarza a trumniarza - rzemieślników dwóch specjalności, których usługi doskonale uzupełniałyby działalność więzienia, jeśliby któryś z normalnych mieszkańców miasta, zwykły piekarz albo mistrz sztuki wyrobu trumien, wiedział, co znajdowało się za bramą i pod nią.

Nawet gdybym wam powiedziała, gdzie się znajdujemy, ja i moje towarzyski czarownice, gdybym nawet zdołała wytłumaczyć zgodnie z moją najlepszą wiedzą, gdzie mieszkamy: dwieście osiemnaście kroków na północ od Plaza Mayor, sto czterdzieści trzy w kierunku zachodnim i potem wiele, wiele Kroków w dół, to i tak byście nas nie znaleźli.

Więzienia Inkwizycji są tajne i nie mają adresu. Ciągną się pod Madrytem bez żadnych ograniczeń. Pod arenami i parkami, pod budynkiem opery i największym targowiskiem. Obywatele Madrytu zawsze stąpali i pracowali, jedli kolację i patrzyli się, rozmawiali, śpiewali, kąpali się, szyli i spali nad potężną metropolią przeklętych, nad labiryntem, nad światem godnym wyobraźni Dantego. Mieszkańcy i pracownicy więzień nie wchodzili ani nie wychodzili przez wysokie bramy Nie - istniało mnóstwo wejść do miasta przez zwykłe drzwi, wciśnięte pomiędzy jednym a drugim sklepem. Każdy widział takie drzwi, gdy szedł na przykład do cyrulika albo do szklarza. Każdy choć przez chwilę zastanawiał się, cóż to za bezimienny portal tuż za apteką? Te zamknięte wrota przy warsztacie garbarza? Jest ich tak wiele, że w ciągu tygodnia nie trzeba używać żadnych nawet po dwakroć. Uchyła się je na chwilę pod osłoną ciemności, kiedy ulice są puste, gdy nikt nie widzi postaci w habitach, pochylonych głów, odwróconych oczu.

Nasza szesnastka, jeśli nie liczyć strażników, opuściła lochy dwudziestego pierwszego

dnia czerwca 1686 roku, kiedy było jeszcze ciemno. O wschodzie słońca przyłączyliśmy się do pochodu zmierzającego w stronę Plaza Mayor.

Przez cały dzień oczy mi łzawiły z powodu ostrego światła. Nie wychodziłam na zewnątrz od miesiąca, to znaczy przez okres, który teraz zdaje mi się śmiesznie krótki. Ale wówczas reagowałam inaczej. W pewnej chwili podciągnęłam rękaw aby przyjrzeć się swej skórze w świetle słońca. Nie widziałam się tak długo, że musiałam dotknąć ramienia, by uwierzyć, że należy do mnie.

Maszerowałyśmy w ciężkich sukniach i tekturowych kapeluszach, na których widniały symbole naszych zbrodni. Podążałyśmy kołyszącym krokiem za armią żołnierzy dźwigających wiązki drewna na stosy, już zawczasu przygotowane na placu, poustawiane i gotowe pochłonąć swe ofiary. Samym widokiem doprowadzałyśmy gapiów do furii. Lżyli nas, opluwali a niektórzy demonstrowali w tej dziedzinie zdumiewające mistrzostwo. Z okazji wielkiego autodafe nie pozwolono poruszać się po Madrycie powozami ani końmi, z wyjątkiem tych wierzchowców, które miały zaszczyt nieść na swych grzbietach Pierwszego Inkwizytora oraz jego świętę. Niektórzy widzowie musieli przejść wiele mil, by dotrzeć na Plaza Mayor. Bądź co bądź, obecność na tym spektaklu gwarantowała większy odpust niż udział w stu nowennach albo zadanie sobie tysiąca razy podczas samobiczowania. Jeśli zaś chodzi o tych, których stratowano na śmierć podczas drogi, sądzę, że ich dusze, świeżo oczyszczone z grzechów, powędrowały prosto do nieba.

Sądząc po rozmachu widowiska, jakim było to największe publiczne palenie grzeszników, dwór musiał popaść w poważne długi. Bliska omdlenia pod grubą, ciężką szatą, zastanawiałam się leniwie, kto by mógł wyłożyć sumę, jaka była potrzebna na zakup tego, co wydawało się jedwabnym kobiercem o długości co najmniej czterdziestu metrów, czyli ścieżką dla czcigodnego Pierwszego Inkwizytora pomiędzy jego balkonem a balkonem zajmowanym przez króla Carlosa i królową Marię Luisę. Równie interesujące było rozważanie zagadnienia, jakie grzechy utorowały drogę takiej hojności?

Gdybym była bogatym mężczyzną, bogatym jak mój ojciec w swych marzeniach, także skorzystałabym z rozkoszy tego świata, a potem z przyjemnością zapłaciła za nie. Jak powiedziałby tata mojego ojca, Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie.

Być może patrząc na nas, przeklętych ludzi, ci wszyscy ocaleni gratulowali sobie cnoty - gapili się, jakbyśmy na ich oczach zostały wyciągnięte z morza płomieni - lecz powiadam wam,

że krzyki, które wznosili, nieco się różniły od pogańskich wrzasków, które wypełniały lochy Inkwizycji.

- Spalcie ich! - wołali. - Tylko przedtem nie zaduście! Spalcie ich żywcem!

Przeznaczeniem mojej małej gromadki nie była przemiana w popiół na zakończenie dnia. Nie - nasza obecność tworzyła jedynie odpowiedni nastrój, miała służyć jako przekąska przed świętą ucztą, która miała się odbyć zaraz po spaleniu bigamistów, po wypaleniu bluźniercom języków, odcisnięciu piętn na czołach fałszerzy i oblaniu ud ladacznic wrzącą wodą święconą.

Także ja, ubrana w zgrzebną szatę z wizerunkiem ogni piekielnych, wzięłam udział w tym długotrwałym widowisku wstępnym. Potykając się, weszłam przed przykrytą baldachimem trybunę, gdzie na obitych pluszem krzesłach zasiadali członkowie rodziny królewskiej. Razem z piętnastoma towarzyszkami zaprezentowałam ruchomą tkaninę z ostrzeżeniem: Nie ważcie się postępować tak nikczemnie jak te kreatury przed wami! Tę treść wyrażały obrazy starannie wyszyte jedwabną przędzą na naszych okryciach. Moja szata była długa i ciągnęła się po ziemi. Na staniczku małeńka para cudzołożyla w takiej pozie, jaką tylko cnotliwa, nieskalana siostrzyczka zakonna mogła wymyślić. Wokół szyi miałyśmy przewiązani liny z supłami - jeden za każde sto batów otrzymanych wcześniej w lochach. Po kolei przystawaliśmy, gdy tymczasem licznym grzesznikom odczytywano wyroki.

Lubieżnicy, przyodziani w czerwone szaty i trójgraniaste kapelusze, usłyszeli, że ich genitalia zostaną publicznie oblany roztopionym woskiem, a następnego dnia od świtu do zmierzchu będą obwożeni po Madrycie na mułach, aby każdy mógł i dobrze przyjrzeć, co dzieje się z częściami ciała, które są przyczyną grzechu. Tak to zrozumiałam, ale pewności mieć nie mogę, ponieważ za nami szloch mdlejących Żydów utrudniały dokładne wysłuchanie sentencji wyroku. Żydzi trzymali nie zapalone świece, świadectwo duchowego błędzenia. Trzeba przyznać, iż ktokolwiek zaplanował ów spektakl, odznaczał się głębokim zamiłowaniem do symboli. Ci, którzy dopuścili się grzechu nieczystości, zostali odprowadzeni w stronę kotłów z roztopionym woskiem, natomiast moja gromadka czarownic podążyła do areny.

Odważyłam się spojrzeć przelotnie na króla i królową, oni patrzyli w naszą stronę. W ich oczach dostrzegłam nadzieję, że Bóg, choć nawykły do niebiańskich, wybrukowanych złotem bulwarów, będzie pod wrażeniem tego dość osobliwego razu pobożności, pobłogosławi królewskiej parze i da jej potomka. Podniosłam oczy na bezdzietną matkę naszego kraju.

Tak, to prawda. Znowu tak się zdarzyło, że zobaczyłam naszą królową. Siedem lat od

dnia jej ślubu, poddaną teraz działaniu opium. Severo miał trudności z odstawieniem jej od tego napoju, który po wypadku z koniem zdecydowała się przyjmować regularnie. Tym razem nie chodziło o pospieszną, odbywającą się w sekrecie ceremonię, jakiej byłam świadkiem przez siedmiu laty; królowa wyglądała jak wysadzany szlachetny kamieniami kielich na końcu długiego, pięknego korytarza wyłożonego jedwabiem, mnóstwem jedwabiu. W moich oczach, nienawykłych do barw i światła, stroje i przybrania zdawały się tonąć w ogniu, który wcale nie przygasał niczym biblijny gorejący krzew. Maria Luisa wyglądała na otyłą i znacznie bardziej nieszczęśliwą niż wtedy, gdy była panną młodą. Natomiast Carlos wyglądał na nieszczęśliwego i wychudłego.

Wczytano na głos nasze imiona. My, czarownice, zostałyśmy jednakowo skazane na uwięzienie do końca życia. Tych dziewięć, którym miano obciąć języki, oddzielono od reszty i odprowadzono. Widziałam, że królowa wodzi za nimi wzrokiem. Co o tym myślała? Co sądziła o osobliwych, hiszpańskich sposobach objawiania religijności? Zdawało mi się, że jej wysokość zachowuje całkowity spokój. Odwracała się nieco w krześle, gdy w skrzyniach przenoszono pozostałości po zmarłych kryminalistach. Na każdej znajdował się plakat z imieniem i podobizną straconego.

Mój ksiądz był pomiędzy nimi - w jednej ze skrzyń. Pewien mnich niósł jego kości, używał nóg, których tamten już nie miał. W ten sposób dostał się na rusztowanie i został powieszony na słupie, by wysłuchać swych przewin z ust Pierwszego Inkwizytora. Tego dnia byliśmy razem. Połączyliśmy się ciałami, które nam pozostały. Podobizna przykrywająca szczątki nie była wierna, ale wiedziałam, że to on, kiedy wysoki sędzia w habicie odczytał jego imię i listę zarzutów: heretyk, uwodziciel, bezbożny ksiądz.

Francuzi potrafili traktować egzekucje jako formę rozrywki, publiczną zabawę odrobinę tylko bardziej zajmującą niż wyczarowywanie ptaków spod peleryn czy wylewanie wody z pustych naczyń: coś w rodzaju hokus - pokus albo czary - mary. Francuzi gotowi byli gromadzić się w krąg przy rusztowaniu, śpiewać i rzucać kwiaty, czego na Plaza Mayor nie robił nikt. Kiedy biskupi z Toledo, Granady i Madrytu podnieśli się i unisono nakładali ekskomunikę na tych, których uznano za pozbawionych skruchy, podniósł się krzyk. Odgłosy faryzeuszowskiej furii przybrały na sile, stały się tak donośne, że skazani na spalenie zadrżeli i, jak mi Bóg miły, wielu z nich już teraz wyglądało na martwych.

Szlachetnie urodzeni, których stać było na wykupienie udziału w ceremonii, kolejno



podprowadzali kryminalistów do kręgu złożonego z gotowych do podpalenia stosów. Dwudziestu dwóch zostało spalonych tego wieczoru - kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, ginęły niebiańskie płomienie, przyćmione piekielnym ogniem. Każdy stos, wysokości bodaj dwóch roślących mężczyzn, miał deskę do siedzenia, przybitą gwoździemi możliwie najbliżej samego szczytu. Winowajcy przechodzili z rąk wyróżnionych szlachciców do rąk dwóch księży, którzy eskortowali ich po drabinie i przykuwali do stosu. Księża nawoływali grzeszników do skruchy, do spowiedzi. Czterej, którzy to zrobili, dostąpili łaski i zostali uduszeni, zanim podłożono ogień.

Pozostali, bez wyjątku sami grzeszni Żydzi, przez ostatnią godzinę pobytu na tym świecie zdawali się nie dbać już o nic nie szlochali i nie zawodzili. Nawet gdyby sam Chrystus zstąpił z nieba, by rozpaść ogień od swego płonącego serca, wcale nie okazaliby zdziwienia. Zabrzmiąły trąby, po czym pod małymi siedzeniami na stosach wystrzeliły w górę płomienie. Dzięki dużej ilości siana łatwopalne konstrukcje zajęły się bardzo szybko. Z okien mieszkań, wynajętych widzom w cenie najmniej dukata za godzinę w zamian za bezpośredni widok na palonych skazańców, powiewały chusty, flagi, sztandary, najrozmaitsze skrawki materiału.

Moja grupka czarownic ożywiła się. Zostałyśmy zachęczone do ruchu uderzeniami bata. Trzykrotnie przemaszerowałyśmy wokół placu. Zawczasu zabrano nam piękne szaty, nie zostały więc zniszczone, kiedy tłum ciskał w nas kamieniami i odpadkami; potem nas wychłostano i w pokrwawionej bieliźnie zaprowadzono z powrotem do lochów. Jeden długi dzień w promieniach słońca wystarczył, by spalić nasze twarze. Przez wiele kolejnych dni mogłyśmy bawić się obskubywaniem strupów z policzków.

Bez odświętnego stroju powróciłam do podziemnego świata lochów. Przez długie godziny przed moimi oczyma dokonywała się w mroku eksplozja barw. Widziałam wszystkie kolory, o których marzyłam od miesiąca. Jedwabna przedza mojej szaty, której mogłam się dokładnie przyjrzeć, przebijała się teraz przez mrok, barwiąc go na czerwono, żółto, zielono. Bez znaczenia było, czy otwierałam oczy, czy je zamykałam: fantastyczna tkanina sama tknęła się przede mną na jedwabnej osnowie. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie: czy powinnam się wstydzić, że moja rodzina zajmowała się hodowlą jedwabników, które wytwarzały przędzę na szaty dla ofiar Inkwizycji?

Jako dziecko nigdy nie rozważałam tego rodzaju kwestii, ponieważ prawie nie znałam mechanizmu funkcjonowania Inkwizycji. Wiedziałam natomiast, jak powstaje jedwab, jak pracują wrzeczona i nieporęczne krosna, jak działają wielkie kamienne prasy, które wyciskają

czerwień, błękit, brąz z korzeni marzanny, urzetu, z kasztanów. Głowę miałam pełną fantastycznych marzeń o przyszłości. Wszyscy w rodzinie ulegaliśmy wpływow wiary mojego ojca w dobrobyt, który miał być naszym udziałem. Dlatego nie dbaliśmy o przestrzeganie prawa mówiącego, że nam, ludziom pracy, nie wolno posiadać materiału, który powstawał z naszym udziałem. Jeżeli żyjesz z pracy swoich rąk i zostałeś przyłapany na noszeniu jedwabiu, musisz zapłacić grzywnę nie mniejszą niż trzykrotna wartość ubioru. Innymi słowy zawsze więcej niż to, na co nie było cię stać.

Mimo wszystko nosiliśmy choć po kawałku jedwabiu. Wszyscy robotnicy zatrudnieni przy wytwarzaniu jedwabnej materii chowali jej skrawki na szczęście, z dumy, dla fantazji. Prywatnie nie stosowaliśmy się do przepisów prawa jedwabniczego. Owe zgrzebne ubrania, które mogli widzieć wszyscy, miały wewnątrz kieszenie podszyte jedwabiem. Może bez monet, ale za to wypełnione kosztowną tkaniną w purpurze, zieleni i złocie. Nosiliśmy też małe paseczki z jedwabiu, na przykład czerwoną szarfę, tak jak pod spódnicą mama, albo też czarną, jak pod spodniami mój dziadek. Ja i Dolores zawsze miałyśmy wplecioną w płótno staniczka niebieską wstążkę z jedwabiu, zawiązaną mocno na naszych sercach.

Gdy mama przyjechała z Madrytu do domu, pomyślałam: Oto jest kobieta, która karmiła piersią króla! Jakaż była drobna, posiwiata, wcale nie przypominała siebie z moich wspomnień. Chyba trochę podrosłam, ona zaś skurczyła się nieco. Mimo wszystko doszło do tego, czego się obawiałam. Inne dziecko - nie kto inny jak sam król! - pożarło moją mamę.

Jadłam właśnie cebulę, kiedy stanęła w drzwiach. Gdy taty nie było w domu, Dolores i ja często wyrywałyśmy jedną główkę cebuli spośród wielu związanych sznurkiem i zawieszonych przy drzwiach i wkładałyśmy ją do żaru, który został z nocy. To były ogromne, słodkie, żółte cebule, z których w trakcie pieczenia wypływał sok i zamieniał się w cukier. Przykucałyśmy w pobliżu i czekałyśmy niecierpliwie, aż po długim, nieskończenie długim czasie Dolores wbijała ostro zakończony kijek w żar i wewnątrz cebuli. Wyciągała z pieca nasz smakołyk i długim nożem, którym nie wolno mi było się posługiwać, dzieliła go na dwie części. Dolores jako starsza miała prawo wyboru porcji: lepszej albo większej.

Nie zwlekałam z jedzeniem i często parzyłam sobie usta gorącym kęsem. Pośrodku dolnej wargi miałam ranę, która nie chciała się zagoić, ponieważ często ją przypalałam. Właśnie dotykałam językiem tego miejsca, kiedy skrzypnęły drzwi - kilka nierównych desek nad brudną

podłogą.

Mama wróciła do domu po trzech latach. Włosy, które dawniej sięgały posadzki, kiedy je czesała, siedząc na ławie przy ogniu, nie miały już wcześniejszej barwy, nie miały jej ani odrobiny. Posiwiwały i bezwładnie opadały na pochyłą łodygę jej karku. Kiedy byłam jeszcze zupełnie mała, mama zawsze rozczesywała włosy, siedząc przy piecu. Grzała sobie plecy i jednocześnie przytrzymywała włosy przed sobą, zebrane w długi, rozkołysany pęk. Z wprawą zaplatała warkocz, a jej białe palce poruszały się zwinnie między czarnymi lokami. Na koniec wyjmowała włosy, które pozostały na grzebieniu. Opadały na podłogę, ale ponieważ do mnie należał obowiązek zamiatania izby, podnosiłam długie, czarne nitki i potem przyglądałam się im uważnie. Zwijałam je w pierścień i chowałam do pudełka, w którym trzymałam moje nieliczne drobiazgi. Nocą po powrocie mamy do domu wyjęłam te włosy z pudełka. Porównałam stare włosy z nowymi i stwierdziłam, że różniły się pod każdym względem. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy to rzeczywiście była moja mama.

Ci, którzy przekazują nam słowa zmarłych, twierdzą, iż wyrazem roztropności jest zachowanie po nich kosmyków włosów, kawałeczków paznokci - zwłaszcza gdy chodzi o ojca albo matkę - ponieważ w nich mieszka duch całej rodziny; zdaje się, że właśnie dlatego nadal rosną, gdy z reszty ciała uszło już życie. Zatem kiedy umrze twój ojciec albo matka, zachowaj te ich skraweczki, ukryj je w bezpiecznym miejscu, koniecznie w izbie. Przyciągnięte magiczną siłą zachowanych pamiątek, duchy przodków powrócą i będą nad tobą czuwać.

Mieliśmy w domu szkatułkę z różanego drewna. Każdy jej bok zdobily rzeźbione kształty: gwiazdy, słońca, księżycy. Niechętnie przeglądałam jej zawartość - włosy i paznokcie wielu pokoleń naszych przodków. Nie miałam pojęcia, które do kogo należały. Ze środka dobywał się odstręczający zapach nieznanomych ciał.

Tata opowiedział nam kiedyś, że na weselu po uroczystości zaślubin mama wytańczyła dziurę w pantofelkach. Buciki były nowe, czarne, pokryte pszczelim woskiem i wypolerowane do lustrzanego połysku. Podczas składania małżeńskiej przysięgi tata widział w nich odbicie własnej twarzy. Podobno pochylał głowę nie dlatego, że nie był dumny z żony, lecz z pokory; ślub z mamą traktował jako coś niezwykłego. Po mszy odprawionej przez księdza zakonnego, który w tamtych czasach przyjeżdżał do miasteczka na końskim grzbiecie, goście weselni pili wino i tańczyli przez całą noc. Nikt nie tańczył dłużej i bardziej zapamiętałe niż mama. Na początku wzięła udział w tradycyjnym „tańcu babek”, jak go nazywano, w którym najstarsze matki w

mieście, nie bacząc na wiek, chwyciły się za ręce i ruszały w płasy. Potem mama już się nie zatrzymała, tańczyła bez przerwy. Wszyscy na czymś grali, nawet jeśli to był instrument tak prymitywny jak butelka albo łyżka i cynowy talerz, wszyscy wybijali rytm podczas tańca.

Wreszcie, kiedy goście weselni zmęczeni się, popili i pozasypiali (stary ksiądz również się upił i chrapał), tata zapragnął zabrać mamę do łóżka, lecz ona wcale nie chciała przestać, musiała tańczyć dalej. Kiedy teraz o niej myślę, wydaje mi się, że widzę w wyobraźni ostatnie chwile jej dziewczęcej radości: taniec bez ustanku aż do wschodu słońca. Ostatnią noc dziewczyny, noc poślubną; następny dzień oznaczał prowadzenie domu, najbliższy rok - noszenie w sobie nowego życia. Buzie do wykarmienia, garnki do szorowania, ziarno do zmielenia w młynie. Nikt już nie poprosi dziewczyny do tańca, żaden młodzieniec nie przyniesie łakoci ani kwiatów. Następnego dnia po ślubie miała poranione stopy. Nie mogła podnieść się z małżeńskiego łóżka. I nigdy więcej nie włożyła błyszczących, czarnych bucików. Pewnie należą teraz do Dolores. Do Dolores, która w swym całym życiu nie zrobiła w tańcu ani jednego kroku.

Spojrzałam znad cebuli, językiem dotknęłam zranionego miejsca na dolnej wardze, poczułam słodki smak, i oto w drzwiach stanęła mama. Upuściłam smakotyłk na podłogę. Był ubrudzony, gdy podniosłam go spod stołu.

- Francisco? - powiedziała mama. Dolores tuliła się już w jej ramionach. Nie miałam wątpliwości, że matka czuje się zraniona moim ociąganiem. Wreszcie i ja przywarłam do niej. Jakaż była drobna pod ubraniem; jej staniczek, dawniej pękający w szwach, teraz wydawał się niemal pusty.

Mama nie witała się długo. Od razu położyła się do łóżka, ponieważ była zmęczona i chora. Stwierdziłam, że rzeczywiście jej pierś jest płaska jak u młodej dziewczyny, jak moja własna. Tak jest, mama wróciła do domu słaba, spluwała krwią. Potem nie żyła już długo. Tydzień, miesiąc albo rok, nie wiem. Jednak wiem na pewno, że jak na moją dziecięcą zachłanność stanowczo zbyt krótko. Nie dłużej niż trwa chwila. Moment. Tyle co nic. Jedno popołudnie.

Leżąc w łóżku, opowiadała nam historie o wielkim, kamiennym domu, w którym mieszka król. Król, ale jeszcze chłopiec. Taki mały jak ja, młodszy niż Dolores. Stwierdziła, że królewski pałac w Madrycie jest tak duży, że nasz dom zmieściłby się w nim stukrotnie. Siedziałyśmy na brzegu łóżka, Dolores i ja, i starałyśmy się wyobrazić sobie dom tej wielkości.

Oczywiście gdyby nie pobyt mamy w królewskim pałacu, na pewno nie wypełniłaby się

jedna z moich przepowiedni. Mama nauczyła się czytać. Miała mnóstwo wolnego czasu i potrafiła to wykorzystać. Carlos był nadto słabego zdrowia, aby pobierać systematycznie naukę. Nauczyciele niewiele nim się zajmowali. Prawie każdego popołudnia udzielali mamie lekcji. I dlatego mogła do nas wrócić ze skrzynią pełną książek. Z tej przyczyny byliśmy jedynymi mieszkańcami naszego miasteczka, którzy posiadali coś takiego jak biblioteka. Z tej samej przyczyny padły na nas niebezpieczne podejrzania.

Mówione słowa ulatują i przepadają, osierocone, bezpańskie; słowa pisane mogą stanowić dowód. Któż mógł wiedzieć, czy nasze książki nie zawierają heretyckich myśli? Jeśli ktoś nie umie nawet przeczytać, co jest napisane na okładce tej albo tamtej księgi, to skąd może wiedzieć, czy zawiera ona zakazaną treść? Na czym można było opierać wiarę, że inkwizytor nie przybędzie i nie zabije wszystkich w domu, który stał się schronieniem diabła? Na nic się nie zdało, że mama powiedziała nielicznym sąsiadkom, które zdecydowały się nas odwiedzić, że posiadała sztukę czytania i że jej księgi zawierają bezpieczną, nabożną treść. Kobiety z Quintanapalli nerwowo zerkały na jej książki. Nie chciały ich nawet dotknąć. Cofały się, gdy mama przerzucała kartki. Przyjaciółka mamy, Pascuela, chodziła w ciąży z pierwszym dzieckiem i dlatego też była bardzo niespokojna. Wystrzegąca się pilnie diabelskich oczu oraz wszelakich innych niebezpieczeństw. Pospiesznie zakrywała uszy, kiedy mama próbowała przeczytać jej jakąś historię. Ostatecznie nie było przy mamie nikogo prócz jej dwóch córek, z którymi mogła się dzielić ostatnimi radościami.

Obawy kobiet z miasteczka były bezpodstawne. Książki, które mama przywiozła do domu, w żadnym razie nie były niebezpiecznymi dziełami. Pochodziły przecież z ogromnego domu króla. Były pośród nich Żywoty świętych (o większości z tych świętych nigdy wcześniej nie słyszałyśmy, gdyż pochodzili z obcych stron, na przykład Patryk, który przepędził wszystkie węże z pewnej zielonej wyspy), Wyznania św. Augustyna oraz wskazówki, jak stosownie modlić się i medytować, napisane przez pewne świątobliwe osoby z Kastylii, także przez Teresę z Avili. Zbiór mamy zawierał również Naśladowanie Chrystusa Tomasza a Kempisa oraz medyczne teksty z zakresu położnictwa i pielęgnacji niemowląt.

Mama zapragnęła nauczyć nas czytać. Nie miała dość siły, by siedzieć prosto. Każdą z lekcji, które zaczynały się codziennie po południu od pierwszego dnia po jej powrocie, kończyła zadyszką. Pokazywała na poszczególne litery i mówiła, jak brzmią. Potem składała je w słowa, ale w sąsiedztwie innych liter brzmiały często inaczej niż poprzednio. Śledziłyśmy wzrokiem

powolne poruszenia jej wychudłego palca, ziewałyśmy, w końcu zaś, wyczerpane i zrezygnowane, zasypiałyśmy z nią w jednym łóżku.

Po kilku próbach mama przestała nam cokolwiek wyjaśniać. Od tej chwili po prostu czytała, dzięki czemu mogłyśmy zapoznać się z naukami płynącymi z opowieści. Kiedy poczuła się zmęczona czytaniem, przymykała oczy i już tylko mówiła, ale tak wolno, że zaczynałam się niecierpliwić. Szturczałam ją, a nawet podskakiwałam na łóżku, gniotłam pościel albo ciągnęłam ją za rękę. Co było dalej? Co było dalej? Bardzo chciałam wiedzieć.

Carlos miał zaledwie osiem lat, kiedy umarł król Filip. Carlos został królem, ale nadal, jak każde inne dziecko, które miało robaki, drapał się po tyłku. Ssał palec, czasem zaś wsuwał go do ust naszej mamie. Wkrótce i ona zaczęła odczuwać takie samo swędzenie.

- Nie myślcie tylko, że ludzie tam, na dworze, tak wiele się od nas różnią - powiedziała mama. - Wszyscy mieszkańcy pałacu mają robaki.

Mama opowiedziała nam, że Carlosowi trzęsły się nogi i ręce, że niepokoił go najmniejszy nawet hałas; nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszała; przy nim Mercedes mogła się wydawać aniołem. Był ochrzczony, wiedziała o tym, ale na wszelki wypadek zaprowadziła go do kościoła i wodą z kropielnicy zmoczyła mu głowę. Na nic się to nie zdało; w dalszym ciągu drżały mu ramiona, a kiedy upadła jakaś czarka lub trzasnęło okno, wydierał się, jakby go palono żywcem. Jak na dziewięcioletnie dziecko nie rozwijał się normalnie.

Z trudem trzymał się na nogach i czasem mama musiała nosić go jak niemowlę.

Jej mleko wzmocniło organizm księcia Carlosa. Podczas jej pobytu w pałacu chłopiec nauczył się chodzić i śmiać, ale nie zdołała go wyleczyć, w każdym razie nie całkiem. Zastanawiała się, czy nie są prawdziwe pogłoski, jakoby cała rodzina Habsburgów była zauroczona. Zdarzało się, że próbowała wsunąć pierś w jego szeroko otwarte usta wyłącznie po to, aby zamilkł, lecz często i to nie pomagało, bo krztusił się i krzyczał jeszcze głośniejszym głosem. Okna pokoju dziecinnego były uszczelnione licznymi warstwami wełny, aby nie docierał do Carlosa ani hałas, ani przeciąg. Odrobina światła, która wpadała do pomieszczeń, zdawała się znikać, wessana przez nikłe, piskliwe zawrodożenie chłopca, jakby ten płacz był pęknięciem w materii dnia, dziurą, przez którą ulatywała wszelka słodycz, cała substancja, cała radość.

Mały książę faworyzował mamę, żądał, aby przy nim była. Jedyne jej zapach mógł sprawić, że przestawał płakać. Nikt nie był w stanie wyrwać go z jej ramion. W ten sposób została zniewolona. Codziennie z utęsknieniem wyczekiwała jednego: kiedy Carlos zaśnie i

pozwole jej na kontynuowanie nauki. Dlatego później mogła zabrać do domu książki i przywieźć nam swoją wiedzę.

Zanim odeszła na zawsze, przeczytała nam wszystkie książki; umarła w dniu, w którym skończyła czytać ostatnią stronę ostatniego tomu. Później zadreślałam się: czy gdybym w jakiś sposób zdołała bez końca zdobywać dla niej książki, to czy nie żyłaby tak długo, póki by nie przeczytała wszystkich nowych słów? Wszak wcześniej nie wybiegałam myślami w przyszłość. W tamtym szczególnym momencie byłam szczęśliwa. Lubiłam opowieści o cierpieniach męczenników. Później, gdy mama zasypiała, Dolores i ja zostawałyśmy na podłodze przy jej łóżku. Bawiłam się opowiadaniem siostrze, w jaki sposób same mogłybyśmy zostać męczennicami. Na przykład w jakimś odległym kraju pełnym dzikusów na koniach. Widziałam mężczyzn o potarganych włosach, opadających na ich nagie ciała. Widziałam, jak wskakują na rumaki bez siodeł i wodzy - trzymają je po prostu za grzywy. Widziałam barbarzyńców, którzy nastają na naszą cześć, a my się opieramy, dlatego ginimy przebite długimi dzidami i na koniec w porywach ekstazy idziemy prosto do nieba.

Tak, byłam młoda, skłonna do ekscytacji, więc owe historie nie wpływały na mnie tak, jak sobie tego życzyła mama. Rzucalam się na łóżku, które dzieliłam z siostrą, dręczona koszmarnymi obrazami: postaci świętej Lucyny trzymającej talerz ze swymi oczami, piersi świętej Agaty na półmisku, świętej Eulalii stąpającej niepewnie z własną głową na tacy - mnóstwa kobiet z kawałkami ich własnych ciał w fantastycznych złotych naczyniach, pochodzących chyba z pałacowej zastawy.

Tarzałam się na podłodze przy umierającej matce i wygadywałam bzdury. Zdarzało mi się widzieć, że mama patrzy w sufit; być może uśmiechała się, gdy słyszała, co opowiadam Dolores. Uspokajałam się myślą, że dla niej to także pewnego rodzaju rozrywka. Przynajmniej nie forsowała już głosu, który osłabł jej od czytania. Może cieszyła się, wiedząc, że mimo choroby zdołała przekazać nam te historie.

Myślą przewodnią nabożnych tekstów była idea o wiekuiestej nagrodzie. „Teraz i zawsze, i na wieki wieków” - szeptałam podczas sprzątanía ze stołu. „Teraz i zawsze, i na wieki wieków” - powtarzałam najpowszechniejszy refren z tych opowieści podczas codziennych prac domowych. Zastanawiałam się też, w jaki sposób święta Lucyna wymieniła czas na wieczność. Nigdy jednak nawet mi przez myśl nie przeszło, że trafię do więzienia, gdzie poznam sens tego rodzaju zdań. Z opowieści mamy dowiedziałam się, że o ”wieczną szczęśliwość” warto zabiegać, ale

poprzedzające ten stan tortury wydawały się wcale nie mniej ekscytujące.

Opasły, czarny tom z żywotami świętych zawierał ryciny ilustrujące męczeńską śmierć każdego z nich. Namówiłam Dolores, abyśmy odegrały przedstawione tam sceny. Raz nawet dostałam lanie, ponieważ zniszczyłam nasze sukienki, przepychając kije przez materiał (zainspirowana sceną ze świętym Sebastianem, którego śmiertelnie ugodziły strzały). Tylko taty nic nie obchodziło męczeństwo innych ludzi. Miał dosyć cierpienia własnego i mamy.

Znużony nieustannymi rozmowami o śmierci i zjawiskach nadprzyrodzonych, poprosił, byśmy przestały zajmować się sprawami, od których na samą myśl cierpnie człowiekowi skóra. Nie dość, że mama była ciężko chora, to jeszcze ja bez przerwy wymyślałam sytuacje, w jakich mogłybyśmy stracić życie; nie potrafiłam się powstrzymać. Byłam uparta. Nadal namawiałam Dolores do złego i sprowadzałam ją z dobrej drogi. Aż pewnego dnia tata ukarał nas niezwykle surowo i od tej pory już ani razu nie wspomniałam słowem o tych sprawach. Nie miałam pojęcia, o czym myślała w głębi duszy, ponieważ już nigdy, nawet szeptem nie nawiązała do naszych zabaw, także podczas nieobecności taty.

Jeśli zaś chodzi o mnie, nadal rozmyślałam o ekstazie i śmierci, tyle że teraz robiłam to z większą pasją.

Świętą Teresę lubiłam najbardziej. Żyła przed stu laty, czyli wcale niedawno, w dodatku niedaleko ode mnie, w Avili. Nic dziwnego, że wydawała mi się tak bliska, że niemal realna. Umarła jako dziewica. Nie zginęła męczeńską śmiercią, choć znosiła inne udreki. Modliłam się, by jakaś choroba sponiewierała me ciało dla dobra duszy. Może wtedy zapłonąłby w mym sercu łagodny ogień otuchy, maleńki płomyk cnoty. Żywot świętej Teresy, przez nią własnoręcznie spisany, zawiera wiele natchnionych fragmentów opisujących, jak modlitwy wpływały na jej ciało. Unosiło się ku niebu, nawet jeśli starała się przytrzymać krzesła albo drzwi. Następnego dnia miała powybijane ze stawów wszystkie kości i czuła się, jakby jakiś pies próbował rozszarpać jej serce. Wszak nie była to zbyt wygórowana cena za podniebny lot. Za przemianę materii zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę - pomyślcie choćby o śmierci jedwabnika.

Dotykam się zbyt często. Tak, tak, to właśnie mam na myśli. Nie mam siły stać, ale na to siły mi w zupełności wystarcza. Oczywiście cuchnę tak czy owak, lecz kiedy się zadowalam, drzę, pocę się i cuchnę jeszcze bardziej. Sama siebie kalam, dopuszczam się grzechu samotności, grzechu tęsknoty. Według miary śmiertelników moje przewiny są tak liczne iż już po wielokroć



zasłużyłam, aby dostać się do ósmego, najdalszego kręgu piekieł, który wymyślił ten genialny Włoch. Dlaczego więc miałabym się przejmować, że duszę moją obciąża jeszcze jeden, zupełnie drobny występki? Tyle że ja niewiele dbam o doczesne miary, nawet jeżeli je stworzył Dante Alighieri.

Robię to, by tym łatwiej powrócić do przeszłości. Szukam choć odrobiny pocieszenia we wspomnieniach. W wyobraźni odtwarzam chwile, które zawiodły mnie do więzienia. A warto było zapłacić za nie każdą cenę.

Ukłucie tęsknoty i rozpaczy - tak samo nieprzyjemne jak drażniące, ruchliwe kręgi światła od lampy niesionej przez strażnika. Ta chwila, kiedy drzwi do mojej celi otacza srebrzysta poświata. Ale nie promienie słońca, a ledwie jego wspomnienie. Podobnie gdy się dotykam, przeżywam wspomnienie fizycznej miłości. Uwielbiam je, nieważne jak mgliste.

Namiętności. Nie istnieją w wymiarze czasu, wymazują przeszłość, oddalają przyszłość. Moja miłość była żarliwa i bezrozumna; była niczym kamień rzucony w spokojny nurt mojego życia: fale dotarły szybko do odległego brzegu dzieciństwa, chociaż jednocześnie toczyły się ku przeciwnemu brzegowi. Zdawało mi się, że zawsze znałam mojego kochanka. Widziałam go przy moich narodzinach, widziałam przy mojej śmierci.

Alvaro! Czasami wołam go. Wołam go na głos, jeżeli akurat z ust mam zdjęty knebel. Wołam go, choć sąsiadki starają się mnie uciszyć. Kopia w kraty, aby zagłuszyć moje wołanie. *Venite ad me!* Przybądź. Och, połóż się przy mnie! *Dormi supra ei sub me.* Połóż się na mnie i pode mną. *Proximus me.* Tuż przy mnie. Mówiłam po łacinie, używałam słów, których mnie nauczył. Języka Kościoła, języka świętych.

- Modłę się - mówiłam białemu kapturowi, jeśli się pojawiał. - Nic dziwnego, że to miejsce nastraja do modlitwy.

*Venite ad me.* Nie wzywałam Boga. Wcale nie chcę, aby się zjawił Chrystus. Pragnę Alvara. Rozpalam udęczone ciało, staram się przypomnieć, co czułam, będąc z kochankiem. Efekt nieczęsto bywa czymś więcej niż tylko żalosną próbą zwiedzenia samej siebie i własnego pożądania.

Nasze łóżko płonęło, płonie, na wieki będzie płonąć. Czasami nocą parzyliśmy się po cztery godziny albo dłużej. Nie potrafiliśmy przestać, nie czekaliśmy, aż zamkną się za nami drzwi. Nawzajem zdzieraliśmy z siebie ubrania.

Drżały mu ręce. Mogło się zdawać, że próbuje wdrzeć się we mnie przez każdy otwór,

którym obdarzyła mnie natura. Dzięki temu oboje łączyliśmy nasze ciała w jedno. Wsuwał koniuszek języka w moje nozdrza, wciskał mi palce w zadek, przyrodzeniem uderzał głęboko, sięgał prawie do mego serca - tak blisko mnie pragnął być.

Nie mówiłam, ale z całą pewnością myślałam: Wejdz we mnie. Sama nie potrafiłam się otworzyć. Często wznosiłam okrzyki do Boga. Chryste, Chryste, Chryste, Zbawicielu - wołałam. Wydawało mi się, że na mojego kochanka czekałam całe życie, że oddychałam w przeczuciu nadejścia tych chwil, gdy z zachwyty zabraknie mi powietrza.

Był jak rozpalony pies. Pies, co ssie i liże. O tak, był mężczyzną z głową psa. Był przerażającym absztyfikantem, którym straszyla Dolores. Wsuwał mi do ust czerwony język i potrafił sprawić, że płakałam.

Jakżeż mnie pożądał. Nie miałam wątpliwości, że dla niego jestem skarbem, galeonem pełnym złota z Nowej Hiszpanii. Zatapiał mnie. Był wielką falą, która przełamyla się nade mną, która sprawiała, że dyszałam i dławiłam się. Myślał, że jest morzem, bezbrzeżnym oceanem, ale to on we mnie tonął. Połykał mnie jak słoną wodę, krztusił się. Takiej śmierci pragnął. Wszyscy pragniemy umrzeć w taki sposób.

Rozkosze ciała oczyszczały mnie jak uderzenie fali przyływu, potężnej, czarnej fali, której grzywy niosły fragmenty mojej przeszłości - jakby lubieżne doświadczenia były burzą, wielką ulewą po długim, bardzo długim okresie suszy, na zakończenie wszystkich suchych sezonów. Deszczowe wody przybierały, ruszały przez dom mego taty, wywazały drzwi i wymywały wszystko ze środka.

Będąc pod spodem, traciłam rozum. Zdawało mi się, że widzę przedmioty, których przy nas nie było: drewniaki ojca, jego krzesło, fajkę, garnki, patelnie, wielką łyżkę ze ściany przy piecu, nakrycia z naszych łóżek i resztki z ostatniej kolacji. Widziałam to wszystko zmieszane, wirujące w pianie i brudzie na szczycie dużej fali. Czasem wybuchałam śmiechem. Śmiałam się, póki łyzy nie napływały mi do oczu. Alvaro kładł dłoń na moich ustach, *Tacete! Tacete!* - Uspokój się! - a chłodne łyzy spływały mi do uszu.

- Co? O co chodzi? - pytał Alvaro, szarpiąc mnie za ramię, jakby chciał wytrząsnąć ze mnie jakieś wyjaśnienie. Chodziło o coś, czego nie umiałam wyrazić - w każdym razie wówczas - mianowicie o zdumiewający sposób, w jaki jego ciało we mnie powodowało, że krzesła spod stołu taty rozpadały się na kawałki i unosiły nad naszymi głowami.

Wracałam do domu długo po nieszporach, dawno po zachodzie słońca. Dzwony katedry

ucichły, ale nadal dzwoniły mi w uszach. Ojciec siedział zwykle przy ogniu, Dolores podawała jakieś danie bez żadnego smaku: soczewicę albo rozgotowany boczek. Moja siostra nakrywała do tego samego stołu, przy którym posilali się uczestnicy stypy. Wyciągałam rękę, aby dotknąć ściany i przekonać się, czy jest tam rzeczywiście.

Dolores i tata wymieniali spojrzenia, podczas gdy ja powoli obchodziłam izbę, dotykałam wszystkiego, by móc znowu zaufać zmysłom. Brałam do ręki jakieś drobiazgi, filiżankę albo świecę, przyglądałam się jej z każdej strony.

- Czy to jest nowe? - pytałam.

- Nie - odpowiadała Dolores, potem odwracała się do taty. - I co? Jest dokładnie tak, jak mówiłam.

Nie zwracałam na nią uwagi. Nie rozumiałam, dlaczego moja siostra usiłuje nastawić tętę przeciwko mnie. Dlaczego stara się, by zwracał uwagę na moje dziwaczne zachowanie.

- Zabiorą cię do oczyszczalni - przepowiadała.

Dawno temu opowiadał nam dziadek, że kiedy był dorastającym chłopcem, lochy Inkwizycji zwano popularnie oczyszczalnią. Owa nazwa stąd się wzięła, że Kościół oczyszczał nasze dusze metodami podobnymi do tych, jakich używano przy oczyszczaniu jedwabiu. Święte Oficjum na wszystkie strony wykręcało ciało grzesznika, gotowało i wybielało je, próbując wydobyć jak najlepsze zeznania. Oczywiście przed pięćdziesięcioma laty ludzie jeszcze mogli żartować w ten sposób. Ośmielali się nawet robić to na głos. Kiedy dziadek przyszedł na świat, w roku 1611, w Hiszpanii żyło się znacznie spokojniej niż obecnie. Inkwizycja nie budziła w mieszkańcach prowincji aż takiej grozy. Niedostatek nie skłaniał ludzi, aby za kilka monet świadczyć przeciwko sąsiadom, którzy nie odmawiali modlitw albo, co gorsza, odmawiali niewłaściwe modlitwy.

Gdybyż tylko dało się oczyścić duszę tak samo jak zwój jedwabiu.

\* \* \*

- Twoja matka zamordowała wszystkich swoich synów.

- Synowie mojej matki urodzili się martwi.

- Matka twoja zabiła synów, a ciała zjadła.

- Ona urodziła martwe dzieci. To się zdarza. Zdarza się wszystkim kobietom. A tata pogrzebał niemowlęta. Przecież można to sprawdzić, odkopać groby. Leżą w rzędzie obok siebie blisko budki dla jedwabników. Pod czterema kamieniami. Przez całe swoje życie mama nikogo

nie zabiła, nawet szczura.

- Twoja matka zabijała dzieci płci męskiej.

Przysłaniam uszy dłońmi, tymczasem jeden z białych kapturów smaruje mi stopy tłuszczem i podkłada pod nie ogień. Ponieważ zwykle marznę, przez minutę czuję przyjemne ciepło.

- Czy ja rzeczywiście powiedziałam to wszystko? - pytałam purpurowy Kaptur, ilekroć odczytywał moje zeznania, nim podał mi je do podpisu. - Uwolnijcie mnie, a powiem wszystko. Nie, nie wiem. Wiem, wiem. Na pewno tego nie zrobiłam. Tak, zrobiłam to. Jeśli wy tak uważacie, to na pewno zrobiłam. Zrobiłam wszystko, o czym mówili świadkowie. Powiedźcie, proszę, co mam powiedzieć, wówczas powiem to, Bóg mi świadkiem. Gdybyście tylko chcieli... - Tak to było zapisane strona po stronie. Okazuje się, że człowiek potrafi zeznawać, nie kontrolując wypowiedzanych myśli, a nawet bez udziału świadomości.

W ciągu kilkuset lat hodowli jedwabniki popadły w niewolę. Nie przemieszczają się prawie wcale. Małe nóżki nie są w stanie podtrzymywać korpusu.

Samice, które składają używane do hodowli jajeczka, nie potrafią latać.

W stanie naturalnym jedwabnik żyje na drzewie, które go żywi. Pożera liście, a jesienią wytwarza oprzęd; ukrywa się w kokonie przyczepionym do nagiej gałęzi.

Zdarza się, że Purpurowy Kaptur coś mówi, tymczasem ja w wyobraźni przenoszę się do kokonu, który na jedwabnych nitkach kołysze się pod gałęzią morwowego drzewka, jednego z wielu w morwowym sadzie. Słońce świeci jasno; przez powłokę kokonu dostrzegam rozświetlone niebo, czuję ciepło. Drzewa są wysokie, rosły przez wiele lat. Jakżeż czarne są ich czubki na tle białych promieni słońca - myślę. Jakież nieprzeniknione i tajemnicze. Zbyt wysokie, zbyt oddalone, ażeby je poznać.

Zrywa się delikatna bryza, chwytą pasmo jedwabiu, potem je puszcza. Bujam się w kokonie to w tył, to w przód, to w tył, to w przód. Kołyszę się poza czasem, poruszam łagodnym łukiem.

Bije mi serce. To jedyny odgłos w całym stworzeniu.

Wtem nagle coś mnie wytrąca z transu. Jedwabne włókna niosą mnie w kierunku pnia jednego z drzew. Uderzam weń, potem trafiam w następny. Dzieje się tak raz za razem w rytm potężnych uderzeń serca.

Wierzchołki drzew znikają w chwili, gdy wracam do przytomności. W jednej chwili

uświadamiam sobie, że owe uderzenia to nic innego, jak tylko odgłosy mojego serca. Każdy z nich zdaje się być dla mnie groźny i niszczący. Dokładnie w chwili, kiedy myślę, że już dłużej nie wytrzymam, nitki pękają i upadam. Upadam, ale o nic nie uderzam. Spadam niczym kropla wody z niebotycznie wysokiego urwiska. Kropla zamienia się w parę, nim dosięgnie dna.

Podczas gdy absorbuje mnie ta osobliwa wizja, mówię, odpowiadam na pytania. W każdym razie tak mi się zdaje. Wcześniej odnosiłam wrażenie, że zapiski są sfałszowane, nieprawdziwe. Ale pewne zdania zawierają wyrażenia, które brzmią nazbyt podobnie do moich, aby zostały sfabrykowane przez kogoś innego.

Purpurowy Kaptur stara się, bym cierpiała coraz dotkliwiej. Bardzo mu na czymś zależy. Pragnie wydobyć ze mnie jakiś sekret, zanim jeszcze pozbawi mnie życia. Tylko o co chodzi? Powiedziałabym mu wszystko. Już powiedziałam wszystko. Niczego więcej nie potrafię wymyślić. W tym właśnie jest problem. Na pewno zaprzeczam sama sobie. W celi wymyślam najróżniejsze przestępstwa, które można przypisać mamie. W celi przygotowuję się starannie, aby wreszcie wykrztusić to, czego się ode mnie oczekuje. Lecz potem, w trakcie przesłuchania, zapominam o fałszywych oskarżeniach, które wcześniej przygotowałam. Nie potrafię ich wykorzystać.

Coraz trudniej radzi sobie strzép człowieka, jaki pozostał z córki Feliksa de Luarca, zrujnowanego hodowcy jedwabników, oraz Conception de Luarca, królewskiej mamki.

Kiedy białemu kapturowi udaje się przywrócić mi przytomność, ciemność pulsuje w rytm mojego tętna.

- Jestem gąsienicą - rzucam w przestrzeń. - Jestem gąsienicą - oświadczam ciemności.

Pan de Trouver miał powody do zadowolenia. Jego sklep ze zwierzętami, największy w Paryżu, prosperował znakomicie. Nie było tygodnia, aby nie sprzedał sporej liczby pięknych papużek. Kiedy dostawa opóźniała się, powozy zrozpaczonych dam ustawiały się w kolejkę długą na milę, licząc od bramy jego sklepu. Każdego ranka po przybyciu do pracy pan de Trouver podnosił zasłony, dzielił pomarańczę na cztery części i wrzucał je do klatki z małpkami. Potem wsuwał dłoń do dużego kosza z ptakami; jego grube ramię ocierało się o małe, wahadłowe drzwiczki. Krzywił się, gdy na pobrudzonym wiklinowym dnie natrafiał na martwe ptaki. Były takie lekkie i kruche, że jeśli choć przez przypadek pochwycił żywego ptaszka, ten natychmiast umierał z przerażenia. To było jak łapanie anioła, istoty pięknej i iluzorycznej, która znika, gdy

dotknąć jej niedelikatną ręką śmiertelnika.

*Les anges* - powiedział do Marie Louise, gdy pojawiła się po raz pierwszy w jego sklepie. Zachęcił ją, by spojrzała przez otwór w wiklinie na jasne, jaskrawe barwy. - *Vraiment*. Mówię prawdę.

Marie miała piętnaście lat. Poszła na paryski targ w towarzystwie ojca. Była księżniczką i mogła mieć wszystko, na co tylko przyszła jej ochota. Tak powiedział ojciec. O ile w ustach innych ojców tego rodzaju słowa brzmiały nonsensownie, o tyle w tym wypadku było inaczej. Brat króla Francji wiedział, co mówi. Tak jest, Marie była księżniczką i miała prawo mieć każde stworzenie, które dostarczało rozrywki. Z wyjątkiem małpiatek, które przenosiły choroby.

*Les oiseaux d'amour*. Maleńkie papużki sprowadzano tysiącami dla kaprysu francuskich dam. Nabywano je w Wenezueli w zamian za paciorki, lusterka albo bezwartościowe kamienie, wykopywane przy brzegach Renu, owej chłodnej i krętej rzeki, oddalonej o mnóstwo krain i wód od parującego Orinoko. Dzicy pakowali maleńkie stworzonka do koszy, które w Cumana ładowano na portugalskie statki. Uwięzione podczas transportu przez większą część lata, w większości zdychały i tylko w niewielkiej części docierały do paryskich kupców. Jeśli przeżyły choćby trzy sztuki z każdych stu, zysk pośredników i tak był godziwy.

Tego roku w Paryżu należało do dobrego tonu, by każda nowoczesna dama posiadała papużkę i nauczyła ją śpiewać. Maleńkie, jaskrawo ubarwione ptaki miały z natury melancholijny zaśpiew. Natomiast z dala od domu był on nostalgiczny i przejmująco słodki. Zakupiwszy małe stworzenia, baronowe i hrabiny, markizy i księżne poświęcały długie godziny na ich kształcenie. Damy ustawicznie zmieniały klatki, aby mieć pewność, że ich maleństwa znajdują się w warunkach najbardziej sprzyjających nauce śpiewu. Klatki z wierzbowego drewna i z wikliny. Klatki pozlacane albo bambusowe, lecz ze srebrnym liściem. Damy kąpały swe maskotki w spirytusie i nacierały je wonnymi olejkami, a jeśli jakimś zrzędzeniem losu nic z tego nie wynikło, karmiły je lodami owocowymi i poily wodą z dodatkiem alkoholu, kropli wódki powstałej na zamówienie jednego z Romanowów, tego, który był aktualnie carem - Fiodora, jeśli napis na butelce odpowiadał prawdzie, ale czy to nie Aleksy wstąpił na tron? Nieistotne, za czyją sprawą przygotowano ziemniaczany zacier, ważne, że wódka dość skutecznie wyzwalała w ptaszętach ochotę do śpiewania. Szczególnie odporne egzemplarze otrzymywały mikroskopijną kropelkę - och, doprawdy odrobinę! - laudanum. To ci dopiero było. Niektóre ptaki śpiewały potem przepięknie. Inne milkły - prawdopodobnie te najbardziej

stęsknione za rodzinnymi stronami. Kilka zdechło i ustąpiło miejsca innym.

- Pięć ludwików za stworzenie, które nie waży nawet uncji! - Ojciec Marie uderzył laską w duży kosz. Efekt był taki, że z otworów w wiklinie wypadło na podłogę kilka jasnych piór.

Pan de Trouver nie zaliczał się do tchórzy. Wprawdzie stał przed nim brat króla, ale to po jego stronie były wszelkie zasady handlu i aktualnej mody.

- Pięć ludwików - powtórzył.

- Niech będzie. - Ojciec Marie wzruszył ramionami. - *Vitet Marie, plus vite*. Szybciej. No, szybciej. - Niecierpliwił się. Chciał już iść do perfumerii.

Cztery lata później, pewnego środowego popołudnia, dokładnie kwadrans przed trzecią - królowa Maria akurat wracała ze stajni - jej ojciec umarł w tym samym sklepie z egzotycznymi zwierzętami. Właśnie starał się dobrać kilka żółwi na prezent z okazji urodzin swego brata Ludwika. Gdyby tego popołudnia kazał pokryć je warstwą złota, przeżyłyby może jeszcze jeden tydzień, przetrwałyby okres uroczystości. Jego serce zatrzymało się akurat w momencie, gdy zaczął odliczać pieniądze.

Ale do tego miało dojść dopiero za cztery lata. Tego popołudnia diuk Orleanu niecierpliwie obracał w rękę laskę o srebrnym uchwycie, a drugą ręką poprawiał perukę. Jego córka klęczała na podłodze przed koszem z ptakami. Pan de Trouver trzymał w rękę wypolerowany miedziany dzban, którego długą szyjkę wsuwał do klatek i uzupełniał wodą opróżnione naczynia. Małpki syczały bez ustanku. Marie wybrała papużkę z różowymi piórkami w grzebieniu. Chciała dotknąć różowego ogonka, ale ptak uderzył ją dziobem w rękę. Po powrocie do domu, w *chateau*, kazała służącej powiesić klatkę przy oknie. Papużka siedziała na grzędzie bez ruchu; miesiąc później była już martwa.

Ciekawe, jak to było w gęstej dżungli, porastającej brzegi wielkich rzek? Ciepło. Łagodne powietrze. Wielobarwne kwiaty. Ptak pochwycony w sieci, zamknięty w koszu i przeniesiony na statek nie mógł żyć długo. We Francji zdychał. Tutaj słońce nie świeciło tak często jak tam. Martwego zastępowano innym, a tego następnym.

W każdy pierwszy piątek miesiąca markiza Montpellier urządzała konkurs na najbardziej przejmujący i piękny ptasi śpiew. Zaproszenie do współzawodnictwa w jej salonie stanowiło powszechny przedmiot pożądania. Lecz tylko trzydzieści dam, nie licząc ptaków i służby, mogło pomieścić się w salonie markizy, gdzie dominowały dwie barwy: zieleń i róż. Właścicielki małych stworzeń przybywały na miejsce karetami. Bezlitośnie łąjały woźniców, gdy tylko powóz

zatrząśł się zbyt gwałtownie albo zbyt ostro pokonał zakręt, gdy w ogóle stało się coś, co mogło zaniepokoić ptaki schowane w klatkach, które kołysały się pod dachem. W salonie damy rozkładały karty, aby ustalić kolejność, w jakiej wystąpią ptaki. Procedura trwała bez końca. W jej trakcie panie paliły owe niesławne, sprowadzane z za morza różowe papierosy (zawierające w równych częściach tytoń, goździki i kokę), co bez wątpienia bezpośrednio wpływało na stopień entuzjazmu podczas zabawy. Używały długich cygarniczek z kości słoniowej albo ze złota (pragnęły utrzymać dym z daleka od swych umalowanych twarzy, aby nie podrażnić oczu i aby łyzy nie zmyły starannie przygotowanego makijażu, zwłaszcza przyklejonych gumą arabską sztucznych pieprzyków).

Z powodu papierosów towarzyskie spotkania stały się cokolwiek nieskromne. Tak było ostatniej wiosny. Doszło do pewnych ekscesów, kiedy niektóre damy zaczęły pokazywać się z nieprzyzwoitymi medalionami ze złota. Otwierały małeńkie zapięcia i pokazywały zawartość: nie miniaturowe portrety, lecz loczki, jednak nie loczki z głowy ukochanego, ale włosy z zupełnie innego miejsca. Kosmyki te były sztywne i poskręcane. Zasada gry: której damie po krótkim badaniu włosa, obejrzeniu jego barwy i sprawdzeniu sztywności, uda się odgadnąć tożsamość kochanka? Jeden sprężysty klaczek zdradził diuka Fife'u, ale identyfikacja innych okazała się znacznie trudniejsza.

Ostatecznie markiza stwierdziła, że jest to nazbyt wulgarne i ryzykowne. Konkurs ptasiego śpiewu zdawał się nie stwarzać kłopotliwych sytuacji, jakie powstawały ze względu na owe medaliony: tych wszystkich nudnych pojedynków oraz ich doprawdy irytującego rezultatu - balów, które kończyły się fiaskiem z powodu braku mężczyzn zdolnych do tańca.

Damy dość szybko odkryły, że choć papużki śpiewają w klatkach wcale ładnie, ich występy znacznie lepiej wypadają na zewnątrz. Więzione ptaki żałośnie wołały o uwolnienie, ale po drugiej stronie klatek często przerażały je bogato zdobione meble salonu markizy; fruwały dookoła, by nieuchronnie wpaść w płomienie świec z żyrandola. Na nim też śpiewały najpiękniej, póki nie zostały schwytane lub nie zginęły. Niektóre traciły życie w ogniu (odór palonych piór był obrzydliwy!), ale większość rozbijała się o lustra, o jedną z setek iluzorycznych dróg ku wolności.

Gorączkową atmosferę pierwszych piątków miesiąca wzmagało zachowanie panny de Toquetoque (tej samej, której zęby przedwcześnie szerniały od nazbyt częstego palenia różowych papierosów), osoby skłonnej do nadmiernej, a przez to niefortunnej ekscytacji.



Podczas prawie każdego konkursu wskakiwała na krzesła w taki sposób, że jakimś fragmentem odzienia - a to haleczką, a to obręczą, a to znowuż koronkowymi pantalonami - zaczepiała o poręcz albo oparcie, sama zaś lądowała na podłodze w kłębowisku materiału, między wstążkami i filizankami, obsypana lukrowanymi ciasteczkami. W okresie szaleństwa ptasich śpiewów panna de Toquetoque nadwreżyła kostkę i oba nadgarstki, złamała obojczyk i zamęczyła siedemnaście papużek, z których wszystkie spoczęły między jej ulubionymi krzewami róż. Rozgłaszała później, że rośliny lepiej rosną i pięknie kwitną po zakopaniu każdego następnego ptaszka.

Markiza de Montpellier uważała, że zabawa jest okrutna, wszak bez wątpienia fascynująca. Albo dlatego fascynująca, że okrutna. Gotowa była organizować rozgrywki w dwa piątki miesiąca, ale nie robiła tego z powodu nieporządku, jaki powstawał podczas wyłapywania ptaków, które ze strachu wypróżniały się obficie niż zwykle. Mimo że były niewielkie, potrafiły narobić nie lada bałaganu. W kulminacyjnym momencie wieczoru - po wypaleniu papierosów, odurzone damy goniły za odurzonymi ptakami; w swoich modnych, ale zupełnie niepraktycznych pantofelkach wspinały się na krzesła. Fruwające stworzenia zamieniały się w rozmazane, ruchliwe plamy czerwieni lub zieleni i nagle zatrzymywały się na powierzchni luster, wiszących nad potężnym kominkiem, po czym łagodnie opadały na podłogę. Jakież były lekkie, gdy się je podnosiło.

W madryckim apartamencie królowej słońce zdawało się świecić nikłym, szarym blaskiem, który przypominał Marie o bladym świetle, padającym na pierwszego martwego ptaka, jakiego widziała: korpus i podkurczone, przytulone do piór łapki. Marie skorzystała wówczas z okazji, aby dotknąć różowego grzebienia, pogłaskać barwne piórka. U markizy nie było miejsca na łyż, więc Marie wyszła stamtąd w towarzystwie służącej, nim ktokolwiek zdążył się zorientować, jaki jest stan uczuć. Przed domem wyskoczyła z powozu, choć jeszcze się dobre nie zatrzymał. Martwego ptaka niosła w mufce, przebiegła wzdłuż galerii, by w końcu przytulić się do kolan piastunki. *Pas juste, pas juste*. To niesprawiedliwe. Zachowywała się jak pięcioletnie dziecko, nie jak piętnastoletnia dama. Niania chwyciła Marie za podbródek i spojrzała jej w oczy. „Kto ci obiecał, że życie będzie zawsze sprawiedliwe, moje drogie dziecko?”

Nazajutrz po południu martwego ptaka zastąpił inny, jeszcze bardziej różowy niż ten pierwszy, który za przykładem papużek panny de Toquetoque spoczął w ogrodzie, ale bez widocznego wpływu na kwiaty. Oczywiście królewskim różom niewiele mogło brakować do doskonałości. Ziemia, na której rosły, była już użyźniona rybami z Morza Kaspijskiego, krwią

owiec, kośćmi bażantów i wszystkimi innymi ofiarami królewskich kucharzy.

Gdyby ojciec Marie wiedział, do czego prowadzi utrzymywanie papużek, na pewno uznałby je za mniej stosowny podarunek niż nieodporne na wściekłą małpiatki. Jednakże o rozrywkach u markizy, w tym również o papierosach z sekretnego schowka (tak się szczęśliwie złożyło, że jej wiecznie roztargniony mąż nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je schował!) nie mógł się dowiedzieć nikt postronny. Wszystko, co się tam działo, utrzymywano w głębokiej tajemnicy. Gdyby mężczyźni dowiedzieli się o tego rodzaju szaleństwach, musieliby położyć im kres, jak to zwykle czynią surowi mężowie i ojcowie.

A jakże, dziewczęta ukrywają swoje sprawy przed ojcami. Potem dorastają i mają sekrety przed mężami.

\* \* \*

Królowa postanowiła walczyć z niepłodnością. Zwróciła się o poradę do czarownic. Nie tych nieszczęśnic, które skończyły w lochu jako moje sąsiadki, nie praczek czy mamek, ale zdeklarowanych adeptek czarnej magii i specjalistek od sporządzania rozmaitych mikstur. Te piękne - w każdym razie niektóre - kobiety wyciągały dość pieniędzy od przesądnych dworzan, aby ubierać się w jedwabne stroje, na które często nie było stać szlachetnie urodzonych kobiet. W niczym Marii nie pomogły. Przyjęły od niej zapłatę, kilka złotych monet, siedem dukatów w zamian za miedzianą rączkę owiniętą w liść podbiału i przewiazaną włosami z poduszki Carlosa. Miała to mieć przy sobie wyłącznie podczas nocy spędzanej z mężem, jak najbliżej swego serca. Królowi powiedziała, że dzięki temu uchronią się od czarów. Carlos przystał na to. Sam przecież nosił na szyi medalion zrobiony z delikatnej, różowej skóry zajęczego ucha, a wewnątrz siedmiokrotnie złożony papier. Na siedmiokrotnie złożonej kartce papieru znalazły się słowa *In nomine patris et filii et spiritus sancti*, po których następowała długa lista świętych i aniołów, potem zaś imiona ich wysokości, zapisane czymś, co było rzekomo krwią zakonnicy, na koniec zaś *Christus ab omni vexati me diabolica peruasitatis te Carlos et Maria defendat. Amen.* Bardzo kiepską łaciną, ale większość czarownic nie była tak biegła w łacinie jak ja. Po dwóch oficjalnych uroczystościach zaślubin - w Wersalu przez posłańców i w Burgos - Carlos ożenił się z Marią po raz trzeci. Zorganizował to w wielkim sekrecie przyjaciel osobistego spowiednika króla. Nie wiedział o sprawie nikt postronny, nie wiedziała nawet królowa matka. Król i królowa, ubrani w peleryny, wymknęli się z pałacu o północy. O tej porze Marianna zwykle była pogrążona w głębokim śnie. Prowadził ich ktoś w kapturze. Nie wiedzieli, czy to kobieta, czy

mężczyzna. W kieszeniach nieśli sól, w butach - monety. W kościele pod wezwaniem świętego Cristobala, w ciemnej kaplicy niedaleko wejścia, powitał ich kapłan, także ubrany w pelerynę i kaptur. Stosując się do instrukcji, królowa zdjęła ślubne pierścienie ze złota, a Carlos po trzykroć kierował strumień własnego nasienia kolejno przez wszystkie złote pierścienie. Kapłan pomodlił się w języku, którego nie rozumieli, zlał ich wodą święconą i nie święconą, po czym mogli wrócić do królewskiej rezydencji.

Oczywiście takie i podobne nocne obrzędy były zabronione. Ich przeprowadzenie wystarczyłoby, by powiesić zwykłego śmiertelnika. Z obawy przed impotencją Carlos uczestniczył w bardzo wielu obrzędach, z których Kościół byłby niezadowolony. W okresie pierwszych rozczarowań Carlos i Maria przed udaniem się na spoczynek byli okadzani magiczną rybą, wyłowioną w Nowym Świecie z wielkiej rzeki Amazonki i dostarczoną do Hiszpanii w korze powidnika. Przez jeden miesiąc przed spoczynkiem rodowy członek Carlosa namaszczano sokiem ze świętojańskiego ziela, winem i miodem. W rezultacie Carlos był znacznie lepiej przyprawiony niż przeciętny obiad na królewskim stole; kucharz mógłby brać lekcje u czarownicy. Po tych zabiegach przyrodzenie Carlosa wyraźnie nabierało mocy. Król, podekscytowany okadzaniem, zarządził, że on oraz królowa regularnie, nie rzadziej niż raz na tydzień, będą poddawani egzorcyzmom: obnażeni i ponacierani świętymi olejami, wybatożeni i ochlapani wodą z fontanny. Świętobliwi mężowie próbowali wyrzucić wpływ na złe duchy, krzycząc królewskiej parze do pępek, uszu i odbyków. Któryś wsunął rozgrzany patyk do nozdrzy Marii celem wykurzenia diabła. Dwukrotnie w ciągu dnia, rano i wieczorem, Carlos brał lewatywę ze święconej wody.

Nie tylko na niepiśmiennych córkach hodowców jedwabników słowo pisane robiło duże wrażenie. Najwidoczniej również duchy nie były odporne na moc zakłątą w słowach zamieszczonych na pergaminach. Imiona króla i królowej powypisywano na setkach kawałków papieru, pozaklejanych w maleńkich kopertach i noszonych przy ciele przez świętobliwe zakonnice. W pewnym klasztorze wszystkie siostry zakonne miały przy sobie te imiona i nieustannie modliły się o płodność ich wysokości. Dwie setki pielgrzymów wyruszyły do San Sebastian, pragnąc ubłagać Boga, aby zesłał królewskiej parze znak swej miłości w postaci dziecka.

Chociaż generalnie winą obarczano Marię, wielu podejrzewało jednak, że to król Carlos nie jest w stanie spłodzić potomka. Kwestia męskości Carlosa bodaj najbardziej ciekawiła stryja

Marii, króla Ludwika. Szpiedzy francuskiego króla systematycznie wykradali tak wiele par spodni hiszpańskiego króla, by poddać je następnie starannym oględzinom, że królewski krawiec bez ustanku musiał uzupełniać garderobę swego pana.

Biedny Carlos. Na nic się nie zdało ekscytujące biczowanie, okadzanie ani zażywanie mnóstwa pigułek na potencję od Severa. Nie pomogły modlitwy podczas spółkowania. Nic nie pomagało. Carlos zaczął miewać napady głębokiej melancholii. Kilka dni z rzędu nie brał niczego do ust, nie odzywał się, nie jadł, leżał tylko nieruchomo na łóżku. Wokół niego rósł stos relikwii, tak że nawet pokojowiec nie mógł podejść bliżej. Ponury nastrój króla zdawał się udzielać otoczeniu. Przestały kwitnąć niemal wszystkie kwiaty w pałacowym parku. W te dni, kiedy wstawał i pozwalał się ubrać, jego humor był tak niepewny jak ostatni jesienny kwiat w ogrodzie: wystarczy drobiazg, aby spłynęły z łodygi ostatnie barwne płatki. To, a także mnóstwo innych niepowodzeń - ponure wieści od bankierów, informacje o wybuchu zarazy i zatonięciach okrętów, nieuchronne doniesienia o odkryciu kolejnej żydowskiej rodziny, która ukrywała się pod budynkiem Akademii - niweczyły w nim wszelką chęć do życia. Nim nadszedł wieczór, znowu okrywał się włosiennicą i kośćmi świętych męczenników.

Kiedy Maria Luisa doszła do siebie po złamaniu zębra, została wezwana do sali audiencyjnej króla, który czekał tam na nią w towarzystwie matki. Carlos oznajmił, że nie zezwala jej więcej jeździć konno. Królowa matka z aprobatą kiwnęła głową.

- Nigdy? - zapytała Maria. - Na pewno nie pragnąłeś powiedzieć, że nigdy, prawda?

- Nie wolno nam ryzykować - powiedział Carlos. - Severo zgadza, się z poglądem, że kolejny upadek obróciłby wniwecz wszelkie nadzieje, jakie nam pozostały, że poczniesz dziecko.

- Jego krótka przemowa zabrzmiała, jakby została doskonale wyćwiczona. Przypuszczenie to potwierdzało zachowanie Marianny. Maria odniosła wrażenie, że królowa matka sama przygotowała synowi tekst.

- Rozumiem - powiedziała.

Wróciła do siebie z bolesną świadomością, że oto odebrano jej ostatnią radość. Przez miesiąc chodziła nadąsana. Wyglądała przez okna i obserwowała szybujące nad stawami jaskółki. Ptaki flirtowały ze swoimi odbiciami, zbliżały się do swoich cieni na powierzchni wody. Ptasie odbicie, złudzenie, żyło, połyskiwało, oddychało tak samo jak rzeczywisty ptak, wreszcie znikowało w czarnej toni. Nurkowało, potem zjawiało się na powierzchni. Rzeczywistość, iluzja. Ptak w powietrzu wcale nie wyglądał bardziej realnie niż ten w wodzie. Przyglądała się jednemu

i drugiemu długo, bardzo długo. Bywały dni, że wpadała w trans. Nie miała innego zajęcia. Powoli w jej głowie rodził się pewien pomysł. Pewien plan.

Kiedy dwór jak zwykle w czerwcu przeniósł się do Escorialu tego więzienia zwanego letnią rezydencją, Marianna zabrała synową na najdłuższą ze wszystkich przechadzek po domu. Razem przeszły przez biblioteki i solaria. Odwiedziły kuchnię, gdzie wypiekano chleb. Zeszły do krypty pod pałacową kaplicą, nie do owego czarno - białego mauzoleum, sławnego w całej Europie, nie, ale - jak powiedziała Marianna - do miejsca przeznaczonego na szczątki królów i tych królowych, które urodziły następców tronu. Pokazała Marii sąsiednie pomieszczenie, wyłożone białym marmurem: marmurowy sufit i marmurowa posadzka, marmurowe ściany i sarkofagi. Światło lampy refleksami odbijało się od białych powierzchni miejsca wiecznego spoczynku.

- Bezpotomne królowe - powiedziała Marianna i spojrzała surowo na synową.

Tej nocy Maria Luisa poprosiła o pomoc Eduarda i Esperte. Wprowadziła ich w swój plan, w dramat, który zamierzała odegrać. Słuchali uważnie, namyślali się, w końcu zgodzili się wziąć udział w tym przedstawieniu.

Tego lata karzeł i tłumaczka wynosili z komnaty królowej małe skrawki materiału, poplamione miesięczną krwią Marii. Karłowi przydała się wieloletnia praktyka w charakterze błazna; kuglarskie ćwiczenia sprawiły, że miał wprawne ręce. Z kolei Esperte jako kobieta podejmowała z pozoru mniejsze ryzyko. Dla niej tego rodzaju oszustwo nie wydawało się niebezpieczne.

Para przyjaciół królowej Hiszpanii przenosiła pokrwawioną bawełnę na sobie. Oboje odbierali materiał w jej komnacie i chowali w zakamarki własnych szat. Operacja nie przebiegała bez ryzyka. Zdarzyło się raz, że nasiąknięte krwią bandaże odkrył pałacowy łowczy. Przyczyniły się do tego psy. Kiedy Eduardo w pośpiechu opuszczał podwórzec i chował się w gęstwinie krzewów, gdzie zamierzał spalić płótna Marii, jeden z królewskich chartów zwietrzył zapach krwi. Dołączyły o niego dwa następne. Zwierzęta bez trudu osaczyły karła, który nie mógł daleko uciec na swych krótkich nóżkach. Porwały mu spodnie i kalesony odsłaniając kieszenie wypełnione zabarwionym na czerwono materiałem. Potem Eduardo musiał przejść bardzo nieprzyjemną kurację przeczyszczającą jako remedium na hemoroidy, które, jak się przyznał, bardzo mu dokuczały.

- Czyż nie jest to rycerska brawura? - zapytał, śmiejąc się pomiędzy skurczami jelit,

wywołanymi mocną herbatą z liści senesu, po której mógłby się rozchorować człowiek znacznie potężniejszej postury. Maria siedziała przy jego łóżku.

- Powiedziałabym, że w tym kraju nie widziałam lepszego przykładu, ale nie jestem pewna, czy to jest komplement - odrzekła, poruszając się niespokojnie na krześle. Przez całe lato Esperte przynosiła królowej zioła wywołujące wymioty. Maria przyjmowała je przed posiłkami, dzięki czemu mogła udawać, że cierpi na typową dolegliwość związaną z poczęciem dziecka.

Gdy dwór powrócił z Escorialu do Madrytu, minęły dokładnie trzy miesiące - czerwiec, lipiec i sierpień - odkąd oficjalnie stwierdzono u królowej ustanie miesięcznych krwawień. Wszyscy cieszyli się wręcz ekstatycznie, zwłaszcza Carlos i Marianna. Dzwony na kościelnych wieżach nie milkły. Kolejna dziękczynna nowenna rozpoczynała się, nim skończyła poprzednia. Maria siadła do robótki, aby zrobić maleńką czapeczkę dla rzekomo spodziewanego dziecka.

- Jesteś jeszcze zupełnie płaska - powiedział któregoś razu Carlos, kładąc rękę na jej brzuchu. - Mam nadzieję, że nie wiążesz zbyt mocno gorsetu? - zapytał. Zmrużył i tak małe oczy w wyrazie troski.

- Nie - odrzekła i w zaciszu prywatnej komnaty rozchyliła staniczek. - Zobacz, w ogóle nie noszę gorsetu. - Poklepała go po ramieniu. - Nie od razu można dostrzec, że kobieta nosi w sobie dziecko - stwierdziła.

Doktor Severo poddał Marię dokładnemu badaniu. Oświadczył Mariannie, że piersi królowej nie powiększyły się jeszcze, jak to bywa w wypadku kobiet będących przy nadziei. Ale i na to miała nadejść pora. Ale czy kto widział królową, która by karmiła dziecko własną piersią?

- Nie, nigdy - zgodziła się królowa matka, wzdrygając się na samą myśl.

Świńskiej krwi używano do przyrządzania kaszanki. Świeża dostawa trafiała do królewskiej rezydencji wieczorem w trzeci piątek każdego miesiąca. Dostarczano ją w glinianej kadzi i pozostawiano na noc w kuchni. Kucharz nie rozpoczynał przyrządzania potrawy przed sobotą.

Palce karła, chociaż wyćwiczone w sztucznych salonowych i zonglerce, były zbyt krótkie, aby z łatwością rozwiązać podwójnie związany sznurek przy wieku. Eduardo posapywał ze strachu, kuląc się w ciemnej kuchni. Kiedy wreszcie zdołał zdjąć pokrywkę, włożył do środka dużą łyżkę i zaczerpnął tyle krwi, ile zdołał. Napełnił nocnik Marii do wysokości drugiego stawu kciuka. Wsunął ociekający palec do ust i oczyścił go z czerwieni. Potem nalał do kadzi wody i wymieszał zawartość. Zawiązał sznurek.

Krok po kroku, jak mógł najciszej, podążał w stronę komnaty królowej. Ostrożnie, aby nie rozlać nawet kropli. Sto trzy stopnie w górę schodów.

Krew był chłodna, prawie zimna.

- Och. Mój Boże, mój Boże - powtarzała królowa, kiedy Eduardo stał i przyglądał się, a Esperte wylewała czerwony płyn na jej uda i między nie. Gdy wstała z łóżka, świńska krew spłynęła jej aż do kostek. Uważnie przeszła do nocnika i z powrotem, pozostawiając za sobą czerwone ślady stóp. Zapach krwi wypełnił sypialnię. Esperte, nieco zaszokowanej tym, co się dzieje, zrobiło się niedobrze. Z ręką przyciśniętą do ust przyglądała się swojej pani, leżącej na łóżku w zakrwawionej koszuli.

Wiedziała, że mama nas opuści, że umrze. Wiedziała nawet wcześniej, niż przybył parafialny notariusz, aby spisać jej ostatnią wolę. Bo choć mama sama potrafiła poradzić sobie z literami i słowami, kontrola nad testamentami należała do Kościoła. Mama wyznała grzechy i wiarę, a dziesięcinę zapłaciliśmy monetami, które przywiozła z Madrytu. Potem pewnej nocy tata poszedł po księdza, nowego księdza, który był wysoki i miał dobre, skórzane buty. Ten sam wcześniej czytał nam listy od mamy. Alvaro.

Tak jest: mój Alvaro. Właściwie wówczas jeszcze go nie znałam. Nadal byłam dzieckiem.

Po ataku kaszlu mama pluła krwią; było bardzo dużo krwi. Pyskała na nią i na nas. Wcześniej Dolores i ja pokłóciłyśmy się - mamę wyniszczała choroba, w objawach której, jak to dzieci, nie dostrzegaliśmy niczego niebezpiecznego. Oczywiście z przerażeniem zauważaliśmy, jak chudnie, słuchałyśmy, jak kaszle, ale nie myślałyśmy o tym. Przeciwnie, zachowywałyśmy się jak zwykle. Tego właśnie wieczoru biłyśmy się. Kiedy Dolores zamierzyła się nad mamą, aby mnie uderzyć, chwyciłam ją za rękę. Mama usiadła, chociaż nie robiła tego już od dawna, i próbowała nas rozdzielić. Zaczęła kaszleć, krztusić się i pluć krwią, brudząc sobie brodę i szyję.

Zdrętwiałyśmy i w osłupieniu obserwowaliśmy, jak na koszuli nocnej powstają czerwone plamy. Mama siedziała wyprostowana na łóżku. Jej koszula, nowa, z bielonego płótna, była biała, śnieżnobiała. Twarz mamy wyglądała ładnie, przybrawszy ów szczególny, uduchowiony wyraz, jakże charakterystyczny dla umierających. Zawsze mi się zdawało, że mama była bardziej święta niż Maria, bardziej niż Królowa Niebios, która opiera się nogami o księżyc i gwiazdy. Kiedy dostrzegłam krew wsiąkającą w koszulę nocną, przeraziłam się. Oniemiałam, jakby ktoś odsłaniał przede mną jakąś groźną tajemnicę. Mama leżała na plecach, krew spływała jej z kącika

ust.

Piękniała jej twarz, piękniały duże, coraz większe oczy. Dla mnie, dziecka nawykłego do odpychającego odoru zarazy, do widoku ludzi z opuchniętymi pachami, wysuniętymi językami, ropiejącymi i czerniejącymi guzami w kroczeniach, guzami położonymi tak blisko intymnych części ciała, jakby stanowiły jakiś rodzaj kary za lubieżność, coś tajemniczego i pięknego było w umieraniu mamy. To coś na pewno miało związek z odwiecznym posłannictwem Kościoła, z odkupieniem duszy przez krew. Mama, tak mi się zdawało, umierała opromieniona świętością.

Tata wyszedł po księdza, w tym czasie ja czekałam na jego powrót przy oknie niedaleko łóżka mamy. W pewnym momencie mama niespodziewanie uniosła się i chwyciła mnie za ramię.

- Miałam dziewięć snów - oświadczyła. Powiedziała też, że kot siedzi jej na piersiach, jest ciężki i dlatego trudno jej oddychać. - Przepędź go, Francisco - poprosiła i już nie powiedziała nic więcej, tylko starała się żyć jeszcze choć chwilę dłużej.

Nic nie widziałam przez okno. Noc była bezksiężycowa, spokojna; spokojna, jakby całkowicie zamilkły wszystkie stworzenia. My także się nie odzywałyśmy; jakże wolno i płytko oddychała mama, ale nie była spokojna. Nie - miała napiętą uwagę i trzymała mnie mocno za rękę. Wiedziałam, że wielu otacza jej łóżko, czeka: jej mama i tata, siostry i Ernesto, wszyscy mali synowie, których straciła. Wszyscy krzyczeli unisono, by czym prędzej pośpieszyła do nich.

Potem, niemal w jednej chwili, jej oddech stał się szybki, głośny, urywany - jak u zwierzęcia. Tak głośny, że zdawał się mnie atakować, chwytając zębami, szarpać. Zakryłam uszy dłońmi, ale głos przedarł się przez nie, przeniknął. Musiałam słuchać. Na rękę mamy starałam się znaleźć miejsce, które kiedyś pokazała mi Dolores: puls. Pragnęłam odnaleźć język serca, które kochało mnie najmocniej. Rankiem tego dnia puls mamy był spokojny, równomierny, ale teraz skakał pod opuszkami moich palców niczym łuskane ziarna zboża. Usiadłam Przy umierającej matce, trzymałam ją kurczowo za dłoń i wówczas coś się wydarzyło.

Czyżbym zemdląca? Poczułam niezwykle uniesienie. Wiem, że dawniej głowę miałam pełną nonsensów o świętych i wszelkiego rodzaju natchnionego bełkotu, lecz tego wieczoru - nie potrafię określić, jak długo to trwało i co było tego przyczyną - naprawdę poczułam, iż odrywam się od materialnego świata, a ludzki wymiar czasu zaciera się.

Znalazłam się w sekretnej komnacie niepojętego serca Boga. Miałam świadomość, że w życiu obecne są piękno i porządek, co docierało do mnie niewyraźnie i co w tamtym czasie porównywałam do niezrozumiałych słów z karty książki, nieznanego klucza do ludzkiego



roзумu i szczęścia. Być może przeżywałam jedynie szok, ponieważ po raz kolejny traciłam matkę, część mojego życia, tym razem jednak ostatecznie i nieodwołalnie. Być może chodziło o ekstazę towarzyszącą temu stanowi. Cokolwiek przeżywałam, nie trwało to długo, myśli pozostały, ale ich moc słabła. Stopniowo stały się martwymi, beznamiętnymi ideami. Taka miała się stać wkrótce moja matka.

Kiedy doszłam do siebie, w domu panował całkowity spokój. Nawet ogień płonął bez trzasków. Usłyszałam szelest księżej sutanny. Nadchodził ojciec Alvaro. Jego suknia, nieco przydługa, szurała o kamienie.

Dolores otworzyła drzwi przed nim i tatą. Ksiądz nie tracił czasu, od razu ukląkł przy łóżku mamy. Zaczął się modlić. Kiedy przed namaszczeniem wytarł jej usta, pomyślałam sobie: Nie może tego nie zrobić, przecież nie może jej nie dotknąć. Łacina przed udzieleniem ostatniej komunii brzmiała tajemniczo i pięknie. Słowa spływały z warg Alvara i krążyły wokół nas. My też uklękłyśmy. Mama przyjęła święte oleje. Po jej szeptanym wyznaniu wiary kapłan modlił się długo, prosząc Świętą Dziewicę: *Mater pulchrae dilectionis, liberos tuos adjuva*. Matko miłości, pomóż swoim dzieciom.

Słyszałam ciche, żałobne pohukiwania sowy, jakby ten wielki nocny ptak również przysłuchiwał się i z nami dzielił żal. To było dawno, ja byłam młoda, kołysałam się na kolanach. Oparłam się na piętach, aż wreszcie, tak mi się zdaje, zasnęłam, choć nie straciłam równowagi.

Gdy się obudziłam, księdza już nie było. Mama leżała martwa. Na powiekach miała wosk i już nie należała do nas, lecz do kapłana i Kościoła.

Dolores pracowicie usuwała wszystką wodę, jaka znajdowała się w domu, co należy uczynić zawsze, ilekroć ktoś umiera. Powszechna jest wśród ludzi wiara, że woda wchłania dusze zmarłych i nie wolno jej używać do picia, do zmywania, do gaszenia ognia ani w żadnym innym celu. Trzeba też uważać, gdzie się taką wodę wylewa, ponieważ jeśli wsiąknie w ziemię, która kryje korzenie drzewa, to owe korzenie i prawdopodobnie całe drzewo umrze.

Nawet tamtego dnia, zaledwie chwilę po wyjściu ojca Alvara, stwierdziłam, że niewiele pamiętam z jego wizyty. Utkwił mi w pamięci jeden szczegół. Kiedy ksiądz się pochylał nad łóżkiem, by namaścić usta mamy, zobaczyłam jego ciemno - purpurowe spodnie, spodnie w kolorze bakłazanu. *Requiescat in pace*. Spoczywaj w pokoju.

- Matko Boska! - wołała mama, kiedy wpadała w gniew z naszego powodu. - Chyba już tylko w grobie będę miała spokój. - Wypowiadała te słowa gwałtownie, wyrzucała je z siebie.

Spokój! Oto teraz przybył kapłan i podarował jej to, czego tak bardzo pragnęła. Obwieścił to w języku Kościoła.

Nie mieliśmy dość pieniędzy, aby opłacić żałobników czy człowieka, który by siedział przy niej z talerzem baraniny i zjadał wszystkie jej występki, aby nie ciążyły na niej i nie zatrzymały jej na dłużej w czyścicu. Nie mieliśmy czym opłacić zakonników, by przenieśli mamę z domu do kościoła, ale na szczęście pomogli sąsiedzi. Chociaż tatę wykluczono z gildii hodowców jedwabników, mamy nie zakopano w zwykłej ziemi. Nie. Conception de Luarca mogła spocząć w kościele parafialnym w Quintanapalli, gdzie pod naszą ławką spoczywał mój dziadek, a także jego brat i wszyscy członkowie rodziny (z wyjątkiem Ernesta, którego ciało zniknęło, oraz martwo urodzonych dzieci mamy i moich ciotek; ich ciała musiały się zadowolić oczekiwaniem na zewnątrz do chwili, gdy przyjdzie Chrystus, by je przywrócić do życia).

Płyta nad kryptą grobowca rodziny Luarca miała otwór, w którym grabarz umieszczał łom, a następnie odsuwał na bok kamienny blok. Wokół otworu wyryto jedenaście gąsienic Jedwabnika, niżej zaś umieszczono nazwisko rodziny. Było tam jedenaście gąsienic, ponieważ od jedenastu setek jajeczek mój przodek Sandoval rozpoczął hodowlę. Umieściliśmy mamę w grobie, po czym płyta wróciła na miejsce, wydając zgrzytliwy, żalony dźwięk - westchnienie, jeżeli kamień w ogóle może wzdychać. Nie byłam pewna, czy mama miała w końcu spokój, o którym mówiła.

\* \* \*

Mama wyjechała do Madrytu trzy lata przed swoją śmiercią, zabierając ze sobą dobrobyt. Wszelako póki żyła, wierzyłam, że dobrobyt istnieje gdzieś na świecie i że kiedyś powróci. Gdy umarła, wraz z nią zginął też dobrobyt. Cierpiałam na wspomnienie chwil, kiedy siedziała przy naszym łóżku, śpiewała nam kołysanki do snu. Znała mnóstwo piosenek; pamiętam nie więcej niż kilka fraz każdej z nich, ale wiem, że były to pieśni o miłości i romansach, o młodzieńcach, którzy wyruszali w świat w poszukiwaniu żony i wdawali się w pojedynki o swoje ukochane.

Kiedy mama umarła, Dolores miała czternaście lat. Nie była jeszcze dojrzała, ale nie była już dzieckiem. Przypadły jej wszystkie obowiązki dorosłej kobiety. Wysiłki Dolores niewiele miały wspólnego z prawdziwym prowadzeniem domu. Wiedziała, jak trzymać garnek, ale posiłki, które podawała, były pozbawione smaku. Przyrządzała potrawy, które byłyby całkiem dobre, gdyby nie brak dajmy na to cebuli albo czosnku, albo innych dostępnych drobiazgów. Najczęściej chodziło o coś zwykłego, co mogło znajdować się tuż pod ręką, na przykład wisiało

przy piecu.

Po śmierci mamy zmieniło się moje życie. Oczywiście jakoś przeżyłam, ale ciągle doskwierał nam brak wielu rzeczy. Sukienki nie miały guzików, pantalony wymagały zacerowania, naczynia były utłuczone, paznokcie połamane i nierówne. Wszystko było czyste, moje sukienki i nawet schowana przed światem bielizna; ale często zdarzał się rozpruty szew i moje włosy nie zawsze były zaplecione. Uważałam to za wstydlive, widoczne dla wszystkich sygnały, mówiące, że nasza mama umarła. Kiedy znajdowałam się między obcymi, czułam, że przyglądają mi się jak komuś pozbawionemu miłości.

Dolores cierpiała na swój sposób, ale tylko ja płakałam i na mamy pogrzebie, i po nim. Moja siostra trzymała się prosto i nie opuszczała głowy. Tata stał się nieobecny. Był wiecznie zamyślony, poza krótkimi przyływami wściekłości, zwykle z mojego powodu. Szlochałam, a jego gniewał mój płacz.

Z początku tylko prosił.

- Przestań, Francisco, przestań - mówił. - Proszę, przestań, moje dziecko. Płacz nic tu nie pomoże. - Potem powtarzał, że zamartwiam mamę, która przygląda się nam z nieba i nie może udać się spokojnie po wieczną nagrodę. Albo że od ciągłego płaczu oślepnę i nie będę mogła nauczyć się tkactwa, dlatego nie wyśle mnie do Epili, bym pracowała i mieszkała z innymi dziewczętami. Albo coś w tym rodzaju. Ale nic, co mówił, nie mogło zatrzymać moich łez, nawet jeśli zaczynał mi grozić: - Zamilcz! Albo każę ci odejść z tego domu, na pewno to zrobię! Francisco, nie zniosę tego ani minuty dłużej!

Wreszcie zaczynał mnie bić. Uderzeniem otwartą dłonią w głowę przewracał mnie na podłogę. Kuliłam się, starałam osłonić. Czasem mnie nawet kopał, podczas gdy Dolores tylko przyglądała się bezradnie. Dreptała wokół nas, wykonując zwykłe, codzienne prace domowe. Kiedy ojciec kończył, podkradałam się i jak małe dziecko wskakiwałam mu na kolana. Nie bałam się, gdy mijał mu gniew. Na ogół tata był spokojnym mężczyzną. Rozumiałam, że bił mnie, ponieważ w ten sposób przeciwstawiał się fatalnemu losowi. Jego napady były jedynym środkiem, który pozwalał nam się oczyścić, mnie z żalu, jego ze złości. Mile wspominam chwile, w których siedzieliśmy spokojnie razem, on zaś kołysał mnie w ramionach.

Mama pozostawiła po sobie małą skrzynkę. Z lekami, amuletami, ziołami i innymi drobiazgami, drobiazgami potępionymi przez Kościół. Ludzie przypisywali im nadzwyczajną moc. Nie zwracali się jednak przeciwko Bogu, ponieważ jeśli tkwiła w tych przedmiotach jakaś

siła, to jej źródłem mógł być wyłącznie Bóg. Czym różni się kawałek bursztynu, przeznaczony do odpędzania diabła, od relikwii albo wizerunku świętego? Niczym, twierdziła moja matka. Jednakże mimo to trzymała amulety w sekrecie. W żadnym razie nie było w tym Przesady, skoro każdy nieszkodliwy przedmiot mógł stać się dowodem uprawiania czarnej magii.

Po śmierci mamy starannie ukrywałam jej szkatułkę. Znalazłam bezpieczną kryjówkę i spędzałam część każdego dnia na dotykaniu i oglądaniu z bliska każdego drobiazgu. Naszyjnika z muszli, który sprawiał, że dzieci nie toczyły piany z ust; odchodów niektórych zwierząt, używanych do sporządzania cuchnących okładów. Szklanych paciorków i żółtego proszku przeciwko żółtacze. Słów posiadających moc sprawczą, napisanych na skrawkach papieru i ukrytych w wosku albo pluszu. Ziół w związanych końskim włosiem skórzanych mieszkach. Proszku z białych korzeni ciemieżycy, które zbierałyśmy jesienią i suszyłyśmy na piecu; rozsypany na podłodze pod łóżkiem, chronił nas przed wszami i pchłami. Suszonych kwiatów chmielu, zrywanych przez nas w rękawiczkach i chustach obwiązanych wokół ust i nosa, ponieważ inaczej mogłybyśmy dostać palpacji. Senesu i mniszka. Jagód jałowca na nerki, jasnoty na miesięczne krwawienia, pięciornika na biegunkę, nasion srebrnika na skurcze macicy. Suszonych wilczych jagód, których najadłam się pewnego razu, będąc jeszcze małym dzieckiem; w pewnym momencie zaczęłam się nawet dusić i tracić przytomność, gdyż świeże jagody posiadają trujące właściwości. Proszku od bólu głowy, sporządzonego przez mamę w równych częściach z marzanny, sączyńca i bielunia, który nigdy nie rośnie dwa razy w tym samym miejscu, ale który - bardzo potrzebny w domowej apteczce każdej gospodyni - należy wytropić każdego lata w porze kwitnienia, kiedy wydziela mdlącą woń.

Otwierałam te wszystkie małe zawiniątka. Pochylałam się nad nimi, jakby wdychanie zapachu ich zawartości mogło wyleczyć mnie z żalu, z powodu którego, jak mi się zdawało, i tak wcześniej czy później umrę. Nadal nie mogłam uwierzyć, że moja ukochana mama odeszła, że zostawiła mnie z sercem pełnym miłości, uczucia, które mnie przepelniało, a teraz nie miało ujścia. Wypróbowałam wszystkie pozostawione przez nią lekarstwa, ale nic nie okazało się dostatecznie skuteczne. Tak bardzo byłam nieszczęśliwa, że przestałam rosnąć. Jakżebym mogła rosnąć, jakżebym mogła się zmieniać, kiedy ona tego nie widziała?

Dolores była ode mnie trzy lata starsza. Dokądkolwiek byśmy szły, zawsze bardzo się spieszyła i trzymała mocno moją dłoń. Robiłam trzy kroki na każdy jej jeden, a mimo to potykałam się o kamienie albo o jakieś gałęzie. Jakbym się potykała nawet o powietrze.

- Niezdara! - łajęła siostra i niecierpliwie szarpała mnie za rękę, aż w końcu zaczęło mnie boleć lewe ramię. - Cicho bądź! - powtarzała co najmniej sto razy każdego dnia. - Uspokój się! Bo jak nie, to powiem tacie, żeby oddał cię wilkom na pożarcie.

Teraz, kiedy Dolores przyszło pełnić rolę naszej mamy i karać mnie, zaczęła mnie traktować tak samo, jak ja ją wcześniej traktowałam. Wymyśliła wilka, który mieszkał w starym domku gąsienic, i groziła, że go wypuści, aby mnie złapał i zabił. Dolores swym złym usposobieniem i ciągłym napominaniem mogła osiągnąć taki sam skutek. Wcale nie musiała wymyślać wilka, w którego nawet sama nie bardzo wierzyła. W tej ostatniej sprawie postanowiłam jej pomóc.

- Czy widziałas go? - zapytałam. - Przybiegł ostatniej nocy, kiedy spałaś. Nie budziłam cię, bo zaczęłabyś krzyczeć ze strachu i wówczas na pewno by cię zagryzł. On wcale nie mnie chce pożreć. Stał tam, po twojej stronie łóżka, i wydrapał D na drzwiach. - Pokazałam na niekształtną literę, którą wyryłam w drewnie twardym kamieniem. Przynajmniej tyle nauczyła mnie mama. Dolores spojrzała na drzwi, ściągnęła usta jak zawsze, kiedy ją przeraziłam, i dała spokój z wymyślaniem sztuczek, aby mnie zastraszyć.

Kiedy tylko mogłam, odwiedzałam dom mojej przyjaciółki Natalii. Ojciec Natalii handlował winem. Cała rodzina mieszkała nad jego sklepem. Stały w nim beczki i beczułki wszelkich rozmiarów. Bardzo lubiłam Natalię. Imponowała mi zwłaszcza ze względu na swą zwinność. Była ładnym dzieckiem. Wiedziałam też, że gdyby szła z Dolores, nigdy by się nie potknęła, umiałaby znakomicie podskakiwać przy jej boku. Nie płakałaby i nie gniewała ojca; gdybym tylko była taka jak ona, moje życie ułożyłoby się inaczej. Uważnie przyglądałam się Natalii. Staralam się poruszać jak ona, stąpać zgrabnie po kamieniach z tyłu za naszym domem. Gdyśmy się razem bawiły, prosiłam, aby pożyczyła mi swoje buty. Jakżeż różniły się od moich drewniaków (nie było mamy i jej pieniędzy, nie było też skórzanych butów) te lekkie pantofelki z cielejącej skóry, które kupił jej tata. Miały wzór wytłoczony na wierzchu, znaki przypominające pismo, magiczne słowa, które, jak sądziłam, układały się w cudowne zaklęcie. Dzięki niemu ich właściciel chodził pięknie, unikając jakiegokolwiek potknięcia.

Chciałam wsunąć stopy w te pantofelki, ale miałam zbyt duże nogi. „Dorośniesz do nich” - mawiała mama o moich stopach, lecz kiedy umarła, postanowiłam, że już więcej nie urosnę. Natalia śmiała się, kiedy jej stopki znikały w moich chodakach. Wiele razy bawiłyśmy się popołudniami w sklepie z winem. Kręciłyśmy się pod nogami dorosłych, ale jej ojciec nie miał

nic przeciwko temu, zresztą podobnie jak jej matka. Jeśli na zewnątrz było chłodno albo padał deszcz, zawsze tam chodziłyśmy; to było lepsze niż zabawa w moim domu pod okiem Dolores.

Pewnego razu w drzwiach sklepu przywitał mnie ojciec Natalii i powiedział, że muszę wracać do domu. Dzień później Dolores nie wypuściła mnie z domu. Włożyli Natalię do skrzyni ustawionej na stole. Nie widziałam jej, bo było za wysoko. Dolores chwyciła mnie i uniosła ponad krawędź skrzynki. Natalia była ubrana w białą sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Koronka była tak piękna, jakby ją sprowadzono z Brukseli. Ślubna koronka, koronka, którą przyjaciółka pokazała mi kiedyś w skrzyni z wyprawą swojej matki.

- Och, Natalio - westchnęłam - masz na sobie sukienkę do Pierwszej Komunii!

Była martwa. Powinam się domyślić, ponieważ nie byłam znowu aż takim dzieckiem, a w dodatku zaledwie rok wcześniej przeżyłam śmierć mamy; mimo wszystko wydawało mi się, że Natalia jedynie śpi. Jej ręce były związane paskiem białego materiału. Zapytałam dlaczego. Czyżby była lunaticzką?

Dolores wyjaśniła mi, że Natalia przemieniła się w anioła i że nazajutrz wszyscy mieszkańcy odprowadzą ją do świątyni w Querannie.

- Czy zobaczymy, jak unosi się ze skrzyni do nieba? - pragnęłam wiedzieć.

Niewiele pamiętam z tego marszu do Queranny poza błotem przed kościołem, rozdeptanym przez gromadę ludzi. No i jeszcze poza plecami. Ale od tej chwili zaczęłam podchodzić do życia inaczej niż dotychczas. Teraz miałam w niebie przyjaciółkę. Chciałam umrzeć, aby wznieść się ku niebu. Pragnęłam połączyć się z Natalią i mamą. Jednak trochę się bałam. Strach przed śmiercią, która zabrała mi mamę i najlepszą przyjaciółkę, kojarzyłam z bielą. Nie tylko z bielą całunu, ale i ornatu, i sukni, które nosiłyśmy do Pierwszej Komunii. Biała barwa napelniała mnie przerażeniem, wywoływała dreszcze.

Jakbym wówczas przeczynała, w jakim znajdę się miejscu: w miejscu należącym do białych kapturów, tutaj, w Madrycie.

Po raz pierwszy pojechałam do Madrytu z ojcem. Było to w rok po śmierci mamy. Tata wyruszył w drogę, aby odebrać w pałacu zaległe wynagrodzenie, które należało się mojej matce. Towarzyszyłam mu w podróży. Tego lata po śmierci mamy widzieliśmy tłumy ludzi. Doskwierał nam gwar, upał i kurz. Sprzedawcy bezustannie strzepywali z towarów pył, który wzbijały przejeżdżające drogą powozy. Krążyli królewscy urzędnicy i żołnierze, domokrażcy i żebracy, i kobiety z małymi dziećmi. Bez przerwy rozlegały się nawoływania ludzi sprzedających mydło,

świece, noże, słodycze, wino, oranżadę, sandały, chusty. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej gromady ludzi. Kurczowo trzymałam ojca za rękę. Chociaż błagałam go, aby mnie zabrał ze sobą, czułam, że idę gdzieś wbrew własnej woli i że na pewno niedługo umrę w upale i wszechobecnym pyłe. Protestowano przeciwko jakiemuś podatkowi. Tłum na ulicy porwał nas i porzucił przed garbarnią, znacznie większą niż warsztat garbarski w naszym miasteczku, tak wielką, że wewnątrz jednocześnie tuzin mężczyzn usuwało dużymi nożami resztki mięsa ze świeżych skór. Po każdym zamaszystym ruchu robotnicy wycierali noże o nogawki spodni. Woń ługu była silna i dusząca.

Naraz moją uwagę ściągnęła nieziemską muzyką. Odwróciłam się, by ujrzeć grupkę trędowatych, hałasujących swymi dzwoneczkami. Mieli wychudłe, blade twarze. Wydali mi się wyjątkowo piękni. W moich oczach ich łachmany przeobraziły się w koronki. Szarpnęłam tatę za rękaw i zapytałam:

- Czy oni są aniołami? Czy przychodzą, aby powiedzieć nam coś o mamie?

- Nie! - odpowiedział i zdecydowanie odprowadził mnie na skraj drogi. - Skąd się u ciebie biorą te wszystkie dziwne pomysły? - syknął, ale nie docierały do mnie jego słowa. Obserwowałam, z jaką łatwością trędowaci posuwali się przez tłum, który nas powstrzymywał prawie godzinę. To, że ludzie rozchodzili się na boki, żeby zrobić tamtym przejście, jeszcze mnie upewniło, że oto widzę świętych przybyszów, duchy, które przekażą mi jakąś wiadomość o matce. Próbowałam nawet wyrwać się ojcu, aby pobiec za nimi. Ponieważ nie chciał mnie puścić, poczułam się zmęczona, chora, pokonana pod każdym względem i miałam ochotę po prostu położyć się na ziemi.

- Przez ciebie, Francisco, wszystko trwa tak długo! Żałuję, że nie zostawiłem cię z Dolores! - powiedział tata. Potem, za radą jednego z mężczyzn stojących przy warsztacie garbarza, powierzył mnie opiece Klasztoru Przemienienia Pańskiego, tego samego, którego litościwy zarząd pierwszy wynajął mamę jako mamkę. Zakonnicy podali mi kubek z wodą i zostawili na stołku w bibliotece pośród książek i w towarzystwie dwóch ojców zakonnych, zatopionych w ich studiowaniu. Sprawdziłam, czy mam czyste ręce i poprosiłam, abym mogła podotykać książek, obejrzeć znaki na marginesach poszczególnych stron.

Ogromnie pragnęłam nauczyć się czytać. Wydawało mi się, że owa umiejętność, którą pragnęła przekazać mi matka, niczym dźwięczące dzwonki białych aniołów z ulicy oczyści przede mną drogę. Gdybym umiała czytać, mogłabym również służyć innym jako anioł. Bez

żadnych przeszkód.

Bądź moją księgą, moim modlitewnikiem.

Tak powiedział, po czym odłożył książkę, którą studiowaliśmy. Nie Biblię i nie Żywoty świętych, lecz książkę pełną magicznych opowieści, napisanych przez niejakiego Owidiusza. Książkę o kobiecie zamienionej w drzewo, o bogu, który zamienia się w byka i gwałci królewską córkę, o kochanku, który podąża za oblubienicą do samego piekła. O wielu nocach namiętności, opisanych w języku Kościoła. Pojawiało się słońce w rydwanie i syn słońca, który ginął podczas tej podniebnej podróży. W nurcie rzeki pojawiała się śpiewająca głowa i grająca do wtóru lira pewnego poety, Orfeusza.

Bądź moją księgą.

Te właśnie słowa wypowiedział, kiedy rozchylił mi nogi. Jego język był ze srebra. Pod jego dotykiem odmieniłam się. Na wzór alchemicznej przemiany, na sposób opisany przez Owidiusza. Tylko że nie zamieniłam się w drzewo, nie - nie stałam się czymś przyziemnym. Podczas gdy Dafne przemieniła się w drzewo, ja byłam drzewem, ale rzuconym w ogień. Byłam duchem ulatującym ku niebu: niewidzialnym, nieuchwytnym.

Byłam rozedrganym powietrzem, jakie widuje się nad ogniem.

Kochanek obejmował mnie i dotykiem wędrował po wewnętrznej stronie moich ud, zbliżał się do płci.

- Oto jest prawdziwy jedwab, Francisco. Oto jest jedwab, jakiego nie wyprzedzie żadna larwa.

Kiedy podchodził do mnie z tyłu, kiedy obejmował mnie dłońmi w pasie i przyciągał do siebie, uświadamiałam sobie, jaka jestem mała. Jego kciuki niemal stykały się na moich Piecach. Czułam palce na swoich biodrach, jakby trzymał garnek za dwa ucha. Czasami pił ze mnie. A czasem byłam czarką, którą chwycił i rozbijał na kawałki o podłogę. Czułam, że tłukę się i rozpadam. Uwielbiałam tę szczęśliwą chwilę wyswobodzenia.

Wznosiłam się, póki nie znalazłam się poza zasięgiem wszystkich ludzi, których znałam, póki wszyscy nie stali się tacy mali, iż nie mogłam już rozróżnić ani kolorów ubrań, ani dostrzec wyrazu ich twarzy. Czasem potrafiłam rozpoznać jakąś osobę po sposobie chodzenia. Tam w górze słońce świeciło ostro. Nie było wiatru. Ptaki, które, widziane z ziemi, zdawały się latać szybko, teraz majestatycznie szybowały w dole. Nie było hałasu: żadnych głosów, żadnych



krzyków, żadnych rozmów ani plotek. Wyłącznie nikły szmer zbiorowych westchnień i przekleństw, modlitw i klątw. Żaden pojedynczy krzyk nie docierał do miejsca, w którym się znalazłam.

W niebie nie trzeba zabiegać o codzienne sprawy, nie istnieją powinności i zobowiązania. Nawet wielkie miasta, takie jak Madryt, sprawiają wrażenie małych i zupełnie przypadkowych. To zaledwie oddalone kłębowiska ludzkiej aktywności - jakby pękła osnowa w jakimś ogromnym ziemskim krośnie i nitki zaczęły formować swój własny wzór. Niektóre ułożyły się w ładny gobelin, inne utworzyły brudny, wygnieciony dywan.

Czasem zaczynałam szlochać. Na wysokości istnieje smutek. Czasem dziwiłam się, jak aniołowie to znoszą.

Oczywiście złapano ich. Bo czyż mógł się powieść tego rodzaju fortel? Starali się postępować ostrożnie, lecz pałacowe stráže miały oko na wszystko. Carlos nigdy nie sypiał spokojnie, zdarzało mu się spacerować we śnie. Wprawdzie nigdy się nie budził, ale zawsze jego śladem podążał królewski spowiednik. Dwaj mężczyźni w ciszy sunęli przez mroczne korytarze. Pewnego razu król trafił do komnaty z mapami. Ale nie tylko to przyczyniło się do odkrycia oszustwa. Kucharz narzekał, że rzeźnik dostarczył na dwór rozwodnioną krew, a Severo był zбитy z tropu po kolejnych badaniach piersi Marii Luisy.

Dlaczego - zastanawiał się głośno w obecności królowej matki - gruczoły mleczne królowej nie powiększają się, skoro jest w ciąży? Dlaczego brodawki zachowują bladą różową barwę?

Jedno odegrane przedstawienie mogło się upiec. Powodzenie drugiego było wielce wątpliwe. Trzecie musiało wzbudzić poważne podejrzenia.

Zbliżał się piąty miesiąc udawanej ciąży królowej, kiedy tuż przed świtaniem karzeł Eduardo został pochwycony na schodach w zachodnim skrzydle pałacu. W rękach trzymał nocnik z krwią. Strażnik nagle wyłonił się z ciemności; odgłos jego kroków odbił się echem o ściany chłodnych, kamiennych korytarzy, odbił się echem i przybrał na sile, brzmiąc w uszach skulonego w mroku karła niczym zbliżająca się armia rosnących mężczyzn. Eduardo wypuścił nocnik ze swych małych, spoconych dłoni. Naczynie rozbiło się o stopień.

Zanim królowa matka osobiście ujrzała dowód rzeczowy, gęsta świńska krew spłynęła powoli na niższą kondygnację. Spłynęła w stronę przeciwną do komnaty królowej, jakby

pragnęła sama zejść ze sceny planowanego przestępstwa, jakby chciała pozostać lojalna wobec spiskowców.

W czasie gdy Marianna spoglądała na rozlaną krew, Maria i Esperte czekały w sypialni królowej. Zaczynało wschodzić słońce.

- Coś się chyba stało! - zawołała nagle królowa. Esperte bezsilnie zaciskała palce i spacerowała od łóżka do okna i z powrotem. W pewnym momencie Eduardo - siłą podprowadzony do drzwi - wkroczył do komnaty. W strumieniu powietrza zadrżał płomyk jedynej świecy płonącej na nocnym stoliku, naraz skoczyły wszystkie cienie. Król, królowa matka oraz strażnicy, pozostali ukryci na korytarzu.

- Jak mogłeś! Rozlałeś ją! - zawołała Maria, widząc plamy na rękawach koszuli Eduarda.

Karzeń milczał.

- Zostało coś? - zapytała. - Gdzie jest mój nocnik?

Potrząsnął przecząco głową. Nie odezwał się. Za nim do sypialni weszła królowa matka w towarzystwie syna. Esperte dłońmi przysłoniła usta.

- Co robisz tutaj o tak późnej porze? - Marianna skierowała pytanie do Esperte.

- Wezwałam ją - wtrąciła się Maria. - Nie mogłam spać. Chciałam mieć kogoś blisko siebie.

- Dlaczego nie wezwałeś męża? - zapytała królowa matka.

- Zapragnęłam towarzystwa damy - odpowiedziała teściowej. Nie patrzyła na Eduarda ani na jego rękawy, na których krzepła ciemna krew.

- Zatem mogłaś posłać po mnie - powiedziała Marianna. Dodała jeszcze: - Cóрко. - Ostatnie słowo wypowiedziała tonem tak jadowitym, że Maria Luisa osunęła się nagle na łóżko.

Nikt nie odzywał się przez minutę, może dwie, a może też dłużej. Esperte nie wytrzymała i ze szlochem padła na kolana. Bładolicy, zaspany Carlos również zaczął płakać. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, ponieważ nawykł do ukrywania oznak cierpienia niegodnych swego majestatu; ale mimo wszystko po jego policzkach spływały łzy.

- Nie było dziecka, prawda? - spytał. - Nigdy nie było żadnego dziecka?

Królowa ukryła twarz w dłoniach. Potrząsnęła głową.

Podczas przesłuchania w jednej z komnat na parterze Esperte przyznała się do udziału w oszustwie. Przyznała się, że przynosiła królowej zioła ułatwiające udawanie objawów ciąży i przyznała się do usuwania pasków materiału ze śladami miesięcznego krwawienia. Oświadczyła,

że kocha Marię i dla niej była gotowa uczynić wszystko, każde zło. Oświadczyła, że sama jest zepsutym, nieużyтым plugastwem. Zgodziła się z sugestią królowej matki, że rzucała uroki i sporządzała trucizny. Kiedy Marianna zapytała, czy nie lepiła małych lalek z wosku, Esperte zaczęła się śmiać. Śmiała się długo, nie mogła przestać. Nie zaprzeczyła. Nie zaprzeczyła też innym oskarżeniom. Tłumaczka, której przydatność już od dawna była kwestionowana, która pozostawała na dworze wyłącznie dla dotrzymania towarzystwa królowej - jakież bowiem niebezpieczeństwo mogła stwarzać prosta dziewczyna z zakonu? - dostała ataku hysterii. Bez przerwy szczekała zębami. Usłyszała samą siebie, jak nazywa Mariannę tłustym, starym pająkiem, żmiją, krową i, być może, nawet jeszcze gorzej. Później sama nie wiedziała, co mówiła, ponieważ natychmiast o tym wszystkim zapomniała. Eduardo nie miał okazji, by pożegnać się z Esperte, gdyż filigranowa tłumaczka została usunięta z królewskiej rezydencji i wtrącona do celi sąsiadującej bezpośrednio z moją.

Karla nie ukarano. A przynajmniej nie od razu i nie jawnie. Carlos i jego matka najchętniej przesiadywali w prywatnych apartamentach. Przez kilka dni spożywali posiłki w samotności, stronili od dworzan i królowej, która jadła śniadania sama przy długim, bardzo długim stole, sama zasiadała do obiadu i przed zachodem słońca kładła się do łóżka.

Maria bała się. Nikt z nią nie rozmawiał, ani jedna osoba. Lecz wszyscy ludzie, którzy jej dotykali, obecni przy niej w poruszeniach rąk - garderobiane, fryzjerki, pokojówki i manikiurzystki - stawali się wyczuwalnie przychylni. Teraz, kiedy wyszło na jaw, że Maria Luisa nie tylko nie chce wydać na świat potomka, ale na dodatek próbowała oszukać króla, swego męża, i dlatego będzie musiała ponieść karę, wprawne dłonie służących już nie ściągały jej włosów i gorsetu tak mocno, że w ciągu godziny zaczynała ją boleć głowa. Nikt nie szczypał jej przy ubieraniu. W istocie nikt niczego już nie robił ze względu na jej wysokość czy wielmożność. Jakby teraz wszyscy mieli świadomość, że posiadają moc, jakiej ona nie posiada - moc życia, siłę płynącą z poczucia bezpieczeństwa, z pewności, że jest się kochanym - i głaskały ją. Służące niemal serdecznie odsuwały przypadkowy kosmyk włosów za jej ucho i gładziły jej kark. Gotowe były ją całować. Wyrażały współczucie dłońmi, opuszkami palców. Nieco dłużej niż było trzeba dotykały jej talii, palców u nóg i bolących skroni. Przecież nie były tak bardzo okrutne, ażeby odmówić królowej gestów pocieszenia. Tylko nie wówczas, gdy sytuacja stała się rzeczywiście rozpacзлиwa.

Ciało królowej odbierało litość, wyczuwało, co ona oznacza, i drżało ze strachu.

Za Marią ciągnął się zapach śmierci. Bardzo dziwny, przerażający zapach jakby starego bukietu: słodką woń zwietrzałych płatków przenikała jeszcze silniejsza - gnijących, oślizłych łądyg w wazonie. Ów zapach pojawiał się tuż przed nadejściem Marii Luisy, zapowiadał jej przybycie. Podczas posiłków służba wyraźnie go wyczuwała, stawiała przed nią talerze w absolutnym milczeniu. Każdy kęs poszczególnych dań zdawał się być przygotowany z myślą, że może być jej ostatnim. Dawniej na śniadanie podawano jej czekoladę z kozuchem, który musiała usunąć łyżeczką. Teraz dostawała filiżankę z gorącym, świeżym, ładnie parującym napojem. Nareszcie Maria nie musiała przecinać niesmacznej mleczonej skorupy, ściągać jej ze słodkiej powierzchni i pozostawiać na spodku.

Dwa tygodnie po przyłapaniu Karła na schodach Carlos zjawił się w jadalni naprzeciwko królowej Marii po drugiej stronie długiego stołu. Po raz pierwszy po długiej przerwie pozdrowił żonę i został posadzony na krzesło. Na widok tradycyjnego śniadania męża - rozmoczonego chleba - jak zwykle zrobiło jej się niedobrze, ale dzielnie zjadła bułeczkę i - tak to sobie wyobrażam - trzy mandarynki. Pewien gość na dworze ofiarował całą ich skrzynię.

Maria miała bowiem towarzystwo. Tydzień po usunięciu Esperte przybyła do Madrytu hrabina de Soissons. Przyjechała z Wersalu na miesiąc, przed wyruszeniem do zimowej rezydencji na Majorce. Okazała się bardzo żywym gościem. Dostarczyła nie tylko kosz pełen owoców, marcepanów, czekoladek, kandyzowanego imbiru i wielu innych smakołyków, które przywiozła ze sobą z Francji. Okazała się również dostarczycielką wielu rozrywek. Hrabina była co najmniej tak samo cudowna jak wszystkie te łakocie i starała się, jak mogła, aby rozweselić królową. Chociaż zmuszono ją do opuszczenia Francji w samym środku jesiennej sezonu (powód: jakaś miłostka z udziałem króla, a następnie paroksyzmy zazdrości ze strony pani de Maintenon), samopoczucie Olimpe de Soissons było niezmiennie doskonałe.

Oczywiście hiszpańska służba i dworzanie nie mogli czekać - a już na pewno nie w drugim tygodniu pobytu hrabiny - żeby puścić w obieg plotki o arseniku znalezionym przy pięknym gościu.

- Otruła metresę króla! - szepnęła na ucho Karłowi służąca królowej, Obdulia; jej szkliste oczy stały się jeszcze bardziej wylupiaste niż zwykle.

- Ależ ty jesteś głupia! Wierzysz we wszystko, co ci się zdarzy usłyszeć - odrzekł Eduardo.

Krałyły również plotki, że Olimpe systematycznie przez wiele lat zażywała truciznę -

arszenik otrzymany z pestek brzoskwini - w coraz większych dawkach, dopóki nie uodporniła swego organizmu. Podobno we Francji szeptano, że uczyniła ze swego ciała naczynie śmierci. Że wystarczy jeden jej pocałunek, aby zabić kochanka. Tak przynajmniej opowiadano sobie późnymi wieczorami w podnieceniu wywołanym znaczną ilością wina - w godzinie, gdy ludzie mówią cokolwiek, byleby utrzymać uwagę słuchacza.

*La Jolie Araignee*, śliczny pająk, tak ją nazywano.

Olympe była tajemnicza i piękna. Miała niezwykle subtelne rysy. Oszołomionym adoratorom mogły się wydawać lekko niewyraźne, zamazane. Wszystko - jej usta, nos, rozmarzone oczy - skłaniało kochanków hrabiny do dostrzegania tych właśnie cech, które pragnęli dojrzeć. Na przykład oczy: były szare czy brązowe, a może niebieskie? Pan de Vendome orzekł, że jej nosek jest spiczasty, jego brat - że perkaty. W opinii męża usta miała pełne i słodkie jak dojrzała wiśnia. Właśnie dla nich się z nią ożenił, twierdził hrabia. Natomiast księżę Langlee utrzymywał, iż są zarysowane ostro niczym strzała z kołczanu Kupida. Przyznał, że ranią mu serce.

Również osobowość hrabiny zmieniała się niezwykle łatwo, tak łatwo, jak łatwo zmieniają barwę owe małe jaszczurki, które przechodząc z liścia na kwiat są zielone, potem białe, w końcu znowu zielone. Przy boku diuka Contiego Olimpe była bezwstydną, głośną i uwielbianą, zwłaszcza przy stoliku karcianym. W towarzystwie chorowitego kuzyna, mola książkowego diuka Contiego, stawiała się intelektualistką. Książki filozoficzne wypadały spomiędzy fałd jej sukni. Właśnie kameleonowe umiejętności zadecydowały o wielkiej towarzyskiej popularności Olimpe de Soissons.

O jej strojach można rzec tyle, że za pieniądze, których były warte, można by ubrać wszystkich mieszkańców mojego rodzinnego miasteczka na wiosnę, lato, jesień i zimę. Jej spódnice były chyba najobszerniejsze w państwie. Na pewnym balu maskowym w Paryżu bawiono się rozważaniami, co może się zdarzyć pod tego rodzaju obszernymi sukniami, ponieważ hrabina de Soissons nosiła tak szerokie obręcze, iż dół jej stroju miał średnicę małego namiotu. Zwolniona przed rokiem służąca, która pomagała jej w ubieraniu, opowiadała, że na spódnice jej byłej pani trzeba było zawsze trzech dodatkowych długości jedwabiu i że hrabina z łatwością skrywała pod nimi jednego kochanka, wpuszczając jednocześnie do komnaty drugiego.

Ta sama służąca utrzymywała, że jej pani nie zawsze pozostawała całkowicie ubrana w miejscach publicznych. Pewnego razu zdjęła z siebie cały strój, nawet pantalonek - na premierze

jednej z oper Quinaulta i Luliyego. Stało się to wtedy, nim ostatecznie odsunął się od niej król Ludwik. Dokładnie w chwili, gdy zaczął się interesować odtwórczynią Prozerpiny, która śpiewała właśnie podczas tego sławetnego wieczoru. Przed przybyciem żandarma Olympe sprawiła, że wszystkie lornetki były skierowane wyłącznie na nią i podniósł się taki gwar, że nikt już nie słyszał słodkiej sopranistki Juliette Merival.

Kiedy fascynująca Olympe de Soissons przybyła do Madrytu, zaskoczyła ją panująca tu sytuacja, jakże odmienna od tej na paryskim dworze, z którego ją niedawno wypędzono.

- A to dopiero! Cóż, do licha, tutaj się dzieje? - zapytała na wstępie, zaraz po powitaniu ze starą przyjaciółką Marie. Królowa była wyraźnie zdenerwowana. Powiedziała, że niczego nie może wyjaśnić od razu, lecz dopiero później, gdy zostaną same i nikt nie będzie marszczył czoła na dźwięk francuskiej mowy.

Najwidoczniej wszyscy byli bez humoru. Służące wybuchały płaczem bez jasnego powodu. Podczas posiłków wyczuwało się napięcie, które w prosty sposób mogło się stać przyczyną niestrawności. Kiedy wreszcie Carlos i Maria zjawiali się na obiedzie, siadali naprzeciwko siebie na krańcach długiego stołu; królowa matka, zawsze ubrana w taki sam czarny strój, zajmowała miejsce obok syna. Król, królowa i królowa matka oraz ich goście stanowili połowę liczby degustatorów. W porze obiadu rozstawiano, zamieniano talerze, tymczasem dania stygły.

Carlos, Maria Luisa, Marianna, hrabina Olympe, francuski ambasador Rebenac, Vasco da Melo, portugalski alchemik z Lizbony oraz austriacki poseł von Richsberger przyglądali się, jak ośmiu mężczyzn i siedem kobiet ostrożnie unosiło łyżki do ust i przełykało. Tłuszcz zdążył stężeć, z sosów powydzielały się poszczególne składniki. Jeśli nikt nie zaczął się krztusić ani nie zemdłał, Carlos sięgał po jedzenie, po nim, połuźniwszy gorset, rozpoczynała posiłek Marianna.

Strach odebrał królowej apetyt. Każdego dnia spodziewała się, że padnie jakieś oskarżające słowo z ust Carlosa albo jego matki. Każdego dnia spodziewała się, że usłyszy jakieś oświadczenie w sali audiencyjnej jako reakcję na skandaliczną próbę oszukania całego imperium. Ale nic takiego nie nastąpiło. Przez tydzień łudziła się nadzieją, że zostanie w niesławie odesłana do Francji. Napisała mnóstwo listów: do stryja, czyli króla Ludwika, do matki, do brata, po kolei do każdego, kto byłby w stanie jej pomóc. Powierzyła je Rebenacowi, lecz on nie przyjął ich, twierdząc, że królowa lepiej uczyni, jeśli powstrzyma się na razie od tego rodzaju kroków.

- *Assez! Ca suffit* - zauważył. - Dosyć, pani, działałaś. Pozwól, że teraz zbadam, co da się

uratować.

Lecz Rebenac przez cały tydzień nie miał żadnych wieści godnych zakomunikowania. Królowa stała się nerwowa. Nie była w stanie nic zjeść w obecności Carlosa i teściowej. Przesuwała jajka na swoim talerzu. Carlos powoli sączył mleko z filiżanki, mleko, które po odebraniu od mamki zanoszono do kuchni. Tam gotowało się dokładnie przez dwadzieścia cztery minuty, przez dwanaście nastawień klepsydry, ani dłużej, ani krócej. Schłodzone do temperatury pokojowej i przecedzone przez płótno, zanoszono je na królewski stół w pucharze.

Król, któremu prosty lud przypisuje magiczną moc, do którego modlą się trędowaci, którego powóz tłum chętnie otacza, pragnąc dotknąć go w nadziei zyskania choćby odrobiny nadludzkiej mocy, ów król nie ma w sobie żadnej magii. Jego organizmowi brakuje nawet najzwyklejszego pierwiastka zdrowia. Carlos drży z obawy przed chorobą, przed chorobą i niedostatkiem, przed ciemnym lasem i koźmi, udławieniem i otruciem. Wszelako na wszystkich dworach panuje strach przed otruciem. Nic dziwnego, że funkcja degustatora jest na wielu dworach jedyną, której ranga wyraźnie wzrasta, a wraz z tym związane z nią uposażenie.

Król Carlos bał się schodów i karłów na długo przed tym, zanim schody zostały ochrzczone świńską krwią. Truchlał wobec wszelkich astronomicznych zjawisk. W czasie, kiedy bał się już również żony, niespodziewane pojawienie się komety skłoniło go do zamknięcia się w swojej sypialni i ukrycia pod płaszczem świętego Jana z Ortegi. Brzuch natomiast okrył włosiennicą świętej Agnieszki. Wokół jego łóżka znalazły się manuskrypty - tomy przepisane przez brać zakonną, żyjącą według reguł świętej Teresy - te same, pośród których zmarł jego ojciec, a także ojciec jego ojca. Ich prześcieradła zmieniły się w całuny, nim wydali ostatnie tchnienia. Kometa przeleciała, ciągnąc za sobą drgający ogon, tymczasem Carlos leżał w łóżu swego dziada i prosił Boga o litość. Jeśli bowiem Maria tak rozgniewała niebiosy, że wyrazem boskiego gniewu stał się ów gwiazdny pocisk, Bóg powinien wiedzieć, że on nie miał udziału w niegodnym czynie żony.

- Cóż mam uczynić? - modlił się bez końca. Ponieważ jednak Bóg nie kwapił się na razie z zasugerowaniem kary dla perfidnej królowej, Carlos postanowił przekazać sprawę w ręce swej kompetentnej matki.

Marianna przyglądała się zza stołu wszystkim gościom. Rozpustna hrabina od momentu pojawienia się w Madrycie wiele czasu spędzała z jej synową. Jeśli tak się przypadkowo złożyło, że Olympe akurat nie spotkała się z królową po południu, Maria po powrocie z parku podążała

zwykle bezpośrednio do saloniku hrabiny na wyższej kondygnacji. Razem piły czekoladę. Służące donosiły, że hrabina odsyłała je. Królowa i hrabina mogły więc swobodnie rozmawiać po francusku, nie wywołując przy tym grymasu niezadowolenia na żadnej twarzy. Niesamowita była ta Olympe, bezzelna.

Królewskie małżeństwo należało w jakiś sposób rozwiązać. Von Richtsberger przybył tydzień wcześniej, akurat po wybuchu haniebnego skandalu, gdy przyłapano Eduarda na schodach. Przywiózł ze sobą kilka miniaturek Anastazji, kobiety wszak nieurodziwej, ale jedynej niezamężnej księżniczki w całej Europie. Określenie „do wzięcia” brzmiało jak pochlebstwo pod jej adresem i to chyba musiało wystarczyć. Ewentualny alians Hiszpanii i ojczyzny Marianny, od dawna niezwykle pożądanym przez Habsburgów, mógł w tym czasie na tyle wzmocnić dynastię, że Austria i Hiszpania byłyby zdolne któregoś dnia pokonać króla Ludwika, zgasić blask Króla Słońce.

Osoba tak niebezpieczna, jak portugalski alchemik Vasco da Melo, utrzymujący, że solami srebra potrafi ożywić martwe ptaki, mogła okazać się niezwykle użyteczna. Da Melo parł się nadzwyczaj dochodowym zajęciem, polegającym na zaprowadzaniu harmonii wewnątrz skłóconych związków małżeńskich za pomocą transfuzji. Pobierał krew od kłótliwego małżonka, następnie zaś wstrzykiwał ją kłótlivej małżonce i na odwrót. W ten oto sposób, jeżeli któreś z małżonków nie umarło, oboje przestawali się spierać. Hiszpańszczyzna da Melo była zupełnie niezrozumiała. Portugalczyk starał się dawać do zrozumienia, że jego ojczysty język jest co najmniej tyle samo wart co inny. Mówił głośno, jakby krzykiem można było usunąć wszelkie różnice między językiem portugalskim a hiszpańskim. Potem zaś, mrugając powiekami, czekał na reakcję. Sprawiał wrażenie, jakby nie uświadamiał sobie, że zasiada przy królewskim stole, taki był nadęty. Jeśliby jednak nie pozabijał ich wszystkich przypadkowo, jeśliby przez przypadek nie wysadził pałacu w powietrze, mógłby się do czegoś przydać.

Mimo przyjemnej odmiany, jaką stanowiła wizyta dawnej przyjaciółki, królowa wyglądała mizernie. Zdaniem Marianny niemal tak mizernie, jak powinna była wyglądać. Służące donosiły, że dręczyły ją koszmary, że spała tak niewiele, jak niewiele jadła.

Rzeczywiście, strach przenikał członki Marii niczym lodowate powietrze. Królowa bez przerwy narzekała na chłód i wspominała swoje włosy, które kiedyś okrywały ją jak ciepły płaszcz; inaczej niż obecnie, gdy musiała je nosić na czubku obolałej głowy. Jakżeż bolała ją głowa, jakżeż ją nieustannie bolała. Mówiła o tym przy każdej okazji. Patrzyła przez okno i



mówiła o ogniu we Francji.

O dymie tańczącym, wijącym się, unoszącym się spiralnie ku niebu ze wszystkich kominów *chateau*, o płomieniach w każdym piecu. Obecnie długie, niezwykle długie godziny popołudnia Maria Luisa spędzała, siedząc w swojej wyiębionej komnacie w towarzystwie Olympe i Karła. Eduardo przysłuchiwał się, jak królowa pełnym głosem wspomina szczęśliwsze czasy. Wyobraźcie sobie: ogień płonął na blisko siedemdziesięciu paleniskach francuskiego pałacu. Liczna służba dbała o to, by nigdy nie wygasł.

O czym śniła mama w dziewięciu snach ostatniej nocy swego życia? Próbowałam to sobie wyobrazić. Matczyne marzenia na jawie nie są trudne do odgadnięcia. Każda matka pragnie przynajmniej dziewięciu dobrych rzeczy dla swoich dzieci, pragnie ich dziewięciuset. Lecz o czym marzy, kiedy śpi?

Dziewięć nie jest liczbą pechową; nie jest nią dziewiętnaście. Ani trzydzieści dziewięć. Miałam okazję przestudiować te sprawy. Po śmierci mamy, a potem Natalii, stałam się bardziej strachliwa niż kiedykolwiek do tej pory. Żegnałam się bardzo często. Zanim przeszłam przez próg naszego domu, obracałam się raz w lewą stronę i dwakroć w prawą. Aby wyjść, postępowałam odwrotnie: obracałam się dwa razy w lewą, raz w prawą. Chociaż Dolores także była przesadna, biła mnie w twarz za każdym razem, kiedy przyłapała mnie na takim zachowaniu; zresztą starała się, jak tylko mogła, aby uprzykrzyć mi życie.

Moja siostra zawsze była apodyktyczna, najbardziej zaś po śmierci mamy. Wykorzystywała fakt, że czułam się nieszczęśliwa. Tak bardzo nieszczęśliwa, że nie byłam w stanie się bronić. Ciągłe mówiła mi, co mam robić, i leczyła mnie z dolegliwości, na które jej zdaniem cierpiałam. Na melancholię kazała mi pić wyłącznie deszczówkę. Karmiła mnie kaparami na robaki i selerem na ból głowy. Nie mogłam jeść króliczego mięsa ani kasztanów, ani sera. Zjadałam takie ilości kopru na dobry wzrok, że mój pierwszy okres przyszedł z opóźnieniem; już mi się zdawało, że nigdy go nie dostanę. Po posiłku złożonym z pigw, fig i granatów dostawałam kolek i wzdęć, dlatego wolałam spędzać czas pod gołym niebem, niż być karmiona przez siostrę.

Dolores często przywiązywała mnie do dużego łóżka taty, przywiązywała mnie za ręce do jednego ze słupków. Potrafiłabym uciec, gdybym chciała, ale byłam na to zbyt dumna. Przemykałam więc tylko oczy i oddawałam się marzeniom. Marzyłam we śnie i na jawie. Działo

się tak zwłaszcza w deszczowe dni. Tak, Dolores właściwie zawsze wiązała mnie podczas deszczu. Może nie chciała mnie potem szukać, gdy wszędzie było mokro. Ulice w Quintanapalli nie były wybrukowane, w każdym razie większość z nich. Zalane wodą, niczym się od siebie nie różniły. Człowiek szedł mokrą ulicą, a tu ni z tego, ni z owego wpadał po kolana w dziurę, która wydawała się zwyczajną, płytką kałużą.

Z miejsca, gdzie byłam przywiązana, widziałam deszcz, widziałam, jak zamienia świat w niebezpieczne, falujące morze, i słyszałam, jak bębni o dach. Spokojny, uroczysty deszcz. Przynosił zapach drzew, wypierając poprzedni - zapach ognia i jedzenia z ostatniej kolacji. Rzecz jasna przypominał brzmieniem gąsienice pożerające liście, ów odgłos, który pomagał mi marzyć, że mama nigdy nie odeszła i że dziadek nadal jest z nami - i że jestem jeszcze dzieckiem, które wymyśla barwne dzieje efektów pracy naszych jedwabników.

Gdy ludzie śpią i śnią, ich dusze krążą po świecie, ciała tymczasem odpoczywają. Zasada marzeń na jawie jest podobna. Zamykałam oczy, oddychałam ożywczym powietrzem i wyobrażałam sobie, że nasz dom ma sześć szklanych okien jak dom, w którym mieszkała Natalia. Wyobrażałam sobie, że obie jesteśmy aniołami zamkniętymi w szklanej trumnie. Owinięto nas dokładnie białym płótnem, takim samym, jakim owinięte były nadgarstki Natalii. Nasze mamy i ojcowie zanieśli nas do kaplicy. Zgromadził się tam tłum ludzi jak podczas największych świąt. Niewiele widzieliśmy poza morzem ludzkich głów. Potem rozdzwoniły się wszystkie kościelne dzwony. Szklana trumna rozprysła się na kawałeczki i wąskie paski płótna zaczęły się odwijać z naszych ramion, nóg i korpusów jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zostałyśmy nagie, lecz byłyśmy złote niczym figury aniołów w wielkiej katedrze, złote niczym Eldorado. Uniosłyśmy się ponad wszystkich, choć nie miałyśmy skrzydeł, tak samo jak święta Teresa podczas natchnionych modlitw. Popatrzyłam w dół i ujrzałam mamę, która otworzyła usta ze zdumienia. Potem już nie mogłam jej zobaczyć, ponieważ znalazłyśmy się nad wielką chmurą dymu z kadzideł. Słyszałyśmy ludzkie głosy, pośród nich zaś głos mojej mamy. Wszyscy wołali: *Angelitas!*

Często otwierałam oczy, by stwierdzić, że Dolores szarpie mnie za ramię. Czasami uparcie twierdziła, iż usiłowała mnie obudzić od prawie godziny. Wpadała w złość i biła mnie po twarzy, ale niewiele o to dbałam. Zawsze potrafiłam uciec od niej w marzenia. Wcale nie lubiłam jej bardziej niż za życia mamy, kiedy wydawało mi się, że siostra okrada mnie z matczynej miłości. Teraz, kiedy śmierć ostatecznie położyła kres naszej rywalizacji o względy mamy,

byłam jeszcze bardziej zazdrosna o przeszłość. W ogóle nie rozmawialiśmy o niczym poza troskami życia codziennego, o brudnym talerzu pozostawionym na stole, o tym, ile powinnam zapłacić piekarzowi za bochenek chleba. „I w żadnym razie więcej!” - krzyczała, wypychając mnie z domu. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co drzemie w naszych sercach.

Miałam wówczas dwanaście lat, czyli osiągnęłam wiek, kiedy dzieci po raz pierwszy idą do spowiedzi, dziewczęta stają się kobietami, a chłopcy mężczyznami. Podobno byliśmy dostatecznie dorośli, aby pojąć znaczenie grzechu, ale jeszcze nie skażeni grzechami ciała.

W jednym ze snów mama opowiedziała mi o tym dniu, kazała pamiętać, że mam być dobrym, czystym naczyniem, gotowym na przyjęcie Ciała Chrystusa.

- Nie biegaj i nie hałasuj tego dnia, Francisco - powiedziała. Leżałam w łóżku możliwie najdalej od Dolores. Mama dotknęła mnie. Czułam jej dłonie na twarzy, na szyi i nad sercem. - Słuchaj taty, starszej siostry - powiedziała - i wyspowiadaj się jak najstaranniej. Po przyjęciu Ciała Chrystusa zachowuj się godnie. Wówczas naprawdę będziesz pragnęła mieć Jezusa w sobie i nie będziesz chciała Go utracić.

Wyobraziłam sobie siebie w postaci kielicha, naczynia, które po napełnieniu świętością należy traktować delikatnie, tak delikatnie, by nie rozlała się ani odrobina. Mimo wszystko znałam siebie bardzo dobrze - byłam dzieckiem, które rozlewało coś przy każdym posiłku. Wiedziałam więc, że albo będę ronić bożą miłość po troszeczkę, albo utracę ją od razu. Nie sądziłam, aby udało mi się zachować świętość.

Tak czy inaczej, kiedy wszystkie dwunastoletnie dzieci poszły wyspowiadać się do ojca Alvara, ja stałam w kolejce wraz z nimi. Oczekując na rozmowę z księdzem, przypomniałam sobie, jak spod sutanny wyjrzały mu na chwilę purpurowe spodnie, gdy pochylił się nad ubraną w nocną koszulę mamą. Od tamtej pory aż do tej chwili nigdy nie byłam równie blisko niego.

Przede mną do konfesjonału weszła Milagros, córka kołodzieja. Nikogo już nie było między mną a małym domkiem zbudowanym wewnątrz kościoła. Konfesjonał wyglądał jak nieduża kaplica w ogromnym kościele. Miał spadzisty dach, mały krzyż na szczycie, dwoje drzwi, dwie drewniane ławki, dwa kamienne stopnie do klęczenia. Była tam też cienka ścianka z okienkiem przysłoniętym czerwonym materiałem.

- Wewnątrz będzie ciemno - powiedziała Dolores. - Zobaczysz tylko czerwony kwadrat i nie będziesz słyszała nic poza głosem księdza.

Czekając na swoją kolej, czułam się oszołomiona, zażenowana. Na pewno nie byłam bez

grzechu, ale nie przestawałam myśleć: Co mam powiedzieć? Co mam powiedzieć? Wcale nie zamierzałam zdradzić grzechu, który ciążył mi najbardziej. Nawiedzały mnie nieprzyzwoite sny. Cóż mogłam na to poradzić? Albo przychodziła mama i prosiła, abym była dobra, albo odwiedzał mnie szatan.

Zaledwie poprzedniego dnia śniło mi się, że słyszę przenikliwe ptasie wołanie, jakby kot pochwycił jakiegoś ptaka. Podniosłam się z łóżka i ujrzałam mężczyznę z kobietą. Oboje byli nadzy. Kiedy mężczyzna dotykał kobiety, ta krzyczała jak ptak. Nie mogłam oderwać od nich oczu. Byli bardzo mali. Musiałam się pochylić, by ich dobrze widzieć, gdyż stali tuż przy moich stopach. Nagle na podłodze pojawił się dywan; piękny, jedwabny, we wszystkich kolorach, na jaki mogli sobie pozwolić tylko bardzo bogaci ludzie. Pod nim coś się kryło. „Ugryź to!” - rozkazał mi głos ze snu. „Musisz to ugryźć!” Lecz nie uczyniłam tego. Przyglądałam się wybruszeniu pod dywanem, aż w końcu uniosłam obszty frędzlami skraj. Pod spodem maleńki mężczyzna i jego małżonka używali cielesnych rozkoszy. Przyjrzałam się dokładniej maleńkiej kobiecie i dostrzegłam, że to jestem ja.

Ale to nie wszystko. Chodziło też o coś gorszego niż sny. Kiedy Dolores szła do młyna zemleć ziarno, zostawiała mnie zwykle przy studni. Uważała, że chodzę zbyt wolno. Nie chciała wlec się ze mną i tracić całego dnia. Polecała mnie opiece starszych kobiet zebranych wokół studni i mniej więcej po godzinie była już z powrotem. Łatwo się wymykałam, gdy kobiety zajęte były rozmową. Chociaż już nie wolno mi było zachowywać się jak dziecko, choć zaczynałam nabierać kobiecych kształtów i należało mieć mnie na oku, miałam umiejętność znikania. Nie przypominałam innych dziewcząt, które uciekały w nadziei, że ktoś będzie je gonił. Jeśli zdecydowałam się uciec, nikt nie mógł mnie powstrzymać. Wtedy popołudnie należało wyłącznie do mnie.

Walący się dom przy kuźni miał z tyłu małą komórkę, pomieszczenie trudne do zauważenia, jeśli ktoś o nim nie wiedział. Ale szatan zawsze dobrze wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Pewnego dnia przycupnęłam za pustą beczką i przyłożyłam oko do szpary między wypaczonymi deskami, przez którą mogłam zajrzeć do sąsiedniej izby. Wewnątrz dostrzegłam kobietę. Obnażoną - z rozwiązany staniczkiem. Mamka? - pomyślałam zrazu jak idiotka, ale nie było w pobliżu żadnego dziecka. Po chwili weszła do środka grupka mężczyzn. Stanęli przy piecu, porozpinali paski i zapinki. Z ukrycia widziałam, jak opadają rozmaite części garderoby:

kapelusze, koszule. Od czasu do czasu mignął skrawek nagiego ciała.

Ciągle wracałam tam, by podglądać. Wiedziałam, że źle czynię, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy. Lubieżność, oto, co mnie przyciągało. Lubieżność, która wprawiała mnie w taki sam stan, w jakim się znajdowałam rano po przebudzeniu z sennych marzeń. Czułam się tak samo jak wtedy, kiedy byłam młodsza, słuchałam opowieści o świętych i przeżywałam rozkosze uniesień.

Nie chciałam opowiadać księdzu o tych grzechach. Kazałby położyć im kres, a tego nie zamierzałam zrobić. Zatem właśnie wówczas - w małej, ciemnej klatce wewnątrz kościoła Przy okazji pierwszej spowiedzi - zaczęłam kłamać.

Dopuszczałam się nieposłuszeństwa i zawiści. Mówiłam o wszystkim, co mogło się wydać prawdopodobne w wypadku dziewczynki w moim wieku - o zazdrości, obmowie, drobnych kradzieżach, których nie popełniłam. Byłam w swoim żywiole. Wymyślałam historyjki. Tylko twardy kamień pod kolanami przypominał mi o świecie. W ciemności kłamało mi się zupełnie gładko. Nie musiałam unikać niczyjego badawczego wzroku. Skończyłam i czekałam na słowa rozgrzeszenia, ale one nie padły, przynajmniej nie od razu. Usłyszałam coś, co przypominało westchnienie. Policzki paliły mnie ze wstydu. Nagle wydało mi się, że ojciec Alvaro przenika wzrokiem przegrodę i mnie, trafia prosto do mojego serca, w którym nie ma jeszcze miejsca dla Chrystusa.

Co do serca, to biło mi tak głośno, że nie słyszałam żadnego innego ziemskiego dźwięku. Podniosłam się, potknęłam, wyszłam z konfesjonału i zaczęłam biec. Pamiętam twarze dzieci, które mijałam - zapadły mi głęboko w pamięć, blade i drżące, jakbym ujrzała je pod powierzchnią wody.

Tego samego wieczoru zachorowałam. Moja choroba zaczęła się od głowy i stopniowo rozprzestrzeniła na dłonie i brzuch. Gorączka zamknęła mi oczy. Czułam się oszołomiona. Dręczył mnie koszmar, że ukradłam Dolores starą lalkę. Chociaż Dolores już nie bawiła się lalką, którą tata jej kupił, gdy po raz pierwszy dostaliśmy pieniądze od króla, nie chciała mi jej oddać. Nazwała ją pięknie: Margarita Isabella. Leżąc w łóżku, widziałam siebie, jak wstaję, sięgam pod łóżko po pudełko i wyciągam z niego Margaritę. Dotykam jej głowy z gładkiej porcelany, ładnych, czerwonych ust i niebieskich jak u cudzoziemców oczu; gładzą sukieneczkę z fartuszkim, kokardy i buciki z czarnej skóry, które dawniej Dolores na zmianę to ściągała, to zakładała, jakby uważała, że nie istnieje nic piękniejszego od tych maleńkich, czarnych pantofelków. Wiedziałam jednak, że nawet później Dolores kochała swą lalkę, która w czystej

sukience z maleńkimi guzikami była jak fragment szczęśliwej przeszłości, kiedy dzięki wrodzonemu talentowi mama pojechała na dwór, a my mogliśmy otrzymać po raz pierwszy i ostatni w życiu wspaniałe prezenty. Zazdrościłam siostrze owego świadectwa pomyślniejszych czasów, a zarazem perspektywy szczęścia.

W koszmarnym zwidzie rozbierałam Margaritę i zabierałam ją ze sobą. W pudełku zostawiałam tylko sukienkę i pantofelki. Szłam za nasz dom, gdzie panował względny spokój, ponieważ nie kręcili się tam bez przerwy jacyś ludzie. Usiadłam i wykopałam lalce grób. Kopałam własną łyżką do jedzenia, drewnianą łyżką, którą zrobił mi tata. Potem, kiedy włożyłam Margaritę do grobu, okazało się, że nie jest lalką, tylko niemowlęciem, którego usta i nos rozłożyły się już przed kilku laty. Wydawało mi się we śnie, że to ja zabiłam to dziecko i że chciałam je schować przed mamą.

Leżałam w łóżku, aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że leży w nim moje ciało. Nie mogłam otworzyć oczu. Bolały mnie ręce, stopy i usta. Czułam, że cała moja skóra jest wysuszona i napięta. Miałam wrażenie, że wiele dni zajęło mi pochowanie martwego dziecka, pogrzebanie go w twardej, szarej ziemi. Mimo że byłam bardzo zmęczona, chodziłam tam i z powrotem, dopóki ziemia nie została mocno ubita, aby nikt nie mógł się domyślić, iż w tym miejscu wykopałam dół.

Wreszcie skończyły się kosmary. Wówczas usłyszałam rozmowę taty ze znachorką.

- Jeśli Francisca przeżyje, na pewno nie będzie widziała - powiedziała kobieta. Poczułam jej palce na mojej twarzy, czułam, że przemywa mi zaropiałe powieki. Wyciąg, którego używała, miał kojący aromat ruty, przypominał mi o mamie i skłaniał do płaczu. Znachorką zdołała otworzyć mi jedno oko. Miała rację, niczego nie widziałam.

Powiedziała tacie, że zostawia herbatę z wilczej jagody, napar o silnej mocy, na wypadek gdyby było ze mną jeszcze gorzej. Tata nie czekał, aby stwierdzić, w jakim jestem stanie. Przygotował napar, ledwie znachorka wyszła z naszego domu. Gorzki płyn sparzył mi usta. Rozpłakałam się, aż łzy potoczyły się po moich policzkach.

Podczas choroby rzucałam się w łóżku i chodziłam we śnie. Walczyłam z tatą i nawiedzały mnie coraz dziwniejsze majaki - Myślałam, że akuszerka chodzi za mną ze swoimi kleszczami. Niedługo po śmierci mamy Dolores zabrała mnie do domu Pascueli, aby pomóc przy narodzinach jej dziecka. To była ta sama Pascuela, która przyjaźniła się z mamą - ta sama, która bała się maminych książek - nie było więc nic dziwnego w tym, że do niej poszliśmy. Poszliśmy

tam zamiast mamy, bo przecież mama chciałaby ją odwiedzić. Dolores orzekła, że właśnie tak powinniśmy postąpić. Krew wypływała z tej kobiety, ale nie jak mojej mamie z ust, których używała do pocałunków, mówienia, opowiadania o cudownych pałacach. Krew wypływała Pascueli spomiędzy nóg. Więcej krwi niż to zwykle bywa przy narodzinach, znacznie więcej. Pascuela krzyczała głośno, przerażająco. Pomstowała na męża i wołała, że nie chce go więcej znać. Nazywała go knurem, ohydną kreaturą, śmierdzącym i kłamliwym gadem, który podstępnie wpełził jej pod pierzynę. Jej siostra zanosila się szlochem ze strachu. Miał to być pierwszy poród Pascueli, drobnej kobiety, która wzięła za męża postawnego mężczyznę. Musiała poddać się śmierci, ponieważ dziecko było zbyt duże. Ona i dziecko umarli, zanim akuszerka zdążyła zdjąć płaszcz i rozpakować swoje narzędzia.

Gorączka długo nie mijała. Widziałam akuszerkę i ojca Alvara unoszącego hostię. Rozmyślałam o narodzinach Jezusa Chrystusa. Że ubrudziły Go nieczystości pochodzące od leżącej w połogu kobiety. Niepokoiły mnie tego rodzaju sprawy. Nawet jeśli nie chciałam o nich myśleć, tkwiły już gdzieś głęboko w mojej głowie, by mnie dręczyć, na przykład gdy byłam chora. Albo też był to rodzaj przestrogi, do czego któregoś dnia mogą doprowadzić namiętności.

Gorączka wzmagała pragnienie. Tak bardzo chciało mi się pić, jakbym połknęła całą ziemię, którą wydobyłam przy kopaniu dołu. Uwierzywszy, że zdołałam ukryć mój okropny występki, modliłam się, aby mama wróciła do mnie. Aby przychodziła jak dawniej do mojego łóżka, gdy tata był czymś pochłonięty, na przykład obliczaniem wyimaginowanego bogactwa albo wymyślaniem argumentów w sporze z dziadkiem. Niegdyś w podobne noce prawie nie spałam, chociaż udawałam, że śpię, oddychając równo, powoli i głęboko. Czekałam, kiedy przyjdzie mama. Mówiła coś do nas, odgarniała z czoła każdej z nas kosmyki włosów, szeptała do uszu słowa, których nigdy nie wypowiadała za dnia. „Francisco, dziecko, mama cię kocha. Och, nie możesz nawet wiedzieć, jak bardzo!” Nie używała tego tonu, gdy zwracała się do nas w świetle dnia. Całowała opuszki moich palców, każdy z osobna, po czym chowała moją rękę pod nakrycie. Wystarczy, że o tym pomyślę, a na wspomnienie tamtych pocałunków bolą mnie palce.

Mówiła żarliwie, choć cicho. Przepraszała za brak cierpliwości, za pobudliwość, za nadmierną surowość. Za nic poważnego, za nic, co pozwoliłoby mi zwątpić w matczyną miłość.

Lecz ona z pewnością musiała odczuwać żal, ponieważ czasem przykrywała dłońmi twarz i szlochała. Ilekroć mama płakała, myślałam o tańczącej dziewczynie, o której opowiedział kiedyś tata. Dziewczyna tańczyła w błyszczących, czarnych butach na własnym weselu. Tata stał

oparty o ścianę i przyglądał się, jak tańczyła samotnie. Z aniołem albo diabłem: z kimś albo czymś niewidocznym dla nikogo.

„Rozgniewałam się dziś na ciebie, Francisco - mówiła mania tuż przy moim łóżku, muskając ustami prześcieradło - ale wcale nie chciałam tak postąpić, nigdy nie chcę. Krzyczę, a po chwili przychodzi mi na myśl, że jest mi przykro i że mogłam być miłsza”. Te kobiety różniły się od siebie. Mama za dnia nie przypominała mamy z nocy. Ta pierwsza była porywcza i skłonna do złości. Ta druga często płakała. W świetle księżyca widywałam jej gardło, głowę odchyłoną do tyłu, wilgotne policzki i gładki, połyskujący kark.

Kiedy byłam chora, mama zapewne przychodziła do mnie. Modliłam się o to. Może układała sobie na kolanach moją rozpaloną głowę, całowała moje oczy i leczyła mnie. Bo kiedy wreszcie gorączka minęła, usiadłam, otworzyłam powieki i stwierdziłam, że znachorka myliła się: widziałam.

Tata nie był człowiekiem specjalnie bogobożnym, ale nie chciał też, byśmy służyły diabłu. Twierdził, że i bez tego na świecie jest dosyć trosk, czy tego chcemy, czy nie. Kiedy wyzdrowiałam, kazał mi się modlić. Zawsze, a zwłaszcza wówczas, gdy będą mnie dręczyć złe myśli. Posłuchałam go. Bardzo się starałam, bo chciałam być dobra. Nauczyłam się sama zadawać sobie pokutę. Nie potrzebowałam do tego spowiednika. Przez całą najbliższą i następną zimę nie nosiłam bielizny. Wkrótce jednak odwiedziłam księdza.

Choć martwa od przeszło wieku, Juana la Loca nadal ma osobną lożę w Teatro Real. Oczywiście nie każdy ją widzi. Gdy królowa i Olympe zajmują swe miejsca na sąsiednim balkonie, Maria wzdryga się, cofa pół kroku i upuszcza lornetkę.

- Och, co się stało?! - woła Olympe.

- Nic. Nic takiego - odpowiada Maria. - Nerwy. To tylko nerwy. - Siada ostrożnie na krześle, lecz nie może oderwać wzroku od Juany.

Juana, szalona królowa. Córka Ferdynanda Aragońskiego i Izabeli Kastylijskiej. Prapraprababka Marii Luisy i Carlosa. Podobno Juana od urodzenia nie była normalna, wraz z wiekiem jej stan jeszcze się pogarszał. Od nadmiaru wiedzy, czego, jak powiadają, nie toleruje kobieca natura. Znała dziesięć języków i tajniki matematyki. Mówiła po grecku i łacinie. Zanim umarła, stała się ekspertem w dziedzinie wszelkich martwych przedmiotów. Niektórzy gotowi są obstawać przy tym, że nie nauka doprowadziła ją do szaleństwa, lecz romansujący bez przerwy



mąż.

Kiedy Filip zmarł na północy w roku pańskim 1506 i przewożono jego zwłoki do domu, Juana szła za jego trumną przez czterdzieści nocy. Szła, ponieważ nie ufała swemu urodziwemu mężowi. Podczas każdego postoju kazała otwierać trumnę, by go pocałować, by sprawdzić, czy nadal jest w środku, uczciwy, choć dopiero po śmierci. Gdy żałobny kondukt zatrzymał się na spoczynek w pewnym klasztorze, cierpiała, gdyż trumna znajdowała się w miejscu pełnym kobiet. Siadała z dala od cel zakonnicy i trzymała bez przerwy rękę pod wiekiem trumny.

Wszyscy znali opowieść, jak pewnego razu Juana przystawiła ostre nożyce do policzków jednej z metres Filipa. Pojawiała się w zamku naga, okryta wyłącznie własnymi włosami. Zawsze miała przy sobie duże, złote nożyce. W teatralnej łoży również zjawiała się nago i z nieodłącznymi nożycami w ręku.

- Nie wolno ci tak łatwo poddawać się nerwom - upomina Marię Olympe. - I, na miłość Chrystusa, przestań wachlować się tak energicznie, bo zdmuchniesz nam z głów wszystkie włosy. - Hrabina gładzi wysoką piramidę loków na własnej peruce.

Maria Luisa odkłada wachlarz na kolana, splata dłonie.

- Jestem pewna, że właśnie decydują, jak należy wobec mnie postąpić - mówi. Carlos i Marianna pozostali w domu. Nie chcieli udawać się do teatru w towarzystwie tych dwóch kobiet.

Minęło już kilka tygodni od usunięcia Esperte, a nadal nie podejmowano żadnych kroków ani przeciwko królowej, ani przeciwko karłowi. „Nie mogę tego pojąć!” - wykrzyknęła Maria w rozmowie z Eduardem tego dnia rano. - „Cóż to może oznaczać?!” Karzeł potrząsnął głową; łzy zaszkliły się w jego oczach. „Coś się wydarzy” - powiedział w końcu.

- Na pewno.

Olympe uśmiecha się do królowej, chwytając ją za rękę.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście tak się dzieje. Byłoby wreszcie po wszystkim - mówi. - Jakież byłoby cudownie, gdyby postanowili cię oddalić! Mogłabyś wyruszyć ze mną na Majorkę.

- Hrabina podnosi dłoń królowej do ust, całuje ją, kładzie na swoim policzku. - Mogłybyśmy radować się słońcem, gdy tymczasem wszyscy w Paryżu i Madrycie dąsali się w swoich zimnych, okropnych zamkach - powiada.

- Tak, może rzeczywiście zechcą mnie wydalić - zgadza się Maria. Usiłuje skupić uwagę na scenie. Trzyma wachlarz wysoko, aby zasłaniał widok Juany i jej zmierzwionych włosów.

Nadworny dramaturg, zaiste mierny talent, przez całą jesień układał tę farsę o pewnej

damie i pannach służebnych, nieprawdopodobną historię o intrydze i truciznie, w której nikt nie umiera, nic wielkiego się nie dzieje i nikt nie zostaje ukarany, może z wyjątkiem publiczności.

- Podczas antraktu między drugim a trzecim aktem Maria - siedząca między Obdulią a Olympe, plecami do Juany - skarży się na przeszywający ból w boku.

- Och! - woła w stronę Olympe, przytrzymując dłoń w miejscu, w którym umiejscowił się ból. - Czuję się okropnie. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Może to niestrawność - ziewając, rzecze hrabina. - Na pewno nie cierpisz z powodu nadmiaru śmiechu.

W istocie przedstawienie jest tak nudne, a królowa tak zdenerwowana, że w prywatności królewskiej loży (i za wachlarzem) musiała przed chwileczką poratować się kilkoma kroplami laudanum, z którym ostatnio się nie rozstawała. Połknęła zbawienne remedium, po czym odmówiła krótką modlitwę do kropel, prosząc je, by duch zniknął, a wraz z nim - błyszczące nożyce.

Olympe wyjmuje z torebki małą puszkę i oferuje królowej odrobinę mięty na dobre trawienie. Jednak mięta nie pomaga. Maria Luisa nadal czuje się niedobrze, więc trzy kobiety postanawiają wracać do domu. Schodzą po schodach, aby poczekać na karetę.

Dokładnie w drzwiach wielkiego teatru Maria kurczy się z bólu. Cierpi tak bardzo, że w jej oczach pojawiają się łzy.

- Dzieje się ze mną coś niedobrego! - powiada do przyjaciółki. Narzeka, że coś pali ją w ustach i gardle. Twierdzi, że jeszcze chwila, a zwymiotuje. - Powiedz, żeby woźnica się pospieszył! - błaga Obdulię.

Olympe szybko wyciąga z torebki srebrne pudełeczko. Kciukiem uwalnia zaczepek, wieczko odskakuje. Wewnątrz - dwie maleńkie fiołki.

- Triaca - wyjaśnia hrabina, nazywając najbardziej popularne antidotum na francuskim dworze. Tak popularne, że każda paryska dama zazwyczaj nosi je przy sobie. - Zażyj to, szybko.

- Nie zostałam otruta! - protestuje Maria, po czym wymiotuje na marmurową posadzkę w wielkim teatralnym westybulu. Najpierw kaszle, następnie szlocha.

- Może i nie - powiada Olympe - ale weź to na wszelki wypadek.

Królowa nie może tego zrobić. Wcześniej mdleje.

Kareta zajeżdża dokładnie w chwili, gdy Obdulia rozwiązuje Marii gorset. Trzy kobiety opuszczają teatr, nieprzytomną królową niosą dwaj strażnicy. Grupa gapiów, którzy spostrzegli

że królowa opuszcza swoją lożę, i poszli za nią i jej towarzyszkami po schodach, wraca teraz na widownię. Opowiada o wszystkim najbliższym sąsiadom, ich sąsiedzi opowiadają o tym sąsiadom z drugiej strony i tak dalej. Wkrótce wszyscy szepczą w podnieceniu, ignorując zupełnie wydarzenia na scenie.

Wóznica smaga konie i popuszcza lejce na tyle, że jeden z koni potyka się i kaleczy nogę o kopyto innego. Ranne zwierzę ryczy. Tymczasem przybywa oddział pałacowej straży, wbiega do teatru tuż za posłańcem w liberii. Żołnierze blokują wszystkie wyjścia z teatru, chociaż nieprzytomna królowa znajduje się już w powozie. Aktorzy nie przerywają przedstawienia, ale już nikt nie znajduje się na swoim miejscu.

- Gdzie jest francuska królowa?! - ktoś wykrzykuje, pokazując na pustą lożę. - Gdzie się podziała Maria Luisa?

- Otruta! - odzywa się głos z trzeciego balkonu.

Nikt się nie śmieje. Zapada cisza. Jasne plamki krążą po całej widowni. To soczewki lornetek odbijają światło lampionów.

- *Parid, bella flor de lis!* - woła ktoś inny, a wówczas - przecież tej samej jesieni siły króla Ludwika pokonały resztki hiszpańskiej armii i wszyscy częściej uczestniczyli w pogrzebach niż w koncertach, tej samej jesieni okazało się, że plony są mizerne, a na dodatek wieści o haniebnych próbach udawania ciąży i fałszywych poronieniach przy użyciu świńskiej krwi wyszły z pałacu i dotarły na ulice - rozpoczynają się zamieszki.

Podnoszą się krzyki:

- Gdzie podziała się ta francuska ladacznica! Dajcie ją nam! Trzeba ją wychłostać publicznie na placu.

- Ta nierządnica Maria drwi sobie z króla Carlosa i całej Hiszpanii! Kpi sobie z nas wszystkich! - wydziera się mężczyzna stojący na balustradzie loży. Wymachuje wyłamaną nogą od krzesła, po czym ciska nią w ogromny żyrandol wiszący u sufitu. Kawałek drewna więźnie w nim i zaczyna się palić. Świece spadają na siedzenia. Rozprzestrzenia się ogień.

Kiedy publiczność odkrywa, że jest zamknięta w teatrze, Wszystkie bez wyjątku kobiety zaczynają piszczeć, a mężczyźni rzucają się do walki. Z balkonów spadają krzesła. Siedemnastu ludzi ginie na miejscu, wielu innych zostaje stratowanych.

Z rozkazu dowódcy sił jego królewskiej mości widzowie mają być zamknięci wewnątrz teatru, aby można było przeszukać każdego z osobna, przesłuchać i w końcu wypuścić.

Siedzieliby tam wszyscy do następnego dnia, przynajmniej większość z nich, gdyby nie jedna ze służących, która dzieli się pewnym spostrzeżeniem ze swoją panią. Otóż wygląda na to, że aktorzy i aktorki zniknęli, być może dzięki ukrytym drzwiom, wykorzystanym w pierwszym akcie. W jednej chwili przez sekretną klatkę schodową wydostaje się z teatru również cała publiczność, wypływa na tyły budynku jak wino z pękniętej beczki. W środku zostaje tylko Juana, naga i zapatrzona w krzesła, płonące pod jej łóżem.

Kiedy królewski strażnik wsuwa głowę, aby zawołać na przesłuchanie następnego podejrzanego, stwierdza, że wielka, wypełniona dymem sala jest pusta.

Część publiczności podąża do swoich domów. Spodiewając się niepokojów, niektórzy bardziej przezorni pragną przeliczyć pieniądze, zamykają się w domach, gromadzą zapasy. Ale czy wielu jest takich? Co najmniej dwie setki ludzi bezpośrednio z teatru biegną Calle de Arenal i dalej do pałacu. Po drodze dołącza do nich uliczna gawiedź.

Spory tłum gromadzi się przy bramie parku otaczającego królewską rezydencję. Straże pod budynkiem też obserwują ożywionych ludzi. Powstają ogniska. Z początku małe. Grzeją się nad nimi zgrabiałe w chłodną noc dłonie. Przed świtem ogniska przekształcają się w piramidy ognia, w które tłum wrzuca wszystko, cokolwiek nadaje się do spalania: laskę ukradzioną starszemu mężczyźnie, połamane krzesła z Królewskiego Teatru, papiery z rysztołów (włączając w to wywrotową publikację El Hechizado, obecną niemal wszędzie, pod każdymi drzwiami, lecz której autorów i wydawców nie odkryto - dziwne, skoro nie tak łatwo można ukryć coś tak poważnego i głośnego jak drukowanie prasy). Suche gałęzie obumarłego kasztanowca z Calle de Arenal, odpadki z targowego śmietniska, podartą pelerynę, siedem koszul cuchnących winem i trzy pary butów, pozostawionych dla biednych na schodach do klasztoru Zmartwychwstania Pańskiego. Wszystko to płonie w ogniu. Jeden przedsiębiorczy mężczyzna ustawia mały żelazny kosz, nad którym grzeje poncz z soku pomarańczy, goździków i spirytusu. Silny aromat uderza w nozdrza. Sprytny kupiec czerpie napój z kociołka, napełnia czarkę i podaje klientom zaraz po odebraniu zapłaty. Amatorzy trunku są wkrótce dostatecznie rozgrzani, aby wspiąć się na bramę i wołać ponad dziwnie milczącym podwórkiem.

- Maria Luisa! - krzyczą, pozostali zaś podchwytyją. - Ma - ri - a! Lu - i - sa! - W końcu ich wołanie odbija się echem i niesie ulicami miasta.

Świt. Zwykle spokojny czas, lecz tym razem mury więzienne drżą w rytm imion królowej, w rytm wiersza. Okropnego wiersza, którego królowa musi słuchać, leżąc w swojej

sypialni.

- Urodź, piękny kwiatuszku!

Królowa Hiszpanii widzi pod powiekami deszcz gwiazd. Ten widok sprawia jej przyjemność, uspokaja. Dlatego Maria nie otwiera oczu, ignorując przy tym niezwykle zgromadzenie: służące, Obdulię i Jeanette, lekarza z asystentem, Mariannę i Carlosa oraz Olympe.

Kilku posłów z obcych państw kręci się na korytarzu. Misternie wykonane ostrogi dzwonią wesoło, uderzając o posadzkę, co rozprasza napiętą atmosferę panującą w pałacu.

Doktor Severo kciukiem podnosi powiekę lewego oka Marii. Czarna źrenica niemal całkowicie wypiera brązową tęczówkę. Reszta oka królowej jest nietypowo przejrzysta, co zwykle jest ubocznym objawem działania środka trującego. Wszystko to medyk stwierdza na własny użytek. W obecnej sytuacji, w klimacie hysterii, nie zdobywa się na jednoznaczną diagnozę. Nie chce mówić o próbie otrucia, dopóki nie będzie całkowicie pewny. W tym celu musi przeprowadzić analizy. Aby dowiedzieć się, co to było: arszenik, jakiś alkaloid czy antymon - a są to jedynie trucizny z rejestru na literę A - będzie musiał przeprowadzić wiele prób. Przygląda się dokładniej oku Marii. Żadna, najmniejsza nawet żyłka nie pojawia się na jego powierzchni. I do wewnątrz odwraca się bardzo, tak bardzo, bardzo wolno.

Zdrowe oko porusza się szybko, przesuwa z jednego Przedmiotu na drugi, lecz niemal niedostrzegalnie. Po powrocie z teatru Maria na przemian budzi się i zapada w sen, odzyskuje i traci przytomność. Okresy trzeźwości, które dotychczas się jej zdarzyły, były chwilowe.

W obecności króla i królowej matki doktor Severo stawia ostrożną diagnozę: cholera. Następnie aplikuje *agua de la vida* i wywar z goździków gotowanych w occie, co rozgrzewa i pobudza trawienie. Królowa dostaje torsji i kaszle, pryskając wokół lekiem, który wchodzi do organizmu czysty, a wraca różowy i brudzi wykrochmalony kołnierzyk medyka. Doktor Severo potrząsa głową. Spróbuje jeszcze z olejem migdałowym, może to odrobinę pomoże.

- Co jadła królowa? - pyta ponownie. - Proszę mi dokładnie opowiedzieć przebieg wypadków.

- Nie wiem - odpowiada po raz trzeci Obdulia i powtarza wszystko, co już powiedziała wcześniej. Wszystko, co wie. - Jej wysokość skarżyła się na przeszywający ból w boku. Siedziałyśmy w łoży, towarzyszyła nam hrabina Olympe. Hrabina, sądząc, że jej wysokość cierpi na niestrawność albo na ból wątroby, podała jej jakieś lekarstwo, które jednak nie pomogło, więc

opuściliśmy łożę i zeszliśmy do powozu. Potem, jak już wszyscy wiedzą, jej wysokość z wymiotowała, a następnie zemdlła w drzwiach teatru.

Severo skinął głową.

- A co jadła na obiad? - pyta.

- To samo co inni, proszę pana. Omlet. Chleb. Szarlotkę.

- Jakie wystąpiły objawy poza bólem w boku?

- Pieczenie w ustach. I dalsze wymioty. - Obdulia pokazuje palcem na miskę stojącą na toalecie i przykrytą dyskretnie płótnem.

Severo zdejmuje przykrycie.

- Czy to wszystko? - pyta.

- Zaczęło się w teatrze, proszę pana. Tam nie było miski.

- Więc nikt tego nie zebrał? Nikt nawet na to nie spojrzał?

- Widziałam jakby jajka i jabłka, nic więcej. - Obdulia gestykuje nerwowo, składa dłonie, jakby niosła z wymiotowany obiad.

- Czyż nie jest wiadomo wszystkim, że muszę poddać analizie w moim laboratorium wszystkie wymiociny, które mają związek z królewskim dworem?

- Tak proszę pana, ale...

- Moim zdaniem twoja pozycja w pałacu jest zagrożona. - porusza dumnie węsami. - Zostanie przeprowadzone dochodzenie - dodaje. - Będziesz musiała mówić.

- Tak jest, proszę pana.

Doktor Severo kiwa głową. Obdulia czym prędzej chowa się za plecami Jeanette, która patrzy wyłącznie na czubki swoich butów. Severo opuszcza sypialnię królowej. Za nim kroczy asystent. Posłowie rozchodzą się. Dźwięczą ostrogi przy ich butach.

Omlet, czy to rzeczywiście omlet? A co z miętą? Torebka hrabiny z miętą i resztką odtrutki została skonfiskowana i zanesiona do laboratorium. Na dole wszyscy dyskutują o szczegółach. Królowa była w teatrze, siedziała we własnej łoży, poczuła ból w boku, ruszyła do wyjścia, zemdlła. Zwymiotowała na oczach osób postronnych.

Nastąpił atak wątroby. Tę wersję powtarzają królewscy urzędnicy korpusowi zagranicznych posłów, którzy zbierają informacje o przemianach międzynarodowych dla własnych królów. Na te wieści czeka cała Europa: „Królowa zachorowała w teatrze. Francuska królowa Hiszpanii jest poważnie chora”. Wysłannicy obcych dworów czym prędzej wracają do

swoich komnat, gdzie ich sekretarze skrzypią gęsimi piórami po pergaminie i parzą tłuste palce topionym w pośpiechu woskiem na pieczęci. Jakże rzadko zdarza się wysyłać do ojczyzny rzeczywiście ważne wiadomości! Hiszpania chwieje się, potyka. Jeśli w końcu runie, natychmiast Francja, Anglia, Austria, Belgia, Portugalia, Holandia rzucą się, by zagarnąć coś dla siebie.

„Podczas wizyty w teatrze królowa nieoczekiwanie zachorowała” - powtarzają dworscy urzędnicy, ale dyplomaci obcych monarchii wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy zostają sami, mówią wprost o otruciu.

„Ktoś otruł królową!” Wszystkie ściany w pałacu zdają się powtarzać te słowa. Podłogi jęczą, schody drżą pod najlżejszym stąpieniem, ciężkie draperie zwisają żałośniej niż kiedykolwiek.

Marianna opuszcza grupę obserwatorów czuwających przy łożu królowej i nie wychodzi ze swojej sypialni do następnego dnia. Ogarnięty przerażeniem Carlos wzywa spowiednika i każe sobie przynieść płaszcz świętej Eulalii oraz szklaną kolbę z ostatnim tchnieniem świętego Benedykta, patrona wszystkich ofiar trucizny, tchnieniem, które święty wydał po połknięciu rtęci między jednym śmiertelnym skurczem a drugim w roku pańskim 534. Kolba jest poprzecinana tak gęstą siecią pęknięć, że osoba mniej łatwowierna od Carlosa z całą pewnością nabrałaby podejrzania, iż ostatni oddech świętego Benedykta znalazł się w znacznie mniej gęstej atmosferze niż ta, która panuje zwykle w królewskim relikwiarzu. Cóż, kiedy ostatni oddech Benedykta należy do najcenniejszych okazów w zbiorach Carlosa, nawet jeśli jego moc jest wątpliwa.

Król wymiotuje z przestachu. Przerażony, że on także został otruty, nakazuje odprawić specjalną mszę. Tymczasem misa z wymiocinami trafia do laboratorium Severa, gdzie staje w pobliżu podobnych mis z częściowo tylko strawioną treścią żołądka królowej. Medyk już od dłuższego czasu zajmuje się poszukiwaniem w wymiocinach trujących substancji.

Służące Marii Luisy kolejny raz zmieniają jej koszulę nocną. Olej migdałowy nie hamuje nudności, które nie ustają przez całą noc. Czy coś jest w stanie je powstrzymać? Te dolegliwości są jak wyrzuty sumienia, spowodowane nie posiłkiem, nie trucizną, ale ogromnym rozczarowaniem całego życia.

Królowa ciągle jest bliska torsji. Złożona chorobą, nie potrafi dokładnie odróżnić rzeczywistości od samoistnych obrazów, powstających gdzieś w jej głowie. Sypialnia, zasłony, szcotka, lustro i pierścienie na palcach nie są wcale bardziej realne niż przedmioty występujące w jej snach. Kiedy torsje mijają, Maria ciągle powraca myślami do drzew.

Za jeziorem Króla Słońce, za wypielegnowanymi, przystrzyżonymi drzewami rosną zagajniki. Leżąc w łożu na dwóch wełnianych materacach i jednym puchowym, Maria Luisa śni o zawodach jeździeckich, wierzbach o bladozielonych, świeżych liściach, o kamiennych chatkach, żonkilach, tulipanach, klematisie i wilgotnych gałęziach drzewek morelowych, tak ciemnych, że sprawiają wrażenie czarnych. O różowych liściach na tle ciemnych chmur i jasnosrebrnego słońca. Śni o zapachu ziemi, który uderza w nozdrza, gdy koń kaleczy kopytami wilgotną ziemię. Jakież imię miał jej pierwszy kucyk? Ten wysoki zaledwie na dwanaście szerokości dłoni? Lucie? Tak, na pewno Lucie. Lucie z tym swoim zabawnym sposobem poruszania się. Wyglądem przypominała konika na biegunach z pokoju dziecinnego.

W noc śmierci kuzynki Berthe wygasł ogień we wszystkich paleniskach w całym *chateau*. Berthe została otruta, fakt to dowiedziony. Kiedy medycy otworzyli jej ciało, okazało się, że jej wątroba jest zupełnie biała.

Ciekawe, czy moja wątroba zmienia barwę? - zastanawia się królowa. Ale nie wolno jej o tym myśleć. Pomyśl o czymś innym, pomyśl o czymś miłym. Będzie myślała o Lucie, o małej klaczy sprzed wielu lat. Nie o jeździe bokiem, do której zmuszano ją w Hiszpanii, gdzie kobiecie podczas jazdy nie wolno mieć rozchylonych nóg i siedzieć okrakiem na wierzchowcu. Musiała wdziawać ciężki habit, kapelusz i sięgające łokci rękawiczki. Nie, będzie śniła o przejażdżkach na koniu w chłopięcych bryczesach i prawdziwym siodle. O Francji. O wizytach w stajni po zakończonej gonitwie i przyglądaniu się, jak chłopiec stajenny zdejmuje siodło z ładnego, kasztanowatego grzbietu i dokonuje innych codziennych zabiegów. Pod spodem skóra Lucie była zazwyczaj ciemniejsza. To pot tworzył wyraźny zarys siodła księżniczki.

Severo w żadnym razie nie jest człowiekiem bez wykształcenia. Dyplom - zdobyty na uniwersytecie w Lejdzie po pięciu tygodniach studiów, welinowy zwój, podpisany przez wielkiego uczonego i lekarza Sylviusa oraz zaopatrzony w podobizny Hipokratesa, Bacona i Paracelsusa - dawał gwarancję, że jego właściciel odbył kosztowne studia w zakresie rozmaitych sztuk medycznych: analizy flegmy, funkcji gruczołów, fermentacji i gazów oraz zaawansowanych technik podwodnej chirurgii. Te ostatnie przedsiębrano dla zapobieżenia przenoszeniu się posocznicy między organami i wyeliminowania ryzyka zakażenia od pasożytów niesionych prądami powietrza. Mówiło się, że królewski medyk używa wynalazku Huygensa, czyli przyrządu, którego długa szklana tuba - wysoka jak sam Severo - zawierała wężownicę z



płynną rtęcią i pozwalała dokonać pomiaru temperatury znacznie dokładniej niż ludzka dłoń. Że przyswoił atomizm, stosowanie oparów rtęci na choroby skóry (zarówno weneryczne, jak i alergiczne), odkrycia Harveya dotyczące bicia serca, teorię cyrkulacji Fallopiusza oraz wyniki jego badań nad sekretnymi częściami ciała kobiet, a także wiele innych dziedzin wiedzy medycznej. Że doskonale opanował umiejętność przyżegania i potrafił rozpalonym nożem zasklepić hemoroidy albo wyleczyć z przepukliny, migreny i ropowicy. Że jest alchemikiem i że chociaż jeszcze nie udało mu się przemienić ołowiu w złoto, osiągał rezultaty godne największych uczonych.

W Lejdzie Severo obserwował operację usunięcia takich wrodzonych wad budowy człowieka, jak rozszczep podniebienia, stopa o jedenastu palcach, brak odbytu u nowo narodzonego dziecka. Widział składanie rozbitych głów i trepanację czaszki. Wszystkie te operacje kończyły się przeważnie niepowodzeniem, w każdym razie żaden z pacjentów nie przeżył potem więcej niż dwóch tygodni. Wszyscy pochodzili z holenderskich więzień i zakładów dla obłąkanych (przybywali do Lejdy jeszcze żywi albo wcześniej umierali w celach i tutaj trafiały już ich zwłoki), więc nikt za nimi nie płakał. Za to techniki cięcia i zszywania stosowano tam wspianałe. Severo poznał też nowe miejsca, z których można pobierać krew, o czym nie wiedzieli medycy ani we Włoszech, ani w odległej Hiszpanii. Jak się okazało, można otrzymać znaczną ilość krwi niemal z każdego miejsca ciała. Severo opuścił Lejdę i wrócił do ojczyzny z listą czterdziestu siedmiu takich miejsc.

Uczestniczył także w dwudniowych rozważaniach medyków, poświęconych zagadnieniu, czy lepiej jest upuszczać krew ze strony dotkniętej chorobą, czy też ze strony przeciwnej, zdrowej. W trakcie kilku obiadów wysłuchał poglądów samego Francisca Glissona, który przyrównywał dobrodziejstwa oczyszczania organizmu przez środki wymiotne i pijawki do zalet gorących okładów i lewatywy. Stał, dopóki nie zrobiło mu się słabo w wielkim teatrze anatomii, dokąd członkowie holenderskiej socjety chodzili na pikniki. Wyciągali z koszyków kurze udka, lekko przyrumienione bochenki żółtego chleba i popijali to szampanem, obserwując jednocześnie, jak poprawia się zajęczą wargę, przetacza krew wprost od owcy jakiemuś więźniowi, którego ciało niemal całkowicie pozbawiono krwiożerczej zaciekłości, aby tym łatwiej przyjęło zwierzęcą krew. Widział wyjęcie żywego dziecka z brzucha martwej matki; widział setkę nerek zakonserwowanych w occie. Przyglądał się sercu, które po wyjęciu z piersi jeszcze długo biło; i co najmniej na siedemnastu ochotnikach udoskonalił własną technikę

usuwania przepukliny, aż w końcu udawało mu się zakończyć operację w kwadrans bez najdrobniejszego uszkodzenia jądra. Tak jest, Lejda oferowała imponujący program i miała niezrównanych nauczycieli. Z uwagi na różnorodność studiującej młodzieży była miejscem szczególnym, a przy tym nie mieli tu wstępu nie nawróceni Żydzi, synowie katów i dzieci z nieprawego łoża, nawet jeśli pochodzili od szlachetnie urodzonych rodziców.

Po zakończeniu tych wszystkich niezwykle ekscytujących i urozmaiconych kolokwii Severo powrócił do Hiszpanii. Wcześniej jednak odwiedził Delft i zakład Leeuwenhoek, gdzie nabył jeden ze sławnych mikroskopów, przyrząd złożony z co najmniej dziesięciu soczewek, w którym wykorzystano sposób ogniskowania obrazu za pomocą śruby - inaczej niż w urządzeniu starego typu z przesuwными cylindrami - by w rezultacie uzyskać powiększenie przewyższające trzysta siedemdziesiąt razy moc ludzkiego oka. Mikroskop zaskakiwał mnóstwem niespodzianek: tym, że maleńkie robaczki wiją się we krwi, że mięśnie są zbudowane z włókien przypominających włosy, że paznokcie u nóg samego Severa stanowią dogodne siedlisko co najmniej trzynastu rozmaitych odmian organizmów, pięciu ukorzenionych jak rośliny w ogrodzie i ośmiu zdolnych do ruchu. W ocenie samego medyka przez okular mikroskopu widać było obrazy, których wzrok, umysł i wyobraźnia w żaden sposób nie były w stanie samodzielnie ukształtować. Bez dodatkowej opłaty - cena samego mikroskopu dorównywała wartości królewskiego okupu - otrzymał od Leeuwenhoek wspaniały nóż sprężynowy, który można było zanurzyć w zaropiałym dziąśle albo ranie, nim pacjent zdołałby to zauważyć, a tym bardziej poruszyć się.

Severo często śnił o Holandii, gdzie nauczył się wszystkiego, co było mu potrzebne w zawodzie, kupił wszystko, co chciał, i wyjątkowo dobrze jadał. Nadal czuł smak wybornych serów podawanych przez Holendrów na śniadanie. Chociaż zdawał sobie sprawę, że mocny napar kawy rozrzedza krew, ciągle wspominał holenderską mieszanę, którą zachwycał się mniej więcej przed dwudziestu laty.

Ojciec Carlosa, król Filip, opłacił podróż Severa do Lejdy i pokrył koszty jego kursów w nadziei, że młody medyk powstrzyma artretyczne zniekształcenia, które po dużym palcu u nogi objęły łydkę króla, a następnie goleń. Z kolei królowa Marianna miała nadzieję, że jakieś mądrości holenderskich uczonych pomogą zachować w zdrowiu jej syna, który w wieku ośmiu lat nadal nie miał dość siły, by stanąć na własnych nogach i najczęściej tulił się do piersi którejś z mamek. (Już niedługo miał się znaleźć w ramionach mojej mamy! Odebrać mi coś, co należało

do mnie!)

Niestety, Filip zmarł, zanim Severo opuścił Hiszpanię, i chociaż medyk wypytywał o to wszystkich swoich nauczycieli, nie dowiedział się, czy istnieje jakaś kuracja na jakąkolwiek dolegliwość księcia Carlosa. Po powrocie do ojczyzny Severo stosował co jakiś czas opary rtęci, lecz za każdym razem ogarniał go niepokój, czy dziecko nie udławi się na śmierć, a na dodatek, ku przerażeniu mojej mamy - „Ból jest nie do wytrzymania” napisała w jednym ze swoich listów - sutki mamek pokrywały się ranami.

Do tej pory Carlos przeszedł mnóstwo chorób i tyle samo kuracji. Ponadto Severo jak dotąd nie odnosi żadnych sukcesów w próbach wyleczenia małżonki króla. Przez mikroskop stara się dostrzec w treści jej żołądka jednego z dwóch głównych podejrzanych: albo groźny organizm, który stosownie do jednego z tekstów medycznych wygląda jak zakrzywiony, mechaty kijek, co potwierdziłoby rozpoznanie cholery, albo pewną trującą substancję, która może wyglądać inaczej niż wszystko, co medyk potrafi rozpoznać.

Severo przeanalizował już kilka mis z wymiotami Marii. Z pierwszej odparował cuchnącą ciecz i zebrał z powierzchni tłustawą substancję. Zerknął na nią przez liczne soczewki Leeuwenhoek, by stwierdzić, że był to olej migdałowy, środek, który osobiście zaaplikował przeciwko nudnościom.

Potem poddał destylacji zawartość misy drugiej, następnie zaś trzeciej i czwartej, otrzymując w rezultacie pewną ilość cuchnącej wody. Żadna substancja dodana do destylatu nie zachowała się w sposób pozwalający wyciągnąć pozytywne wnioski. Siarka sprawiła, że cuchnął jeszcze bardziej. Tlenek miedzi zabarwił go na niebiesko, jaspis - na czerwono. Severo nadal plamił ciecz wszystkimi kolorami katedralnego witraża. Jego laboratorium zaczęło przypominać pracownię rzemieślnika, wykonującego kolorowe szybki. Ale niczego nie udało mu się wykryć. W żadnej z pozostałych mis (odstawionych kolejno na cztery, sześć, osiem i dwanaście godzin) nie znalazł podejrzanego osadu.

Bardziej skondensowane kwasy żołądkowe Marii Luisy reagowały zupełnie nieoczekiwanie z medykamentami, które zaaplikował. Odtrutka podana wraz ze szklistym, surowym białkiem okazała się dosłownie biała, jakby się wewnątrz usmażyła. Co więcej, na języku i dziąsłach Marii występują bąble, natomiast puls zachowuje się bardzo nieregularnie, umyka spod palców niczym liście przed podmuchem wiatru. Ledwie królowa zaczyna spokojnie i równo oddychać, już po chwili krztusi się, charczy, dusi. Przejrzysty śluz kapie jej z nosa.

Gdybyż uniwersytet w Lejdzie kształcił w dziedzinie otruc Byłoby to jednak niesłychanie wulgarnie. Jedynie pewne włoskie kolegium oferowało tego rodzaju przedmiot studiów.

Doktor Severo nurza dwa palce w zawartości jednej z mis pociera je o siebie. Zauważa szczególną gęstość, niemal oleistą konsystencję, smołowatą barwę. Naraz przypomina sobie o obiedzie sprzed dwóch dni. O daniu, które kucharz przyrządza jeden raz w miesiącu, o ulubionym daniu królowej matki na które Carlos nie chce nawet spojrzeć. Niektórzy czekają na ów specjał z utęsknieniem, innych napawa on lękiem. Chodzi o kaszanke. O potrawę z krwi. Kwaśne humory żołądka sprawiają, że krew ciemnieje, staje się cuchnąca i lepka, czyż nie?

Doktor Severo posyła swego asystenta, aby poprosił o specjalną wieczorną audiencję u króla i królowej matki.

- Jej wysokość wymiotuje krwią - wyjaśnia Carlosowi i Mariannie.

- Coś takiego! Krwią! - powiada Marianna.

- Krwią? - Carlos spoziera to na medyka, to na matkę. Jest zakłopotany.

- Krwią - reaguje Severo tonem, w którym pobrzmiewa przekonanie, w rzeczywistości fałszywe. Musi postawić jakąś ostateczną diagnozę, która by wyjaśniła dolegliwości królowej. Jeśli wszystko będzie się rozwijało zgodnie z dotychczasową tendencją, wkrótce królowa umrze. Jako królewski medyk musi zareagować bardziej zdecydowanie. Chrząka. - Albo jej wysokość cierpi na nadmiar krwawych humorów, albo jakaś jadowita substancja dostała się do krwiobiegu.

- Jadowita? - pyta Marianna. - Czy oznacza to jakąś truciznę?

- Prawdopodobnie. Wykluczyć tego nie można. Badania są w toku.

- Zatem Maria nie cierpi z powodu szkodliwych zarazków w organizmie? - chce wiedzieć Carlos.

- Wasza wysokość - zaczyna Severo i aby uchronić się przed następnymi pytaniami, szuka słownictwa, którego król nie byłby w stanie zrozumieć. Jeszcze raz odchrząkuje. - Palpacja nie doprowadziła do wykrycia stężenia, które wskazywałoby jednoznacznie na zjadliwe zapalenie trzewi - powiada.

Carlos kiwa głową, marszczy czoło. Rysy jego twarzy wyrażają symulowany namysł. Podobnie reaguje codziennie rano podczas wysłuchiwanie relacji poszczególnych ministrów. Marianna również marszczy czoło, milczy. Kiedy cisza staje się niezręczna, znowu odzywa się Severo.

- Proszę zatem wasze wysokości o pozwolenie na upuszczenie krwi królowej Marii jutro

o świcie. Może gdybym zdołał oczyścić ją ze złej krwi, pomógł uwolnić jej ciało od tego, co ją niepokoi, może doszłaby do siebie.

Carlos zerka na matkę, która w odpowiedzi kiwa głową.

- Masz nasze pozwolenie - rzecze król.

Oprawca jest również osobliwym kochankiem. Kimś komu nie wystarczają słowa ani zniewolenie własnej ofiary. Kimś, kto pragnie poznać sekrety, które w niej drzemią, kto pragnie otworzyć jej ciało i czytać w nim jak w czarnoksiężskiej kuli, aby ostatecznie dotrzeć do prawdy.

Oprawca - nie ma imienia, nosi biały kaptur - każe ci wierzyć, że jest sprzymierzeńcem twojej duszy. Wrogiem jest twoje własne ciało, twoje cielesne życie. Wspólnie, ty i twój oprawca, konspirujecie, by zmusić tę zatwardziałą doczesną powłokę do odkrycia sekretów skrywanych przed duszą. Wspólnie przekonujecie ciało, aby się nie opierało.

Nietrudno dać temu wiarę. Mało jest spraw, w które łatwiej uwierzyć. Wszystko to zdaje się być i słuszne, i prawdziwe. Czasem miewam wizję. Widzę siebie w postaci jajka o bardzo mocnej skorupce. Wewnątrz mnie, wiemy o tym dobrze - ja i mój oprawca - znajduje się złota kula prawdy: serce, istota, żółtko. I jeżeli tylko będziemy współpracować, aby mnie złamać, wówczas prawda wypłynie na powierzchnię.

Niczego bardziej nie pragnę, niż ustąpić. Nie byłam cicho. Prawie nie milkłam. Moje zwierzenia, przeniesione na papier, powoli zapełniają skrzynię za skrzynią, pokrywają się kurzem, czekają, kiedy ostatecznie zostaną skazana. Bez ustanku świadczyłam przeciwko sobie, przeciwko kochankowi i matce. Jak starowina, która wie, że śmierć niecierpliwie na nią czeka, starałam się rozstać ze wszystkim, co do mnie należało: z każdą myślą i każdym wspomnieniem.

Przywiązano mnie mocno do krzesła, nadgarstki i kostki przymocowano do drewnianych poprzeczek, tak że nie mogę się poruszyć. Biały kaptur spokojnie smaruje tłuszczem moje stopy i jednocześnie dochodzą do mnie wołania tłumu, krzyki z ulic nade mną. Słyszę imię królowej, Ma - ri - a, Ma - ri - a, Ma - ri - a Lu - i - sa, odgłosy buntu i zamieszek.

Wchodzi Purpurowy Kaptur. Zasypuje mnie gradem pytań na temat mojej matki. Nigdy nie zdołam zaspokoić jego ciekawości. A wszystko przez fatalne pokrewieństwo: król Hiszpanii i Francisca de Luarda pili z tego samego cycka.

Urok rzucony na królewską parę, przyczyna bezdzietności, powód, dla którego zginie królowa - wszystko to w jakiś sposób wiązało się z mlekiem mojej matki. Nieważne, że

prawdopodobnie uratowała życie królowi, przedtem zaś wielu innym dzieciom - W żadnym razie. Umiejętność przywracania sił i zdrowia stała się jej przekleństwem - moim również - bardziej niż cokolwiek innego w jej krótkim życiu.

- Co zrobiła z niemowlętami, które umarły? - pyta Purpurowy Kaptur. Biały kaptur staje przy miniaturowym stosie, ale jeszcze go nie podpala, jeszcze nie.

- Nie umarło ani jedno - odpowiadam.

- Żadne?

- Żadne.

- A jej własne dzieci?

- Już przecież mówiłam. Tata je pogrzebał.

Ilekróć Purpurowy Kaptur pyta o mamę, tylekróć wspomina o martwych dzieciach. Podobno czarownice wykorzystują tłuszcz niemowląt do smarowania nóg i ramion, co ma umożliwić im latanie.

- Czy mieszkańcy miasteczka nie uważali twojej matki za osobę niezwykłą? - pyta Purpurowy Kaptur.

- Mama przecież była niezwykła.

- Na czym to polegało?

- Była dobra, lepsza od innych. Przygarniała sieroty i potrafiła utrzymać je przy życiu.

Biały kaptur wyraźnie się nudzi. Kołysze się na stopach. W przód i w tył, w przód i w tył. Ma ochotę podpalić wiązkę chrustu.

- Czy wywierało to na nich jakieś szczególne wrażenie? - Pyta Purpurowy Kaptur.

- Na wszystkich bez wyjątku. Gdyby było inaczej, w jaki sposób znalazłaby się w madryckim pałacu?

- A czy ten wasz ksiądz, Alvaro Gajardo, wiedział, że ona jest czarownicą?

- Mama nie była czarownicą.

- Czy to właśnie on wysłuchał jej ostatniej spowiedzi?

- Tak.

- A ty?

- Ja nie.

- Przecie ty i twoja starsza siostra Dolores towarzyszyłyście jej w chwili śmierci.

- Byłam jeszcze małym dzieckiem. Niewiele pamiętam.

- Co zapamiętałaś?

Milczę.

- Co zapamiętałaś?

Nadal nie odpowiadam, więc Purpurowy Kaptur lekkim ruchem dłoni daje znak. Biały kaptur tylko na to czeka. Robi kilka kroków do przodu. Zwierzchnik kiwa głową, po czym biały kaptur podpala hubkę.

Płomyk wspina się po suchym patyczku, obserwuję jego wędrówkę.

- Co zapamiętałaś? - ponownie pyta Purpurowy Kaptur.

Pamiętam wszystko i jednocześnie nic. Pamiętam, że miałam rozdarte serce. W taki sam sposób, w jaki działo się to w opisach uniesień świętej Teresy. Kiedy było po wszystkim, miałam wrażenie, jakby moje serce rozszarpały psy.

- Powiedziała tylko, że miała dziewięć snów - odzywam się wreszcie. - Tak brzmiały jej ostatnie słowa.

- O czym były te sny? - chce wiedzieć Purpurowy Kaptur.

Potrząsam głową.

Czyżbym coś utraciła, powierzając mu ten sekret? Coś, co należało do mnie i tylko do mnie? Wspomnienie, które zamierzałam zachować wyłącznie dla siebie? Nie było to nic, co potrafiłby docenić. Widzę mamę w godzinę jej śmierci. Pozwoliła się wyczarować dzięki płomieniom. Tutaj, w obecności odzianego w habit inkwizytora, pisarza z gęsim piórem, oprawcy oraz znudzonego medyka. Przed tym audytorium mama stała się nagle malutka.

„Właśnie w taki sposób chcą cię złamać” - szepcze ogień. Ja milczę. Nie robię nic, tylko słucham. „Tak jest, do ciebie mówię” - zaznacza. „Pożeram cię, liżę jak kochanek, zjadam po troszeczku. Oni sądzą, że pewno dam ci poznać, jacy są mądrzy i jak silną mają władzę, ale ja ich zdradzę. Zdradzę ich dla ciebie”. „Nie zdradzaj im wszystkiego” - powiada jeszcze. Czy jego głos pochodzi od trzeszczących patyczków? A może to sam gaz syczy i strzela? Obsunęły się węgielki? Tłuszcz kapie ze stóp na kamienną posadzkę? Głos ognia brzmi sugestywnie. Jest miękki, mądry, czarujący. „Nie mów o miłości do mamy i taty, nie wspominaj o kłótniach z Dolores. Ani o Alvarze, ani o chwilach z nim przeżytych. W przeciwnym razie sprawią, że to wszystko wyda ci się nic nie warte. Dokładnie wszystko” - podkreśla, po czym milknie.

Milczymy wszyscy. Oprawca wsuwa dłoń pod kaptur, aby się podrapać po twarzy. Dostaję krótkiego ataku kaszlu. Nie mogę głęboko odetchnąć, brakuje mi powietrza. Mam

wrażenie, że się uduszę. Gdy atak mija, odkrywam, że pojęłam przesłanie ognia.

Nadmierna udręka wyraźnie zmniejsza pokusę. Logika Świętego Oficjum jest inna. Według niej nic nie jest warte cierpienia. Ludzkie pragnienia, wszystko, co może przywodzić do grzechu, przeistacza się w zwykłe szaleństwo.

Za radą ognia i trawiona ogniem, postanawiam, że nigdy nie wypowiem słowa o tym, co kocham albo czego nienawidzę. Lecz tej obietnicy nie uda mi się dotrzymać.

Wszelako trudno zachować sekret w okolicznościach, w których się znajduję. A wiecie dlaczego? Odpowiedź nie zawiera się jedynie w słowie: ból. Wszystko dlatego, że człowiek pragnie pokochać również swego oprawcę. Łatwiej go pokochać, niż nienawidzić. Choć nieco więcej potrzeba samozaparcia, by stał się obiektem twojej ostatniej namiętności. Ażeby umrzeć z miłości do niego.

„Tak, tak, właśnie w ten sposób chce ciebie zgładzić” - szepcze ogień.

Co za różnica? - odpieram argument. - Gdy rozpoczyna się kolejna rozprawa, każda chwila objawienia ucieka w zapomnienie.

Purpurowy Kaptur nie przestaje zadawać pytań. Pyta i pyta. Jakimi ziołami leczyła z dreszczy? Czy trzymała w domu kota albo ptaka? O czym rozmawiała z nami, to znaczy ze swoimi dziećmi?

- Znała „Ojcze nasz”?

- Oczywiście.

- Ave?

- Tak, znała.

- Jak często odmawiała *Credo*?

- Nie rządziej od innych.

Mówię. Skryba wszystko starannie zapisuje. Czasem przychodzi szczęśliwy dzień, kiedy w trakcie procesu przenoszę się niepostrzeżenie w pogodną przestrzeń przeszłości, na jedno z tarasowych pól, na którym rosły morwowe drzewka. W podobnym otoczeniu znalazłam się pewnego popołudnia przed wielu laty, nim przeminęło jedno ludzkie życie. Pewnego popołudnia wyszłam z domu i ujrzałam coś, co wydało mu się niebem.

Śnieg. Spokojną biel.

Prawdziwy śnieg spadł tej zimy, kiedy stałam się kobietą. Ogromna ilość śniegu uciszyła wszelkie stworzenia. Zamarły plotkarskie języki, świata nie widziały wścibskie oczy. Miasteczko



Quintanapalla zasnęło na całą zimę.

Wyruszyłam w górę wzniesienia do domku gąsienic. Szłam obok nagich drzew, przechodziłam obok fantastycznych lodowych kształtów powstałych w miejscach, gdzie wylała się niesiona ze studni woda. Rozlewaliśmy ją, ponieważ mróz utrudniał nam poruszanie. Odgłos kroków tłumiła gruba warstwa śniegu, chłód wnikał do wnętrza moich butów. Tylko czasem zaskrzypiał лёd. Dawniej w taką pogodę musieliśmy dbać o nasze drzewka. Wiązaliśmy gałęzie, aby wiatr ich nie łamał i aby nie podpadały od przemarzniętych konarów. Tej zimy pozdychały króliki w swoich kryjówkach. Tuliły się do siebie nawzajem, kiedy opuszczało je życie. Polne zwierzęta starały się przeżyć w stogach siana, lecz i one zamarzały. Pewien kupiec w drodze z Madrytu zatrzymał się w miejscowej gospodzie. Siedział przy ogniu w towarzystwie mojego ojca, grzał się i opowiadał, jak to w jednej z komnat królewskiej rezydencji płonął niezwykle wysoki ogień, a mimo to w pomieszczeniu nadal panował taki chłód, że zamarzał spirytus w karafce stojącej na obmurowaniu pieca.

Następnego dnia po niedzieli Alvaro rozpoczął kolędę. Wszyscy wiedzieli, że nie ma go u siebie, więc nikt go nie szukał. Nawet jeśli komuś był potrzebny kapłan - dajmy na to przy narodzinach słabowitego dziecka, jego śmierci albo przy ostatnich stęknięciach jego babki - nikt nie trudził się, by dotrzeć do mieszkania księdza. Inaczej ja - nigdy nie siedziałam w domu, nawet podczas najgorszej pogody. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dolores już dawno przestała rościć sobie pretensje do rządzenia mną. Nie obchodziło jej, jakimi wartościami się kieruję (nie dostrzegając żadnych) i nie wytykała mi wad (tych potrafiła wymienić mnóstwo). Już nie oczekiwała, że zjawię się w domu o określonej porze. Tamtego zimowego poniedziałku Alvaro spotkał się więc ze mną w domku gąsienic. Wiedzieliśmy, że tam jesteśmy bezpieczni, ponieważ tata jak zwykle poszedł na targ. Z kolei Dolores, jeśli akurat nie pilnowała pieca, odwiedzała tę czy inną świątobliwą plotkarkę. Na pewno wystawiała do ognia nogi w parujących skarpetach i rozprawiała z rozkoszą o potępieniu co najmniej połowy mieszkańców naszego miasteczka.

Brnęłam przez cichą śnieżną komnatę. Wewnątrz mojego ciała, głęboko pod ubraniem, tlił się żar. Miałam dosyć ognia, by przeciwstawić się zimie i roztopić każdą zaspę. Kiedy przechodziłam, białe płatki z gałęzi zamieniały się w lśniące krople i, mrugając, spadały w śnieg. Płonełam, rozpalona gorączką. Nie, nie, raczej to ja sama byłam gorączką. Szłam do kochanka niczym choroba, którą on chwytął mocno w objęcia.

Za każdym razem ten pierwszy uścisk był tak silny, jakbyśmy zamierzali nawzajem

zgnieść sobie kości, wycisnąć samą esencję. Tuliłam się do Alvara aż do utraty tchu, aż wszystko dokoła straciło kształty w ogniu pożądania. Widziałam jak przez płomienie. Przedmioty zdawały się przymglone, rozmazane, drżące. Jedno ciało ciążyło ku drugiemu. Wystarczyło czasem, że przymknęłam oczy, by w jednej chwili przeistoczyć się w świętą Teresę, zaślubioną Chrystusowi i opisaną w jej pamiętniku. Chrystus dotykał jej ustami i wówczas także w niej wybuchał ogień.

*Venite ad me.* Alvaro mówił po łacinie, w języku Kościoła i wszystkich świętych. Kiedy mnie wołał tymi słowy, nasz związek nie tylko wykraczał poza czas, lecz stawał się czymś więcej niż zwykłą rozmową śmiertelników. Uświęcaliśmy się nawzajem.

*Venite ad me.* Chodź do mnie, Francisco. Spojrzenie miał równie gorące jak język, tylko bardziej rozkojarzone.

Pewnego dnia utknęliśmy oboje w domku gąsienic. Tkwieliśmy tam najpierw jeden dzień, potem drugi, wreszcie trzeci Dzięki zawiei nikt nie odkrył naszej nieobecności. Wyobrażałam sobie Dolores, jak mówi, że na pewno zatrzymałam się w jakiejś szopie, siedzę gdzieś z pasterzem i jego stadem. Śnieg trzymał w domach mieszkańców naszego miasteczka a może nawet całej Kastylii.

Jedliśmy śnieg z zasy pod drzwiami. Alvaro gasił pragnienie z moich złożonych dłoni. A czymże karmiliśmy się przez owe trzy dni, jeśli nie sobą? Jakież ogień podsycaliśmy, jeśli nie ten, który pochodził z wewnętrznego żaru naszych ciał?

Czas przestał istnieć. Rozmawialiśmy po łacinie. Wypisywałam litery na jego ciele. Długie i leniwe poematy miłosne, deklamowane z mozołem w języku świętych: *Amores mortuus sum* - umarłam z miłości.

Leżeliśmy obok siebie na płaszczu podszytym futrem. Wtuliłam twarz w szyję Alvara, pergaminowymi wargami wyczuwałam pulsowanie. Czułam, że domek jedwabników unosi się na wietrze, że wichura porywa go razem z nami. Drżałam w męskich ramionach, mimo że drewno zaczęło skrzypieć i trzeszczeć.

Gdy wróciliśmy na ziemię, gdy przeminęła zamieć, wyszłam na śnieg i ruszyłam w dół małej doliny w stronę domu mojego ojca. Każde obciążone śniegiem drzewko stało wewnątrz fantastycznego lodowego garbu. Jakbym niespodziewanie znalazła się pośród odzianych w misterne koronki tancerek. Przez łyż widziałam, jak wirują w walcu lśniące drzewa. W świetle wczesnego popołudnia wydawały się takie jasne i czyste. Biel oślepiła mnie ze wszystkich stron. Wkrótce nie widziałam nic poza jaskrawym światłem. Jakbym wyszła z domku gąsienic

bezpośrednio w białe płomienie nieba. Tak zimne, że zniszczyły mi skórę; czułam, że łączę się z Bogiem. Słyszałam śpiew chórów anielskich, w głowie dźwięczały mi ńcie niebiańskie gńosy.

Jakieź to cudowne umrzeć we śnie. Dostałam się do nieba. Tam, gdzie skrzą się uliczki rajy - białe pola. Jako dziecko wierzyłam w niebo.

Skryba czyta moje zeznanie na stojąco. Światło pada zza niego i nieco z góry. Dobrze widzi poszczególne kartki. Stoi i czyta słowa, które osobiście wypowiedziałam. Klękam (ktoś zmusza mnie, bym uklękała, bym przyjęła błagalną pozę). Klęcząc, nie sięgam wyżej niż górna krawędź butów skryby. Światło tworzy coś w rodzaju aureoli wokół jego twarzy. Nie sposób dostrzec rysów, jedynie zarys zakapturzonego mężczyzny. Właśnie tak zawsze wyobrażałam sobie Sprawiedliwość. Ten oto anioł należy do światłości, ja nurzam się w ciemności u jego stóp.

- Czy ty, Francisco de Luarda, rzekłaś, jakoby posiadasz wiedzę o urokach i zaklęciach, że dopuszczałaś się praktyk magicznych i czarnoksięskich, że wyrabiałaś woskowe figury, że rzuciłaś urok na gąsienice jedwabnika twojego ojca, że zaczarowałaś siostrę i uczyniłaś ją bezpłodną, że...

Och, zdaje się, że przystanę na wszystko, dam wszystkiemu wiarę, pod przymusem.

- Czy teraz odżegnujesz się od tych stwierdzeń, czy też zgadzasz się, iż są one zgodne z prawdą podług twojej najlepszej wiary?

Każdemu byłoby wszystko jedno. Wystarczyłoby, aby skryba podał ci pióro na wyciągniętej dłoni, ty chwyciłbyś je i ucałował. Promieniałbyś szczęściem, że możesz podpisać taki dokument, własne wyznania, które otworzą ci drogę do nieba. Wierzysz we wszystko, co mówi ten anioł, tak zagadkowo czarny, z nieznanym obliczem, którego kaptur skąpany jest w niebiańskim świetle pochodni. Pragniesz, aby ten anioł cię ocalił.

Pycha, chciwość, zazdrość, obżarstwo, gniew, lenistwo. Żaden spośród tych grzechów śmiertelnych nie objawia się wyraźniej niż lubieźność. Lubieźność jest zwierciadłem naszej duszy. Dopóki nie wiesz, kim jesteś, dopóty nie dowiesz się, kogo będziesz poźądać.

Byłam piętnastoletnią dziewczyną, kiedy udałam się do kapłana po raz pierwszy od czasu, gdy cierpiałam na chorobę oczu. Wyznałam mu, że się boję. Źe chociaź odzyskałam zdrowie, nadal chora jest moja dusza.

- Do spowiedzi? - zasugerował. Wzruszył ramionami.

Minęły trzy lata od śmierci mamy, mimo to, stojąc obok Alvara, czułam jej obecność;

zdawało mi się, że ją czuję.

Zapamiętałam, jak rękawem musnął jej czoło, szyję. Naraz zapragnęłam dotknąć jego sutanny. Wspólnie dzieliliśmy jedno wspomnienie - odejście mamy.

Nie wyspowiadałam się; wróciłam do domu. Potem przemyślałam wszystko i wróciłam. Wyspowiadałam się raz, potem drugi, trzeci, kolejny. Kiedy zaczęłam, nie potrafiłam przestać. Odwiedzałam go raz na tydzień i wyznawałam grzechy coraz bardziej i bardziej skrupulatnie. Staralam się nie zapomnieć o żadnym, najdrobniejszym nawet wykroczeniu. Tropiłam je wszystkie. Każdą myśl przeciwko Dolores, każde słowo wypowiedziane zbyt ostro.

Bardzo się starałam być czysta, cnotliwa, niewinna i święta. Tak święta, jak święta potrafi być osoba tak nikczemna jak ja.

Obawiałam się skazy grzechu, ale nigdy nie martwiłam się o pragnienia, w których mocy się znalazłam. O nie, nawet nie chciałam tego robić. Przystąpiłam do ich zaspokajania.

Przyznaję otwarcie, że przedłużałam spotkania z księdzem do granic możliwości. Czułam, że wrze we mnie krew. Nie chciałam jedynie przyznać się przed sobą, na czym polega ów niepokój i jak łatwo (i jakże ochoczo) myślę namiętności ciała ze świętymi wzlotami duszy. *Incendium amoris*. Słyszałam, że miłość do Chrystusa rozpala ogień, który jednak nie trawi ciała. Męczennicy czują go na długo przedtem, zanim ich stos stanie w płomieniach. Jakżeż byłam głupia, wyobrażając sobie, że sumienność, radość z wyznania najdrobniejszych nawet grzechów może mnie przybliżyć do gorejącego serca Boga.

Jakżeż ja byłam głupia, przypuszczając, że pociąga i wabi mnie serce Boga.

Przy drzwiczkach do konfesjonału krew zaczynała znacznie szybciej pulsować w moich skroniach. Kiedy ojciec Alvaro udzielał mi rozgrzeszenia - *in pace*, „Odejdź w pokoju, Francisco” - nie istniał już żaden pokój. Brakowało mi tchu na samo brzmienie tego głosu.

Pewnego razu po mszy spostrzegłam Alvara na ulicy. Nie widział, że się zbliżam. Szedł, czytając jakiś tekst. Dogoniłam go i bez wstępów zapytałam, czy nie zechciałby nauczyć mnie czytać. Był człowiekiem wykształconym, erudytą, podobno przeczytał wiele książek. Powiedziałam, że uczę się bardzo szybko i że pragnę mu pomóc. Zasugerowałam, iż mógłby mnie przyjąć do terminu, a następnie uczynić własną asystentką.

- Francisco de Luarda - zaczął, ale to było na razie wszystko, co powiedział.

Nie patrzyłam mu w oczy, lecz na jego usta. Kiedy umierała mama, w chwili jakże tajemniczej i świętej, popełniłam błąd, kojarząc tego mężczyznę z cieniem albo duchem. Teraz,

gdy się uśmiechał, dostrzegłam, że zęby ma białe i mocne jak u zdrowego zwierza.

W mojej wyobraźni Alvaro przechodził burzliwą przemianę od postaci anielskiej do śmiertelnej. Kiedy jako dziecko nasłuchiwałam, jak zbliża się do śmiertelnego łoża mamy i szepcze modlitwy - szedł, szaty jego powiewały, mignął skrawek wspaniałych, purpurowych spodni - przyszło mi do głowy, że ten kapłan nie chodzi jak inni śmiertelnicy. Teraz, kiedy już go znałam, teraz, gdy widziałam, jak idzie szybkim krokiem, a sutanna płącze się między jego kostkami, ogarniało mnie zdumienie. Przeżyłam prawdziwy wstrząs, gdy przeniosłam wzrok od jego białych zębów do nadgarstków, które wystawały spod mankietów sutanny, i dostrzegłam, jak obficie pokryte są ciemnymi włosami.

Nigdy nie potrafiłam rozstrzygnąć, jakiego Alvara pragnę anielskiego czy ziemskiego. Oczywiście obu. Ale czyż mogli istnieć obaj, czy rzeczywiście mogli istnieć w jednym i tym samym momencie?

- Czy istnieje coś szczególnego, co chciałabyś przeczytać? - odezwał się w końcu. Odpowiedziałam, że przepadam za żywotami świętych i że mama chciała nauczyć nas czytać, ale nie zdążyła, ponieważ wcześniej zabrała ją śmierć.

Okłamałam Alvara. Powiedziałam, że zamierzam nauczyć siostrę wszystkiego, czego on mnie nauczy; że byłaby to dla nas doskonała pomoc w doskonaleniu naszych dusz, gdybyśmy mogły studiować nabożne księgi. Dodałam, że takie zajęcia uprzyjemniłoby długie i nudne zimy. Spojrzał na mnie. Ujrzałam swoje odbicie w jego oczach, dwie maleńkie sylwetki wewnątrz brązowych kręgów. Nie odzywał się może przez minutę albo dłużej. Wydawało się, że rozważa moje słowa. A potem wyraził zgodę. Kazał mi przyjść na nauki w najbliższy czwartek, kiedy dzwony przestaną bić na nonę.

I tak oto stało się, że każdego tygodnia siadałam obok kapłana przy jego długim, dębowym stole i przewracałam dla niego karty tej czy innej księgi, podawałam pióro, osuszałam bibułę jego pisma. Powoli, krok po kroku uczyłam się pisać.

Alvaro był wysokim mężczyzną. Kiedy staliśmy obok siebie, sięgałam głową zaledwie do czwartego guzika przy jego sutannie. Trzymał się prosto z nawyku, ponieważ dawniej był członkiem Bovedy. Dziesięć miesięcy każdego roku członkowie bractwa zakonnego poświęcali na naukę; panowała opinia, że dorównują wykształceniem członkom Towarzystwa Jezusowego Loyoli. Lecz w przeciwieństwie do jezuitów, którzy zawsze szukali wygody, w okresie Wielkiego Postu biczowali się, głodowali i upuszczali sobie krwi, pragnąc właśnie w taki sposób

zasłużyć sobie na bożą łaskę. Przez resztę roku żyli niewiele lepiej, gdyż reguła zakonu nakazywała braciom panowanie nad każdym drobiazgiem codziennego życia, nawet nad mimiką twarzy. I choć podobno rozwiązano ten zakon przed laty, można było rozpoznać jego dawnych członków po wyprostowanej, żołnierskiej postawie.

Alvaro przez wiele lat żył w dyscyplinie, mimo to jego rysy zdradzały porywczą naturę. Miał ogorzałe czoło, policzki, ostry, rumiany nos - jakby w przeszłości długo przebywał na wietrze w promieniach palącego słońca. Ów rumieniec nigdy nie bladł. Twarz, choć starannie wygolona, zawsze była ocieniona, ponieważ miał gęsty zarost. Alvaro czasem zamyślał się i bezwiednie przesuwał po policzku piórem, które wydawało odgłos podobny do chrobotania. Kiedy stawał za mną i dotykał wargami mojego karku, kłujący zarost jego męskiej szczęki sprawiał, że dostawałam na rękach gęszej skórki.

Ale na samym początku, w trakcie pierwszych lekcji, szczeka Alvara wcale się do mnie nie zbliżała. Kołysała się monotonnie z góry na dół, poruszała stosownie do rzędów liter, wydając przypisane słowom dźwięki. Przed wielu laty mama zachowywała się zupełnie podobnie. Po nudnej, acz niezbędnej fazie pisania i przepisywania dziecinnie prostych słów i zdań, przystąpiliśmy do dalszej nauki. Wszystko to zdawało się trwać wieki, ale Alvaro mówił, że jestem naprawdę zdolną i pojętną uczennicą, tak jak go zapewniałam.

Niestrudzenie wchłaniałam długie listy słówek. Najbardziej lubiłam słowa łacińskie. Dowiedziałam się, że Felix, imię mojego taty, imię, które nadał mu jego ojciec, znaczyło „szczęśliwy” i zarazem „pomyślny”. Nie pasowało do taty co najmniej z dwóch powodów: po pierwsze, szczęśliwy los nigdy mu nie sprzyjał, po drugie, nieustannie dręczyła go tęsknota za czymś, czego nie mógł mieć, i nostalgia za tym, co utracił. Nigdy, ale to nigdy nie był szczęśliwy. Powinien się nazywać Fabian albo nosić imię, które oznaczało hodowcę fasoli, słowo umieszczone dwie pozycje nad *felixem* na tej samej liście słówek. Z kolei imiona mojej siostry i mamy, Dolores i Conception, pasowały do nich znakomicie. O ironicznym wydźwięku imienia Francisca - „wolna” - miałam się dowiedzieć w przyszłości, kiedy zasmakowawszy wolności, znalazłam się w lochu.

Słowa urzekały mnie. Wyszukiwałam ich wewnętrzne sprzeczności, jak na przykład w wyrazie *femina*. Częstka *fe* znaczy tyle co „wiara”, częstka *mina* - tyle co „mniej”.

- Jakże to? Kto ośmielił się nazwać kobietę płcią o słabszej wierze?! - „zapytałam Alvara.  
- Z czego zbudowane jest życie kobiety, jeśli nie z nadziei i oczekiwania? - Wiele razy

zastanawiałam się, czego się jeszcze dowiem, nim doczytam do końca całe zdanie.

Kiedyś mama opowiedziała nam, jak to jej ojciec otrzymał posiadłość w Madrycie. Panująca wówczas w mieście zaraza zamieniła ulice w trupiarnie. Dziadek zajmował się rozsypywaniem wapna. Okazało się, że nie potrafi napisać własnego imienia na liście pracowników, i bardzo się tego wstydził. Pragnienie mamy, by nauczyć się czytać i pisać, częściowo miało swe źródło w urażonej dumie jej ojca. W moim wypadku duma nie wchodziła w rachubę. Byłam ciekawa. Dziadek mawiał, że aż nazbyt ciekawa jak na dziewczynkę. Pewnego razu powiedział mi, że ogień w domku gąsienic jest gorący. Natychmiast dotknęłam dłonią żaru, by się dowiedzieć, co dziadek dokładnie miał na myśli. Postępując zgodnie z tą zasadą, nieraz narażałam się na niebezpieczeństwo. Niemal sparzyłam sobie gardło, jedząc surową oliwkę. Po ustąpieniu powodzi niewiele brakowało, a utopiłabym się w strumieniu. Polizałam kota, ponieważ chciałam poznać jego smak. Musiałam to wszystko wiedzieć. Istnienie słów, których nie mogłam pojąć, nie dawało mi spokoju.

Jedyną wykształconą osobą, jaką znałam, był ksiądz. Ten sam kapłan, któremu bezwiednie przypisywałam mnóstwo innych magicznych umiejętności. Dlatego wydawało mi się, że opanowując sztukę czytania, wkraczam do lepszego świata, do krainy bez smutku i trosk. A ponieważ Alvaro umiał czytać, wydał mi się jeszcze bardziej nadzwyczajny. Czytanie i ksiądz, ksiądz i czytanie - jedno i drugie wzmacniało się wzajemnie.

Czego właściwie pragnęłam? Pragnęłam jego, Alvara. Tak, tak, tylko jego. Wystarczył tydzień, bym się przekonała, że nie zbożne myśli zaprzatają mi głowę, ale on, wyłącznie on. Ale nawet teraz, kiedy z perspektywy czasu łatwiej mi ocenić motywy mojego postępowania, rozumiem, że pożądanie nie jest czymś prostym. Czyż moja żądza nie była tym samym, co pragnienie dotknięcia osoby, od której zależała ostatnia podróż mamy? Człowieka, który skierował ją na drogę do wieczności? W moim pojęciu był niczym brama do innego świata. Pamiętam dobrze dzień śmierci mamy. Nieustannie od nowa wyczarowuję w wyobraźni te chwile. Ciągłe nasłuchuję, jak sutanna szepce, zawadzając o kamienie przed wejściem do naszego domu.

Czytaliśmy książki, które wcale nie były złe. Miały ogromny urok i roztaczały przede mną magiczne wizje. Czytałam o rzeczach, o jakich mi się nigdy nie śniło. Zaczęliśmy od Pisma Świętego w wersji łacińskiej i w przekładzie na język zwykłych ludzi. Potem zajęliśmy się typowymi nabożnymi tekstami, takimi jak dzieła Tomasza a Kempis i świętego Augustyna czy

*Wewnętrzna twierdza* świętej Teresy. W końcu zatopiliśmy się w lekturze innych ksiąg. Ezopa, Ajschylosa i Owidiusza. Boccaccia. Czytaliśmy *Sonety* Pedra Calderona de la Barca. *Podróże* Mandeville'a, *De Sphaera Mundi* Sacrobosca i *Gargantuę* Francoisa Rabelais'go. Księgi opowiadające o różnych miejscach, rozmaitych ludziach, najróżniejszych wydarzeniach.

Alvaro posiadał także dzieła zakazane przez Kościół. Na okładkach miały czerwone pieczęcie. Stały osobno na najwyższej półce i stamtąd ścigały na siebie moją uwagę, zawsze bowiem pożądałam czegoś, co znajdowało się poza moim zasięgiem. Na niektórych widniały ślady ognia. Były okopcone i miały czarne, popękane okładki. Pewnego popołudnia Alvaro wybrał jeden z takich tomów i powiódł moim palcem po okładce.

- Co stało się z tą książką? - zapytałam.

- Jakimś cudem ocalała, gdy z polecenia Kościoła palono książki z biblioteki w Salamance - odrzekł.

- Kto odważył się na czyn tak niebezpieczny? Kto się nie bał?

- Miałem tyle odwagi.

- Dlaczego to zrobiłeś? I dlaczego nie zostałeś ukarany?

- Kto powiedział, że nie zostałem ukarany?

Spojrzałam na niego. Patrzył w dal przez okno. Sprawiał wrażenie zamyślonego. Wyglądał zupełnie inaczej, niż wyglądałby mój ojciec w podobnej sytuacji. Myśli taty zdawały się przemykać przez jego twarz niczym małe owady; wprawiały w drżenie jego usta i zmuszały do mrużenia powiek.

Naraz Alvaro wydał mi się wiele lat starszy od ojca. Umiejętność zachowywania spokoju, przynajmniej na zewnątrz, różniła go bardzo od taty, który sprawiał wrażenie postaci groteskowej i bezradnej.

- Aresztowano mnie i poddano torturom w lochu Świętego Oficjum - odezwał się wreszcie. - Na szczęście podczas przesłuchania w sprawie posiadania zakazanych ksiąg udało mi się znaleźć odpowiedni argument. Powiedziałem, że gdybym mógł je lepiej przestudiować, byłoby mi łatwiej zwalczyć herezje, które w swej treści zawierają.

- Masz kłopoty? - zapytałam.

- Nie cieszę się żadnymi szczególnymi względami, Francisco.

- Czy dlatego przysłano cię tutaj? Do takiego małego miasteczka?

Odkąd Alvaro pojawił się u nas, bezustannie spekulowano na ten temat. Wcześniej my,



mieszkańcy naszego miasteczka, Rubeny i jeszcze jednej osady położonej nieco bardziej na północ, mieliśmy tego samego kapłana. Starego, niewykształconego księdza, który pewnego razu bardzo się rozchorował. Potem w ogóle nikt nie odprawiał u nas mszy. W końcu przybył Alvaro, a wraz z nim - jego księgi.

Odwzajemnił moje spojrzenie.

- Zgadza się - powiedział. - Właśnie dlatego znalazłem się tutaj.

Skinęłam głową.

Rozpoczęliśmy naukę. Czytaliśmy apokryfy Nowego Testamentu zwane „falszywymi pismami”. Kościół nie zaliczał ich do nauk Chrystusa, jak to czynił z listami św. Pawła. Niektóre z owych fałszywych pism zostały odrzucone, ponieważ stanowiły mieszaninę prawdziwej wiary i magii. Miały jednak w sobie urok, przydawały barw ponurym szatom Chrystusa albo pozwalały, by chrystusowy krzyż pokrył się kwieciami.

Zakochana w słowach, rozmiłowana w osobie, do której należały, nie panowałam nad sobą. W dni przypadające pomiędzy naszymi spotkaniami jakaś nieodparta siła przyciągała mnie do domu Alvara, położonego przy uliczce za kościołem. Musiałam przechodzić tamtędy tak, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Kapłan w małym miasteczku jest osobą publiczną. Bardziej niż piekarz, w którego ciepłym sklepie zbierają się ludzie; bardziej niż kowal, w którego kuźni schodzą się mężczyźni na pogawędkę; bardziej niż aptekarz za swoim kontuarem, a nawet właściciel gospody. W małym miasteczku kapłan należy do swoich parafian. Przychodzą do niego o każdej porze, prawie zawsze wiedzą, gdzie się akurat znajduje.

Nie inaczej rzecz się miała w Quintanapalli. Przez większą część roku nie mieliśmy kapłana, dlatego gdy się wreszcie pojawił, wszyscy byli mu wdzięczni już za samą obecność. Wszelako uważali, że Alvaro zbyt wiele uwagi poświęca książkom i zbyt długo przesiaduje nad papierami z piórem w ręku. Ci z reguły niewykształceni ludzie - podobnie jak ja - czuli respekt przed studiowaniem. Kiedy raz stało się jasne, że Alvaro tropi kryjące się za słowami herezje, zaczęli szanować jego potrzebę spokoju. Tolerowali nawet fakt, że zaczęłam mu w tym pomagać. Przypuszczali zapewne, iż poświęcam swoją pracę misji zniszczenia jednego z licznych bastionów diabła. Jeżeli nawet dostrzegali, jak bardzo pragnę przebywać u boku Alvara, traktowali moją żądzę jako rodzaj pobożności. W każdym razie przez pewien czas. Póki zachowywałam się przezornie. I chociaż ogarniała mnie pokusa, nie przystawałam pod oknami domu Alvara, jeśli ktoś był w pobliżu.

Pewnego razu przybiegłam na lekcję wcześniej niż zwykle. Spostrzegłam, że czekał na mnie. Czekał niecierpliwie. Zastukałam jeden jedyny raz. Wcale nie musiałam czekać. Drzwi otworzyły się nagle i gwałtownie. Wcześniej usłyszałam szelest sutanny. Mogło się zdawać, że to dom wzdycha z głośnym świstem. Stałam w progu, dyszałam, oczy mi powilgotniały od wiatru, tak szybko biegłam ze wzgórza. Wciągnęłam w nozdrza potężną porcję powietrza pachnącego wszystkim, za czym tęskniłam: atramentem z otwartego kałamarza, oliwą z lampy, okopconym knotem; wyczuwałam zapach książek, które Alvaro wydobył z ognia, woń nieco zatęchłą i cierpką, podobną do woni korka od butelki z winem; pachniał papier, na którym pisaliśmy, sięgając raz po raz piórami po atrament.

A wewnątrz tego wszystkiego Alvaro, którego krew, widoczna tuż pod skórą policzków, zdawała się pulsować jakąś tęskną, jakimś pragnieniem. A może tylko ja tak to odbierałam? Opuściłam rękę, która zawisała między nami w momencie, gdy chciałam zapukać ponownie i kiedy otworzyły się drzwi. Cofałam się i przysłoniłam dłonią usta. Znieruchomieliśmy na chwilę, nie mówiąc ani słowa.

- Wejdz, Francisco - powiedział w końcu. - Ciepło ucieka. - Stałam jak sparaliżowana, póki nie wyciągnął dłoni i nie wciągnął mnie do środka.

- Czy coś cię niepokoi? - zapytał, spostrzegłszy, że nie mogę skoncentrować uwagi na treści książki, która leżała przede mną. Ukryłam twarz w dłoniach. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że zachowuję się dziecinnie, więc szybko podniosłam głowę. Nie odpowiedziałam na pytanie, a on tego dnia szybko mnie zwolnił.

Opuściłam lekcję w najbliższy czwartek oraz w dwa następne. Spotkaliśmy się dopiero przy okazji obowiązkowej spowiedzi wielkanocnej. Alvaro siedział w ciemnym konfesjonale, ja czekałam w długiej kolejce grzeszników. Zaczęłam jak zwykle. Powiedziałam, że zgrzeszyłam i poprosiłam o przebaczenie. Ale potem przedstawiłam się.

- To ja, Francisca.

Szept głośno zabrzmiał w mroku konfesjonału, tego pierwszego mroku, przyczyny wszystkich następnych: mroku nauk Alvara, ciemności po wygaszeniu świateł. Mroku pożądania i nocy. Falującego, przerażającego mroku mojej celi.

Alvaro nie odpowiedział. Zapewne dlatego, że nie bardzo wiedział, dlaczego się przedstawiłam. Albo też dlatego, że doskonale wiedział. W końcu rzekł:

- Słucham cię.

- Mam nieczyste myśli - powiedziałam. - *Ad te puto*. Myślę o tobie.

Wcale nie myślałam o tych wszystkich starszych kobietach, które czekały w kolejce za mną, aby wyznać swe nieliczne grzechy. Ani o Dolores, ani o tacie, ani o własnej nieśmiertelnej duszy. Wszystkie moje myśli były nieczyste. Miały taką moc, że nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Szeptalam - tak sędzę, chyba nie byłam zupełnie szalona, jeszcze nie - lecz to, co mówiłam, tak mnie przytłaczało, jakbym krzyczała.

- Nie wolno nam się więcej spotykać - odrzekł niespodziewanie, stanowczo i wcale nie po łacinie, ale po hiszpańsku. - Nie wrócisz do nauki. Lekcje skończone. Zwalniam cię. *Cede*.

- Wydaje ci się, że możesz mnie tak po prostu zwolnić? - zapytałam.

Nie odpowiedział. Czekałam tak długo, jak to było możliwe.

Czekałam, póki nie uświadomiłam sobie, że starsze kobiety zaczynają się niecierpliwić. Potem uciekłam z kościoła. Kobiety stojące pod ścianą obserwowały mnie uważnie, mrucząc cicho swoje zdrowaśki.

Nie zrezygnowałam. Poszłam do jego pracowni. Odesłał mnie. Wróciłam.

- Proszę - powiedział.

- Proszę - powiedziałam. Staliśmy w otwartych drzwiach. On próbował je zamknąć, ale zdążyłam wyciągnąć rękę. Dotknęłam go. Na krótko oparłam dłoń na jego piersi. I wówczas pojęłam - opór został przełamany.

Pozwolił mi wejść. Wiele mi wyznał. Powiedział, że umartwiał swe ciało. Podobno spodziewał się, że kobieta może być narzędziem szatana. Oświadczył, że w tym wypadku szatan okazał się zdumiewająco sprytny, posługując się kobietą tak drobną, a na dodatek dziewicą z ogromnym zapalem do nauki. Dokonał surowego samobiczowania, lecz każde miejsce, w którym na jego ciele powstała rana, zdało się w dwójnasób płonąć z pożądania.

Miał długi, spiczasty nos. Niczym sztyletem dźgał mnie nim w piersi, gdy zaczęliśmy się obejmować. Kiedy wszedł we mnie po raz pierwszy, moja dusza uleciała nad miasto. Unosiła się coraz wyżej i wyżej. Z góry dostrzegłam żonę karczmarza, która z naręczem polan schodziła stromą ścieżką w stronę domu. Pomyślałam sobie: Och, jakaż ona stara. Umrze, nim przeminie zima. Ujrzałam tatę w domku gąsienic. Tata urządził tam warsztat i wyrabiał w nim rozmaite drobiazgi z drewna, potem zaś sprzedawał je na targu. Na jego widok moje serce wezbrało miłością. Rozczulał mnie fakt, że dłonie taty, z pozoru duże i nieporadne, potrafiły stworzyć miniaturowego akrobatę na cieniutkiej lince. Widziałam inne zabawki, łyżki i ozdoby z sierści,

które wyrabiał z myślą o mnie i Dolores. Ją widziałam również, jak zlorzeczy podczas szorowania naczyń. I naszego sąsiada, prowadzącego krowę przez gąszcz janowca. Kochałam wszystkich. Wydawało mi się, że dotykam całego świata.

- Nauczyłaś się pisać na mnie równie dobrze jak na papierze - powiedział pewnego razu Alvaro, oglądając swe ciało przed ponownym włożeniem szat. Robiłam użytek z paznokci, Pisałam nimi jak piórem. Czasem, kiedy byłam pod spodem, zdarzało mi się ugryźć Alvara. Wtenczas odskakiwał w zdumieniu, a na jego gładkiej skórze pojawiał się czerwony ślad.

Czytaliśmy. Za każdym razem zaczynaliśmy w ten sam sposób. Siedzieliśmy przy stole nad rzędami liter i słów, póki moja dłoń nie zbłądziła na nogę mego kochanka. Byłam bezwstydną. Czułam, jak pod moim dotykiem męskość Alvara twardnieje. I już nic nie mogło mnie powstrzymać. Czułam to i wybuchał we mnie ogień. Ognie piekielne byłyby przy nim zaledwie małym ogniskiem.

- Czy właśnie dlatego księża chodzą w sutannach? - zapytałam, wodząc dłonią między jego nogami. - Aby ukryć pleć?

Na samym początku, gdy zaczęliśmy ze sobą obcować, istniała tylko jedna kwestia. Nie chodziło o to, czy będziemy, czy nie będziemy się parzyć - co do tego nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości - lecz kiedy będziemy to robić. W którym momencie przestaniemy opierać się pokusie? Czekaliśmy z głowami pochylonymi nad książkami, póki pewne słowa, zwykle nie wypowiedane (ale przecież w jakiś sposób przez nas widziane i słyszane) - „Włóż mi; wychędoż mnie; och, dotykaj mnie” - nie staną się zbyt natarczywe. Mogło się zdawać, iż same wybrzmiewają w powietrzu, nakazując zapomnieć o rozłożonych na stole lekcjach.

W końcu ulegaliśmy i wówczas światło zaczynało napępniać moje ciało. Jakbym była naczyniem, dzbanem albo kubkiem. Jak gdyby napępniał mnie sam Duch Święty, co mi obiecywała mama, gdy przystępowałam do Pierwszej Komunii. Pod przymkniętymi powiekami światłość ta jawiła mi się jako srebrny ogień. Bezwolnie wspominałam świętych i ich uniesienia. Czułam ściskanie w gardle, jakbym tłumiła żal albo atak choroby. Wstrząsała mną burzliwa przemiana, związana z moim ciałem, namiętnościami i umysłem. Wszystkie moje władze służyły ciału. Byłam chora z pożądania.

Na początku ja pierwsza dotykałam. Sięgałam ręką ponad piórami, kałamarzem, kartkami papieru, docierałam dłonią do mankietu sutanny, rozpinałam najpierw jeden, potem drugi guzik. Ja pierwsza zadawałam pytanie, na które koniecznie musiałam uzyskać odpowiedź. *Tui tangere*

*possum?* „Czy mogę cię dotknąć?” Potem również Alvarowi przybyło śmiałości. Zazwyczaj już stał pod drzwiami, gdy nadchodziłam.

Przedtem zapewne co najmniej przez godzinę chodził niecierpliwie tam i z powrotem po pracowni. Wszystko czekało przygotowane na stole - pióra precyzyjnie poukładane, książki pootwierane na tych samych stronach co przed tygodniem. Odsunęliśmy je na bok, pchnęliśmy otwarty kałamarz. Tego dnia wszystkie zdania miały być zapisane wprost na mnie. Opadłam głową na blat stołu. Atrament rozlał się, tworząc coraz większe, czarne jezioro namiętności.

Niewiele dowiedziałam się o życiu mego księdza. Dzisiaj odnoszę wrażenie, że byliśmy ze sobą tak długo, że zdążyłam opowiedzieć mu o sobie wszystko, ale od niego nie dowiedziałam się prawie niczego. Wiem, że pochodził ze wzgórz Navarry, z Jaca. Był drugim z kolei synem matki czworga dzieci. We wczesnym dzieciństwie utracił ojca. Rodzeństwo nie mogło dłużej być razem. Dwie siostry Alvara trafiły do przytułku - matka nie była w stanie wyżywić całego swego potomstwa. On i brat zostali przy niej tylko do czasu, póki nie dorosli na tyle, żeby iść w świat i samodzielnie zarabiać na własne utrzymanie.

Jego ojciec żył w ciągłej udreće, ponieważ podobnie jak ojciec Carlosa, król Filip, miał się pomiędzy troską o zbawienie duszy a piekielnym pragnieniem, by położyć łapy na każdej kobiecie, jaką dane mu było ujrzeć. W rodzinie Alvara panował przesąd, że każdy z synów Bartolomea Gajarda przejął jeden rodzaj cech ojca. Że Tomaszem kieruje żądza i beztroska, natomiast Alvaro zabiega o stan duszy.

Alvaro miał być rzekomo cierpliwy, dążyć z zapałem do rzeczy wzniosłych i nie ulegać ziemskim pokusom. Przyznał, iż nigdy wcześniej nie trapiło go pożądanie. Wszelako prawda okazała się inna. Synowie Bartolomea Gajarda nie byli jak przód i tył jednego osła, ten tylko głową, tamten tylko zadem.

To prawda, że Tomasz wyrósł na łajdaka. Nie potrafił utrzymać się przez dłuższy czas w żadnej pracy. Terminował u stolarzy, garbarzy, wytwórców świec, księgowych i w rezultacie nie zdecydował się na żaden zawód. Kiedy bracia razem wyruszali w świat, ich mama żałośnie płakała. Alvaro towarzyszył bratu wytrwale. Wędrowali razem od miasta do miasta, zmieniali zajęcia, posuwali się na północ, aż wreszcie dotarli do Paryża.

Tomasz rozpląnął się gdzieś w miejskim tłumie. Alvaro wprawdzie stracił go z oczu, ale nie chciał wracać samotnie do Hiszpanii; jeszcze nie. Został i otrzymał posadę w warsztacie w którym wyrabiano guziki. Nauczył się robić guziki z rogu z kości, a także z drewna i tkaniny. Do

ich wyrobu używał specjalnej tokarki. Wytwarzał guziki ze srebra, które po wydobyciu z formy należało rozkuć, i kruche guziki z muszli które często pękały przed zakończeniem polerowania. Te ostatnie, obszyte jedwabną nitką, miały zdobić suknie i kamizelki.

Lubiłam leżeć przy nim i wyobrażać sobie, że przed wielu laty dzieło naszych gąsienic w jakiś sposób dotarło za Pireneje. Płynęło pod niebem na północ niczym smużka dymu, aż wreszcie dotarło do Paryża, gdzie za igłą przechodziło przez dziurki w guzikach, które zrobił mój kapłan.

Alvaro wytwarzał również specjalne brykle z kości słoniowej. Dzięki nim łatwiej było kobietom zachować wyprostowaną sylwetkę.

- Noszą je damy na królewskich dworach - rzekł. - Służące przytwierdzają je do spodu gorsetu. Właśnie ta część garderoby znajduje się najbliżej ciała ubranej kobiety. Dotykają ich - powiedział.

Nastał taki czas, że owe brykle służyły jako najmodniejszy środek przekazywania *billet doux*. Dżentelmeni zamawiali je dla swoich kochanek. Płacili szczerze, aby za ich pomocą przekazywać wiadomości albo poematy. Alvaro wielokrotnie rzeźbił namiętne słowa na długich, płaskich językach kości słoniowej. Wtedy właśnie zaczął rozmyślać o kobiecej skórze, o kobiecym ciele.

Przyznał, że w Paryżu wiódł osobliwe, samotne życie. Miał kilku przyjaciół. Wszystkie posiłki spożywał na miejscu w przeludnionym domu; jadł w milczeniu, powoli czytał gazetę, żuł chleb i popijał zupą. Umiał już czytać; nauczył się francuskiego, przenosząc starannie poszczególne słowa z papieru na kość słoniową. Ćwiczył sztukę czytania także mniej osobliwymi metodami. Czytywał gazety, które inni po przejrzaniu zostawiali na stole. Na przykład wzmianki zachęcające do udziału w wykładach, organizowanych przez kolegia medyczne. Ogłoszenia o dysputach na tematy teologiczne, prowadzonych seminariach duchownych. Informacje o wystawieniu jakiegoś nowego dzieła Racine'a. Wzmianki o posadach dla osób biegłych w wrywaniu zębów i szyciu peruk. Pouczenia, jak unikać gorączki oraz listy najważniejszych symptomów chorobowych. Doniesienia o powszechnie znanych damach i ich toaletach, o tym, kto i w jakim stroju pojawił się u księcia de Conti na ostatnim balu przed końcem karnawału. Spekulacje na temat wysokości obcasów, jakie będzie się nosiło w najbliższym sezonie, i wiadomości o miejscach, gdzie można nabyć najzdobniejsze lornetki teatralne. Artykuł na temat spodziewanego wzrostu cen na kapelusze w okresie jesiennym z uwagi na zarazę panującą wśród

strusi afrykańskich, które liniały tak gwałtownie, że nawet pozostałe przy życiu egzemplarze biegały po pustyni całkowicie nagie. Lubił czytać o modnie ubranych osobistościach, które mogły nosić zrobione przez niego guziki. Tymczasem pojawiły się dwie istotne okoliczności: wyrabianie guzików i gorsetów zaczęło go nudzić, a ciała, dla których były przeznaczone - wabić.

Boveda chętnie przyjmowała do siebie ludzi gorliwych i bystrego umysłu. W Paryżu Alvaro poczuł powołanie, by rzucić wszystko i zbliżyć się do Boga. Wstąpił do zakonu. Przez kilka lat uczył się w Paryżu. Wydawało mu się, że zostanie tam na zawsze, ale w roku 1673 Boveda została usunięta z Francji. Papież nie chciał skarcić zakonu, ale Ludwik się nie wahał. Tego roku, kiedy stracono tak wiele czarownic, tego samego, w którym księżniczka Marie rzucała bukiety w stronę szubienic, Król Słońce rozwiązał zakon za studiowanie zakazanych, ksiąg. Alvaro wrócił do ojczystej Hiszpanii i do surowego życia, tym razem w szeregach franciszkanów. Jego umysł flirtował z nieprzystojnymi księgami, ale ciało nadal pozostawało czyste. Alvaro wytrwał w celibacie, choć przecież mieszkał w mieście sławnym z kurtyzan, tańczących dziewcząt i najwymyślniejszych pieszczot cielesnych.

- Jakim byłeś chłopcem? - pytałam bez przerwy. Chciałam osiąść tę wiedzę, chciałam poznać go takim, jaki był, zanim się spotkaliśmy. Dostrzegałam w nim siebie, zwłaszcza w młodzieńczym zapale do zdobycia wiedzy. Chociaż teraz przychodzi mi do głowy, że może ziemscy kochankowie przypominają Narcyza i szukają w partnerze własnego odbicia.

Alvaro niewiele mi powiedział. Bardzo niewiele.

- Uwielbiałem słodczyce - rzekł, jak gdybym oczekiwała tego rodzaju odpowiedzi.

- Ale co robiłeś? - nalegałam.

- Czasem gotowałem w rondlu mleko z miodem. Powstawał z tego miękki cukierek.

- Też mi coś! - odepchnęłam go od siebie. - To mi niczego nie mówi o człowieku.

Kiedy się gniewałam, uważnie mnie obserwował. Jego twarz wyrażała zmieszanie, jakby rzeczywiście próbował odpowiadać zgodnie z moimi życzeniami.

- Zanim odeszły moje siostry, tak właśnie było - ciągnął. - Marzyłem o łakociach. Nigdy nie miałem ich dosyć.

- A może miałeś robaki.

Zawsze trapił go jakiś smutek. To mnie w nim pociągało, irytowało i niejednokrotnie skłaniało do wypowiedzania nieprzyjemnych słów. Część owego smutku miała swe źródło w nim

samym, część zaś wiązała się z losami siostr Alvara. Starał się je odnaleźć, ale bez powodzenia. Budził gniew we wspólnocie kościelnej przywiązaniem do dawnej rodziny, związanej więzami doczesnymi. Z tego powodu niewiele brakowało, ażeby nie otrzymał zezwolenia na dalsze studiowanie ksiąg. Nowy franciszkański przełożony składał mu rutynowe wizyty i wypytywał o wszystkie szczegóły jego życia. Alvaro raz w miesiącu wyruszał na bezowocne poszukiwania. Nie natrafił nigdy nawet na ślad Tity i Amalii. Wiedział, że przytułek, w którym zostały niegdyś umieszczone, znajdował się gdzieś na wschód od ich rodzinnej miejscowości, ale nie udało mu się go odnaleźć.

Kiedys powiedział mi o tych małych dziewczynkach. Podobno Tita była bardzo drobna. „Drobna jak ty, Francisco” - powiedział, kładąc rękę na mojej głowie. Czułam wówczas, że zamiast mnie widzi siostrę. Rodzice niewiele go obchodzili. Całą miłość do rodziny przelał na siostry.

Nie miałam kobiecych piersi, a pewnego czwartku Alvaro, posługując się swoją brzytwą, usunął wszystkie włosy z sekretnych miejsc mojego ciała. Potem spojrzął na mnie.

- Jesteś... wyglądasz jak mała dziewczynka - powiedział. - Zupełnie jak mała dziewczynka. - Dostrzegałam wyraźnie, że taka właśnie bardzo mu się podobam. Patrzył w skupieniu. - Odwróć się - polecił.

Usłuchałam. Radowało mnie jego zauroczenie. Wprawdzie trochę niepokoiło mnie zadowolenie, z jakim upodabniał mnie do dziecka, z jakim obcował ze mną cielesnie, kiedy tak bardzo przypominałam niedojrzałą dziewczynkę, ale nie na tyle, bym się opierała. Nie, na pewno nie na tyle.

Nie znałam nikogo poza nim, kto potrafił patrzeć równie długo, nie mrużąc powiek. Mrugał zdumiewająco rzadko. Miał tak ciemne oczy, że nie sposób było odróżnić, w którym miejscu ich barwna część przechodzi w czarne centrum. Chowałam głowę pod powierzchnię każdej z dwóch nieruchomych, czarnych źrenic. W ich głębinach nie istniała logika ani żadna możliwość dyskusji. Odczuwałam to tak, jakbym próbowała mówić z głową zanurzoną w wodzie: nie byłam w stanie nadać słowom zrozumiałej formy. Bezkształtne wychodziły na powierzchnię, pękały i ulatniały się nazbyt szybko, by je zrozumieć.

Takie zduszone protesty usłyszałam po raz pierwszy tamtego popołudnia, gdy wyciągnęłam rękę, by porozpinać sutannę. Po rozpięciu mnóstwa guzików drżały mi palce, ale nie z wysiłku, raczej z poczucia winy. Zsunęłam czarną szatę z ramion Alvara, by poczuć lepiej



ową woń, która nieustannie dręczyła mnie i kusila. Woń zmieszana zazwyczaj z zapachem ksiąg i atramentu, dolatująca zza kraty i zasłony konfesjonału. Intensywny i słonawy aromat. W tym nagim ciele, które wylaniało się spod czarnego materiału, zawarta była cała słodycz, jakiej brakowało dotychczas mojemu ubogiemu życiu.

*Da, Domine, virtutis manibus meis. Impone capite meo galeam salutis.* Spraw, o Panie, by me czyny były cnotliwe. Hełm zbawienia racz mi włożyć na głowę. Wypowiadał te słowa, gdy przywdziewał sutannę. Zdejmowałam ją z niego, używając odmiennego języka.

Znów rozpoczynaliśmy lekcje tego samego dnia tygodnia i o tej samej porze: w czwartki po dzwonach na nonę. Czas upływał błyskawicznie i jednocześnie dłużył się. Czasem każda chwila unosiła się w świetle niczym czerwony klejnot, jak pojedyncze nasionko granatu: poczułabym każde z osobna, jak pęka między moimi zębami. Dziesięć minut stawało się oceanem czasu i tęsknoty. Innym razem bicie dzwonów na nieszpory zdawało się następować bezpośrednio po wezwaniu na nonę. Zastanawiałam się wówczas, jak to się dzieje, że wiele godzin upływa, nim zdążę raz głęboko odetchnąć.

Leżałam pod nim z zamkniętymi oczyma. Wystarczyło, że zamknęłam oczy i już widziałam uciekającą sarnę albo dłonie ugniatające ciasto. A to dziesięć łyżek w drewnianym pudle, a to butelkę pełną oleju z orzechów włoskich. Częściej widywałam chmurę much, uwijających się pracowicie nad jakąś misą. Nie wiedziałam wcześniej, co zobaczę. Że będzie to na przykład trawiony ogniem papier. Czysta, nie zapisana biała kartka i płomień w jednym z jej rogów. A potem naraz cała w ogniu, pokurczona.

Zdarzało się czasem, że gdy zadrżały ostatnie promienie słońca, by naraz zniknąć niczym knot w roztopionym wosku, dźwięk kościelnych dzwonów płynął łagodnie między drzewami, wzywając wiernych do przerwania codziennych zajęć i zwrócenia myśli ku Bogu; w takie popołudnia nadchodził moment, gdy pożądanie tłumiło głos sumienia i ciało zaczynało zmierzać ku własnej destrukcji. Przymknięte powieki. Nic, tylko czerń. Czułam na sobie ciężar Alvara, widziałam jego duży kciuk - wyglądał tak samo jak w Środę Popielcową, gdy zbliżał się do mojego czoła, jakby chciał zniszczyć mój rozum, wrażliwość i wolę.

- Pamiętaj, Francisco, że z prochu powstałaś i w proch się obrócisz.

- Wychędoż mnie! - prosiłam. - Chcę być pod tobą. Błagam.

Odsuwał się nieco i patrzył mi w oczy, pragnąc się upewnić, czy rzeczywiście tego chcę. Kiwałam głową i wówczas przystępował do rzeczy. Robił to energicznie, bezlitośnie. Tak

mocno, że odczuwałam ból. I to także przypadło mi do gustu: że sprawia mi ból. Pragnęłam, by zredukował mnie do cienia. Chciałam być zaledwie cieniem, miejscem, na którym leżałam pod moim mężczyzną.

Czasami odpychał mnie. Czasami odmawiał. Pewnego razu usiadł i położył głowę na stole. Pomyślałam, że płacze, że jego łzy wsiąkają w okładki książek z wielkiej biblioteki w Salamance. Jednak kiedy się podniósł, oczy miał suche. Tak, tak, wiedział, że nie jest w stanie pomóc ani sobie, ani mnie. Rozebrałam się i wrzuciłam ubranie pod stół. Było chłodne, zimowe popołudnie, lecz ja wcale nie czułam chłodu. Przez długą chwilę Alvaro tylko na mnie patrzył, nie mówiąc przy tym ani głowa. Nie wstydziłam się. Odwzajemniałam spojrzenie.

- Daj mi brzytwę - powiedziałam. - Usunę włosy. Uczynię to chętnie. - Później już zawsze goliłam się sama.

Wyciągnęłam rękę, którą on błyskawicznym ruchem chwycił za nadgarstek. Jakże szybko potrafiłam rozpiąć wszystkie guziki sutanny, trzydzieści sztuk - palce mojej drugiej dłoni płynnie poradziły sobie ze wszystkimi zapięciami. Wzięłam go w rękę. Musnęłam językiem małe zagłębienie w miejscu, gdzie szyja styka się z kośćmi obojczyka, poczułam słony smak.

Klęknął i na kolanach przybliżył się do mnie. Odpełzłam, drocząc się z nim, póki nie skoczył i nie pochwycił mnie bardziej zdecydowanie. Ujął w dłonie każdy z moich pośladków, a moje palce zamknęły się na jego owłosionych nogach.

- Oto są chleby - rzekł i ugryzł mnie w tyłek, wsunął dłoń między moje nogi. - I ryby. *Panis et pisces.* - Powąchał sekretne miejsce mojego ciała. - Chleby i ryby. Teraz już wiesz, na czym polega cud obfitości, Francisco. Przecie ta uczta trwać może wiecznie.

Że to niby profanacja? Zgoda. Cóż jednak, jeśli Boga nie ma? Jeśli w ogóle nie istnieją żadni bogowie? Nie istnieje istota, która mogłaby to usłyszeć? A jeżeli wprawdzie istnieje, ale akurat pragnie, by jego stworzenie czerpało radość z obcowania cielesnego?

A jeśli bycie aniołem łączy się z niewyobrażalnym smutkiem - tyle miłości i brak ramion, aby kogoś przytulić?

W czasach, gdy tkanie jedwabnych materii należało do najbardziej lukratywnych zajęć spośród wszystkich rzemiosł w królestwie Hiszpanii, zdarzało się wcale nierzadko, że z dnia na dzień ten czy tamten warsztat tkacki dosłownie zniknął. Skrzypienie, zgrzytanie, dudnienie - jakkolwiek hałas mógł sprawić, że nagle obluzowały się kamienie brukowanej ulicy; konie

płoszyły się, ale nim woźnice zdążyli dobrze chwycić za baty, sklep albo warsztat zapadał się i znikał pod powierzchnią ziemi, ponieważ podziemne przejścia naruszyły fundamenty. Mistrzowie tkactwa starannie ukrywali swoje warsztaty. Pracownicy dostawali się do nich i wychodzili, nie zwracając uwagi konkurencji. Pod całą dzielnicą tkaczy ciągnęły się podziemne tunele, które to umożliwiały.

Najbogatszy kupiec z tej branży, Catalano, wysyłał szpiegów do pracowni w Lyonie oraz złodziei do warsztatów w Paryżu i Marsylii: małych, nikczemnych i zdesperowanych mężczyzn, którzy wykradali księgi z wzorami najlepszym francuskim tkaczom i przywozili najmodniejsze projekty swoim pozbawionym skrupułów pracodawcom. Zanim dany materiał zszedł z olbrzymich warsztatów tkackich w Paryżu, Catalano już go trzymał w ręku i rozkładał przed nosem jakiegoś granda, który płacił mu złotem za pomysłowość i trud.

Catalano nie miał w Madrycie poważnego konkurenta. Jedynym wyjątkiem był Alessandro. Mistrz Alessandro był uczciwym rzemieślnikiem. Stosował własne wzory, które były tak urzekające, że z pracy własnych rąk bez kłopotu utrzymywał siebie i swoje jedyne dziecko.

Alessandro miał bowiem piękną córkę o imieniu Ana. Dziewczyna dorastała do zamążpójścia. Alessandro martwił się o posag i odpowiedniego kandydata na męża dla niej, tymczasem Ana niespodziewanie zachorowała. Gorączka szybko odbierała jej siły i chęć do życia. Wcześniej była jedyną radością i szczęściem swojego ojca. Teraz leżała złożona chorobą i jeśli akurat nie płakała, to właśnie zaczynała szlochać.

I któż by ją teraz chciał? Stale słabła i smutniała. Tkacz wydał wszystkie zaoszczędzone pieniądze na medyków i medykamenty. W końcu nic już nie zostało z wyprawy ślubnej. Alessandro zaczął się martwić, że jego córki nie zechce nawet zwykły wieśniak. Dziewczyna wyglądała upiornie, choć zachowała resztki urody.

W końcu Ana zmarła, ponieważ nie było lekarstwa na jej chorobę.

Alessandro nie mógł się pozbierać po stracie córki. Zamknął się w warsztacie i nie dbał już o nic. Nie miał żadnych ziemskich pragnień poza jednym: postanowił utkać materiał na sukienkę dla córki, na sukienkę tak wspaniałą, ażeby Ana, wzniosłszy się do nieba i stanąwszy przed Panem, przyćmiła strojem wszystkie księżniczki i królowny. Alessandro sam chciał obsługiwać krosno. Pracował trzy dni i trzy noce, przez które nie spał i nic nie jadł.

Przygotował krosno i założył ostatnie jedwabne nici, jakie posiadał. Wykorzystał przędzę w barwach jasnych niczym drogocenne kamienie, złote i srebrne nici, które zaoszczędził przez

lata, gdyż nikt nigdy nie zamówił tkaniny tak bogato zdobionej.

To, co Alessandro utkał, nie było zwykłym wzorem czy deseniem, lecz jedwabnym czarem, magiczną materią, której piękno zrodziło się z rozpacz. Były tam pszczoły spijające nektar, kwiaty zwrócone ku słońcu, ptaki i sarny, i inne wdzięczne stworzenia. Było wszystko, co piękne, były gwiazdy i planety, słońce i księżyc. Było tam wszystko, czego Alessandro zaznał, tuląc córkę w ramionach i z czym nie mógł się po jej śmierci rozstać. Kiedy zobaczył swoje dzieło, kiedy ostatni łokieć materiału spłynął spod płochy, Alessandro uświadomił sobie, że ten, kto ubierze uszytą z tej materii szatę, zawładnie sercami wszystkich, tak jak Ana zawładnęła jego sercem. Lecz Alessandro nie zamierzał sprzedać ani kawałka tej tkaniny. Nie utkał ani odrobiny więcej, niż było trzeba na sukienkę dla córki.

Podczas mszy żałobnej uroda Any poruszyła wszystkich. Choć dziewczyna leżała nieruchomo na marach, zdawała się świecić niczym księżyc w pełni. Skrzyły się jej rozpuszczone włosy, usta układały w uśmiech. A wszystko dlatego, że miała na sobie sukienkę z materiału utkanego przez ojca. Książęta, którzy przybyli tłumnie z odległych miast, zakochiwali się w martwej dziewczynie bez pamięci. Szlochali nad nią i całowali jej zimne usta. Tłoczyli się tak blisko trumny, że nie można jej było zamknąć i zabić gwoździami. Ana wyglądała urzekająco. Każdy chciał jej dotknąć. Nikogo nie można było odwieść od dotknięcia palcem jej piersi albo obwiedzenia, chociażby jeden jedyny raz, owalu jej policzka. Wreszcie ostatniego żałobnika odprowadzono od jej ciała. Ana spoczęła w ziemi, wkrótce zaś zmarł również jej ojciec.

Po śmierci Alessandra, wszystko, co do niego należało, sprzedano na pokrycie długów. Nikt nie płakał na jego pogrzebie, gdyż zdolny tkacz nie miał bliskich krewnych.

Bogaty kupiec Catalano przybył na aukcję. Kupił krosno Alessandra, urządzenie nadal nastawione na tkanie materiału na suknię Any, i kazał je przewieźć do swego warsztatu. Rozkazał, aby założono najlepszą jedwabną przędzę, do tego zaś złote i srebrne nici. Zanim polecił pracownikom uruchomić krosno, zakupił kosz pełen najprzedniejszych win i łakoci. Chciał natychmiast uczcić zdobycie sławy, o jakiej marzył, i jeszcze większego bogactwa niż to, które już posiadał. Ale niestety, nie miał już więcej powodów do radości.

W dużym warsztacie bogatego kupca krosno Alessandra nie działało. Tkacze nie mogli poradzić sobie z przędzą, która bez przerwy wymykała się im z rąk, plątała, blokowała maszynę. Wystarczyło, by robotnicy spojrzeli na materiał schodzący z krosna, a przepełniała ich szalona miłość, wszyscy tracili zmysły.

Zrazu nie powstrzymało to Catalana. Zaopatrzył robotników w opaski na oczy. Kiedy je pozdejmowali, zwolnił ich i wynajął niewidomych mężczyzn. Jednakże nawet ślepcy nie zachowywali się obojętnie. Dotykali gotowego materiału, który wychodził z krosna; oni również upuszczali przędzę i zatrzymywali krosna. Kazał im założyć rękawice. Na próżno. Ściągali je i schodzili ze stanowisk, żeby dotknąć tkaniny. Pozbawiona obsługi maszyna klekotała, aż w końcu watek pękł i złamała się rama osnowy.

Catalano kazał naprawić warsztat, a sam udał się do Kadyksu, gdzie prosto ze statku kupił dwunastu murzyńskich niewolników. Popalił im opuszki palców, ażeby pozbawić ich zmysłu dotyku, i oślepił; wszystko z bardzo marnym skutkiem. Niewolnicy całowali materiał i umierali z miłości.

W ciągu kilku następnych lat bogaty przedsiębiorca wydał majątek na uruchomienie warsztatu tkackiego Alessandra.

Wzywał księży, polecił maszynę poddać egzorcyzmom, a potem poświęcić. Wiele dni spędził na modlitwie. Sumiennie pościł, zamienił się w cień człowieka, ale nigdy nie udało mu się utkać więcej niż kilkanaście cali materiału Alessandra. W końcu spoczął w grobie z wymiętym i obszarpanym skrawkiem.

- Tak brzmi jedna z ulubionych historyjek mojego dziadka - mówię królowej. -  
Opowiadał nam ją wieczorami. Tę albo jakąś inną. Najczęściej latem, kiedy dni były dłuższe.

- Czy jest prawdziwa? - pyta szeptem Maria.

- Przecież już powiedziałam: tę historię opowiedział mi dziadek.

- To rozumiem. Ale czy jest prawdziwa?

- Wierzysz, że tak jest?

- Tak.

- Zatem jest prawdziwa.

Kiwa głową.

Musi to być jakaś znakomita trucizna, jeśli oddziela ducha od ciała, dopuszcza, by wchodził weń i wychodził według własnego widzimisie.

Królowej zdaje się, że śni. A oto, co się wydarzyło: bezustanne nudności w końcu ustały. Maria zakrztusiła się. Zaczęła kaszleć, rzucać się na łóżku, chwilę później była już wolna. Zostawiła rozgorączkowane, obolałe ciało w łóżku, zostawiła je w otoczeniu misek, bandaży i bezużytecznych medykamentów. Wyruszyła na poszukiwanie towarzystwa i pocieszenia.

Wyruszyła i odnalazła mnie.

W pałacu doktor Severo ściąga jedwabne prześcieradło z piersi Marii. Chwyta królową za nadgarstek i stara się wyczuć puls, szuka jakiegoś dowodu pracy serca. Uciska klatkę piersiową miarowo i uporczywie, aż w końcu udaje mu się wywołać reakcję. Maria porusza się nieznacznie. Oooh, wzdycha. Stan królowej jest dla medyka całkowicie niezrozumiały, pewne jest tylko jedno - że się ustawicznie pogarsza. Okresy świadomości pojawiają się coraz rzadziej i są coraz krótsze. Herbatki ziołowe i inne napoje nie powstrzymują nieustannego procesu odwodnienia. Maria chwyta często za brzeg narzuty, jakby chciała zniszczyć ładny splot przędzy: rozplatać, rozetkać cały świat.

Takie zachowanie jest skutkiem działania trucizny. Podobnie drżenie palców i szarpanie bielizny. Substancja chemiczna, cokolwiek to jest - Severo w dalszym ciągu nie wie, co - wywołuje cały zespół objawów, z których nie wszystkie są niemiłe. Maria czuje chłód, to prawda, na dodatek jest to trupi chłód, który przesuwają się od palców nóg i rąk w kierunku serca, za każdym razem sięga coraz wyżej kończyn. Bezwiednie poruszają się jej stopy, zaplatają w pościel, a potem nieruchomieją.

Jakież to był dziwny sen, myśli. O tym krośnie. O tym nieziemskim jedwabiu. Dlaczego nie może ulegać chorobie powoli, godnie - jak córka tkacza? Rozważa z goryczą, dlaczego musi tak cierpieć. Pragnie znów zasnąć.

Za każdym razem, kiedy wymiotuje, czuje, że wilgotnieje jej głowa, że oblewa się lepkiem potem. Podczas nawrotów mdłości traci orientację. Nie sposób wiele zwymiotować z taką częstotliwością. Za każdym razem z otępiłą ciekawością zagląda do misy, trzymanej przez jakieś cierpliwe ręce. Co to jest? - myśli. Skąd się to wszystko wzięło? Jakby wymiotowała czymś, czego nie zjadła, życiem, którego nie wiodła. Ale potem przez jakiś czas czuje się lepiej. Przeciąga się z przyjemnością, czując zmysłową rozkosz, jakiej wcześniej jeszcze nigdy nie zaznała. Pościel porusza się pod jej rękoma. To nie wszystko - chwile uniesienia wracają coraz częściej. Nie było ich wczoraj, w dniu, kiedy zachorowała, kiedy ją otruto. Wówczas jej myśli przybierały postać poniżających błagań. Pomóż mi, Boże. O Boże. O Boże, miej litość. *Mea culpa. Mea culpa. Mea maxima culpa.* Proszę. Kościelna łacina przeszła w usilne prośby, a te następnie w sentymentalne wezwania: Mamo, mamusiu, proszę, przyjdź, zabierz mnie do domu, proszę, proszę, proszę. Dzisiaj w dolegliwościach zdarzają się chwile oddechu. Przeżywa jeszcze całą serię ekstatycznych uniesień, no i pojawiają się te cudowne sny. Jakby Maria znowu stała się

małą dziewczynką, która przysłuchuje się jakiejś opowieści i czuje na głowie dotyk chłodnej ręki.

- Ma - ri - a! Lu - i - sa!

Do sypialni królowej dochodzą równomierne wołania motłochu. Usłyszawszy swe imię, królowa otwiera oczy. Widzi białe, zimowe niebo, dostrzega czarny dym, unoszący się spiralnie ku niebu za wschodnim oknem. Co to ma znaczyć? - myśli - Czyżby stajnie stały w ogniu? Ale jakie ma to teraz znaczenie? Przecież pragnie wyłącznie ujrzeć matkę. Nie chce niczego więcej, tylko znaleźć się w domu.

Język królowej wydaje się opuchnięty, suchy i jednocześnie kleisty. Kiedy Maria usiłuje zapytać Obdulię o źródło dymu, drobna służąca nie może zrozumieć ani jednego słowa. Ciało Marii jest rozpalone, ale królowej jest zimno.

- Czy po truciźnie można dostać takiej gorączki? - szepcze Obdulia do Jeanette. Zmienia okład na czole swej pani. Poprzedni już się ogrzał.

Lewa ręka Marii dotyka karku małego pieska, głaszcze miękkie futerko. Pies drży.

- Niece, nie, nieee - jęczy królowa, jej ciało wygina się w łuk. Wracają torsje. Cierpi tak mocno, że jej członki wiją się niczym węgorze w sieci. Wątroba wydaje się dokuczać najbardziej, sprawia wrażenie mokrej i zimnej; serce kołacze, kurczą się jelita. Tylko żołądek jakby płonął. Tam właśnie tkwi źródło pieczenia, które wolno podnosi się do gardła. Obdulia przytrzymuje filiżankę przy ustach Marii, która przyjmuje zaledwie tyle wody, by zwilżyć sobie język. - O Boże, o Boże - szepcze i zaczyna rzucać głową na rozgrzanej poduszce.

Carlos przebywa u Estrellity w odległości dającej się odmierzyć długością korytarza i wysokością jednej kondygnacji. Odsuwa na bok mały stolik, na którym stoją filiżanki chłodnego naparu z ostu, talerz z nie tkniętym omletem i chlebem oraz miseczka ze słodkim kremem.

Kłęką przy łóżku. Ukrywa twarz w pościeli. Wyczuwa ciepło, przenikające przez narzutę. Modli się w towarzystwie Estrellity.

- Dotknij mnie, Panie - prosi nikłym szeptem. - Dotknij i za jej pośrednictwem. Znajdź mnie. Proszę. Jesteś tu, ja wiem. - Król przymyka oczy.

Estrellita przebywa w pałacu już od czterdziestu siedmiu dni. Otrzymała izbę sąsiadującą z komnatą skruszonych grzeszników, bliźniaków, których łzy spadają do wiader. W tych łzach, żalobnej ofierze, kąpię się codziennie Carlos. Wszystkie napary są przygotowywane na wodzie, którą bliźniacy wypłaczą, wszystkie jajka na twardo są gotowane we łzach, które uronią. Obaj są żądni smutku, nie czują go tyle, ile pragną, i dlatego też zawsze szukają powodu do lamentów.

Całe piętro w pałacowym skrzydle jest zarezerwowane dla pokutujących nieszczęśników: ludzi o krwawych stygmatach i tych płaczących, i wychudłych od nieustannego postu, którzy żywią się wyłącznie dzienną racją eucharystii, naparstkiem wina, kęsem suchego chleba. Jest to sekretny korytarz z osobnymi kuchniami i służbą, gdzie wchodzi się przez tajne drzwi za gobelinem. Tutejsi rezydenci są niezwykle cenni. Z ich dobroczynnego towarzystwa korzystają tylko nieliczni.

Za każdymi drzwiami kryje się inny cud. Są tu zrośnięci chłopcy, którzy, zrodzeni do życia w największej z możliwych bliskości, posiadają w sumie dwie pary nóg, dwa ramiona, trzydzieści trzy palce i jedno wielokomorowe serce, bijące w rytmie wolnej pieśni. Natomiast wcale nie posiadają jąder. Dwie identyczne głowy zwrócone są do siebie twarzami; chłopcy odkryli swe powołanie w długich dysputach na tematy teologiczne. Kiedy doktor Severo nabierze pewności, że pozwala na to stan ich zdrowia, zostaną im przedstawione najbardziej kłopotliwe pytania inkwizytora. Po sąsiedzku mieszka korpulentna siostra Tomita, ta sama, która potrafi lewitować. Jej słoniowa talia puchnie pod gigantycznym gorsetem. Pracznia, która nigdy siostry Tomity nie widziała, jest przeświadczona, że owa część garderoby jest jakimś dziwnym urządzeniem militarnym, prawdopodobnie częścią ogromnej katapulty do miotania gązów albo rodzajem namiotu. Ale dlaczego ja to muszę pracować? - zachodzi w głowę. Czyż nie jest to obowiązek żołnierzy? Kiedy przychodzi jej czas, siostra Tomita nie może mieć na sobie gorsetu. Materiał nie wytrzymałby nacisku, a zapięcia i sznury popękałyby ze świstem. Siostra Tomita po prostu powiększa się, puchnie i puchnie, aż w końcu zawisa w powietrzu.

Inaczej niż większość obdarzonych charyzmatami, siostra Tomita nie należy do osób ani zanadto wstydlivych, ani zanadto skromnych. Jeszcze nim się wzniesie nad lichtarzyk oświetlający jej komnatę, wzywa świadków.

- Gazy jelitowe - pewnego razu wytłumaczył zjawisko doktor Severo.

- Też coś! Teatralna sztuczka! - prychna za każdym razem królowa matka. Wszak nigdy nie opuszcza widowiska.

„Należy nań nałożyć ekskomunikę!” - napisał papież do biskupa Madrytu, a jego list dostarczono przez najszybszego posłańca.

Również charyzmaty małej Estrellity niektórzy starali się pomniejszyć.

- To jakieś histeryczne manifestacje - powiada Marianna. - Musimy odesłać ją do domu.

- Ależ ona wcale nie ma skłonności do hysterii, nigdy nie zachowywała się histerycznie -



argumentuje Carlos.

- Zgoda, jeśli pominąć te wszystkie przypadki samoistnych krwawień, które przecież łagodzą napady - powiada jego matka. Mimo to przechowuje pod poduszką mały, prostokątny kawałek jedwabiu, nasączony krwią Estrellity. Nie ma w tym nic złego, jeśli dziewczynce brakuje nadprzyrodzonych umiejętności lub boskich koneksji. Jeżeli zaś mała przypadkiem rzeczywiście jest święta, no cóż - tym lepiej.

Carlos nic sobie nie robi z głosów szyderców. Wystarczy, że sam jest przekonany. Zazdrośnie strzeże swych żywych skarbów, ale żadnego z nich bardziej niż Estrellity. Codziennie przed nieszporamai zjawia się przy jej małych, świętych stopach. Każdego ranka jej małe buciki przenoszone są na czystą, jedwabną poduszkę z białego jedwabiu, a ta zakrwawiona zanoszona jest do królewskiego relikwiarza.

Tego dnia Estrellita spała, gdy wszedł do jej komnaty. Nadal śpi. I śni. Kiedy zaś śni, jej sny przepływają przez króla. Jakież to cudowne uczucie być wypełnionym - choćby przez chwilę - snami istoty świętej. Cała słodycz, cała rozdzierająca tęsknota, cała pewność cierpliwej miłości bożej unosi się nad dzieckiem niczym obłoczek pary z wnętrza pełnej wrzątku firanki i spływa na Carlosa Jose, ułomnego króla Hiszpanii.

W końcu król nie może dłużej wytrzymać. Dotyka policzka dziewczynki. Estrellita otwiera oczy, czarne i tajemnicze niczym noc pełna duchów.

- Moja żona jest bardzo chora - powiada Carlos. - Boję się że umrze. - Dziewczynka kładzie dłoń na głowie króla. Gładzi go prawie tak samo jak Maria Luisa psa, który leży przy niej na łóżku piętro niżej. - Boję się - powtarza władca ze spuszczoną głową.

- Musisz się za nią modlić - radzi Estrellita.

- Mogę popatrzeć? - pyta Carlos, pokazując na jej stopy. Ona wzrusza ramionami - jest przecież jej królem.

Tylko Carlos może otworzyć buty Estrellity. Do zamka pasuje jeden jedyny klucz. Król nosi go na szyi na czarnej, aksamitnej wstążce. Zamek daje pewność, że dziewczynka nie zdejmie butów. Daje gwarancję, że rany są rzeczywistym i prawdziwym świadectwem obecności Boga, a nie sposobem oszukania króla. Cała Hiszpania wie bowiem, że Carlos - jak jego ojciec, jak ojciec jego ojca, jak wszyscy królowie przed nim - rozpaczliwie szuka wszelkich objawień świętości. W trudnych czasach posuchy i pomoru mogło się przecież zdarzyć, że rodzice przebili kołkami dłonie i nogi niezamężnej córki, aby ją później wymienić na szlachetnie dźwięczące

złoto, nim znajdzie ukochanego i zacznie się domagać wyprawy.

Estrellita jest skarbem autentycznym. Carlos nie ma powodu, ażeby w to wątpić. Z wnętrza butów leje się czerwień czerwiejsza niż rubin. Połyskujące klejnoty spadają na podłogę. Król wyciera krew własnym rękawem i przyciska usta do poplamionego miejsca. Rodzice Estrellity nie chcieli się zgodzić, aby dziewczynka pojechała do Madrytu. Nie przyjęli nawet sztuki złota za jej niezwykle talenty. Pragnęli mieć ją z powrotem u siebie przed początkiem nowego roku. Nie chcieli dla niej niczego, czego by ona sama nie pragnęła. Nie miała wcześniej żadnych widzeń ani objawień. Nigdy nie zobaczyła Najświętszej Panienki, Chrystusa ani innych świętych. Nie wyróżniała się w nauce katechizmu. Lubiła płatać figle i często ulegała napadom złości.

Kiedy król zajmuje się jej ubraniem, Estrellita przeciąga się na łożu. Wygląda jak zwyczajne dziecko, które budzi się ze snu. Choć krwawi bez przerwy, usta ma pełne, różane, a policzki oblane zdrowym rumieńcem. Zwykle jest okryta peleryną, ma na sobie rękawiczki i buty. Nic nie je, pije tylko napar z ostu. Bandaże, które Carlos usuwa z jej ran, pachną słodko niczym kwiaty pomarańczowych drzewek, rosnących na tarasach przed jej rodzinnym domem nad brzegiem morza. Poplamione świętością taśmy król trzyma w kufrze, w nogach swego łoża. W pomieszczeniu - relikwiarzu, gdzie są przechowywane poduszki, stos złożony z czterdziestu sześciu sztuk (jedna została wysłana do papieża), pachnie niczym w najwspanialszej oranżerii. Zakonnice, które opiekują się komnatą, śmieją się w napadach radości. Zapominają o troskach tego świata; nie wiedzą, co zmusza je do klęczenia po dziesięć godzin dziennie.

Carlos nie tylko pragnie samemu dostąpić zbawienia i zbawić królestwo. Król Hiszpanii zakochał się w Estrellicie.

Nie w tym rzecz, że pragnie obcować z nią cielesnie. Nigdy nie przyjdzie mu to do głowy. Chodzi o to, że dziewczynka niezwykle ładnie pachnie. Chciałby tylko oddychać jej zapachem. Przyciska bandaże do ust, aż zęby zaczynają go boleć z rozpaczliwej tęsknoty. Bierze głęboki oddech. Wypełnia płuca aromatem kwiatów pomarańczy, błękitnego oceanu, jaskrawego słońca... Może właśnie dlatego, że Estrellita zdaje się go lekceważyć - lekceważyć króla! - jego miłość do niej ciągle przybiera na sile.

Dziewczynka oddycha regularnie, powoli. Gdy jego wysokość odzywa się do niej, mruga powiekami. Być może to nieprawda, to wszystko nieprawda. Być może nie ma Boga, nie ma nieba - ale mimo to wiara zmienia wierzących. Wiara Estrellity, wiara doskonała, sprawia, że

krwiew pachnie pięknie. Kiedy Estrellita umrze, jej ciało nie zgnije. Podobnie jak wszyscy święci, którzy wydali ostatnie tchnienie w jednej z komnat przy tym korytarzu, nie ulegnie rozpadowi.

Czasami Estrellita zwraca napar, który zwykle pija, lecz w nieco zmienionej postaci: to płyn o złocistej barwie wina. Ułomny król wypija go, a potem tańczy. Zapomina o wszelkich obawach. Zapomina, że pragnie dostąpić zbawienia - to męczące bez przerwy o tym myśleć - zapomina, że każda noc dla niego zakwita cierpieniem, fantastycznymi czerwonymi kwiatami, które pojawiają się na draperiach z każdym uderzeniem jego serca. Ostatnia dolegliwość króla, artretyzm, choroba, która zabiła jego ojca, to bezustanna udręka ciała, szarpanego nieznośnym bólem.

Carlos spogląda Estrellicie w oczy, patrzy na jej gładkie równe brwi.

- Doktor powiada, że Maria wymiotuje krwią, że została otruta. - Drobniotka święta nie porusza się. - Boję się - powtarza król po raz trzeci.

Estrellita podpira się na łokciu.

- Chcę wrócić do domu - mówi. - Nie podoba mi się tutaj.

Carlos wytrzeszcza oczy. Potrząsa głową.

- Nie mogę pozwolić, byś odeszła.

Dziewczynka opada na łóżko.

Na dole Severo pochyla się nad królową, przystawia ucho do jej ust.

- Chcę wracać do domu - mówi Maria z wielkim trudem. Jej język nie chce się układać tak, aby słowa brzmiały zrozumiale. Doktor wie, że Maria umiera. Nie mogę pozwolić, byś odeszła, myśli, potrząsając głową. A już na pewno nie bez heroiczych prób przywrócenia jej zdrowia.

Również przy łóżku Marii uzbierało się kilka tac. Jednakże inaczej niż w komnacie małej świętej, stoją tu na nich miseczki, leżą bandaże i maści, rozmaitych rozmiarów lancety. Severo właśnie odkrywa, że Maria w przeciwieństwie do Estrellity nie krwawi obficie.

Królowa opiera się, choć bezwolnie. Trzy pierwsze próby Severa kończą się niepowodzeniem. Nie o to idzie, że pacjentka nie chce się oddać pod opiekę medyka - stara się być posłuszna jego życzeniom. Po prostu boi się tak intensywnie, że jej ciało nie chce ustąpić. Czuje, jak żyły opierają się ostrzu. Kiedy doktor Severo dokonuje cięcia, jej serce zaczyna pracować jakby inaczej, krew cofa się przed lancetem. A teraz odzywa się ból w zranionych rękach.

- Proszę, błagam - mówi królowa. Jakiż nieprzyjemny dla ucha ma głos: ochrypły, flegmisty szept. - Ze stopy. Lepiej będzie ze stopy. Och, proszę.

Doktor Severo kiwa głową. Unosi jedną nogę królowej, jego asystent drugą. Układają Marię niżej, tak że jej białe nogi zwisają poniżej kapryśnego serca. Asystent przynosi miskę i ustawia ją na posadzce dokładnie pod dużym palcem u nogi chorej.

Dotknięcie medyka wydaje się zimne i beznamiętne. Severo przykłęka przy stopach Marii. Jedną z nich, lewą, ujmuje w dłonie. Kciukiem przebiega po wierzchu, tam, gdzie na tle bladej skóry odcina się wyraźnie grubsza błękitna żyłka. Na podłodze obok miski jego asystent układa płócienne chusty, szpikulec i komplet lancetów: pięć delikatnych, jasnych ostrzy, pochodzących z Klosterneuburga w Austrii. Severo nadzwyczaj lubi używać wyposażonego w sprężynę szpikulca. Kiedy zwalnia z zaczepu zakrzywione, spiczaste ostrze, zwykle wywołuje ono niewielki szok, przy tym zaś tnie głęboko, szybko i z zadziwiającą siłą. Z drugiej jednak strony ostrze jest wielkości końskiego zęba i zazwyczaj pozostawia po sobie szkaradny ślad. Jeżeli królowa wróci do zdrowia, co wszelako wydaje się mało prawdopodobne, z pewnością nie będzie zadowolona z blizn. Należało raczej skorzystać z lancetu. Toć przecież medyków wieszano na szubienicach za czyny mniejszej wagi.

Severo sięga do swojej torby po kawałek owczego futra, pasek długi i wąski niczym szarfa. Obwiązuje nim nogę królowej poniżej kolana, wkłada do środka gładki kijek i mocno skręca.

- Gdyby jej wysokość zechciała poruszyć nogą - sugeruje. Maria wykonuje nieznaczny ruch dużym palcem u nogi. Żyłka nabrzmiewa, unosi się lekko. Całe ciało królowej drga, gdy medyk ponownie chwyta za nogę. Ostrze lancetu, kierowane wprawną ręką, przecina skórę niemal bezboleśnie. I nareszcie, bądź co bądź po czwartej próbie, wypływa krew. Po każdym uderzeniu serca wypływa na zewnątrz słaba strużka, biegnie w dół po powierzchni stopy i ścieka z dużego i sąsiedniego palca jak woda do kąpielni. Tylko że krew bardzo się różni od wody. Królowa przez skórę wyczuwa jej ciężar, jej niemal oleistą, groźną konsystencję.

Doktor Severo każe asystentowi odsunąć się, by móc się przyjrzeć krwi królowej. Obaj pochylają głowy. Mają wrażenie obecności czegoś nowego, jakby nagle wkroczył do komnaty jakiś egzotyczny dostojnik, któremu należy złożyć hołd. Rzeczywiście, krew Marii - podobnie jak Estrellity albo kogokolwiek innego - ma osobliwe właściwości.

Z otwartych żył unosi się przedśmiertna woń tęsknoty za tymi, których królowa kochała i

utraciła, nieoczekiwany, niemal krepujący zapach objawienia. Uwolnione z ciasnego ciała wraz z krwią wydostają się na zewnątrz wspomnienia i pragnienia, które wypełniają komnatę. Serce uderza bezgłośnie, lecz doktor Severo drży, jakby nagle usłyszał wrzawę, a jego asystent dygocze przy zasłonach.

Kimże są te wszystkie duchy!? Jest tu złośliwa panna de Toquetoque, markiza i jej nieprzyzwoite papierosy, niania Marii, kuzynka Berthe, nauczyciel tańca, Lucie, Rosynant i tuzin papużek nierozłączek - wszyscy są we krwi, w jednej chwili powstają z niej i unoszą się w powietrze; krążą dookoła, plotkują. Wybuchają śmiechem, czasem spływają pod łóżko, pryskają na podłogę. Końskie podkowy, grzechocząc, uderzają o posadzkę. Papużki, krążąc wokół głowy asystenta doktora Severo, śpiewają tęskne pieśni. Młodzieniec wzdryga się. Stolik nocny unosi się, wzlatują szklance, karafka z olejem migdałowym i postrzępione bandaże.

- Ty durniu! - krzyczy doktor na chłopca, który rzuca się, by ustawić stolik. Nerwowym ruchem ściera z szaty kleik jęczmienny.

Maria otwiera oczy, wpatruje się w baldachim. Nawet powietrze w jej sypialni kurczy się i rozpręża. Mimo kołatania duchów i przenikliwego ptasiego śpiewu królowa słyszy w uszach pulsowanie. Z pełną świadomością bierze głęboki oddech. Od niedoboru krwi drętwieją jej palce. Ostry ból przeszywa kark i ramiona. Ma odczucie, że zęby chwieją się jej w ustach. Myśl o własnej nodze, o ranach, przez które jej życie ścieka do misy, przypomina jej o Estrellicie. Dziwi się, jak to dziecko może żyć z tak przerażającym darem od Boga.

Kiedy krew zaczyna krzepnąć, doktor Severo przyklęka i nieco powyżej pierwszej rany robi następne cięcie. Tym razem Maria prawie tego nie czuje. Tylko pokój jakby pojaśniał w jej oczach, jak gdyby zerwał się z jakiejś cumy i popłynął ku niebu. Królowej wydaje się, że w jej uszach coś pęka, jakby naraz wzniosła się na bardzo dużą wysokość. Odczuwa cudowny chłód, a cała gorączka zdaje się uchodzić przez jej stopę. W ustach czuje przedziwny smak, słodki smak, smak nadziei. Jest taka lekka. Jakbym w żyłach miała ołów - myśli. Teraz jest mi znacznie lżej.

Teraz wydaje się jej, że rozumie Estrellitę. Rozkłada ramiona i modli się słowami swojego męża: „Dotknij mnie. Znajdź mnie”. Będzie krwawić, krwawić bez końca. Gdybyż tylko nadal czuła to ekstatyczne uniesienie...

Ale ono nie może trwać wiecznie, skończy się zbyt szybko, przyjemne wspomnienia ulotnią się. Doktor Severo przyżęga ranę ostrzem rozgrzanym do czerwoności. Jakżeż inaczej poczuje się Maria za kilka godzin. Znowu będzie ją trawiła gorączka, a jej język znowu będzie

sztwywny i opuchnięty. Będzie przywierał do podniebienia i uczyni niezrozumiałymi jej nieustanne prośby o podanie wody. Na razie Maria odczuwa znaczną poprawę. Uśmiecha się, gdy Severo wychodzi z komnaty. Przez mniej więcej godzinę raduje się, że nadal pozostaje w swoim ciele, nie myśli o matce, nie myśli o powrocie do Francji.

Godzina przemija szybko. Papużki zamieniają się w nietoperze, przyjaciele w prześladowców.

Eduardo siada przy jej łóżku. Królowa chwyta go za rękę, przyciąga do siebie.

- Chcę z tym skończyć - mówi. - Przynies mi laudanum. Wszystko, co masz. Wszystko, co ci zostało.

Karzeł odmawia, królowa zaczyna szlochać.

Zanim zaczęła brać laudanum Eduarda, jej życie było nieustannym zmaganiem się z dwoma uczuciami: paniką i jedynym środkiem, którym mogła z nią walczyć - jakże pożądaną obojętnością. Zaraz po przybyciu do Madrytu, pozostawiona samej sobie, czuła mrowienie w policzkach, palce jej drżały, tak się cała trzęsła, że filiżankę musiała trzymać obiema rękoma i nie była w stanie przekroić nożem mięsa. Oczywiście nie sposób było żyć w takim napięciu, w każdym razie nie za długo. Zaczęła więc popadać w odrętwienie, przerywane krótkimi napadami gwałtownego szlochu.

Jej płacz stał się źródłem plotek i domysłów. Maria zapewne wiele razy tłumaczyła innym, że powodów do smutku nigdy nie brakuje, ale wówczas nie zdarzyło się jeszcze nic takiego, co rzeczywiście mogłoby stanowić powód do płaczu. Była jak naczynie, w które bez przerwy wpadała struga samotności, by je w końcu przepelnić. Płacz stał się częścią dnia królowej, jak wszystkie stałe elementy porannej toalety. Codziennie, ledwie rozlegały się dzwony na Anioł Pański, Maria zaczynała płakać. Bicie dzwonów rozsadało jej serce w taki sam sposób, w jaki dźwięki o pewnej wysokości wprawiają w drzenie, a następnie rozsadzają szklane kielichy albo cienkie gliniane naczynia.

- Staraj się opanować - radziła jej Esperte.

Lecz Maria płakała nadal, aż do południowego posiłku. Przy stole zjawiała się z podpuchniętymi oczyma i przypudrowanymi policzkami. Oczywiście włosy miała gładkie, ale żadna służąca nie była w stanie rozprostować jej duszy ani wymazać oznak cierpienia.

Niepokój matki Carlosa szybko przerodził się w gniew. Maria zdawała sobie sprawę, że ów gniew może być niebezpieczny, jednakże nie zmieniła zachowania, nie potrafiła tego uczynić.

Dopiero po latach dowiedziała się o karłach oraz laudanum i wtedy poprosiła Eduarda o narkotyki.

- Przecież go nie zażywasz! - powiedziała.

- Nie - przyznał. Powiedział, że dostrzega, jak królowa cierpi. Ale czyż chciała uśmiechać się, nie czując radości jak inne karły?

- Pozwól mi tylko spróbować - poprosiła. Tak długo przypochlebiała się, przymilała, aż w końcu się zgodził.

Wiedziała, jak go podejść. Czyż mógł długo opierać się ślicznej, samotnej królowej? Już po miesiącu Maria przyjmowała narkotyki codziennie po śniadaniu oraz przed obiadem: jedną, dwie albo trzy krople, byle tylko na krótko zatopić się w sobie, odgradzić od otoczenia. Sześć kropli za dnia, tak aby większa dawka pozostała na wieczorne spotkanie z Carlosem w małżeńskim łóżku. Po przyjęciu opium myśl o wyniszczającym życiu z dala od osób, które kochała, wydawała się jakby mniej przerażająca. Wtedy nie myślała o tym jako o karze, której nie mogła znieść.

Istotnie, w narkotycznym otępieniu, choć miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, zaczęła tęsknić za śmiercią.

- Zabij mnie - zwracała się do Eduarda, który nieodmiennie dostarczał jej nie więcej niż siedemdziesiąt kropli laudanum tygodniowo. - Zabij mnie, proszę. Wiem, że masz tego więcej. Przecież na pewno nie wyrzuciłeś wszystkich fiolek z poprzednich lat. Na pewno trochę zachowałeś.

Ale karzeł nigdy nie przyniósł więcej narkotyku niż zwykle.

- Nie chcę odczuwać bólu - powiedziała królowa. - Żadnego bólu. Ani bólu ciała, ani tego, co dręczy moją duszę.

Maria nigdy nie traktowała cierpienia jako okazji do ćwiczenia siły charakteru. Udreki nie mobilizowały jej do walki, przeciwnie - degradowały ją do poziomu zwierzęcia w niedoli. Wyjącego psa albo cichego, oślizłego ślimaka. Pozbawiały ją godności. To dzięki laudanum odzyskiwała człowieczeństwo.

Mamo, mamó, mamó, myśli. Czyżby przyszło jej umierać tak daleko od domu? Miałabyż odchodzić z tego świata już na zawsze?

- Jestem spragniona - mówi.

Eduardo podnosi filiżankę i przytrzymuje ją przy ustach królowej. Napływa woda,

zaledwie strużka, zimna, o metalicznym smaku naczynia. Maria przetyka z ogromnym trudem; większość wody ścieka jej po policzku.

Królowa ściska krótkie, grube palce Eduarda.

- Gdzie jest błękitna buteleczka? - pyta szeptem. - Daj mi tego choć odrobinę. Niewiele, kroplę, tyle prawie co nic?

Karzeł potrząsa głową.

- Nie - odpowiada łagodnym tonem. - Jesteś, pani, zbyt słaba. To mogłoby ci zaszkodzić. Jeszcze raz ściska jego rękę.

- Nic mi już nie zaszkodzi - powiada. - Chodzi o jedną kroplę. Jedną małą kropelkę.

Eduardo ponownie potrząsa głową.

- To chociaż mów do mnie. Powiedz coś. Opowiedz mi coś miłego. - Maria rzuca głową z jednej strony na drugą.

Eduardo spogląda na nią, na jej włosy. Długo się przygląda.

- Pamiętasz jeszcze, co ci kiedyś powiedziałem? - pyta. - Wiesz, co ludzie mówią o takich dziwadłach jak ja? - Głaszcz je po dłoni, po czole. - Tłumaczą te deformacje, mówiąc, że nasze matki, gdy były brzemiennie, miały złe myśli, myśli bestialskie i potworne. Że zbyt długo wpatrywały się w jakiś okropny obraz albo że myślami błądziły wokół ohydnych spraw. Lecz twoja matka, Mario, nosząc cię pod sercem, myślała wyłącznie o kwitnących ogrodach. O liliach i gruszach okrytych kwieciem. Przyglądała się różom, świecom i perłom. Spoglądała na Sekwanę, toczącą swe wody pod tarczą księżyca. Srebrzyste światło grało na falach, a wewnątrz niej rosły twoje włosy - czarne i lśniące. Nie...

- Daj mi wody - mówi niespokojnie Maria. - Wody, proszę. Chcę pić.

- Za chwilę - odpowiada karzeł. Jak się okazuje, ma rację Woda nie przynosi ulgi; wywołuje nagły wypływ śliny, która zebrała się pod językiem. Maria czuje przede wszystkim metaliczny smak. Znowu zaczynają się torsje.

- Obdulio! - woła Eduardo. Aby chora się nie udławiła, przytrzymuje jej głowę zwróconą na bok. Tymczasem służąca podstawią misę i odwraca głowę. Gdyby tego nie zrobiła, z pewnością zwymiotowałaby również.

Eduardo pozostaje przy Marii, póki torsje nie ustają. Jej głowa, oparta na lewym policzku, zastyga w bezruchu.

- Mario - szepcze - Mario. - Królowa otwiera oczy, ale nie mruga, gdy karzeł przesuw



przed nimi dłonią. Wydaje się spokojna, pogrążona we śnie. Eduardo delikatnie przymyka jej powieki. Z rozsypanymi na poduszce włosami Maria wygląda, jakby odpoczywała na powierzchni przepastnych, ciemnych wód. Jej mały piesek, tak stary, że sierść mu posiwiała na pysku, śpi tuż obok. Przebiera we śnie łapami, jakby próbował uciec przed jakimś wrogiem. Potem wzdycha i kładzie się bezpośrednio przy swojej pani. Pysk trzyma pod jej dłonią, która mimowolnie przesuwa się po nim w pieścizotliwym geście.

Królowa nawet przez chwilę nie pozostaje sama. Po wyjściu Eduarda przy łożu siadają pokojówki. Tym młodym dziewczętom czas upływa niesłuchanie wolno. Wreszcie dzwony biją na tercję. Obdulia podnosi się, by poprawić pościel i przykryć psa. Lada chwila nadejdzie królowa matka.

Marianna nie przepada za domowymi zwierzętami. Wszystkie ptaki, które Maria wysłała z Paryża, zostały wypuszczone na wolność i pozdychały w chłodzie. Przez jakiś czas królowa nie mogła przejść przez pałacowy podwórzec, aby tu czy tam nie natknąć się na kolorowe, pierzaste strzępy, pozostałości ptaków, które zamarzyły i pospadały z gałęzi. Młode kotki potopiono, króliki zniknęły. Małpka, którą Olympe przysłała ostatniej wiosny, nie przeżyła nawet dwóch tygodni. Przetrwał jedynie mały pies, za którym wstawił się Carlos. Ale i to zwierzę najlepiej trzymać w ukryciu.

Marianna wpada do środka w towarzystwie poplamionej atramentem sekretarki. W sypialni Marii królowa matka odpowie na korespondencję. Będzie przebywała z chorą, przy okazji zaś podyktuje listy. Nie znosi marnowania czasu, przecież ma do załatwienia pewną pilną sprawę natury prawnej.

Przed miesiącem, po wstrząsie wywołanym odkryciem oszustwa królowej z udawaną ciążą, Marianna poprosiła diuka Valdemoro o wyłożenie sumy potrzebnej do przewiezienia z Segovii pary karlic, identycznych dziewczynek, sześcioletnich bliźniaczek, córek rzemieślnika wytapiającego świece. Osierocone przez rodziców, dostały się pod opiekę wuja. Ubogiego człowieka nie było stać na ich utrzymanie. Napisał więc list do Carlosa, zapytując, czy nie znalazłoby się dla nich miejsce na dworze, czy król nie zechciałby mieć w pałacu takiej osobliwości natury.

Sekretarz króla przekazał pismo Mariannie, która, niewiele myśląc, cisnęła je na podłogę. Dostyc już tych karłów, koniec i basta, pomyślała. Lecz kiedy - za sprawą Marii - okazało się, że nie może liczyć na wnuka, znalazła pocieszenie w myśli o dwóch maleńkich dziewczynkach,

podobnych do siebie jak dwie krople wody. Może nawet nie o nich, ile raczej o wszystkim, co będzie im potrzebne po przyjeździe do Madrytu. Zaczęła sobie wyobrazać, że ubierze dziewczynki w identyczne sukienki z różowego jedwabiu i dobrane kolorem mufki. Że podaruje im dwie pary miniaturowych dziecięcych rękawic. A jakże, cztery lilipucie rękawiczki! I dwie pary małych, spiczastych pantofelków z różowego pluszu, zdobionych koralikami i pomponikami.

Przy pierwszej sposobności, podczas obiadu wydanego na powitanie portugalskiego alchemika, Marianna wspomniała diukowi o bliźniaczkach. Obiecała mu miejsce na najbliższej publicznej rozprawie, miejsce na balkonie tuż pod królewską lożą, z którego mógłby, gdyby tylko chciał, z łatwością dotknąć włosów oskarżonych. Zapewniła go, że gdyby zgodził się zapłacić za przewiezienie do Madrytu owych maleńkich dziewczątek, pożyczyć pieniądze na ich ubranie i utrzymanie, wówczas niewątpliwie poszedłby do nieba, miałby zapewnione wieczne szczęście.

Okazało się, iż otrzymała pieniądze. Dostarczył je specjalny posłaniec. Teraz typową umowę dla pałacowych karłów należy dostosować do przypadku bliźniaczek. Klauzulę dotyczącą laudanum trzeba zamienić na zagwarantowanie wykształcenia. Królewska guwernantka znowu będzie zarabiać na swoje utrzymanie.

Marianna dyktuje, a sekretarka, której sztuka pisarska jest niedościgniona, ale umysł niezbyt bystry, chodzi za nią i zapisuje wszystkie wypowiedziane przez nią słowa, korzystając z każdej dostępnej powierzchni: toaletki, kominków, nawet posadzki.

- I jak się czujemy? - powiada Marianna do Marii. Sekretarka dopisuje powitalne zdanie do akapitu traktującego o zwyczajowych odwiedzinach.

- Wielkie nieba - mruczy pod nosem sekretarka, spostrzegłszy pomyłkę. Podnosi głowę. Na wardze ma odrobinę atramentu.

- Co, znowu?! - woła Marianna. - Chyba nigdy tego nie skończymy! - Sekretarka kuli się ze strachu.

- Przepiszę pismo. Zajmie mi to zaledwie kilka minut. - Pochyliła się nad zbiorem piór, kałamarzy i pergaminów.

Królowa matka zbliża się do łóżka Marii, Obdulia odsuwa wilgotne kosmyki włosów ze spoconego czoła królowej.

- Wcale nie wygląda lepiej - stwierdza Marianna, na co pokojówka potrząsa głową. - Tak,

tak - powiada królowa matka i siada na krześle tuż przy wezglowiu. Pochyla się i krzyczy, jakby Maria była głucha, a nie umierająca: - No i co teraz?!

Powieki Marii drżą, ale nie podnoszą się. Królowa matka potrząsa ją lekko za ramię.

- W takim razie poczytam ci, zgoda? - pyta, po czym otwiera księgę z patriotycznymi opowieściami. Wszystkie te historie są okropnie nudne, w dodatku czytane niezwykle monotonicznie. Służące szybko zasypiają, sekretarka psuje jeden, później jeszcze jeden kontrakt; zużywszy zaś cały pergamin, popada w odrętwienie.

Maria porusza się przez sen. W pewnym momencie nakrycie ześlizguje się i wygląda spod niego maleńki psi nos i szara łapa. Marianna przygląda się temu z odrazą.

- Na razie muszę cię opuścić - mówi, chociaż nie doczytała do końca ani jednej opowieści, nie doszła nawet do zjednoczenia Kastylii z Aragonią. Maria otrząsa się, otwiera oczy. Sekretarka budzi się ze snu i pospiesznie sięga po atrament i pergamin. Królowa matka przystaje w drzwiach. - Ach - mówi. - Twoja przyjaciółka, hrabina, opuściła nas.

- Opuściła? - powtarza cicho Maria.

- Tak, nocą. Bez słowa wytłumaczenia. Przeszukanie komnaty gościnnej nie przyniosło żadnego rezultatu. Nie znaleziono nic, co wskazywałoby na udział hrabiny. Mimo to Carlos wysłał za nią oddział żołnierzy.

- Udział? - szepcze Maria. - W czym?

- Jak możesz pytać. W otruciu ciebie, rzecz jasna.

Maria przymyka oczy.

Królowa matka waha się przez chwilę, ale ponieważ synowa nie mówi nic więcej, wychodzi wreszcie. Teraz budzą się służące, drgają małe psie łapy. Maria ponownie zapada w sen.

W jej śnie zjawia się Juana la Loca i strzyże w powietrzu maleńkimi, złotymi nożyczkami.

„Ja także nie lubię Marianny” - mówi szalona królowa. Kładzie nożyczki na toaletce. Zostawia je Marii.

Przez wiele tygodni zdawało mi się, że nic się nie dzieje, że czekam tylko na to, aby go ujrzeć. Cała reszta sprowadzała się do mdłej papki istnienia, mdłej jak więzienne jedzenie, które nam tutaj podają. Nie istniało nic poza oczekiwaniem. W środe, kiedy dzielił mnie od spotkania

zaledwie dzień, byłam niemal zdruzgotana. Wiedziałam, że wszystko przeminie zbyt szybko, będziemy ze sobą zbyt krótko, a potem będę musiała przetrwać następny tydzień w pustce.

W dniu naszych spotkań tydzień rozpoczynał się czy kończył? Czwartek upływał, jakby go trawiły żywe płomienie. Piątek był wyschniętą, spaloną łupiną. Siedem dni do następnego spotkania to było zbyt wiele. Zaczęłam krążyć pod oknem Alvara już w wigilię czwartku, wsłuchiwać się w odgłos pióra, które ostrym końcem drapało mnie bezpośrednio w serce.

Przestałam być rozważna.

Na pocieszenie mogłam zobaczyć i posłuchać mego kochanka podczas niedzielnej mszy. Ale nawet wówczas moje modlitwy były bluźniercze. Prosiłam Boga, aby oddał mi księdza, abym z nikim nie musiała się nim dzielić.

Kiedys mama przykazała Dolores zachować moją pierwszą miesięczną krew na wypadek, gdyby odeszła, nim stanę się kobietą. Powiedziała, że Dolores powinna zachować bieliznę, abym mogła w razie potrzeby wykorzystać ją do miłosnych czarów. Co należy czynić, mama dowiedziała się od swojej babki: do sporządzenia czarodziejskiej mikstury weź kilka liści jemioli, oset, skrawki splamionej bielizny, włos z głowy ukochanego i wodę po trzykroć przepuszczoną przez materiał stanika noszonego siedem dni możliwie najbliżej serca. Gotuj to wszystko i podgrzewaj nad płonącymi szczapami brzoźowego drewna. Potem polej wywarem kawałek miłosnej pieczeni. Nie z białego mięsa ptaka, nie z mięsa królika, którego serce jest płochliwe i niestałe, lecz z czerwonego mięsa - baraniny lub dziczyzny.

Moje czary były nieco odmienne. Ja rozlałam siebie na słowa mojego kochanka. Miłowaliśmy się na stole, przy którym wspólnie czytaliśmy. Nie przewracaliśmy stron. Rozlałam miesięczną krew na manuskrypty. Moja krew krzepła na opowieści o krwi samego Boga. Alvaro odsunął się, podniósł do góry rękę. Spojrzał na wilgotne od krwi palce, na moje życie, wsunął palce do ust i spróbował, jak smakuje.

Czy uległ czarom? Czy od tej chwili on również stracił rozsądek i umiejętność zachowywania dyskrecji?

Co oni ci mówią tam w ciemności? Pytałam, jakie grzechy ludzie mu wyznają. Dolores. Ojciec. Inni ludzie. Wszyscy.

Do tej pory Alvaro nigdy nie chciał mi nic powiedzieć. Teraz jednak zaczął mówić. Dotknął gorącymi wargami miejsca między moimi piersiami.

- Czyje grzechy pragnęłabyś poznać? - zapytał.

Zastanawiałam się chwilę. W naszym miasteczku mieszkała pewna stara plotkara, doña Petra. Nie lubiłam jej, ponieważ kiedyś sprawiła mamie przykrość. Opowiadała, że mama zbyt długo, a przez to nieprzyzwoicie tańczyła na swoim weselu. Kiedy zaś mama wróciła chora do domu, doña Petra stwierdziła, że spotkała ją kara za zbyt zadzieranie nosa.

- Jakich grzechów dopuściła się doña Petra? - zapytałam Alvara.

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.

- Powiedz mi jednak.

- Powiada, że kala własne ciało.

- Ależ z ciebie kłamczuch! - zawołałam. Odepchnęłam go od siebie.

- Daję słowo - rzekł. Na karku czułam jego gorący oddech. Uwierzyłam. Natychmiast w wyobraźni ujrzałam doñę Petrę z uniesionymi nogami, zadartymi spódnicami i dłońmi między grubymi nogami.

- Co możesz rzec o występkach jej męża?

Alvaro westchnął.

- Uważa piekarza za oszusta, młynarza uważa za oszusta, także kowala i kołodzieja. Myśli, że wszyscy chcą go okraść, i sam kradnie pierwszy.

- Kradnie!

- Nic wielkiego, nic, co jest komuś bardzo potrzebne, dlatego chyba nikt jeszcze go nie przyłapał - powiedział Alvaro. - Jeśli, damy na to, rzemieślnik wyrabiający świece spostrzeże, że ukradziono mu łokieć knota, do ceny oleju dodaje kolejnego maravedi.

- Zatem ten pierwszy ma rację, sądząc, że wszyscy go oszukują?

- Tak.

- A czy ów rzemieślnik wyrabiający świece przyznaje się do swoich występków? Przyznaje się do zawyżania ceny na olej?

Alvaro potwierdził skinieniem głowy.

- Nudne to, sama przyznaj.

- Co powiesz o Dolores?

Spojrzał na mnie badawczo.

- Dlaczego siostra tak cię nienawidzi? - zapytał.

- Mówi o tym w trakcie spowiedzi?!

- Tak - odparł.

Przeniosłam na niego wzrok.

- Nasza mama mnie kochała bardziej - stwierdziłam. Nic nie odrzekł, więc mówiłam dalej. - Potrafiłam o to zadbać. Kiedy byłam jeszcze zupełnie małą dziewczynką i uczyłam się dopiero mówić, mama zauważyła, że zataczam kręgi wokół siedzącej przy piecu siostry i chwytam zębami powietrze przy jej głowie, karku, sercu. „Co robisz, Francisco?” - zapytała mama ze śmiechem. „Odbieram Dolores miłość”, odpowiedziałam. Mama przestała się śmiać. Odciągnęła mnie od siostry i powiedziała, abym nie zachowywała się tak niegodziwie. Jednak ja się nie zmieniłam. Nabrałam jedynie sprytu w osiągnięciu swoich celów. Chociaż byłam złośliwa i niegodziwa, mama nadal mnie bardziej kochała. - Przetoczyłam się na Alvara, osunęłam biodrami na jego krocze, poczułam, jak twardnieje. - Nic nie mogła na to poradzić. Podobnie jak ty - oświadczyłam.

Jakże Alvaro mógł odpowiedzieć z moim językiem w swoich ustach? A jednak powinnam była wysłuchać, co ma do powiedzenia. Z pewnością byłabym bardziej ostrożna.

Alvaro powiedział, że tata płakał w konfesjonale. Płakał i mówił, że boi się śmierci. Boi się nie tylko o to, że mamy nie ma w niebie, ale że nie ma jej już nigdzie.

- Staram się o tym nie rozmyślać - wyznał tata podczas spowiedzi - ale to jest jak wielka, czarna ściana wznosząca się od moich stóp aż do samych gwiazd, czarna ściana, za którą nie ma zupełnie nic. Nie ma nieba. Nie ma Conception. - I rozplakał się.

- Nie mów mi nic więcej o ojcu - powiedziałam po wysłuchaniu tych słów. Nie podobała mi się opowieść o tym, jak tata płakał w obecności Alvara.

Jednakże coraz chętniej słuchałam opowieści o innych ludziach. Nie przestałam wypytywać, póki nie dowiedziałam się, jakie grzechy ciążyły kolejno na wszystkich. Większość z nich przepelniała mnie smutkiem - nie inaczej było w przypadku doñi Petry, kiedy w końcu przestałam się śmiać i przemyślałam to wszystko. Każdy z tych grzechów wiązał się z tęsknotą i samotnością. Moje również.

Gdy w tej chwili wspominam nasze rozmowy, zastanawiam się, czy Alvaro nie dał mi poznać dusz innych ludzi zamiast swojej własnej. Czy nie dlatego go nie poznałam, ponieważ chciałam słuchać historyjek o kimś innym. Zawsze ukrywał przede mną część siebie. Tymczasem ja zaspokajałam pragnienie posiadania ludzkich sekretów. Nie kochałam go przez to mniej, nie - to mnie raczej podniecało. Pragnęłam go bardziej, coraz bardziej. Inni tylko zaostrzali mi apetyt na niego.

Alvaro krzyczał, kiedy się parzyliśmy. Z książką w ręku sprawiał wrażenie niezwykle opanowanego. Gdy jednak znajdował się we mnie, wypowiadał sylaby pozbawione jakiegokolwiek sensu. Posługiwał się nowym językiem, a jego mowa nie była ludzka. Albo też była ludzka w najwyższym stopniu. Wydobywał z siebie wycie nasycone żalem, przerażający, niski ryk, przenikliwy lament.

- O czym myślisz, kiedy tak krzyczysz? - zapytałam go pewnego razu, gdy leżeliśmy wyczerpani obok siebie. Moment wcześniej posiadał mnie od tyłu. Opierałam się na kolanach, a on trzymał mnie za ramiona. Uderzał we mnie gorliwie, aż przygryzłam wargi do krwi; nie odważyłam się krzyknąć. Potem wpełzliśmy pod stół, aby odpocząć, może zasnąć. Układaliśmy się razem, czasami spaliśmy na porzrzuconych w pośpiechu kartkach, tych samych, które służyły nam wcześniej do nauki. Zdarzało się, że pierwsza odzyskiwałam przytomność i przyglądałam się kochankowi. Twarz miał nieruchomą spokojną jak u trupa, oddychał płytko. Oczy wędrowały mu pod powiekami, lecz rysy miał tak łagodne, nie ściągnięte żadną troską, jak u naszego miejscowego idioty.

Kiedy nie spałam, leżałam spokojnie i rozmyślałam. Słowa przepływały przez moją głowę, najczęściej były to przeczytane razem fragmenty tekstów. Rozmyślałam o poznawaniu ciała. W pierwszej księdze Pisma mężczyzna i kobieta, rodzice nas wszystkich, nie są w stanie uciec od zmysłowych doświadczeń. Nie mogą oprzeć się chęci poznania. Pismo nazywa to „otworzeniem oczu”.

To wiedza, wiedza nie do zniesienia, o wszystkim naraz: wiedza, która czyni cię nagim. Wiedza poznawalna nie umysłem, lecz sercem.

- O czym myślisz, kiedy wydajesz takie dźwięki? - zapytałam znowu.

W izbie Alvara było ciemno. Wiele czasu upłynęło, nim się odezwał. Pomyślałam nawet, że mnie nie usłyszał. W końcu jednak rzekł:

- Uczono mnie, bym nie miał takich myśli. Odczuwam to, czego według ojców Kościoła nie powinienem odczuwać. Myślę o posiadaniu. Myślę: ona należy do mnie. Myślę: Francisco, jesteś moja. - Odwrócił się, pochwyił mnie w ramiona i przyciągnął do siebie tak blisko, że czułam jego oddech na swoim policzku. - Wiem, że postępuję źle - powiedział. - W każdym razie uczono mnie, że występnie jest odczuwać to, co ja czuję. Jakby mnie zapewne pouczył mój spowiednik, to jest właśnie niebezpieczeństwo lubieżności. Na razie jednak niczego nie żałuję. Zachodzę w głowę, kimże jest diabeł, skoro potrafi sprawić, że czynienie zła tak bardzo... tak

bardzo przypomina boski dar. Boję się - dodał później. - Boję się, ponieważ odrzucam Boga, który może mi to zabrać. Który może mi odebrać ciebie. Kiedy jestem z tobą, wierzę, że będę żyć wiecznie. Tylko wówczas nic mnie nie obchodzi, nie boję się, że mogę umrzeć tego samego dnia, tej samej nocy.

Dotknęłam go. Położyłam dłoń na jego twardym, napiętym, jakby przygotowanym na cios brzuchu.

- Chcę obejmować cię choćby do samej śmierci - powiedziałam, poruszając ustami tuż przy jego szyi.

Jako dziecko zawsze wyobrażałam sobie ziemię w kształcie jednego z talerzy mamy, jako rozciągający się płasko grunt. Myśl, że w rzeczywistości jest okrągła jak cebula, a niektórzy trzymają się jej od spodu niczym mrówki, zawsze wydawała mi się niedorzeczna. Myślałam o tym dokładnie w taki sam sposób, w jaki czynili to prześladowcy Kolumba: widziałam siebie biegnącą wzdłuż krawędzi talerza. Na talerzu, jak dobra potrawa, świat wydawał się bezpieczny i na miejscu. Dalej, za jego brzegiem, znajdowała się urwista przepaść, trwał nieskończony chaos. To wszystko - bezpieczeństwo i wygoda, a także ich zaprzeczenie: upadek - pociągało mnie w równym stopniu. Znajdowałam się między jednym a drugim, na samej krawędzi, sam na sam z Alvarem.

Miałam jakie takie pojęcie, jak to się dzieje, że kobieta staje się brzemienna. Ponieważ jednak powiadano mi zawsze, że dzieci są błogosławieństwem, nagrodą za życie w cnocie, nie martwiłam się specjalnie o siebie. Bądź co bądź robiłam coś, co z całą pewnością nie było cnotliwe. Może gdyby żyła mama, wiedziałabym więcej na ten temat. Ale mamy już nie było, więc bardzo się zdziwiłam, kiedy pewnego dnia Alvaro oświadczył, że musimy poważnie porozmawiać. Ważyliśmy się na czyny niebezpieczne z wielu względów. Jeden z nich polegał na tym, że mogłam znaleźć się w takim samym kłopotcie, jaki zrujnował rodzinę Barranca. Wszyscy jej członkowie poumierali ze wstydu. Ludzie opowiadali, że Bonita Barranca, równie piękna jak jej matka, spółkowała z bratem, za co ojciec wygnał ją z domu, a po jej odejściu zmarł w łóżku. Słyszeliśmy, że jej bracia, którzy opuścili dom, również poumierali. To była zaraza, jak mi się zdaje. Starsze kobiety w naszym miasteczku twierdziły, że Bonitę zjadły wilki.

- Nie dbam o to - powiedziałam kochankowi. - Pozwól, niech mnie również pożrą. Wolę zginąć, niż dać spokój.

Milczał przez chwilę, później zaś rzekł:



- Możemy czegoś spróbować.

Nie skłamię, jeśli dodam, że sprawiał wrażenie zakłopotanego. Ponieważ w moim pojęciu wszystko wydawało mi się mniej przerażające niż wstrzemięźliwość, skończyło się na tym, że udałam się po radę do czarownicy.

Istniał pewien sposób, który znali niektórzy uzdrowiacze, coś, co przywędrowało z południa. Maurowie podawali ten środek wielbłądom, aby zwierzęta nie cielily się i nie opóźniały przepraw przez pustynię. Potem przejęły go mauretańskie kobiety. Pomysł pochodził od Maurów, podwójnie zasługiwał więc na potępienie ze strony Kościoła. Wszak Alvaro i ja już naruszyliśmy granice świętego prawa. Ladacznice stosowały ów sposób, często z pożądanym skutkiem.

- Jak to się dzieje, że człowiek Kościoła zna się na tym?

- Doprawdy dziwię się, że pytasz, Francisco - odrzekł. - Skąd czerpię wiedzę, jak nie z książek i konfesjonału?

- Zatem któż ci powiedział? Kogo zamierzam doścignąć w niegodziwości?

Na to pytanie nie udzielił mi odpowiedzi.

Minął już jakiś czas, odkąd zostałam uczennicą Alvara. Nadszedł i minął okres postu, na drzewkach morwy rozwinęły się wiosenne liście. Pragnęłam spotykać się codziennie z moim kochankiem. Nadal jednak chodziłam do niego raz w tygodniu. Pewnego czwartku nie poszłam do domu Alvara, lecz na wozie sprzedawcy wina z Rubeny pojechałam do Visity, starowiny, która leczyła ludzi z tamtego miasteczka. Sprzedawca wina był człowiekiem małomównym. Zgodził się zabrać mnie do Rubeny w zamian za kilka jaj, choć nic nie powiedział, kiedy wręczyłam mu koszyk. Nie odezwał się również ani słowem podczas jazdy i milczał, gdy zeskoczyłam przy małym placu pośrodku Rubeny. Zapytałam o drogę do Visity starszego mężczyznę, którego spotkałam na targu. Skłamałam, że przyjechałam odebrać miksturę, przeznaczoną dla kuzynki chorej na błędnicę. Dowiedziałam się, którądy iść i przemaszerowałam trzy mile do domu czarownicy.

\* \* \*

Visita była akuszerką i znachorką, specjalistką od dolegliwości kobiecych. Zatrzymałam się przy otwartych drzwiach i zawołałam ją. Wyszła na próg. Spojrzała na mnie.

- Kim jesteś? - zapytała.

Odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Młodszą córką Conception de Luarca?

- Tej samej, która karmiła króla?

- Tak.

Obejrzała mnie od stóp do głowy.

- Nie jesteś brzemienna - stwierdziła. - Musisz najpierw wyjść za mąż.

Powiedziałam, że się nie myli.

- Zatem zjawiałaś się u mnie, ponieważ nie żyjesz w cnocie i nie chcesz zajść w ciążę. -  
Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Tak - przyznałam po chwili.

- W jaki sposób mi zapłacisz? - zapytała.

- Nie mam pieniędzy, ale nawykłam do pracy. Zrobię, co mi każesz.

Przez kilka minut stałam pod drzwiami. Potem, stwierdziwszy, że nie zraziły mnie jej grubiańskie maniery, Visita odstepiła na bok i ruchem ręki zachęciła, abym weszła do środka. Jej dom był prawdziwym składem, gdzie było więcej rozmaitych medykamentów, niż byłam w stanie policzyć. Visita powiedziała, że odwiedza kapliczki i gromadzi święte przedmioty. Zbiera zboża, zioła, kwiaty i wszystko, co zostawiają pielgrzymi - ofiary, które nasiąknęły odrobiną mocy świętych. Że posiada cudowną wodę i loczek krowy, którą z jednego boku naznaczyło słońce, z drugiego księżyc. Węgielek z drzewka oliwnego, psie kły, lukrecję, dziki rabarbar, kozieradkę, ligosticum i szpik kostny z ofiarnej owieczki. Indygo i kokornak. Woreczki z pomalowanymi wielobarwnie pestkami wiśni, aromatyczne koraliki z drzewa sandałowego i cedru, pióra i wstążki, słowem wszystko, z czego sporządza się amulety. Świętość przybiera wiele form. Wtedy wydawało mi się, że Visita odnalazła je wszystkie. Na przypiecku wewnątrz izby spały cztery koty.

- Nie mam senesu - powiedziała. - Pomogę ci, a ty w zamian nazbierasz ziół. - Wręczyła mi duży koszyk, którego wypełnienie musiało potrwać.

Skinęłam głowę. Stałam pośród kotów przy piecu, tymczasem czarownica wyciągnęła spod łóżka sporą skrzynię. W z niej woreczek z różnokolorowymi kamykami i cztery na dłoń.

- Który ci się podoba? - zapytała.

Zawahałam się, ponieważ nie mogłam zrozumieć, o co chodzi.

- Niektóre dziewczęta chcą mieć błyskotki we włosach albo na rękach. Moja córka nosi pierścień na dużym palcu u nogi, lecz ty będziesz chodziła z osobliwym, błyszczącym klejnotem

wewnątrz siebie niby święta Eulalia. - Wątroba Eulalii była jak ostryga - kiedy ją przecięto, w środku znaleziono perły. Visita podsunęła mi pod nos kamienie. - Wybierz z nich jeden najładniejszy, a ja pomogę ci go założyć - powiedziała.

Nagle straciłam całą pewność siebie. Już nie wiedziałam czy nadal pragnę zastosować magiczny środek Visity, ale jakaś siła emanująca z tej starszej kobiety pomogła mi przemóc strach. Jej dłonie znacznie się od siebie różniły. Prawa ręka była sękata i miała zgrubiały naskórek. Nawet dokładne mycie nie usuwało czarnego brudu, wżartego w nieregularne linie na opuszkach każdego palca. Jej lewa dłoń, nazywana przez nią ręką uzdrawiającą, zdawała się należeć do innej kobiety. Była taka biała, miękka, gładka i delikatna jak u Świętej Dziewicy. Była też nienaturalnie ciepła. Gdy Visita wysypała na nią klejnoty, natychmiast stały się one jakby bardziej połyskliwe. Miałam wrażenie, że mrugają do mnie.

- Pospiesz się - usłyszałam. - Zwlekasz zbyt długo.

Sięgnęłam po najmniejszy kamyk, bladuróżowy. Visita włożyła pozostałe z powrotem do woreczka, woreczek schowała do skrzyni, przykryła ją dużym, ciężkim wiekiem i z wysiłkiem wsunęła pod łóżko. Wrzuciła kamyk do kociołka ustawionego nad płomieniami i dołożyła dREW do ognia. Dodała trochę ziół. Nie jestem pewna, ale chyba rozpoznałam hizop i białe kwiaty ciemniężycy. Para unosiła się coraz wyżej, w końcu woda zaczęła wrzeć.

Visita zaprowadziła mnie do pomieszczenia bez okien, przez ścianę dochodziło gęganie. Mama opowiadała nam kiedyś, że czarownice zamieniają się w gęsi i wysysają z dzieci życie. Potrafią wsunąć dziób do kosza ze śpiącym dzieckiem i już je mają. Mówiła też, że kobiety powinny być dobre dla swych dzieci, dbać o nie. Jeśliby maluchy umarły z powodu braku opieki, grzechem byłoby tłumaczyć to zachowaniem czarownic, które zakradają się rzekomo przez szpary.

- Połóż się - rozkazała Visita. Usłuchałam. Zdjęła ze mnie bieliznę i rozchyliła mi nogi. Leżałam przed nią z kolanami w górze tak samo jak przed Alvarem. Gdzieś w miasteczku zaryczała świnia, potem ryki nagle ucichły. W ciągu tygodnia z tej świni miały powstać kiełbasy.

Visita była energiczną starszą kobietą. Starła się być delikatna, miała wprawne ręce, ale bardzo mnie bolało, gdy wsuwała mały kamyk tak głęboko. Pomagała sobie czymś w rodzaju różdżki, przedmiotem zrobionym z kości. Wprowadzała nim kamyk dalej, niż mogła to uczynić palcami, poza ten fałd ciała, którym kończy się macica. Poczulałam skurcze w brzuchu. Czulałam je nawet później, przez godzinę albo nawet dłużej. Było mi zimno na całym ciele. - Będiesz

musiała poleżeć tutaj przez jakiś czas - powiedziała Visita i trzymała dłoń na moim czole w taki sposób, że nie mogłam się podnieść.

Visita miała kojący głos. Oświadczyła, że nigdy nie rzuca uroków na ludzi, potrafi, ale nigdy tego nie robi.

- Dlaczego miałabym iść do piekła za niegodziwości innych ludzi? - zapytała.

Przez wiele godzin dokuczał mi ból. Musiałam leżeć na boku z podciągniętymi kolanami i cierpieć. Na szczęście ona mówiła bez przerwy, dzięki czemu czas upływał szybciej. Powiedziała mi o wielu praktycznych sprawach. Że muszę zawsze o siebie dbać i nie pozwalać zbliżyć się do siebie żadnym mężczyznom prócz mego kochanka.

- Pewnego dnia i ty, Francisco, zapragniesz mieć dzieci - powiedziała Visita - ale nie teraz, ponieważ sama jeszcze jesteś zaledwie dziewczęciem i nie masz matki do pomocy.

O zmierzchu nadal czułam się tak, jakbym stała na wozie ciągniętym przez muła. Nie mogłam nawet usiąść na sienniku, więc przenocowałam u Visity. Do rodzinnego miasteczka wróciłam następnego dnia.

- Byłam u księdza, aby się dowiedzieć, co ci się przytrafiło - powiedziała Dolores, kiedy wróciłam do domu. - Powiedział, że wczoraj nie przysłaś mu pomagać.

- Nie - odrzekłam.

- Gdzie byłaś? - zapytała. - Tata bardzo się o ciebie niepokoił.

- Zasłabłam. Rozbolał mnie żołądek i...

Dolores odwróciła się do mnie plecami. Zamilkłam.

Bardzo dobrze, postanowiłam, niech sobie myśli, że mam jakiś sekret, że wiodę żywot grzesznicy. W rezultacie byłam zadowolona, że poszła do Alvara zapytać o mnie. Dobrze, że mnie u niego nie było. Dopóki nikt nie odkrył, że zesłam z drogi cnoty dla Alvara, mogłam czuć się bezpieczna.

Przy ładnej pogodzie zapędzałam się daleko od domu ojca i zbierałam liście senesu dla Visity. Zebrałam ich znacznie więcej, niż prosiła. Później wymyślałam coraz to nowe preteksty, aby całymi godzinami przebywać poza domem. Ludzi spotykali mnie wszędzie, a nawet zaczęli się tym interesować. Wkrótce uznano mnie za osobę z natury skłoną do wędrówek. Byłam bardzo zaprzątnięta własnymi pasjami. Nawet nie pomyślałam o tym, że również ktoś inny mógłby się nimi zainteresować.

Po kuracji u Visity okazało się, że miałam nieco więcej szczęścia niż inne dziewczęta.

Prawdą było - o czym dowiedziałam się później - że niektóre z nich dostawały gorączki, kilka zaś nawet zmarło. Ale też nie powiodło mi się tak dobrze jak innym. Po kilku miesiącach bowiem mój mały kamyczek wy dostał się na zewnątrz razem z krwią i wodą. Przeżyłam okropny ból. Nocą musiałam wstać z łóżka, które dzieliłam z siostrą, i wyjść na zewnątrz, gdzie nie byłam narażona na drapieżne spojrzenia siostry. Otworzyłam dłoń i spojrzałam na mały kamień - w tę letnią noc świecił księżyc - i postanowiłam, że nie wspomnę kochankowi o tym zdarzeniu. Nie chciałam kolejny raz przechodzić przez cierpienia u Visity. Schowałam więc różowy kamyk do skrzyni z medykamentami mamy.

Najbliższe miesięczne krwawienie miałam bardzo obfite i bolesne. Z każdym miesiącem było coraz gorzej, aż w końcu wszystko ustało. Myślałam, że zachorowałam, czułam się źle, byłam bardzo słaba i zmęczona. Wyrzucałam sobie, że ukryłam prawdę przed Alvarem i że z własnej winy zachorowałam. Nie było w tym nic dziwnego: byłam w ciąży.

Dzisiaj mówię o tym otwarcie, ale wówczas trzymałam to w sekrecie nawet przed sobą. To znaczy wiedziałam o tym, wiedziałam, że moje życie zmieni się nieodwołalnie, lecz nie chciałam o tym myśleć, póki nie zostanę do tego zmuszona. Najprawdopodobniej pragnęłam pozostać dzieckiem. Istnieje powiedzenie, że prawdziwa kobiecość łączy się z macierzyństwem.

Nadal raz na tydzień odwiedzałam Alvara. Nie odczuwałam już dawnej rozkoszy, mimo to wciąż zachęcałam go, by mnie dotykał, by zdejmował ze mnie ubranie. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że pod sercem noszę dziecko. Alvaro nic zrazu nie powiedział, a tylko przestał się do mnie zbliżać. Kiedy leżeliśmy obok siebie, chwycił mnie jedynie za rękę i obejmował. Któregoś dnia zapukałam i weszłam do jego izby. Czekał na a mnie. Stał przy oknie, odwrócił się i powiedział:

- Francisco, podejdź tutaj. - Położył dłoń na moim boku i spojrzał na mnie. - To moje dziecko, prawda? - zapytał w końcu.

Odwzajemniłam spojrzenie.

- Tak - odpowiedziałam.

Skinął głową.

Staliśmy zakłopotani, potem zaś osunęliśmy się na kolana jak do modlitwy, ale podnieśliśmy się szybko. Cóż mogliśmy teraz osiągnąć, wracając do Kościoła, jeśli świadomie od niego odeszliśmy, jeśli odrzuciliśmy wszelkie jego nauki?

Zaplanowaliśmy wspólną ucieczkę. Umówiliśmy się na najbliższą noc, kiedy księżyc

będzie w nowiu. Sądziłyśmy, że ciemność będzie naszym sprzymierzeńcem. Jednak kiedy nadeszła ta noc, nie postąpiłam zgodnie z planem. Prawie godzinę stałam przy drzwiach w jedynej izbie mojego rodzinnego domu i przysłuchiwałam się oddechowi taty. Nie potrafiłam się uwolnić od wspomnienia, jak ojciec szorstką dłonią gładzi mnie po głowie. Myślałam o tym, co mi o nim powiedział Alvaro: że płakał w konfesjonale. Wiedziałam, że tata obarcza się winą za śmierć mamy, że tęskni za swoją Conception. To wszystko czyniło jego życie pełnym smutku i cierpienia.

Inaczej niż Dolores, potrafiłam pocieszyć ojca. Umiałam mu wszystko wybaczyć; ona nie. Nie mówiłam tacie, że przecież miał najlepsze intencje, że chciał, aby drzewka morwowe uczyniły nasze życie dostatnim. Nie musiałam. Tata wiedział, że go Kocham, właśnie jego, ojca, którego marzenia nas zrujnowały. Wiedziałam, że nie zmieni się już nigdy, podobnie jak nie zmieni się Dolores. Tak samo jak ja nie mogłam już być rozsądną dziewczyną, która z ochotą przyjmie zaloty jakiegoś statecznego hodowcy, szewca albo kowala. Zaręczy się z jakimś nudnym, skromnym mężczyzną, urodzi mu dzieci i będzie szorować jego garnki. Tacie zależało na jedwabiu, mnie - na księdzu. Nie chciałam przynieść mu wstydu ucieczką z kapłanem. Pomyślałam, że bardzo bym go tym zraniła, a może nawet zabiła.

Wkrótce jednak miał się dowiedzieć, w jakim jestem stanie - przecież nie mogłam ukrywać tego bez końca - i co wówczas? Przeto postanowiliśmy opuścić miasteczko osobno. Umówiliśmy się na spotkanie w Sorii w dniu Święta Pierwszych Męczenników. Ale i tych planów nie zdołaliśmy zrealizować.

Po jakimś czasie poczułam się lepiej. Znowu nie stroniliśmy od siebie. Nie tylko ja - oboje zaczęliśmy śnić na jawie. Nie obchodziło nas, co nam zgotuje los. Nie uczyniliśmy nic, aby uniknąć najgorszego.

Jedwabniki wychodzą zewsząd. W pewnym momencie podrywam się w ciemnej celi i gwałtownym ruchem strząsam z karku czy ramienia jakąś upiorną gąsienicę. Wpełzają mi pod spódnicę. Odgłos poruszających się żuchw ustępuje przed ciszą okresu oprzędzania.

Jako mała dziewczynka często brałam do ręki gąsienice. Gładziłam ich chłodną, błękitną skórę. Zdarzało się, że larwa przestawała poruszać szczękami, otwarta żuchwa nieruchomiała, a listek zamierał w przednich odnóżach. Gąsienice wcale nie potrzebowały oczu, kołysały główkami dokładnie tak, jak to robią ślepcy. Zaczynały snuć jedwabną nić, poruszając

się węzowym ruchem przedniej części korpusu.

Od niepamiętnych czasów jedwabniki nie muszą zabiegać o pożywienie. Chociaż są niebywale żarłoczne, bezwolnie leżą na tacach. Nie wędrują, chyba że chwytnymi odnóżami wczepią się w ubranie osoby, która je karmiła. Znajdowaliśmy je w naszych łóżkach, butach, miskach i kieszeniach.

Zwykle odnosiłam je do domku gąsienic. Kiedy czułam się odpowiednio usposobiona, przenosiłam ich gładkie, chłodne powłoczki na otwartej dłoni, która, jeśli nie była dość ciepła, sprawiała, że gąsienice leżały nieruchomo jak martwe.

Gdy ogarniał mnie inny nastrój, mogło się zdarzyć, że je rozgniatałam. Układałam je na ziemi przed domem, dokładnie pod czubkiem buta, i przez chwilę się namyślałam. Potem stawałam na nie powoli, tak, aby przeżute liście wystrzeliwały z pękniętego boku. Jeśli osobnik był już w miarę dojrzały, spod znieruchomiałych szczęk wychodziły gruczoły przedne. Czasem przykucałam i wbijałam źdźbło trawy w jeden z gruczołów, który połyskiwał niczym maleńkie, srebrne jajeczko. Wypływał stamtąd srebrzysty śluz: nie przetworzony, płynny Jedwab.

Na wiosnę w roku śmierci dziadka mama zachorowała. Dostała wysokiej gorączki akurat tego wieczoru, gdy tata wrócił do domu z transportem nowych jajeczek. Ojciec obawiał się, że wysoka temperatura ciała zabije jedwabniki, nim się wyklują. Stało się jednak inaczej. Ciepło przyspieszyło cały proces pewnej nocy wszystkie jajeczka popękały. Tata i mama leżeli akurat w łóżku. Obudzili się, by stwierdzić, że w pościeli poruszają się maleńkie gąsienice, bardzo małe, nie większe niż mrówki.

Mama ostrożnie stanęła na materacu. Drżała z zimna, tymczasem tata ostrożnie wybierał gąsienice z jej długich włosów i białej koszuli nocnej. Przyglądałam się temu z łóżka, które zajmowałam wspólnie z Dolores. Mama stała cierpliwie, była blada. Nie widziałam gąsienic, ponieważ byłam zbyt daleko. Zatem nie wiedziałam, co tata robi. Klęczał, trzymając w ręku koniec warkocza, i tak dokładnie przeglądał wszystkie zagniecenia koszuli nocnej mamy, że w moich oczach, oczach dziecka, wyglądał, jakby bił przed nią osobliwe pokłony.

Potem tata podniósł prześcieradło ze wszystkimi larwami i pobiegł po ciemku na szczyt wzniesienia, do domku gąsienic. Dopóki morwowe drzewka nie pokryły się listowiem, karmiliśmy gąsienice liśćmi żółtnicy. Tego roku baliśmy się, że kokony nie będą najwyższej jakości, że oprzęd będzie za słaby i popęka, gdy dziewczęta będą próbowały odwinąć włókno. Wszakże tak się złożyło, że efekt końcowy okazał się niespodziewanie dobry i za kokony

otrzymaliśmy godziwą cenę.

Długo po niepowodzeniu z drzewkami tata chętnie opowiadał o lepszych czasach z przeszłości. „Pamiętacie, dziewczęta - powiadał - jak gąsienice wykluły się zbyt wcześnie, wasza matka stała w koszuli nocnej, a ja starałem się je wszystkie zebrać?” Zwykle wspominał, wpatrując się w ogień.

Z upływem czasu tata coraz bardziej interesował się przypadkami cudownych ocalań, wszystkim, co powinno ulec zniszczeniu, ale w ten czy inny sposób zostało uratowane. Im bardziej dramatyczny i cudowny okazywał się ratunek, tym okaz był cenniejszy. W roku, który nastąpił po śmierci mamy, tata zaczął się zajmować handlem osobliwościami. Na pewno nie dla zysku, jaki tego rodzaju zajęcie mogło przynieść - choć byliśmy tak bardzo biedni, że brakowało nam pieniędzy na świece i cukier. Tata kupował i sprzedawał interesujące drobiazgi z zamiłowania.

Raz w miesiącu z ładunkiem towaru musieliśmy pokonać wiele mil w drodze do Epili. Mieliśmy ze sobą parę niezwykłych spodni, wcale nie zniszczonych, choć znaleziono je w brzuchu gigantycznego morskiego żółwia. Mieliśmy filcowy kapelusz z ładną klamerką, która nosiła ślad uderzenia piorunu. Właściciel kapelusza rzekomo ani trochę nie ucierpiał od burzy. „Dzięki klamerce!” - zapewniał tata. - „Klamerka uratowała tego człowieka!” Mieliśmy komplet sztucznych zębów ocalałych z ognia. Wprawdzie ich właściciel nie uszedł płomieniom, ale zęby były jak nowe; tata otrzymał je w spadku po starym przyjacielu, panu Encimada, partnerze, z którym poszukiwał sposobu uzyskania barwnego jedwabiu. Pan Encimada niechcący podpalił dom, gdy budował urządzenie do konserwowania oleju. Dzięki sztucznym zębom tata rozpoczął handel ciekawostkami. Wymienił je właśnie na ten filcowy kapelusz. Po miesiącu w zamian za kapelusz nabył psa, który potrafił wydobywać rozmaite przedmioty z głębokiej wody. Tylko że zwierzę posiadało apetyt równie wielki jak talent, więc tata sprzedał je, aby w zamian stać się właścicielem drewnianego popiersia, fragmentu rzeźby, figurki nagiej kobiety, która zdobiła dziób zatopionego okrętu: tyle tylko morskie fale wyrzuciły na brzeg. Lubiałam tę figurkę - lubiłabym ją jako nieodrodna córka mamy - ale tata ją także odsprzedał. Zdobył szkło, które nie tłukło się nawet wówczas, gdy ktoś przejechał po nim powozem, bezpiecznego ptaka, który nic nie jadł, nic nie pił, a mimo to nie zdychał, oraz szereg innych zadziwiających rzeczy. Na sam koniec nabył spodnie wydobyte z brzucha żółwia. Tak je polubił, że nawet nie przyszło mu do głowy, aby się z nimi rozstać.



Wiele razy widziałam, jak przygląda się materiałowi, wywraca spodnie na lewą stronę i sprawdza szwy, wstawki, saczek. Oczywiście uszyto je z jedwabiu. Była to para pludrów w kolorze żółtym jak kwiaty nawłoci. Tata dotykał guzików i sznura przy kolanach. „No zobacz: wcale nie są zniszczone” - dziwił się na głos sam i w obecności przypadkowych słuchaczy. Pludry skrojono kiedyś na człowieka drobniejszej postury niż mój ojciec. Mimo to tata próbował je włożyć. Kilkakrotnie widziałam, jak je ubiera, podciąga możliwie wysoko i wykręca nogę to w jedną, to w drugą stronę, aby się przyjrzeć dokładnie, jak na nim leży ten cudownie zachowany materiał. Jak, zauważył niegdyś mój dziadek, to znaczy ojciec ojca, pewni ludzie osiągają szczęście zawsze kosztem innych.

Pasją taty było wszystko, cokolwiek nie uległo unicestwieniu, choć mogło się wydawać, że powinno. Ostatniego wieczoru przed śmiercią tata poprosił, aby mu podać pludry. Kiedy je przyniosłam, zamknął oczy, dotknął ich i uśmiechnął się.

Na wschód od królewskiej rezydencji sprzedawcy biletów spod areny zbliżają się najpierw do pierwszej, następnie do drugiej zagrody. Tego dnia nikt nie przybył na popołudniową walkę pomiędzy sławnym Avianco, bestią, która w poprzednim sezonie wzięła na rogi pięciu torreadorów oraz stratowała co najmniej trzykrotnie tyle pikadorów i banderillero, a Juanem de Juni. Zamknięty w zagrodzie Avianco ryczy, ale dzisiaj nikogo to nie obchodzi. Señor de Juni ze swoimi ludźmi dołączył do gromady ciągnącej na zachód, czyli w kierunku pałacu. Słyszę ich, są nad moją głową. Drżą mury, spomiędzy kamieni sypie się zaprawa.

Na zewnątrz pałacu zamieszki nie ustają. Publiczność teatralna bez przerwy wchłania nowe tłumy. Każda wiadomość wzmaga poruszenie. „Dać nam Marię!” - wołają ludzie. „Dlaczego ten kocmołuch się ukrywa?! Czego się obawia? Sprawiedliwości?”

Gromada ludzi przy bramie tamuje ruch. Nie można przedostać się przez Calle Mayor. Karety i proste furmanki muszą się zatrzymywać już na wysokości Gran Via. Konie drepczą w miejscu i kopią się nawzajem. Rzemienie batów ze świstem przecinają powietrze.

Chociaż mrok jeszcze nie zapadł, chociaż zazwyczaj o tej porze na targu panuje jeszcze ożywiony ruch, dzisiaj jest tam pusto. Kupcy w ogóle nie otworzyli swoich kramów, nie pojawili się sprzedawcy. Nawet szcurów nigdzie nie widać, a jastrzębie porzuciły stanowiska na budkach rzeźników i przeniosły się na dach pałacu.

Obdulia, niska i drobna panna służebna, z misą w ręku wchodzi do sypialni królowej.

Stawia naczynie na brzegu toaletki, odsuwając szczotkę do włosów, kolczyki, prawie nowy brewiarz, grzebienie z szylkretu, grzebienie ze srebra, grzebienie wysadzone granatami i turmalinami. Grzebienie z kości słoniowej. Parę teczynowych grzebieni, inkrustowanych gagatami. Tak wiele ozdób, że ta czy owa musi spaść na posadzkę. Pośród tych wszystkich emaliowanych szkatulek, rodzin małych psów ze srebra, kamieni szlachetnych, ozdób i fiolek z perfumami brakuje miejsca na przedmioty potrzebne w pielęgnacji chorej. Jest tu również drewniana marionetka, nie większa niż dłoń, mała figurka przechodząca po linie między dwiema listewkami. Wystarczy ścisnąć patyczki, a figurka zakreśli się zabawnie i powróci do poprzedniej pozycji.

Niegdyś zabawka należała do Carlosa. Podarowała mu ją któraś z mamek - tak, tak, wyrzeźbił ją mój tata. Obdulia robi miejsce na miskę i marionetka spada na podłogę. Służąca podnosi ją, ścisną drewniane poprzeczki - akrobata podskakuje raz, drugi - odkłada, a następnie odwraca się do Jeanette.

Służące Marii doskonale znają się na wstążkach, zapinkach i głębokich ukłonach. Niewiele wiedzą o sztuce medycznej i aptekarskiej. Dlaczego miałyby się na nich znać, skoro ich ciała są młode i zdrowe? Nagły kontakt z chorobą - z bandażami, dziwnymi naczyniami, środkami napotnymi i przeczyszczającymi, okładami i balsamami, kleikami i płynami ściągającymi - wprawia je w drżenie, wprowadza kolejno to w stan hysterii, to wymuszonego spokoju. Starają się, jak mogą najlepiej. Zgodnie z instrukcją Severa co godzinę usiłują możliwie najłagodniej usadowić swoją panią na szerokiej, płaskiej misie.

Kiedy wchodzi, Maria śni. Oto jest zamknięta przez teściową wewnątrz jakiegoś wielkiego zegara. Stoi na występie koła zębatego, które obraca się powoli, przesuując ją ku olbrzymiej ptasiej klatce. Maria trzyma w dłoni złoty kluczyk. Wie, że musi go szybko włożyć do zamka w drzwiczkach klatki. Czas upływa. Jeśli nie zdąży wsunąć klucza do dziurki dostatecznie szybko, a następnie wskoczy do klatki, spadnie i dostanie się pomiędzy zęby mechanizmu.

Obdulia budzi królową w chwili, gdy ta spada ze szlochom w tryby. Maria spogląda na służącą, ale nie rozpoznaje jej. Niełatwo dźwignąć królową na misę. Jej wysokość wyslizguje się z rąk Obdulii i opada na łóżko. W rezultacie jeden pośladek królowej ląduje wewnątrz porcelanowego naczynia, natomiast drugi - na zewnątrz. Tyle w najlepszym razie mogą zrobić małe i niezbyt silne służące. Ich pani jęczy tak okropnie przy każdym dotknięciu, że nie ośmielają się niczego poprawiać.

Już dawno minął dzień, kiedy królowa ostatni raz oddała moc. Stara się, ale nic z tego nie wychodzi. Wszystkie wysiłki kończą się okropnym pieczeniem między nogami, jak gdyby Bóg podłożył ogień pod sekretne części jej ciała, karząc ją za lubieżność.

- Błagam - zwraca się do służących - zostawcie mnie w spokoju.

Lecz zgodnie z zaleceniami medyka jej prośby są ignorowane. Maria przymyka oczy. Dlaczego ją budzą? Dlaczego nie zostawiają jej w spokoju? Nawet koszmarne sny są lepsze niż jawa. Taki stan jest do zniesienia, dopóki znowu nie rozpoczną się torsje. Można by odnieść wrażenie, że wymioty wywołuje sama zdolność trzeźwego myślenia. Może kiedy wreszcie służące sobie pójdą, będzie mogła ponownie zasnąć. Może uda się jej stara sztuczka z drzewkami pomarańczowymi.

Co noc przed zaśnięciem zamykała oczy i zaczynała myśleć o pomarańczowych drzewkach. O tysiącu pomarańczowych drzewek w srebrnych donicach.

Spróbujcie je sobie wyobrazić. Są piękne.

Donice powstały z litego srebra. Są starannie wypolerowane. Po bokach każdej z nich znajduje się wizerunek Heliosa w rydwanie zaprzężonym w pędzące rumaki. A jednak moglibyście wcale nie zauważyć tego arcydzieła. Mogłoby się okazać, że artysta natrudził się niepotrzebnie, bowiem waszą uwagę przyciąga bez reszty niezwykła uroda drzewek. Zimą, kiedy strumienie pokrywają się lodem, kiedy gdzieś głęboko pod powierzchnią rzek wody płyną tajemniczymi, wąskimi przesmykami, kiedy cały świat drętwieje i milknie, korytarze Wersalu są gwarne, rozbrzmiewają symfonią obrazów, symfonią zapachów pomarańczowych drzewek. Bo wszystkie one stoją w kwiatkach. Niemożliwe? Drzewka kwitną, ponieważ król sobie życzy, aby kwitły.

Światło dociera do wnętrza pałacu przez nieskończenie wiele okien. Promienie zimowego słońca po przejściu przez szyby stają się cieplejsze. Dotykają białych kwiatów, których aromat rozchodzi się w długich galeriach. Biega po nich księżniczka Marie, omijając lektyki ze starszymi, otyłymi hrabinami. Pod ich ciężarem tragarzom uginają się kolana, trzeszczą i strzelają niczym orzechy włoskie.

Tak: tysiąc pomarańczowych drzewek w srebrnych donicach. Każde drzewko wysokie jak księżniczka albo wyższe Błyszczące liście. Kwiaty białe jak śnieg. Pachną tak słodko że kiedy Marie Louise zbliża do nich twarz, nie może powstrzymać łez.

Królowa zabrała do Hiszpanii trzy takie drzewka. Starannie przygotowano je do

transportu. Korzenie obłożono wilgotnym torfem i umieszczono w workach. Ale wystarczyło, że ślubny orszak zszedł na ląd, aby okazało się, że brakuje ludzi do dźwigania, że drzewka są zbyt duże i zbyt ciężkie. Więc porzucono je gdzieś w Pirenejach. W wyobraźni Marii już dawno zszarzały i pogubiły liście. Do tej pory wiatr na pewno już połamał wszystkie martwe i wysuszone gałęzie.

Kiedy Carlos przychodził dawniej do komnaty jej wysokości, a w tym czasie królowa matka w pokoju karcianym układała pasjansa, królewscy małżonkowie przystępowali do rutynowego zajęcia. Rozpoczynali od głośnego czytania owego pierwszego, najnudniejszego rozdziału Ewangelii św. Mateusza. Nim minął pierwszy rok małżeństwa, Maria umiała wyrecytować cały ten fragment bez konieczności śledzenia wzrokiem liter: „Salomon był ojcem Roboama; Roboam ojcem Abiasza; Abiasz ojcem Asy; Asa...” Potrafiła wyliczyć dwadzieścia dwa pokolenia od Abrahama do Chrystusa. Pokolenia, których ciągłości nie zakłóciła ani powódź, ani wygnanie, ani żadne inne nieszczęście. Cała ta święta litania miała pobudzić męskość Carlosa, sprawić, że on również spłodzi potomka i doda kolejne ogniwo w łańcuchu świętości. W ocenie królowej niewiele rzeczy było mniej podniecających niż deklamowanie Pisma, lecz tę czynność zalecił spowiednik Carlosa. Po liturgii następowała w mroku bezskuteczna kotłowanina. Kiedy było już po wszystkim, król opuszczał królową, po czym przychodziła Obdulia i ubierała Marię do snu. Zaczynała od czesania. Maria przymykała oczy. Jej głowa kołysała się ze zmęczenia albo pod wpływem delikatnych ruchów szczotki. „Tysiąc pomarańczowych drzewek w srebrnych donicach”, powtarzała słowa w myślach. Pojawiały się przed nią dość szybko, więc zaczynała je liczyć. Wyobrażała sobie, że idzie jedną z galerii *chateau* i dotyka gałęzi opuszkami palców. Zdarzało się, że zasypiała, zanim Obdulia skończyła czesać jej włosy, i śniła, gdy tamta wkładała jej koszulę przez głowę.

Wszystkie szczęśliwe sny królowej zawsze rozgrywają się w Paryżu. Są to sny o nie kończącej się fecie, przyjęciu, które zaczęło się przed wielu dniami i będzie trwać jeszcze przez wiele dni. Maria śni o podwórku pełnym tragarzy i powozów, ogrodzie, po którym biegają posłańcy. Wszędzie dostrzega kogoś, kto porusza się z trudem, ponieważ niesie na tacy stos jedzenia. Goście depczą po rozsypanych na podłodze winogronach. Żadna z księżniczek nie wstaje przed południem. Wszystkie piją na śniadanie czekoladę i jedzą pieczywo z masłem i fiołkami. Małe, jasne płatki uginają się pod ich ostrymi, białymi ząbkami.

Tańce rozpoczynają się o północy. Księżniczki krążą i wirują w salach o lustrzanych

ścianach. Otoczone lustrami, jedwabiami i koronkami, brokatem i aksamitem, piórami i klejnotami. Wszystkie skłębione warstwy materii poruszają się bez ustanku. Każdy tancerz pojawia się w stu postaciach, każda księżniczka to sto księżniczek. Nikt nie zliczy obszernych spódnic ani jedwabnych pantofelków. Francuskie sale balowe są wyłożone lustrami, ale to nie wszystko. Są tak cudownie zaprojektowane, że dźwięk pojedynczych skrzypiec załamuje się i wybrzmiewa, jakby grała cała orkiestra. Ale oczywiście nie grają pojedyncze skrzypce, w żadnym wypadku - jest ich setka. Do tego dwanaście harf, klawikordy i flety.

Kryształowe żyrandole, pełne świec, skrzą się światłem. Rozochocionym tancerzom wydaje się, że nad ich głowami płoną gwiazdy. Ależ tak! Całe *chateau* staje w ogniu, jak gdyby przez salę przeleciały komety, rozpalając wszystko: aksamit i złoto, światło i dźwięki, nieskromne szepty, wypowiedane ustami śmielszymi po pucharze wina. Temperatura rośnie bez przerwy. Stają w ogniu pomarańczowe drzewka - w czarodziejskim ogniu, który ich wcale nie trawi. Słodki aromat upaja wszystkich. Książęta i księżniczki wdychają niebywałą słodycz pomarańczowych drzewek, które kwitną w pełni zimy.

Dlatego codziennie, każdego wieczoru, nawet ostatniego który ma przeżyć w posępnym, przygnębiającym królestwie Hiszpanii, gdzie ludzie nigdy nie tańczą, tylko chodzą na wielogodzinne msze, spowiadają się i odpowiadają pokutę; gdzie niedoszli kochankowie czytują najbardziej nudne fragment najbardziej nudnej książki, każdego wieczoru Maria liczy pomarańczowe drzewka.

Może księżniczka jest próżna albo samolubna. Ale ledwie przybyła do Hiszpanii i do Carlosa, natychmiast zorientowała się, że straciła wszystko, czego szczerze pragnęła. Że najbardziej chciała takiego życia, jakie wiodła w Paryżu, gdy dorastała. Że nie potrzebowała księcia z krwi i kości, a jedynie marzeń o księciu. Że pragnie wypełniać każdy dzień rozrywkami młodej dziewczyny, słodyczą oczekiwania, nigdy zaś spełnieniem, spełnienie bowiem przynosi rozczarowanie. To samo czuła, gdy zabrała ze sklepu w Paryżu jaskrawo ubarwionego ptaszka, aby potem przyglądać się, jak bije skrzydełkami w lustra na złudnej drodze ku wolności i w końcu pada martwy.

Królowa Hiszpanii drży. Oddycha powoli i płytko. Jej posmarowane maścią powieki lśnią. Płoną świece: tuzin tuzinów świec. Kiedy służące wychodzą z pustą miską, Carlos nakazuje przynieść relikwie.

Przed wszystkim skrzynię ze złotym wiekiem pełną kości świętych. Kawalki

prawdziwego Chrystusowego krzyża, przechowywane w dwunastu szkatułkach z kości słoniowej. Krew świętego Pantaleona, zakrzepłą wewnątrz fiołki; w każdy Wielki Piątek cudownie przemienia się ona w czerwony płyn. Włosy świętej Klary. Włosy świętej Agnieszki. Włosy Bernardyny, Flory i Gertrudy. Maria odwraca głowę, by zajrzeć do otwartego wnętrza kufra, by zobaczyć połyskujące włosy we wszystkich odcieniach. Kręcone, proste, rozczesane, splątane. Włosy zaplecione w warkocz, przewiązane wstążką albo ściśnięte sznurkiem. Wyglądały tak samo w chwili, gdy ich święte właścicielki traciły życie.

Kto ścina włosy martwym świętym? - zastanawia się królowa. Kto zbliża się z nożycami, brzytwą, nożem? Kto? Jej włosy są znacznie piękniejsze niż którekolwiek włosy ze skrzyni. Tylko że nikt ich nie będzie chciał zatrzymać. Maria nikomu nie pomogła w zbawieniu. Ofiara z jej życia będzie miała znaczenie tylko dla niewielu. We Francji zapłacze jej matka.

Śmierć od trucizny na dworze Króla Słońce nie była niczym nadzwyczajnym. Dosięgnęła matkę chrzestną Marii, jedną z ciotek, dwóch chłopców stajennych. A także jej bardzo bliską, kuzynkę Berthe. Pamiętała dobrze, jak bardzo mama rozgniewała się, kiedy Berthe umierała. Weszła do pokoju dziecinnego w Wersalu. Maria i jej brat Henryk czekali w nim przez kilka godzin. Nikt o dzieciach nawet nie pomyślał. Wszyscy dorośli zebrali się przy Berthe. Henryk leżał na dywanie przed kominkiem. Wił się, rzucał, krzyczał. Szarpał się za włosy, chwycił za gardło i wybałuszał oczy.

- Co robisz?! - krzyknęła ich matka. Chwyciła chłopca i tak nim potrząsnęła, że kiedy go puściła, nie mógł stanąć prosto, tylko osunął się na kolana.

- Bawiłem się w otrutego. - Henryk miał zaledwie pięć lat. Nie rozumiał, że Berthe umierała.

Paryscy truciele nie mieli sobie równych, jeśli rozpatrywać fantazję i śmiałość przedsięwzięć. Zamordowali piękną księżniczkę z Albanii. Cała jej śliczna twarzyczka pokryła się krostami charakterystycznymi dla syfilityków. Z początku cały dwór był wstrząśnięty, że księżniczka z królewskiego rodu może cierpieć na coś tak ohydneho jak włoska choroba. Biedaczka umarła w klasztorze, bredząc coś w malignie. Oszalała. Do ostatniej chwili starała się bronić swej niewinności. Straciła cześć, co było dla niej gorsze niż śmierć. Nie usłyszała słów pocieszenia, kiedy wreszcie okazało się, że do jej balowych rękawiczek nasypiano sproszkowanego arsenu. Do dziecięcych rękawiczek w kolorze lodów pistacjowych. Wywrócono je na lewą stronę i położono na tacy, z którą służący obszedł kolejno wszystkich, by

mogli stwierdzić, że podszewka zawierała jeszcze kryształki trucizny. Na pogrzebie umieszczono tę parę rękawiczek pod katafalkiem.

Potem nikt już nie zostawiał bezmyślnie rękawiczek i kapeluszy. Pokojówkom przykazano, aby starannie zamykały tego rodzaju części garderoby. Maria dobrze pamięta, jak pokojówki obsługiwały jej matkę. Każda miała klucze do szafy, trzymane zwykle pod bielizną w małym woreczku. Kiedy rozbierały Henriette, Maria siedziała na krześle przy oknie. Nie miała więcej niż dziesięć lat. Przyglądała się, jak zdejmują kolejne warstwy ubrania. Zastanawiała się, pod którą wreszcie będzie jej matka.

Cztery pokojówki zdejmowały suknię, która przypominała skorupę jakiegoś morskiego stworza. Pod spodem kłębił się śnieżnobiały jak peruka materiał bielizny. Perukę ściągały na końcu, odsłaniając włosy naturalne i skręcone niczym muszelki ślimaków. I wreszcie spod tych warstw, wszystkich tych fałszywych matek z jedwabiu, drewna, końskiego włosa, obręczy, gorsetów, krez i fiszbinów wyłaniała się prawdziwa mama: drobna, blada i delikatna. Wyglądała jak ostryga wyjęta z muszli, miękka, szara, otępiała, niemal przezroczysta. Matka Marii nigdy nie była tak zwyczajnie naga, lecz tylko przechodziła z jednego wcielenia (gospodyni, partnerki do tańca, pieśniarki) w inne (nadzorcy, piastunki, pani na zamku). Pod haleczką nosiła przyczepione do metalowych obręczy małe szklane buteleczki niczym ekscentryczne dekoracje. Na dnie każdej z nich znajdowała się odrobina miodu albo melasy, coś słodkiego do wabienia pcheł, które wskakiwały do wnętrza buteleczek i tonęły w lepkiej substancji. Właśnie dlatego mama hiszpańskiej królowej pachniała tak słodko.

- O czym myślisz? - zapytałam.

- O niczym - odrzekł Alvaro. Leżeliśmy obok siebie, ciasno objęci.

- Przecież musisz o czymś myśleć.

- Wcale nie.

- Każdy o czymś myśli.

- Ja nie.

- Zatem nic w tobie nie ma, tak? Jesteś jak naczynie, które napęlnia się opowieściami o życiu innych? O mnie i w ogóle o wszystkich? Interesują cię grzechy powszednie i ciężkie? Miłość, żądza, strach, niedola. Złość. Pycha, zawiść, niegodziwe...

- Dlaczego tak mnie dręczysz?! - powiedział i odepchnął mnie.

Usiadłam. Byłam naga.

- Chcę ciebie! - zawołałam. - Dlaczego nie zapytasz, o czym ja myślę?! Moje myśli są zwyczajne, nie przeczę. Myślę o tym, co zjem na kolację. Albo że muszę zacerować koszulę. O sprawach, które nie mają nic wspólnego z Bogiem, z niebem ani z piekłem. Ale mimo wszystko myślę. To są moje myśli, to jestem ja. Chcesz je poznać? Myślę o wążkach, o robactwie w podłodze, o tłuszczu na patelni. O chmurach, zawiasach w drzwiach, puchowych poduszkach. O dziecku, które w sobie noszę. Rozmyślam, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka. Jak będzie wyglądać? Czy powinnam pójść na targ i kupić jakiś talizman? Zastanawiam się, czy uszyć nowe ubranka i dlaczego nie cierpię szycia i cerowania, choć muszę przyznać, że szycie dla dziecka wydaje się nieco przyjemniejsze. Myślę też, że może okaże się mniej samotna, kiedy będę miała dziecko, że kiedy pójdę na targ, to będę myślała, co jemu kupić, a nie o tym, na co ja mam ochotę. Rozmyślam o tych wszystkich rzeczach, które można zobaczyć na targu, zwłaszcza o zwierzętach. O potężnym wole należącym do handlarza olejem i o ślicznej, czerwonej derce, która leży zwykle na grzbiecie tego zwierzęcia. I o tym jak ona pięknie wygląda w promieniach słońca. Myślę o ranie na mojej nodze. Zastanawiam się, ile rzędów cebuli wspólnie z Dolores zasadziłyśmy na wiosnę - chyba czternaście - i że w przyszłym roku musimy zwiększyć uprawę do dwudziestu rzędów, ponieważ w tym roku chyba nam jej zabraknie.

Co przyniesie następny rok? Co się ze mną stanie? Myślę o tym roku, miesiącu, dniu. Myślę o nas, myślę: co z nami będzie? I chcę poznać twoje najbardziej zwyczajne myśli. Nie tylko to, co myślisz o książkach, które przeczytaliśmy, czy zgadzasz się, że Owidiusz jest poetą lepszym niż Homer. Nie dbam o to! Powiedz, dlaczego odgradzasz się ode mnie?

Wyrwał rękę z uścisku moich palców.

- Zmęczyły mnie słowa - powiedział. - Zmęczyły mnie słowa zapisane w księgach i nie mam chęci mówić. Pragnę, abys leżała przy mnie, milcząc.

Czymże jest pożądanie? Czego się spodziewałam? Co chciałam odkryć w tobie, Alvaro?

Pragnęłam, byśmy się nawzajem poznali. Chciałam nadać wyraz każdemu pragnieniu, dopuścić do głosu wspomnienia. Chciałam, by ogarniały mnie nastroje Alvara, by on ulegał moim. Chciałam, aby połączyły się nasze żyły. I wreszcie chciałam rozbić chrząstki stawów, jego i moich, rozprostować je, zobaczyć, co tam w środku jest zapisane.

Co było nam pisane? Co było pisane każdemu z nas?

Zostałam uwięziona w dwa miesiące po aresztowaniu Alvara. Inkwizytor zostawił jego



buty przed domem mojego ojca. Buty przy drzwiach i sutannę na jednym z morwowych drzewek. Wisiała na sznurze, kołysała się lekko na wietrze, obracała się jak czerniejące ciała przestępców, powieszonych na placu i pozostawionych na pastwę psów i jastrzębi.

Rozeszła się wieść, że posiadał mnie jakiś pastuch albo robotnik. Domyślałam się, co mówią ludzie. Że ta biedna, zdziwaczała Francisca, która kręciła się to tu, to tam - gdzie tylko chciała - zrozpaczona i przybita po śmierci swej mamy, zapomniała o niebezpieczeństwach czyhających na każdą młodą kobietę. Że zgwałcił mnie jeden z samotnych, anonimowym pielgrzymów. Sądzę, że Dolores poważnie przyczyniła się do ukrycia prawdy. Oczywiście nieświadomie. Nie po to, ażeby moje grzechy poszły w zapomnienie, nie - w żadnym razie. Mniemam, iż nie było w całym miasteczku ani jednej gderliwej wdowy, której by moja siostra już wcześniej nie odwiedziła z opowieścią, jaka to ja jestem niemożliwa, jaka uparta i krnąbrna, samowolna i dzika. Zapewniała wszystkich, że jeśli zaszłam w ciążę, to już na pewno nie z jej winy.

Ani chybi Dolores szpiegowała mnie i Alvara. Kiedy dowiedziała się, cośmy robili, na pewno bez chwili wahania pobiegła do miejscowego kołodzieja. Wszyscy wiedzieli, że kołodziej jest donosicielem. Może dostała za to jakieś pieniądze, zaczątek wyprawy ślubnej. Zdrada miała jej pomóc także w inny sposób. Tak oto moja siostra oficjalnie wyrzekła się związków ze mną. Przypodobała się Inkwizycji. Kiedy kilka lat później padło na mamę podejrzenie o czary, Święte Oficjum doszło do wniosku, że Conception de Luarca przekazała skłonność do grzesznego życia wyłącznie młodszej z dwóch swoich córek. A zatem Dolores powiedziała kołodziejowi, kołodziej powiedział Czerwonemu Kapturowi, ten zaś wysłał Biały Kaptur. W tamten ostatni czwartek, gdy nazbyt długo zwlekałam z odejściem i potem przyszedłam raz jeszcze do Alvara po zapadnięciu zmroku - kłóciliśmy się, aby później dojść do zgody za pośrednictwem naszych ciał - ktoś zaglądał do nas przez okno. To musiało być właśnie tej nocy, ponieważ pomiędzy tym zdarzeniem a aresztowaniem nie minął nawet dzień: przecież nie można było dopuścić, aby ktoś tak niebezpieczny jak siejący zgorszenie ksiądz czekał na karzącą rękę sprawiedliwości choćby do najbliższego zachodu słońca. Pewnie, gdyby Alvaro nie został w porę ukarany, gotowy był zjawić się sam diabeł, aby porwać wszystkich mieszkańców miasteczka.

Kiedy po niego przyszli, leżałam w naszym domku przy boku siostry. Przez mój wielki brzuch było nam jeszcze ciasniej. Nadal sypialiśmy tak samo jak w czasach dzieciństwa: odwrócone do siebie plecami. Nie wiem, czy słyszałam, że zbliża się Alvaro. Jednak wiedziałam,

że tak jest, byłam tego pewna. Oczyma wyobraźni przyglądałam się, jak nadchodzi, przemierza tę samą ścieżkę między drzewami, którą zwykle wybierałam, biegnąc do niego. Dotykał tych samych gałęzi, czepiał o nie sutanną tak samo jak ja spódnicą poprzedniego wieczoru. Potem wyszedł z zagajnika i, potykając się, ruszył przez nierówne pole, które dzieliło go od domu mojego taty. Przez chmielowe pole, ostatnią przeszkodę. No dobrze, ale koń z pewnością by go wyprzedził, przeskakując nad zagłębieniami, które on przecież pokonywał dość niezdarne. Chyba że zwierzę, pokonawszy pole wyschniętego chmielu, było nieco odurzone.

Widziałam w wyobraźni, że Alvaro się zbliża. Usiadłam na łóżku. Dolores usiadła również. Spojrzała na mnie. Nie zapytała: „Francisco, co się stało?”, ponieważ wiedziała. Nie wątpię w to. W jej oczach dostrzegłam zdradę. Gdyby było inaczej, Dolores na pewno chciałaby wiedzieć, co mnie niepokoi. Czy nie jestem chora? A może dziecko śpieszy się na świat? Ale ona wiedziała już, co ma się wydarzyć tej nocy.

Dolores i ja siedziałyśmy prosto, obie spoglądałyśmy na drzwi. Tata spał; obudził się w chwili, gdy wchodził Alvaro. Usiadł i przyglądał się, jak miejscowy ksiądz wpada niczym burzowy wiatr do naszego domu i zatrzymuje się przy piecu - oczy mu się błyszczą dzikim blaskiem, we włosach tkwią wyschnięte liście. Twarz Alvara, zwykle rumiana, tym razem była popielata. Nieważne, co teraz robił i na co się ważył, jego los i tak był przesądzony. Podeszedł do łóżka i zrzucił z niego Dolores, która spadła na podłogę, ciągnąc za sobą pościel. Szarpnięciem za nadgarstek postawił mnie na nogi. Moja siostra krzyknęła, jakby zobaczyła diabła. Jestem przekonana, że tak się jej zdawało.

- Posłuchaj! - powiedział. - Mamy ledwie chwilę, nim tamci nadciągną. Niczego im nie mów. Powiem, że to ja ściągnęłam cię z drogi cnoty. Przyznam się, że cię zgwałciłem. Rozumiesz?

Wyciągnęłam ręce, aby go objąć. Potrząsnął głową i odsunął się ode mnie. Potem rozległ się trzask, po czym koń - spieniony, kawałki szmat odpadały z jego kopyt - wpadł do środka z Białym Kapturem na grzbiecie. Zwierzę szarpnęło łbem do tyłu obnażyło zęby, a mimo to żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Teraz już wiedziałam, że prawdą jest to, co mówiono - podcinano koniom struny głosowe, by nie zdradzały obecności jeźdźców. Jakżeż okropny był widok wielkiego języka, z którego ściekała piana. Podobnie jak świadomość, że zwierzę z całej siły uderzyło w drzwi i nie wydało przy tym żadnego dźwięku.

Wszyscy zastygli przerażeni. Wstrzymali oddechy. W końcu nie wytrzymałam i

podbiegłam do Alvara, przytuliłam się policzkiem do jego szyi. Zesztywniał. Tego nie przewidział - zdradzałam sama siebie. Aby naprawić błąd, mój błąd, udał, że to on mnie pochwycił. Poczułam na sobie jego ręce. Poczułam też, jak dotyka mnie od środka: jego dziecko poruszyło się w moim brzuchu i kopnęło. Wokół huczała noc, jakby jakaś potężna burza zatrzęsała domem taty, rozbiła okno i wyrwała z zawiasów drzwi.

Francisco, Francisco, Francisco. Bez przerwy powtarzał moje imię. *Possessio mea*. Miał tylko mnie. Czułam na czole chłód jego ust. Chwilę później oderwali go ode mnie.

Biały Kaptur i jego pomocnik zabrali go w czarnym powozie, który czekał w gotowości gdzieś blisko. Powierzyli mnie opiece ojca. Przez kilka dni panowało zamieszanie. Mieszkańcy miasteczka przystąpili do oczyszczających zabiegów. Kazali puszczać sobie krew, aby odpędzić diabła, który pozostał po odpędzeniu niegodziwego kapłana. Ratowali się senesem, musztardą i lobelią. Połknęliby każde, najohydniejsze nawet ziele, byleby tylko zmusić organizm do torsji. Do zwymiotowania sakramentów, jakie przez lata przyjmowali z nieczystych rąk. Przybył do miasteczka specjalny *sangrado*. Pracowicie opróżniał z krwi miskę za miską, aż rynsztok przy zakładzie cyrulika wypełnił się czerwienią. Dolores okadziła izbę dymem z rozżarzonego krwawnika, kreśliła w powietrzu znak krzyża i paliła wszystko, co nadawało się do spalenia. Z naszego łóżka zrobiła ognisko, a moje ciało zmyła naparem mięty. Naga usiadłam w balii i przyglądałam się, jak woda spływa po moim wielkim brzuchu. Siostra, ilekroć na nią spojrzałam, kreśliła między nami znak krzyża. Przeważnie jednak patrzyłam w dół. Kiedy tylko mogłam, kiedy mi na to pozwoliła, spałam. W tamtym czasie nienawidziłam jej niemal do szaleństwa. Później już nie obwinałam jej tak bardzo. Zrozumiałam, że Alvaro i ja zachowywaliśmy się wielce nieroztropnie i niedyskretnie. Jakbyśmy sami chcieli oddać się w ręce inkwizytorów. Przecież gdyby Dolores nie doniosła o nas kołodziejowi, uczyniłby to ktoś inny.

Los Alvara był do przewidzenia: czekały go tortury. Wszystkie jego słowa miały zostać zaprotokołowane. Dla dobra swej duszy musiał wymienić wszystkich grzeszników, z którymi współdziałał. Mnie jednak nic nie groziło. Nie obawiałam się zdrady z jego strony. Nie wątpiłam, że zrobi wszystko, aby uratować mnie i nasze dziecko. Wiedziałam, że Święte Oficjum najpierw wydobędzie od niego tyle informacji, ile zdoła, a potem wykluczy go ze wspólnoty Kościoła i przekaze władzy świeckiej. Kościół nie przelewa krwi we własnym imieniu nie robi tego nawet w przypadku heretyków i uwodzicieli. To Hiszpania bierze na siebie ten obowiązek. Hiszpania miała go spalić albo - gdyby umarł jeszcze w więzieniu - zadowolić się spaleniem jego kości.

Mój los nie był na razie przesądzony. Dopóki nosiłam w sobie dziecko, nie można mnie było powiesić ani nawet torturować. Jeszcze nie. A maleństwo, które spodziewałam się urodzić w ciągu kilku tygodni, tkwiło w moim brzuchu, jakby wcale nie miało zamiaru opuszczać swojej mamy. Być może niewłaściwie oszacowałam termin rozwiązania, w każdym razie nie urodziłam syna, póki moja sprawa nie została rozstrzygnięta. Stosowną decyzję spisano na blisko trzydziestu stronach („O, tyle tego było” - powiedział tata i odpowiednio rozwarł palce). Jej treść była nieco mętna, ale myśl przewodnia dość jasna. Ponoć zostałam wykorzystana i sprowadzona na złą drogę przez człowieka, któremu winnam ufać, przez reprezentanta Kościoła. Z tej właśnie przyczyny nie mogłam być ukarana jak zwykła ladacznica. Śledztwo, prowadzone po śmierci mamy jeszcze się wówczas nie rozpoczęło, zatem nie podejrzewano, że odziedziczyłam po niej najgorsze cechy.

Za to ukarali mnie ludzie z miasteczka, traktując mnie podejrzliwie i z pogardą przez resztę dni, które spędziłam na wolności. Nie mogłam uczestniczyć we mszy, bowiem na mój widok zagradzali wejście do kościoła. Ale i tak wewnątrz nie mogłabym wytrzymać. Zapach gromady ludzi, zebranych w jednym miejscu, drażnił mnie bardziej niż woń kadzidła.

Następnego dnia po otrzymaniu decyzji o pozostawieniu mnie na wolności pod nadzorem ojca, wyszłam na długi, samotny spacer. Właśnie zbliżał się czas rozwiązania. Byłam taka gruba, że oddychałam z wielkim trudem. Nie czułam się dobrze. Po aresztowaniu Alvara nie otrząsnęłam się jeszcze z szoku, a mimo wszystko czułam coś... właśnie, co? Chyba radość. Byłam szczęśliwa, że będzie mi wolno zatrzymać mojego Mateo; wówczas już postanowiłam, że urodzi się chłopiec, któremu dam takie właśnie imię. Wcześniej zesłam w dolinę rzeki. Wracałam do domu, idąc w górę wzniesienia i przez zagajnik. I chociaż brzuch sięgał mi prawie pod brodę, zaczęłam biegać pośród drzew i dookoła pni. Zataczałam pętle, ósemki. Czułam, że porusza się we mnie dziecko. Sama zachowywałam się jak ogarnięte szczęściem dziecko, dziecko, którym nie byłam zbyt długo, przestałam nim być po śmierci mamy. Zaczęło mnie kłuć w boku, ale nie zatrzymałam się. Żadna z moich myśli nie miała głębszego sensu. Nie pomyślałam, że podskokami mogę niepotrzebnie przyspieszyć poród. Zwyczajnie tańczyłam, tańczyłam, tańczyłam. Zaczęłam kręcić się w kółko jak bąk zrobiony przez tatę. Dokoła, dokoła, dokoła. Sama, samiutka w morwowym gaju, pośród drzew zawiedzionych marzeń, pełna życia i nadziei. Zdawało mi się, że nareszcie tańczę w ramionach mamy, tańczę bez końca w rytm nadziei, w rytm beznadziejnego tańca kobiet.

\* \* \*

W połogu boleśniej niż kiedykolwiek odczuwałam nieobecność mamy. Wraz z pierwszym przyływem bólu, ledwie zanurzyłam się w pełnym łożu oceanie przeszłości, nawiedziły mnie wspomnienia, jakie nie pojawiłyby się pewnie w żadnych, innych okolicznościach. Ciepły dotyk matczynej dłoni na mojej twarzy, gdy wracałam w chłodne wieczory z domku gąsienic. Mały słoiczek z maścią czosnkową, który mama trzymała na półce tuż przy drzwiach. Jej zwyczaj sięgania do niego dwoma palcami i wcierania balsamu w wysuszone łokcie. Przypomniałam sobie, jak nakładała odrobinę tłuszczu na rzęsy i usta, by ładnie błyszczały.

Mama robiła mydło z sarniego tłuszczu. Cały proces trwał dziewięć dni niczym nowenna przed świętem urody. A jeśli udało nam się kupić na targu piżma lub cybetu, dodawała tego odrobinę dla poprawienia zapachu. Miała starą formę, którą dostała od swojej mamy, i w nią wlewała płynną zawartość kociołka. Ostatecznie powstawało dziesięć kawałków mydła z małym obrazkiem skaczącej sarny na każdym. Jeden jedyny raz widziałam, jak w naszym domu powstaje mydło. Oczywiście mama wiedziała, jak to się robi. Wszak pochodziła z rodziny, w której tradycyjnie wyrabiano się mydło. Tylko nie miała kiedy dbać o swój wygląd i wygody. Dziewięć długich dni musiało upłynąć, nim koszyk zappełnił się małymi kostkami. Potem sprzedała je na targu. Zostawiliśmy dla siebie tylko jeden kawałek. Za zarobione pieniądze mama kupiła mojej siostrze parę nowych butów. To było tego roku, kiedy Dolores wyjątkowo urosła i stare buty nagle stały się dla niej za ciasne. Ona nie narzekała, gdyż zawsze bardzo chętnie grała rolę męczennicy. Tym razem szerniały jej prawie wszystkie paznokcie u nóg, a z dużych palców nawet poschodziły.

Nikogo przy mnie nie było, gdy rozpoczął się poród. Dolores wróciła z młyna dopiero o zmierzchu, natomiast ja nie wychodziłam na zewnątrz przez cały boży dzień. Czułam się nie najlepiej i przeczuwałam, że z dala od domu mogłoby mnie spotkać coś złego. Bóle stawały się coraz silniejsze i następowały po sobie w coraz to krótszych odstępach czasu. Dolores otworzyła drzwi, spojrzała w moją stronę i upuściła worek z mąką, który dźwigała na plecach. Spod jej stóp wzbil się do góry biały pył.

Miejscowa akuszerka jasno dała do zrozumienia, że nie przyjdzie. Na szczęście w sąsiedniej osadzie mieszkała Azima, staruszka, która nie odbierała dzieci bodaj od czasu narodzin mojego taty. Azima zgodziła się pomóc mi w zamian za pepowinę. Postawiła tylko jeden

warunek: że się ją przewiezie. O własnych siłach już nie chodziła. Nie mieliśmy własnego wozu, więc Dolores nie mogła jej przywieźć. Musiała zwrócić się do handlarza olejem, który krążył z towarem między dwiema miejscowościami. Handlarz olejem, Raynard, był wdowcem. Przez cały miesiąc Dolores piekła mu chleb, takiej ceny zażądał za usługę. Byłoby rozsądniej, gdyby Dolores wysłała tatę po Azimę, a sama została przy mnie, ponieważ miała pewne doświadczenie w odbieraniu dzieci. Sądzę jednak, że po prostu obawiała się zostać sama na samą ze mną albo z gotowym zjawić się na tym świecie w każdej chwili potomkiem wielkiego złoczyńcy, jakim w jej mniemaniu był Alvaro. Staraliśmy się odnosić do siebie grzecznie i z dystansem, identycznie jak wobec obcych ludzi.

Dolores przełknęła kęs suchego chleba, popiła wodą i wyruszyła po akuszerkę. Tymczasem tata usiadł po drugiej stronie płóciennej zasłony, którą moja siostra rozwiesiła dla przyzwoitości. Staralam się nie hałasować, ale mimo to co jakiś czas zaczynałam krzyczeć.

- Francisco? - pytał co chwilę tata z niepokojem w głosie.

Odpowiadałam, żeby się nie martwił, Dolores lada chwila wróci i wszystko dobrze się skończy. Lecz ona miała przed sobą szmat drogi do przebycia, a ja bardzo się bałam. Przyszło mi do głowy, że może stara akuszerka raz jeszcze wszystko przemyślała i nie będzie chciała podejmować ryzyka, pomagając dziecku szatana w przyjściu na świat.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim zjawiła się Azima. Przez cały ten czas wydawało mi się, że wokół mnie panuje ciemność. Tata wiele razy wrzucał do ognia polano, na chwilę robiło się jasno, po czym ogień przygasał znowu. W pewnej chwili tata wyszedł na zewnątrz po drewno. Zrzucił ładunek przy kamiennym piecu. Słyszałam, jak upada duża szczapa; przez cienkie płótno prześcieradła dostrzegłam zarys sylwetki ojca, silne ramiona z naręczem drewna, a następnie czarne kształty polan wpadających do skrzyni.

W izbie zrobiło się bardzo gorąco. Mieliśmy niezbyt chłodny kwiecień, ale może tata uważał, że jedyną rzeczą, jaką może dla mnie zrobić, to podkładanie do ognia. Siedział przy piecu i przegarniał żar. Czasami podnosił pogrzebacz i trącał nim płonące polano. Od czasu do czasu iskry strzelały w górę strumieniem tak gęstym, że widziałam go nawet przez zasłonę. Gorącym westchnieniom ognia towarzyszyły niczym echo westchnienia taty. Teraz już nie potrafię myśleć o narodzinach mojego syna niezależnie od tego ognia. Zapewne tak być musi, ponieważ dziecko było darem płomieni, płomieni namiętności, owocem braku rozwagi.

Staralam się utrzymać na nogach możliwie najdłużej. Chodziłam tam i z powrotem

między jedną ścianą a drugą, aż w końcu po prostu osunęłam się na kolana jak do modlitwy.

Może rzeczywiście się modliłam. Nawet odszczepieńczy się modlą, gdy ogarnia ich przerażenie. W tej pozie zastygłam, ułożywszy głowę; na łóżku, które dzieliłam z Dolores.

Zaczęłam podejrzewać, iż siostra postanowiła mnie zabić, umyślnie opóźniając przybycie akuszerki. W wyobraźni podążylam za Dolores wzdłuż kolein wyboistej drogi biegnącej do Rubeny. Przyglądałam się obłożonej kamieniami studni na targu, dotarłam na wschód aż do portalu, stamtąd zaś ujrzałam czarną wstęgę drogi. Księżyc zamienił wszystkie drzewa w duchy zmarłych. Nagle przesywający ból wtoczył mnie z powrotem do mojego ciała.

Tata był teraz czarnym cieniem z pomarańczową otoczką płomieni. Siedział za prześcieradłem i prawą ręką wykonywał jednostajne, łukowate ruchy, do tyłu i do przodu, do tyłu i do przodu; podobnie porusza się przeciwwaga zegara w katedralnej wieży. Strugał zabawki. Ukończone dzieła - baka, figurę człowieka albo konia - układał obok siebie w koszyku dla wnuka. W izbie było bardziej gorąco niż u kowala w kuźni. Rozpięłam staniczek i zsunęłam go z ramion. Od pasa w górę byłam teraz naga. Skłębiona spódnica kleiła mi się do nóg, powilgotniała od wód, które wypływały ze mnie po każdym skurczu. Byłam spragniona. Choć widziałam wiadro pełne wody, nie poprosiłam taty, aby dał mi się napić. Czułam, że już wystarczająco mu dokuczyłam.

Niewielu ojców postąpiłoby tak jak on. Mógł mnie wypędzić z domu, a jednak tego nie uczynił. Myślę, że pokory nauczyła go klęska w hodowli jedwabników. Najdrobniejszym nawet gestem nie dał mi do zrozumienia, iż wstydzi się mnie. Przeciwnie - wydawał się szczęśliwy. Przez cały miesiąc poprzedzający rozwiązanie przygotowywał zabawki. Nie miał synów, w każdym razie nie wśród żywych, dlatego żył nadzieją, że szczególnym zrządzeniem losu urodzę mu wnuka, który przedłuży ród Luarca. Maleństwo musiało przejąć jego nazwisko, bowiem słów „Alvaro Gajardo” nikt nie śmiał nawet wypowiedzieć. Ci, którzy zdecydowali się mnie nadal zauważać, traktowali mój stan jako zjawisko nadzwyczaj tajemnicze, jakbym na wzór Świętej Dziewicy znalazła się w błogosławionym stanie wskutek działania cudownych mocy.

Dolores wróciła blisko północy. Otworzyła drzwi, przez które napłynął chłodny prąd powietrza. Odetchnęłam z ulgą, zaczęłam szlochać.

- Gdzie ona jest? - zapytałam.

- Jeszcze nie dotarła. Ja w końcu nie pojechałam. Raynard stwierdził, że szybciej będzie, jeśli zejść z wozu. No i wróciłam pieszo spod słupa przy bramie, gdzie mnie zostawił.

Dolores spojrzała na prześcieradło. Ponownie złożyła je i powiesiła na sznurze w taki sposób, aby nie było przez nie niczego widać. Nie widziałam już ognia, a tata nie mógł widzieć mnie. Potem Dolores zapaliła świecę po naszej stronie i pomogła mi zdjąć resztę ubrania. Wiedziałam, że powinnam starać się chodzić, a przynajmniej ruszać. Jednak tak bardzo byłam zmęczona, że nie pragnęłam niczego więcej, jak tylko odpoczynku między jedną a drugą falą bolesnych skurczów. Dolores w ciągu ostatnich tygodni nie okazywała mi zbyt wiele serdeczności, jednakże teraz próbowała nawet pogłaskać mnie po głowie. Wyciągnęła rękę, ale ją odtrąciłam.

Zanim umarła przyjaciółka mamy, Pascuela, sprowadzono dla niej specjalne krzesło do rodzenia. Nie była w stanie na nim usiąść. Siostry Pascueli usiłowały ją posadzić, ale tak krzyczała, tak się wyrывała, że nie mogły dać jej rady.

- Nie chcę - krzyczała. - Nie mogę. Proszę, nie zmuszajcie mnie! - Wówczas ostatni raz widziałam, jak dziecko przychodzi na świat. Zamilkłyśmy i wówczas od razu uświadomiłam sobie, że obie wspominamy tamten poród sprzed lat. I przerażenie, jakie nas wówczas ogarnęło.

Dolores starała się coś mówić dla zabicia czasu. Usiadła przy mnie, pokroiła czarny chleb, posypała go solą i położyła nań czosnek; ostry zapach i ból nie wpłynęły na poprawę mojego nastroju. Odmówiła własne modlitwy, pomodliła się za mnie. Bez końca powtarzała *Pater noster*, *Credo* i *Ave*. W przerwach między bólami wymykałam się i unosiłam nad dachami naszego miasteczka. Widziałam dym wydobywający się z kominów. Wydawało mi się, że na niczym mi już nie zależy, chciałam tylko, aby wreszcie skończyły się te udreki.

W końcu przybyła Azima. Z miejsca wsunęła we mnie zimną dłoń. Uczucie przejmującego chłodu ściągnęło mnie z powrotem na ziemię. Przymknąwszy oczy, przejrzałam zawartość skrzyni z medykamentami mamy: różne zioła, proszki, amulety. Wcale nie obawiałam się śmierci. Myślałam nawet, że lepiej umrzeć niż dalej przechodzić przez to wszystko. Ledwie krzyknęłam (wrzaskiem wyrzuciłam z siebie bluźnierstwo, o czym siostra przypomniała mi zaraz nazajutrz), że jeśli istnieje litościwy Bóg, to na pewno zechce mnie do siebie zabrać, było już po wszystkim: przyszedł na świat mój syn.

Mateo.

Miał siną twarz. Na szyi - ślad po pępowninie, jakby moment wcześniej zdjęto go ze stryczka. Cała reszta to żalosna bryła rumianego ciała, zamknięte wyłupiaste oczy i usta szeroko otwarte do krzyku. Kiedy wyszło łożysko, Azima najpierw związała pępowninę szpagatem, a



następnie odcięła ją Mój syn był brzydki, tak brzydki, że na jego widok od razu przypomniałam sobie o gaśienicach. Trzymałam go na rękach, na przemian to płacząc, to się śmiejąc. Oczywiście był gaśienicą! Musiał nią być - był przecież moim dzieckiem.

Akuszerka zawinęła go mocno w płótno i włożyła w moje ramiona. Słyszałam, jak mówi, że weźmie zapłatę od razu. Była zadowolona. Pępowina miała niespotykaną długość i mogła z powodzeniem posłużyć do leczenia puchliny, rozmaitych niedomagań serca i bezwładu nóg. Azima pamiętała, aby na wszelki wypadek wspomnieć, że chodzi o środek na tę czy tamtą chorobę, wszak Kościół słyszał wszystko, to pewne, a żadne z jego uszu nie było chyba większe niż uszy mojej siostry. Nadstawiała je niczym osioł, aby wyłowić słuchem choćby najdrobniejszą niedyskrecję. Tak czy owak, wszyscy doskonale wiedzieli, że pępowina doskonale nadaje się do czarów. Bez wątpienia Azima zgodziła się przybyć do mnie z powodu tej doczesnej odmiany namiętności, która sprawiła również, że w moim łonie pojawiło się dziecko. Pępowina mego syna miała mieć magiczną moc.

Sznur, który łączył mnie z dzieckiem, leżał w miseczce na podłodze. Trochę pokrwawiony, połyskiwał w świetle poranka. Zdawał się być czymś niezwykłym i świętym. Przypomniałam sobie modlitwę, którą Alvaro odmawiał podczas wiązania pasa na komży: *Praecinge me, Domine cingulo puritatis* - Otocz mnie, Panie, przepaską czystości - *et extingue in lumbis meis humorem libidinis* - i nie pozwól, by w mych lędźwiach rozpalił się płomień lubieżności. Pewnego razu wygłosił ją przy mnie. Miałam okazję poznać jej ironiczny wydźwięk. Albo też uświadomić sobie, ile kosztowała go nasza miłość.

Zapytałam, czy mogę dotknąć pępowiny, nim Azima ją zabierze. Stara akuszerka podniosła talerz i ustawiła naczynie przy mnie na łóżku. Sięgnęła po pelerynę, wówczas podniosłam brzeg sznura. Był gładki, śliski i dziwnie ciężki. Niegdyś mama lubiła powtarzać, że każda dusza jest połączona z niebem srebrnym sznurem. Po narodzinach moich i Dolores tata zakopał nasze pępowiny w ziemi i nad każdą z nich zasadził drzewko korkowca. Drzewa rosły nadal. Nieco się bałam sprzedawać sznur pępkowy mojego dziecka, ale czyż miałam coś dostatecznie wartościowego, aby zapłacić akuszerce?

Azima ubrała się i wróciła do mnie po pępowinę; do ręki wsunęła mi kolorową świecę.

- Kiedy staniesz na nogi - rzekła - postaw ją w kościele przed Świętą Panią. - Wręczyła mi również trzy skrawki papieru pełne nieczytelnych znaków. Staralam się odnaleźć jakies zrozumiałe slowo, ale nie potrafilam nawet nazwac liter. Jeden miałam spalic nad swieca,

drugi połknąć, a trzeci zawiesić na miękkim rzemyku wokół szyi niemowlęcia.

Nigdy nie poszłam do ołtarza Świętej Dziewicy. Poszłabym tam, gdybym mogła. Zrobiłabym każde głupstwo, przyjęła każdy talizman, odmówiła każdą modlitwę, byleby tylko ocalić swoje dziecko.

Czasami śniłam o ochronkach dla dzieci. Że dotykam ustami dziecięcych brwi, wdycham słodki zapach maleństwa. Niemowlęta poruszają się w łóžeczkach, lecz się nie budzą. Dotykam amuletów przy ich łóžkach, małych koralików, które ich matki pozostawiły przy nich, aby odstraszały diabła. Zły duch tylko czyha, aby porwać ciało albo słabą duszę dziecka, ale łatwo można go odstraszyć. Dlatego matki zawsze chowają amulety blisko dziecka w kołysce. Przyszywają je do pieluch. Pod prześcieradła wkładają po odrobinie krwawnika. Inkwizytorzy nie zawsze trafiają na ślad tych zabiegów, a złe duchy wiedzą, że nie mogą się zbliżyć.

Przy łóžu królowej zgromadziła się dość spora gromadka. Mały piesek Marii trafił do kosza stojącego w kącie. Królowa leży nieruchomo, jedynie drżącą ręką przesuwając w poszukiwaniu psiego futra. Porusza ustami, ale nie opuszcza ich żadne zrozumiałe słowo.

Umiera. Jej twarz - rysy, które zostaną utrwalone jako maska pośmiertna w gipsie, następnie w srebrze, a wreszcie w resztkę złota Inków - pięknieje z każdą chwilą. Oczy stają się coraz większe, usta rozchylają w uśmiechu, jakby Maria знаła jakąś tajemnicę i właśnie chciała ją wyznać. Zebrani wokół niej milczą. Carlos cicho szlocha. Obok niego stoi Marianna z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Wszyscy czekają na ostatnie słowa królowej; wszyscy - a raczej prawie wszyscy - chcą usłyszeć oskarżenie przeciwko trucicielowi. Wysuszony mężczyzna siedzi na stołku przy wezgielciu. W rękę trzyma pióro i atrament. Pochyla się nad pergaminem. Jest gotowy zapisać wszystko, co Maria powie.

Królowa ani nie śpi, ani nie czuwa. Ma otwarte oczy, ale nie widzi tego, co widzą inni. Od czasu do czasu chwytając ją jakiś nienaturalny skurcz, jakby wyczuwała zbliżenie się śmierci i nie chciała jej ulec, jeszcze nie teraz.

Na prośbę nadwornego medyka Marianna oraz Carlos wyrazili zgodę na interwencję innego chirurga, Tarragony, znanego jako twórca gęstego specyfiku ze śmietany, żółtek i opiłków żelaza. Tarragona sam siebie określał mianem doktora nauk, specjalisty w dziedzinie magnetyzmu. Studiował w Rzymie z Baldinim i Ferrarem. Całą karierę poświęcił na przygotowanie do takiej chwili jak ta. Właśnie przepuszcza mikroskopijne kawałki metalu przez

ciało królowej. Utrzymuje, że stymuluje jej organy i przywraca ją do życia.

Królowa nie przetrwa kolejnego dnia nowej kuracji. Nie słyszy pojedynczych głosów, lecz tylko jednolity szum. Światło więc maluje złotem jej powieki. Rozpoczyna się przemiana jej ciała w relikwie. Gdy Severo ponownie otwiera jej żyły, krew wypływa opornie, każda kropla zbiera się leniwie, nim spadnie do podstawionego naczynia.

Podchodzi spowiednik, pochyla się. Zachęca Marię do wypowiedzenia jednego, jedyne słowa: tyle wystarczy, aby kogoś oskarżyć. Jednego imienia, imienia śmiertelnego wroga.

Istnieją, rzecz jasna, inne teorie, tłumaczące bliski zgon królowej. Na dworze nie chcą wierzyć, że trucidiel kryje się gdzieś w pobliżu. Ktoś rozgłasza opinię, że królowa nadszarpnęła zdrowie znacznie wcześniej, spożywając wymyślne a szkodliwe francuskie potrawy. A co z tamtym upadkiem z konia? Na pewno spowodował jakiś poważny uraz, który ujawnił się znacznie później.

- Zwyczaj sypiania jej wysokości do późna i zawsze twarzą do dołu musiał spowodować zapalenie śledziony - powiada jeden z ministrów. Słyszac to, Obdulia dostaje napadu histerycznego śmiechu. Owo rozbawienie jest wyrazem niepokoju, jaki odczuwają często świadkowie w obliczu śmierci.

Wszak zdarza się, że ktoś krztusi się, pijac wodę, ktoś inny ma napady śmiechu albo skłonności do rozwolnienia. Jedni grywają w karty, inni krwawią z nosa albo obgryzają paznokcie, jeszcze inni cierpią na bóle głowy.

Królowa matka karcii wzrokiem Obdulie, która uspokaja się z widocznym wysiłkiem.

- Niedobre obyczaje oczywiście mogą spowodować zapalenie i gorączkę - mówi służąca, patrząc pod nogi.

Słowa „zapalenie i gorączka” przenikają do sekretnych majaków królowej. Księżniczka Marie miała we Francji przyjaciółkę o imieniu Nicolette. Obie darzyły się sympatią, jak to zwykle bywa między dziewczętami. Często bawiły się w zaloty i śluby, wcielając się na przemian to w pana młodego, to w pannę młodą. Ćwiczyły pocałunki, aby później wiedzieć, jak się zachować, gdy przyjdzie pora i jakiś książę weźmie którąś z nich w ramiona. Całowały się często, przeto nic dziwnego, że w tym samym czasie przechodziły zwykle dziecięce choroby.

Pewnego lata obie zapadły na zapalenie węzłów chłonnych i każda z nich musiała przeleżeć w łóżku długie miesiące. Były zbyt słabe, ażeby ustać o własnych siłach. Nie miały także siły siedzieć. W związku z chorobą były niezwykle skłonne do płaczu. Płakały z byle

powodu: gdy zobaczyły martwego wróbla na parapecie i kiedy kucharz nie przygotował rabarbaru na deser. Płakały nad kucykami, które stały samotne w stajni i z pewnością nie mogły się doczekać swoich pań.

Marie i Nicolette kładły się często do tego samego łóżka. Przytulały się do siebie i cicho popłakiwały. Płatały się w swoich włosach. Miały cery suche niczym pergamin i jakżeż były wychudzone! Mijały godziny bez słów i wyraźnych myśli, wypełnione wyłącznie łzawymi emocjami. Mogło się zdawać, że czas stoi w miejscu. Dziewczęta układały głowy na poduszce i spoglądały za okno na gałęzie rozkołysane przez wiatr. Cienie liści tworzyły cętkowany wzór na ich nocnych koszulach i grały na białych policzkach. Niewiele wychodziło z prób wspólnego czytania. Każda z nich trzymała jeden brzeg książki, ale żadna nie była wystarczająco silna, aby przerzucać karty. Nie chciały, aby robiły to służące i krzyczały, jeśli któraś próbowała im pomóc.

W okresie rekonwalescencji dziewczęta często przebywały w parku. Zanoszono je tam na krzesłach. Siadywały wtedy na końcu przepięknej brzozonej alei. Podmuchy wiatru zrywały z pni papierową warstwę kory i niosły ją dziewczętom do stóp. Te mogły sobie wyobrażać, iż bezduszny adresat podarł miłosny liścik i rzucił na wiatr skrawki papieru. Naturalnie wyzdrowiały. Nim minął rok, znowu zaczęły odwiedzać salon markizy, śmiać się i pisać podczas śpiewu ptaków.

Nicolette we wczesnym dzieciństwie straciła matkę. Wychowaniem dziewczynki zajęła się stara piastunka, Agnes Brabant, którą nazywały Bonbon. Otóż ta piastunka opowiadała przerażające rzeczy, choć później dziewczęta śmiały się z tego.

- Wprzód wypróbuj mężczyznę, którego zechcesz poślubić - powiedziała pewnego razu Bonbon. - Prowokuj go, ale nie pozwól, by zostawił wewnątrz ciebie nasienie. - Powiadała, że kobiety są jak drzewa, tyle że odwrócone: ich nogi to gałęzie, między którymi Pan Bóg umieścił gniazdko. - Mężczyźni potrzebują miłego, ciepłego miejsca dla swoich ptaszków - mówiła. - Ale nie pozwalajcie im od razu na wszystko. Każcie mu złożyć nasienie do szklanicy. Odstawcie naczynie na tydzień, potem zajrzyjcie do środka. Jeśli nasienie zamieni się w pełzające robactwo, będziecie wiedziały, że ów mężczyzna jest złym człowiekiem i nie będziecie się z nim więcej zadawać. Jeśli zaś w naczyniu będzie sucho i pozostanie jedynie srebrzysta skorupka, będziecie wiedziały, że ze strony kochanka nic wam grozić nie może.

Po przybyciu do Hiszpanii Maria bardzo tęskniła za Nicolette. Gdy teraz szłocha, służące sądzą, że żal jej Carlosa. Wzywają tedy króla, aby stanął bardzo blisko łoża. Ten posłusznie

podchodzi, kręci się w miejscu, przestępuje z nogi na nogę i skubie naskórek przy paznokciach. Boi się. Czemu ci ludzie nie chcą zamilknąć? Czemu ten tłum bez przerwy skanduje przerażająco brzmiące sylaby, imiona jego żony?

Ma - ri - a! Lu - i - sa! Ma - ri - a! Lu - i - sa! Czy podobna, że pragną jej śmierci? Być może wszystko trwa nazbyt długo i gawieź straciła cierpliwość. Maria ma zamknięte powieki. Myśli, że to dziwne przeniesie się z miejsca, gdzie wszyscy ją kochali, do miejsca, gdzie jej nienawidzą. Przed miesiącem Eduardo został złapany. Potem Rebenac oświadczył, że nic dla niej uczynić nie może, więc Maria wysłała list bezpośrednio do stryja. Oświadczyła w nim, że najprawdopodobniej wkrótce zostanie zgładzona i że choroba, na którą cierpiała ostatniej wiosny, została wywołana połknięciem trucizny. Jeśli ktoś zamierzał ją zamordować, to zapewne nikt nie był w stanie temu zapobiec, także osoby, które próbowały potraw, zanim ona je zjadła. Na koniec poprosiła o pomoc. *Proszę - napisała - pozwól mi wrócić do domu. Przyślij antidotum. Przyślij nowych posłów. Przyślij całą armię. Przyślij mamę. Cokolwiek, kogokolwiek. Proszę.*

Niewykluczone, że koperty docierały na miejsce bez listów, w jakiś tajemniczy sposób otwarte i opróżnione. Podobnie jak paczuski przychodzące do niej - bez naruszonych pieczęci, owinięte w nie uszkodzony papier, ale bez zawartości. Wiedziała przynajmniej, że najbliżsi myślą o niej, że piszą dość regularnie. Nie wiedziała tylko, co myślą. Raz na dwa tygodnie otrzymywała kopertę adresowaną pismem matki, równym, choć układającym się optymistycznie na ukos w kierunku prawego górnego rogu, ale wewnątrz nie było żadnej kartki. Pewnego razu Maria poszła do Rebenaca. Wyraziła przed nim przekonanie, że to Marianna przejmie jej korespondencję. „Czy potrafimy czegokolwiek dowieść?” - zapytał. *Rien. Nic.*

- *C'est atroce!* - woła teraz Rebenac z kąta. Francuski ambasador zapomina w oburzeniu o hiszpańskim. Trzeba coś zrobić, tłumaczy Carlosowi. Ma na myśli haniebne postępowanie tłumów przed pałacowym podwórcem. Tłum ukamienował dwie osoby spośród grupy *gabacho* - tak miejscowi nazywają Francuzów mieszkających w Madrycie - w odwecie za nieprzyzwoity wierszyk, wyśmiewający zęby Carlosa. Hiszpanie odarli *gabacho* z szat i wrzucili je do ognia. Dwa nagie ciała wiszą na słupach przy bramie. Zarówno Francuzi, jak i Hiszpanie wykrzykują imiona królowej: Ma - ri - a! Lu - i - sa! W miarę jak gęstnieje tłum, wołanie rozbrzmiewa coraz to głośniej.

Hiszpańscy żołnierze bez powodzenia starają się uspokoić zgromadzenie. Płomienie z każdą chwilą sięgają wyżej; w ogniu lądują śmieci, papiery i w ogóle wszystko, co da się

podnieść i rzucić. Ogniska płoną pod murami. Wichrzyciele włamują się do pustych mieszkań przy Calle de Arenal, wynoszą stoły, krzesła, dywany i zasłony. Wrzucają wszystko do ognia, czasami nawet na oczach właścicieli zrujnowanych domów, ponieważ prawie wszyscy mieszkańcy Madrytu stają pod bramami pałacu i skandują imiona królowej.

- Ma - ri - a! Lu - i - sa!

- *Cabrones!* Bękarty! - krzyczy pewien mężczyzna, rozpoznawszy swe łóżko, pościel oraz inne części dobytku, wpadające do największego z ognisk. Wciąga w nozdrza odór palonych piór w momencie, gdy sam znajduje się już w górze. Po chwili dzieli los należących do niego przedmiotów.

- Spłoń więc w swoich prześcieradłach, *Gillipolas! Cono! Hijo de puta!* - krzyczą za nim.

- Ty dupku! Ty głupia świni! Ty synu nienasyconej kurwy!

Głos męczyzny ginie w zbiorowym wołaniu.

Imiona królowej brzmią niby inwokacja, są szyderstwem, zaklęciem. Poszczególne sylaby wyrażają i jednocześnie budzą wściekłość tłumu. Czasami krzyk przybiera na sile tak niebywale, że tutaj, w naszym więzieniu, drżą ściany. Wydaje nam się wówczas, że lada moment runą, przygniotą nas. Uwolnią.

- *Si votre seigneur ne...* - bełkocze Rebenac, a następnie czym prędzej się poprawia. Teraz mówi po hiszpańsku, każdą sylabę wypowiada ze starannością, która świadczy o wewnętrznym wzburzeniu. - Jeśli wasza wysokość nie wyśle wojska do rozpędzenia tej rebelii, będę zmuszony wysłać posłańca do mojego pana! Wtenczas król Ludwik osobiście zdecyduje, co począć w tych okolicznościach.

Carlos mruży oczy, jakby nie rozumiał. Za chwilę pójdzie na górę, gdzie panuje zupełny spokój. Pójdzie na górę do Estrellity.

Na zewnątrz motłoch zabrał się do rozbierania muru wokół pałacu. Strażnicy schronili się za bramą. Pozatykali uszy kawałkami wełnianej tkaniny, oderwanymi z okryć. Boją się mieszkańców Madrytu, którzy jeszcze przed tygodniem byli zupełnie spokojni. Straże nie chcą już słuchać tych krzyków.

- *Maria marrana!* - krzyczy tłum. Drugie imię królowej zastępuje wyzwiskiem. Odbiera królowej dar matki, imię, które otrzymała jako dodatek do imienia wybranego przez ojca. Nie Teresę! Nie Colette! A właśnie Louise. Louise! Właśnie tak, Marie Louise.

- *Maria marrana!* - brzmią krzyki: „Maria maciora”. Przenikają przez zamknięte okna.

Grzechoczą szyby.

Trzęsą się cały pałac. Smutne to miejsce. Stękają wszystkie lampy, haki przy drzwiach i krzesła. Naczynia ronią łzy rozpacz, skwierczą świece, zawodzą zawiasy. Korytarze drżą i zanoszą się płaczem. Nim minie dzień, najodleglejsze kąty pogrążą się w smutku. Żal będzie niczym ciecz. Wchłoną go wszystkie ubrania i zasłony. Poplamą kobierce i ściany. Zatechły zapach melancholii wypełni wszystkie komnaty, podłogi wypaczą się od łez.

Ale tak będzie dopiero jutro. Na razie nie minął jeszcze czas widowiskowych gestów. Severo przygotowuje się do zdjęcia skóry z białej kozy. Tym samym przyznaje się do niepowodzenia. Potwierdza, że w tym wypadku na nic mu się nie zdały kosztowne studia i wszystkie niezwykle cenne lekarskie instrumenty. Ani jedno, ani drugie nie pomogły ocalić życia królowej. W przypadku mojej matki medyk zastosował gołębie. Nakładał na jej stopy otwarte piersi ptaków. Małeńkie serca były jeszcze pod palcami zimnych jak u trupa nóg. To była ostatnia szansa ocalenia: dostać się do wnętrza zwierzęcia, które zaledwie przed chwilą mogło jeszcze latać.

Przywołują małą świętą. Dziewczynka potrafi siłą woli - koncentrując się, aż głowa jej drży na sztywnej łożdźce karku - opóźnić pałacowe zegary. I nie tylko zegary w pałacu ale w ogóle wszystkie, które się znajdują w Madrycie. Pewnego razu dokonała tej sztuki z zegarami odległego miasta Toledo. Estrellicie towarzyszy Carlos. Znoszą ją po schodach dwie zakonnice, niosą ostrożnie na rękach, splótłszy ze sobą silne dłonie. Mała święta postara się uzyskać dla królowej może godzinę życia, choćby kilka minut, jak wiele się da.

Koza jest ładnym stworzeniem. Nie zna swego losu, ale z całą pewnością go przeczuwa. Potyka się i zapiera kopytami, gdy dwaj służący wciągają ją do sypialni królowej. Przytrzymują zwierzę za czerwoną uzdę. Odbiera je od nich asystent medyka.

Z pełnego noży kufra na kołach doktor Severo wybiera krótkie, połyskujące ostrze. Asystent mocno przytrzymuje kozę, ściska jej łeb między kolanami. Severo jednym wprawnym ruchem robi długie cięcie wzdłuż brzucha zwierzęcia. Nóż jest tak ostry, że nie wymaga użycia siły, sunie przez skórę tak szybko, że chwila nieuwagi może pozbawić medyka palców. Ostrze musi być ostre, ponieważ aby kuracja się powiodła, koza po sprawieniu musi żyć jeszcze kilka chwil. Stać, żywa, bez skóry, którą należało położyć bezpośrednio na królowej.

Jeśli Severo ma rzeczywiście jakiś talent, to bez wątpienia polega on na umiejętności zdejmowania skór. Wystarczają mu niespełna dwie minuty, to znaczy mniej czasu, niż upływa

między kolejnymi odwróceniami klepsydry, a koza już stoi całkowicie nieruchomo, zdumiona swym stanem zabójczej nagości. Długie rzęsy zwierzęcia drgają pod nieobecnyimi powiekami, nagie kolana drżą, tymczasem jego piękna, ociekająca krwią, biała skóra już za chwilę okryje ciało królowej.

Pozbawione powłoki kozie życie unosi się, rozpręża i wypełnia sypialnię Marii. Napiera na sufit, sprawia, że kołysze się żyrandol, chwieją się płomyki świec. Na chwilę zabija woń nadchodzącej śmierci, zapach, który medyk wnosi stąd w swoim ubraniu, ten sam, który służące starają się wytrzepać ze swych fartuchów, gdy na moment wychodzą na świeże powietrze. Zdumiewa fakt, że śmierć nie pachnie źle. Choroby i ekskrementy pachną niezdrowo, lecz woń śmierci jest słodka, tajemnicza i zakazana. Nieważne, że za jakiś czas sekret poznają wszyscy. Już sam zapach wystarczająco rozbudza ciekawość. Na zewnątrz służące Marii wietrzą i trzepią nawet bieliznę.

Skóra niewielkiego stworzenia jest zdumiewająco ciężka. Doktor Severo i jego asystent przenoszą gładką, ociekającą krwią płachtę do łóżka królowej. Na tę okazję służące zdjęły z Marii wszelkie odzienie i okryły ją jedynie cienkim płótnem. Obdułiia ściąga płótno w chwili, gdy ledwie cal dzieli skórę zwierzęcia od skóry królowej. Krew oleistymi kroplami kapie na podłogę, tworząc połyskujące, koliste plamy, które szybko wysychają. Zrazu gęstnieją i blakną, potem stają się czarne i nieprzyjemne jak plamy u chorych na zarazę.

Maria krzywi się nieco na widok skóry, ale chwilę później odpręża się w jej ciepłe. Nie potrafi oprzeć się przemożnej rozkoszy, choć z początku ogarnia ją obrzydzenie. Z niczym nie można porównać tego odczucia. Dodatkowa skóra wywołuje przyjemność, przerastającą wszelkie wyobrażenia. Królowa przez godzinę lub dwie będzie się czuła dobrze. Póki kozia skóra nie ostygnie i nie przywrze mocno do jej ciała.

\* \* \*

Sądzą pewnie, że jestem zbyt wątłego zdrowia, by znowu smażyć mnie na ogniu. Oczywiście nie mogą nas przypalać bez końca. Kiedy goją się oparzenia, jak nigdy przydaje się *garrucha*. Jeden z białych kapturów wykręcił mi do tyłu ręce, a drugi przygotował bloczek. Związali mi dłonie w nadgarstkach. Potem podnosili mnie i opuszczali, podnosili i opuszczali.

W powietrzu wyglądałam pewnie jak członek trupy akrobatów, którzy wędrują z miasta do miasta przed uroczystościami na świętego Jana. Skaczą przez ogniska. Kryją twarze pod groteskowymi maskami; ich głowy wydają się w nich duże jak melony. Potrafią wyginać się do



tyłu nieprawdopodobnie głęboko. Dolores i ja piszczaliśmy ze strachu, gdy zobaczyliśmy te postacie w czarnych rajtuzach i wykrzywione bólem, wymalowane rysy istoty smażonej w ogniu piekielnym. Czy ja właśnie tak teraz wyglądam? Czy moje usta również układają się do wiecznego krzyku?

Kiedy z głową na kolanach siedzę tutaj w mroku, ramionami obejmuję podkurczone nogi i czuję ból opuchniętych zeszywniałych stawów, bezwiednie wracam myślami do Pierwszej Komunii. Byłam wówczas pustym naczyniem, kielichem który miał się napęlić Duchem Świętym.

Zastanawiam się i w żaden sposób nie umiem stwierdzić czy jestem pełna, czy też pusta.

Tego ranka Purpurowy Kaptur stwierdził, że należę do rodziny, w której pojawiła się bardzo sławna heretyczka. Chodzi o matkę matki matki matki mojej matki. Joannę. Powiedział, że wcale nie była dziewicą.

Joanna d'Arc.

Ludzie mówią, że kiedy Joanna d'Arc spłonęła na stosie, jej serce zachowało się nienaruszone. Płomienie go nie strawiły. Chociaż trzymali je w ogniu bez przerwy przeszło miesiąc, chociaż wrzucali do ognia dębowe polana, które przecież palą się płomieniem wyjątkowo gorącym - sercu nic się nie stało. W końcu wrzucono je do Sekwany. Płynęło jej nurtem, objając się o brzegi. Ominęło kamienie, ryby, wodorosty i sieci. Przedostało się pod mostami Rouen, pod wiosłami. To najodważniejsze serce, to uparte, nieugięte serce podróżowało dalej do oceanu, pokonując kolonie alg i śmieci. Lecz jedyne uznanie zyskało u niewidzących ślimaków, u starych żab nurkujących do swych kryjówek w szlamie.

Czy moja mama odziedziczyła właśnie takie serce? Czy odziedziczyłam je również ja?

Czy nic nie zniszczy naszych serc?

Mateo, Mateo. Nazwany na cześć autora pierwszej księgi Nowego Przymierza, nowego porządku, odnowy świata. Tej samej księgi, która rozpoczyna się niezwykle długim rodowodem. Odczytywana podczas wieczornego rytuału przed udaniem się na spoczynek, nudziła królową i skłaniała ją do ziewania. Mimo wszystko Mateo jest imieniem niezrównanej nadziei.

Kochałam go od samego początku. Całowałam go bez przerwy, kiedy tylko nie spał. Trzymałam go na rękach całe dni, a odkładałam tylko z obawy, że, jak powiadała Dolores, zabiję go miłością. Nauczył się raczkować, potem chodzić, wreszcie stał się zupełnie dużym

chłopcem, którego mogłam podnieść do góry i mocno do siebie przytulić. Wtedy kochałam go jeszcze bardziej. Alvaro jest w tobie - szeptałam, gdy leżeliśmy razem w łóżku. Pragnęłam zapewnić mu dobre życie, pragnęłam go ocalić. To było dla mnie najważniejsze.

Francisco - mówiłam sobie - kusz los. Nie bądź tak przerażająco głupia! Wiedziałam przecież, że niebezpiecznie jest do tego stopnia kochać śmiertelną istotę. Nie było nic złego w samych uczuciach, którymi darzyłam swoje dziecko, tylko było ich w nadmiarze. Oszalałam na jego punkcie, chciałam go zjeść. Tańczyłam z nim i całowałam go w usta, gdy jego wargi były jeszcze wilgotne od mleka. Zaczęłam się obawiać, iż prawdziwe są słowa, powtarzane przez starsze kobiety.

- Powściągnij swą miłość, Francisco. Nie okazuj jej nazbyt jawnie - pouczyły mnie starowiny przy studni. - Nie kochaj go tak mocno, póki nie dorośnie.

Połowa dzieci - och, co najmniej tyle! - nie dożywała pierwszego lub drugiego święta ku czci swego patrona. Tylko głupcy oddają serca niemowlętom. Nie przyjmowałam tych nauk.

Gdy Mateo ssał, brałam jego paluszki do ust i smakowałam koniuszkiem języka ich słodycz. Aby się nie podrapał, przygryzałam maleńkie, niemal papierowe paznokcie. Często chwycił mnie mocno za włosy; ciągnął za nie aż do bólu. Ssał z rozkoszą. Czułam jego rączkę na boku, gdy ze mnie pił. Zaciskał paluszki, wbijał je w moje ciało, ale ich dotyk był cudowny. Z Mateo na rękach, jako karmiąca matka, czułam się otoczona nimbem świętości. Zrozumiałam w końcu, czym było życie mojej matki i jak wiele znaczyło.

Jakżeż słodko oddychał. W jego oddechu wyczuwałam siebie, wszystko, co miałam w sobie najlepszego, najczystszą słodycz. Pochylałam się nad koszykiem z maleństwem, wciągałam w nozdrza powietrze tuż przy jego twarzy, starałam się wychwycić jakikolwiek kwaśny, nieświeży zapach. A ten zawsze był słodki, niezepsuty. Dlaczego miałabym nie kochać tak bardzo mojego chłopca?

Dokazywaliśmy w łóżku, gdy nie było Dolores i nikt tego nie widział. Przewracaliśmy się z jednego końca na drugi, łaskotałam go i całowałam, on śmiał się i ja się śmiałam, a potem nagle mój śmiech przechodził w płacz. Wówczas przytulałam go do siebie zbyt mocno, Mateo próbował uciec i także wybuchał płaczem. Potrzebowałam czasu, by powstrzymać śmierć. Och, Boże, potrzebowałam go choć tyle, bym zdążyła nacieszyć się moim maleństwem, nim niepowstrzymany, bezlitosny pochód dni miał mi je odebrać. Nigdy nie było dość czasu, ażeby mogły spełnić się moje pragnienia. Nie miałam go dość, gdy Mateo siedział na maminych

kolanach. Nie miałam go dość, gdy ustami Alvara niespiesznie dotykał moich ust. Nigdy nie było go zbyt wiele, a tak bardzo chciałam zachować dziecko dla siebie. Moje dziecko nie należało do mnie. Zresztą żadne dziecko nie należy do matki.

Nie spieszyłam się z odstawieniem Mateo od piersi. Chciał jeść, a ja nie miałam dla niego wystarczającej ilości pokarmu. Pod tym względem w ogóle nie przypominałam mamy. Wkrótce nawet to, co miałam, zaczęło zanikać. Schudłam i nadal stale szczuplałam, jakbym zużywała po fragmencie własnego ciała do każdego karmienia. Często przesiadywałam przy piecu dwie godziny albo dłużej. Trzymałam Mateo na kolanach. Chłopiec ssał, starał się wyciągnąć ze mnie tyle, ile tylko mógł. Był głodny i nie mógł się nasycić; kiedy zabierałam pierś, płakał.

- Daj mu coś do jedzenia! - mówiła Dolores. - Nadszedł czas, abyś odstawiła go od piersi.

Lecz ja nie mogłam znieść myśli, że moje własne dziecko nie będzie wyłącznie moje. Ilekroć spoglądałam na Mateo, myślałam: jest mną, należy do mnie. Tylko do mnie.

Pewnego dnia wyszłam z domu po sprawunki, a kiedy wróciłam, zobaczyłam, że Dolores siedzi przed Mateo i trzyma w ręku łyżkę. Drgnęła na odgłos moich kroków. Stałam w otwartych drzwiach. Spojrzałam na małą miseczkę owsianki w jej ręku i na mojego synka, który sięgał wargami do łyżki. Nie robiła mu krzywdy, ale uderzyłam ją, aż miseczka upadła na podłogę.

Dolores podniosła się.

- Głodzisz dziecko - powiedziała. - Po twoim wyjściu płakał przynajmniej przez godzinę i ciągnął mnie za spódnicę. - Trzymała się za twarz, dotykała czerwonych śladów, które zostawiły na jej policzku moje palce. - Widziałas przecież, jak patrzy, gdy jemy. Wodzi oczkami za łyżką, którą ktoś z nas podnosi do ust. Jak możesz? Skazujesz go na głód. Nie jesteś matką. Jesteś potworem. Wyciąga rączkę po okruchy...

Przymknęłam oczy. Wiedziałam już, o co chodzi. Chciała mi go zabrać. Chciała mi odebrać syna. Nie pamiętała, że wcześniej obawiała się jego narodzin. Bała się, że przyjdzie na świat potwór. Teraz pragnęła oddzielić moje dziecko od zła, którego się dopuściłam. Dolores kochała Mateo tak samo jak ja - jako dar niebios - lecz sądziła, że na ten dar zasłużyła bardziej ode mnie.

W tamtej chwili byłam gotowa zabić ją, pchnąć w ogień, a potem rozbić lampę i spalić cały dom. Nie uczyniłam tego. Samą siebie zadziwiłam, gdy szlochając, osunęłam się na kolana. Być może karmiła go zawsze, ilekroć go z nią zostawiałam. Być może wcale już do mnie nie

należał. Płakał. Próbowalam wsunąć mu do ust pierś, ale odwrócił głowę. Zaparł się rączkami. Odpychał mnie, ponieważ cuchnęłam rozpaczą, a tego on wcale nie chciał smakować.

Dolores wzięła go na ręce, ja usiadłam w najodleglejszym kącie izby i podciągnęłam kolana pod brodę. Francisco. Po wielokroć wymówiłam własne imię, jakbym wzywała się do Powrotu. Szczękałam zębami. Mateo bez ustanku płakał.

- Weź go, na litość boską, weź go, Francisco! - błagała Dolores. - Płacze, bo chce do ciebie - powiedziała. Starła się oderwać małe paluszki od swojej sukienki.

Nie! Nie mogłam dłużej słuchać tego płaczu. Zostaw mnie, zostaw - myślałam. Miałam jedyną rzecz, którą mogłam oddać, a mój Mateo nie chciał jej przyjąć. Mnie samą.

Moja miłość do niego nie była wzniosła. Wyzwalała we mnie cechy najbardziej prymitywne. Był uśmiechem szczęścia, lecz ktoś - Dolores! - chciał mi to odebrać. Wydawało mi się, że potrafiłabym dzielić się nim z każdą kobietą prócz mej siostry.

Kiedy Mateo wyszedł pomiędzy moich nóg, poczułam się jakby zwrócono mi niewinność. Znowu stałam się dziewicą. Chociaż nie, nie tylko dziewicą, ale Franciszą, która przykuca u stóp swojej matki, gdy ta, siedząc przy piecu, zajmuje się niemowlętami - po prostu dzieckiem. Urodziłam samą siebie. W czasie karmienia Mateo nie miałam miesięcznych krwawień. Czułam się czysta, nieskażona, inna niż Dolores. Bardzo się starałam trzymać z daleka od niej i zakrwawionych bandaży, unikać jej kobiecego zapachu. Myliłam się. Wiedziałam o tym, ale wówczas uważałam, że góruję nad ciałem, nad materią, która więzi moją siostrę, że wstąpiłam do czystszej świata.

Tego roku było dużo szarańczy, małych, brunatnych owadów, które następnego dnia uderzały o moją twarz, gdy zmierzałam w kierunku morwowego zagajnika. Więzły w moich włosach, kiedy próbowałam się od nich opędzić. Mateo kołysał się przy moim biodrze, wczepiony palcami w materiał sukienki.

Pomyślałam, że pod jednym względem rzeczywiście nie przypominam mamy. Nie miałam tej wiecznie płynącej rzeki mleka. Spojrzałam na własne ciało: piersi skurczyły się, rozpląszczyły na żebrach jak u starej kobiety. Czułam się słaba. Z wysiłkiem niosłam synka, którego nóżki bujały się po bokach, błyszczały jego małe, czarne oczy. Szłam wzdłuż szpaleru drzew, między równymi rzędami, które tworzyły coś na kształt przejścia między ławami w kościele; światło przebijało się przez liście niczym przez szkło witraży. Usiadłam na ziemi, przytuliłam do siebie synka. Nie ostrzegło mnie zawrozczenie wiatru, tak samo jak nie ostrzegły

mnie żałobne śpiewy ptaków i krzyki dzieci dochodzące z oddali.

Słońce świeciło jasno. Oświetlało delikatne, złociste włoski na całym ciele Mateo: na plecach, ramionach i nóżkach. Owe włoski były nazbyt delikatne, by dostrzec każdy z osobna, ale wszystkie razem nadawały całej postaci niezwykle blask, lśniły jakby chłopczyk był jakąś niebiańską istotą: kimś widocznym tylko w osobliwym świetle, kimś, kto zniknąłby natychmiast, gdybym mrugnęła. Rozprostowałam maleńką piąstkę na tle wiosennego błękitu nieba, odwróciłam dłoń wierzchem do słońca, polizałam ją i dokładnie obejrzałam.

Wiedziałam wtedy, że nie zależy mi już na księgach. Na powierzchni delikatnej dłoni Mateo opisana była cała historia świata. Każda wirująca planeta, wielki kosmiczny taniec: rozkład wiosennych deszczy, ptasich lotów, pocałunków zakochanych, opadania liści - było tam wszystko. Trzymałam Mateo mocno przy sobie, tuliłam się do niego.

Oto macie swoją herezję, wy, ludzie bez twarzy, ukryci tchórzliwie w habitach i kapturach. Nie powiem wam tego przy najbliższej okazji, nawet jeśli będziecie pytać. Ale teraz posłuchajcie: każda matka jest matką Boga. Dowiaduje się o tym, kiedy kołysze swe dziecko i dostrzega, że świat nie odbija się w jego oczach, lecz zawiera się w nich bez reszty. Matka dotyka boskiej twarzy i czuje to - bożą miłość. Nie jakąś namiastkę, przecucie, niedoskonałą kopię, lecz najprawdziwszą miłość. Przez tę chwilę - dlaczego nie miałyby to być najbardziej rzeczywista, najprawdziwsza chwila spośród wszystkich chwil? - kobieta wie, że przynosi na świat Boga, a Bóg kocha ją za życie, które dała, i za to ją wynagradza.

I to jest sedno rzeczy, zaś wszystko inne wokół niego się obraca. Podobnie Francisca, tańcząca w gaju ze spódnicą, która wiruje wokół pękatego brzucha - ta Francisca jest centrum wszechświata.

Tego popołudnia zaczęłam od koziego mleka; skorzystałam z tej samej filiżanki, która niegdyś służyła najpierw Dolores, a później mnie. Mateo polubił mleko i pił je chętnie, oblewając sobie szyję i ubranko. Smakowało mu tak bardzo, że musiałyśmy zmieszać mleko z wodą, aby starczyło.

Tego roku ludzie chorowali od wody. Zimą daleko ponad naszymi głowami roztopiły się śniegi i spłynęły przez wysoko położone pastwiska. Do akweduktu dostały się siły nieczyste. Coś szkodziło dzieciom na jelita i mózgi, atakowało nawet dorosłych, wywołując biegunkę; nie mijał miesiąc od pierwszych objawów, a ofiara dostawała skurczów i umierała.

Dobrze wiem, że wszystkie matki mówią to samo, ale moje dziecko naprawdę było

aniołem. Miało złociste loczki i czerwone usta, krągłe policzki i czarne oczy. Nigdy nie widziałam żywej istoty podobnej do niego. Wyglądał jak postać z kościelnych malowideł.

Z początku myślałyśmy, że mamy do czynienia ze zwykłą biegunką, jaka od czasu do czasu przydarza się każdemu dziecku. Podałyśmy mu napar z liści pewnej odmiany eukaliptusa, ale ponieważ był gorzki, dziecko niewiele mogło przełknąć. Po tygodniu choroby, Mateo cierpiał tak bardzo, że przywoływał mnie nawet wówczas, gdy znajdowałam się przy nim na wyciągnięcie ręki. Powtarzał bez przerwy: „Mama, mama, mama, mama”, prawie jakby mówił do siebie. Jakby powtarzał modlitwę cierpienia. Jak gdyby niczego się nie spodziewał, ale mimo to nie potrafił powstrzymać się od płaczu.

W ciągu następnego tygodnia już nie mówił z takim ożywieniem jak poprzednio. Jedyne pojękiwał. Szlochał i mruczał przez zamknięte usta „mammammamm” albo po prostu „mmmm”, od czasu do czasu czał. Łzy spływały mu po policzkach.

Kiedy zdarzało mi się zasnąć, śniłam wyłącznie o mamie. Umiałam sprowadzać te sny. Mój jedyny sposób ucieczki od dolegliwości życia na jawie polegał na myśleniu o mamie i jej spódnicach. Wyobrażałam sobie, jak będąc dzieckiem, biegnę do domu, do ciepłego pieca. Mama wydawała mi się wysoka, ledwie sięgałam jej do ud. Stała blisko ognia. Sprawiała wrażenie postaci tak realnej, że musiałam się powstrzymać, aby jej nie zawołać ze swojego łóżka. Widziałam siebie, jak biegnę, żeby zanurzyć twarz w fałdach jej spódnicy, jak wyciągam dłonie, aby je ogrzać.

Czyżby zawijali mnie już w całun? - zastanawia się królowa. Obdulia stoi u wezgowia łoża. Jeanette przy nogach. Unoszą prześcieradło, na którym leży Maria, a tymczasem inne służące rozkładają nowe, po czym szybko zabierają resztę brudnej pościeli. Wszystkie starają się postępować możliwie najdelikatniej. Cóż z tego, kiedy nawet przy tych krótkotrwałych zabiegach królowa cierpi. Bola ją wszystkie stawy, jakby były zwichnięte.

Lekkie kołysanie przyprawiają o mdłości. Przejmuje ją strach, gdy uświadamia sobie, że pod nią nie ma solidnej podpory. Czy właśnie tak się czuje człowiek, gdy dusza opuszcza jego nieruchome ciało? Czy pozostaje wówczas w takim właśnie okropnym, wiecznym zawieszeniu? Nawet gdyby nie bolało, to czy ten stan zawieszenia i kołysania - wieczną otchłań - można w ogóle znieść?

A może czyścica nie ma. A może jest tak, jak jej przed wielu laty powiedział ogrodnik. A

było to tak: w oranżerii księżniczka Marie podziwiała fiołki. Była jeszcze zupełnie mała, sięgała ogrodnikowi zaledwie do ramienia. Pan Clement wyciągnął rękę i z donicy wyjął niewielką muszlę. Zajrzał do środka, potem pokazał księżniczce ów kruchy przedmiot z jednym otworem: wejściem i zarazem wyjściem. Gdy pan Clement rozduśił muszelkę między palcem wskazującym a kciukiem, okazało się, że wewnątrz jest pusta. Pozostały z niej tylko brązowe skorupki. Ogrodnik mruknął coś pod nosem.

- Nie lubi pan ślimaków? - zapytała.

- Pożerają kwiaty - odrzekł. Otrzepał dłonie i uniósł je na wysokość jej oczu. - O, tyle z tego zostaje. Nic. - Wytarł ręce o czarne bryczesy. - Tak się dzieje z każdą żywą istotą - stwierdził. - Taki jest jej koniec.

Łoże królowej cuchnie, lecz nie jest to znajoma woń choroby, do której służące zdążyły przywyknąć. Jest to zapach zgoła odmienny, otepiający, mdląco słodki.

- Jak tam jest na górze? - pyta kucharz Obdulie.

Jakże opisać tę woń? Obdulia wzrusza ramionami. Stara się myśleć o niej w kategoriach zrozumiałych dla kucharza.

- Cuchnie gnijącą dynią - odpowiada. Taką przejrzałą? Pozostawioną na węglach, póki skórka nie zbrązowieje i nie popęka? I potem przeciętą nożem? Czy ten pierwszy, gorący warzywny wyziew przypomina tamtą woń? - Nie - mówi. - Mu siałbyś jednak sam sprawdzić.

Choć jak najstaranniej szorują podłogę i spryskują kąty wapnem; choć nieskończenie wiele razy zmywają spirytusem uda i nogi, plecy i brzuch królowej; choć często zmieniają poduszki, zdejmują draperie, chociaż wynoszą z komnaty grzebienie i czepce - po wczorajszym zabiegu, gdy kozia krew zaplamiła niemal wszystko, i po ściągnięciu z Marii zeszywniałej, ohydnej skóry zwierzęcia - na nic to się zdaje, woń śmierci unosi się nadal.

Nadchodzi koniec. Tego wieczoru Maria umrze. Zapach jest tak intensywny, że w widoczny sposób działa na osoby, które zdecydowały się odwiedzić królową. Albo nie mogą usiedzieć spokojnie, albo zapadają w sen. Te niespokojne dusze kręcą się tam i z powrotem, stukają butami, kręcą młynka. Poprawiają zasłony, przestawiają krzesła. Sięgają po robótki, przerywają nici i mylą się przy liczeniu oczek. Zwykle nie przebywają w komnacie dłużej niż kwadrans. Nagle przypominają sobie, że muszą się czymś bezzwłocznie zająć. Natomiast osoby niemrawe, skłonne do drzemki, deklarują chęć czytania - po cichu sobie albo królowej na głos. Lecz mruczą coś pod nosem, bełkoczą, połykają słowa i chociaż starają się usiedzieć prosto,

opadają do przodu, by wreszcie zastygnąć z policzkiem na książce.

Pokojówki kładą królową na czystym łóżku. Obdulia unosi jej prawą rękę i przytrzymuje mocno pod ramieniem. Skóra jej wysokości zwiotczała. Kości ślizgają się w luźnym pokrowcu ze skóry. Tylko wysiłkiem woli służące powstrzymują się, by nie wzdrygnąć się z obrzydzenia. Obdulia ciągnie królową za bark, tymczasem Jeanette popycha jej biodra. W ten sposób najpierw odwracają Marię delikatnie na jeden bok, potem z powrotem na plecy. Dzięki temu pozostałe służące mogą sprawnie; zabrać ubrudzone prześcieradło, na którym ją wcześniej uniesiono. Kiedy wreszcie kończą, królowa leży równo na środku czystego płótna.

Obdulia przynosi świeżą koszulę nocną i układa ją na królowej. Dwie pokojówki wyciągają z rękawów brudnej koszuli bezwładne ramiona Marii i wsuwają je w rękawy czystej. Obdulia unosi głowę umierającej, Jeanette ściąga brudną i nakłada czystą bieliznę tak szybko, że nikt nie jest w stanie dostrzec nagości królowej. To dość skomplikowana procedura, ale dziewczęta po dwudziestu trzech próbach zdążyły nabrać wprawy.

Maria nie ma siły nawet na pojedynczy jęk. Wchodzi królowa matka z ostatnią wizytą. Marianna należy do niespokojnych duchów - służący niesie w koszyczku jej robótkę.

- Co rzekł doktor Severo? - pyta Obdulię.

Służąca dyga nerwowo.

- Przybył akurat w chwili, gdy zmienialiśmy pościel - odpowiada. - Stwierdził, że wróci za godzinę i upuści krwi jej wysokości. - Znowu dyga.

Marianna kiwa głową.

- Mhm - powiada i na razie nie mówi nic więcej. Siada, sięga po robótkę - robi kamizelki dla bliźniaczek, które mają przybyć na dwór w ciągu najbliższego miesiąca - rozkłada ją na kolanach. Dopiero wówczas zaczyna mówić do królowej, która leży milcząca i nieruchoma.

- Wiem, że nie było ci tutaj łatwo - powiada. - Chyba czułaś się trochę osamotniona. To wyjaśnia, dlaczego mimo jej przerażającej reputacji i krążących wokół niej wulgarnych plotek, byliśmy pobłażliwi, gdy markiza, twoja przyjaciółka, przybyła do ciebie w odwiedziny. - Wzdycha.

Chociaż Maria nie odpowiada, Marianna robi pauzy pomiędzy wypowiedziami. Może się wydawać, że królowa udziela odpowiedzi, które słyszy wyłącznie jej teściowa.

- *La Jolie Araignee*. - Słowa królowej matki brzmią jadowniczo, ale akcent ma bez zarzutu.

- Obawiam się, że wyrządziliśmy ci ogromną krzywdę. - Dodaje oczko do maleńkiej kamizelki,



jednakże ściąga nitkę nieco zbyt mocno. Materiał kurczy się, więc królowa matka odkłada drut, aby paznokciami naprawić błąd w sztuce dziewiarskiej. Nie przyzwyczała się jeszcze do nowego glicerynowego preparatu, który stosują ostatnio do włóczki. Zwykle oporna dzianina robi się taka śliska, że w ogóle nie ma potrzeby szarpać drutem.

Maria nie ma dość siły, aby odwrócić głowę i spojrzeć na Mariannę. Czyżby wygłaszała monolog dla nasłuchującej służącej? - zastanawia się. Rola Obdulii miałyby polegać na przekazaniu słów Marianny chętnie plotkującej służbie?

Na zewnątrz ludzie wspinają się na mury. Do tej pory jedenaście osób stratowano na śmierć. Pięć straciło życie, gdy ich głowami próbowano staranować bramę. Ich twarze sterczą teraz między palikami szerokiego przejścia, patrzą pustym wzrokiem w dal nad zmarzniętym trawnikiem. Pod oknami sypialni królowej, tłum wznosi okrzyki. Żołnierze stoją teraz w każdym wejściu do pałacu, w każdym oknie i drzwiach na pierwszych dwóch kondygnacjach. Na korytarzu prowadzącym do kwater żywych świętych, postawiono potrójne straże. Carlos trzęsie się ze strachu pod spódnicą Estrellity.

- Maria! Maria! *Maria marrana!*

\* \* \*

W mroku tuż przed moimi oczyma krąży wielki, świecący owad. Nie oddala się. Wydaje się, że chce, bym go podziwiała. Uderza skrzydełkami tak szybko, że widzę wyłącznie drgania powietrza. Piękne stworzenie, chrząszcz w pancerzyku opalizującym jak szyja pawia.

Hiszpańska mucha. Kantaryda. Dolores i ja wielokrotnie widywałyśmy, jak te owady gromadzą się setkami na starszych drzewach. Zdarzało się, że kantaryda trafiała między czerwce, które zbierałyśmy dla taty, gdy przeprowadzał swoje eksperymenty z barwieniem jedwabiu przy użyciu gąsienic.

Pewnego razu wczesnym rankiem ja i moja siostra szłyśmy z koszykami przez pola, podskakując wysoko nad skibami zaoranej ziemi naszych sąsiadów, przeskakując ogrodzenia, mijając pasące się owce, strumień i połacie wyblakłej zieleni, na której porozkładano długie wstęgi płótna, aby słońce wypaliło je do białości. Wspinałyśmy się na wzgórze, gdzie rosły dęby, ale zanim dotarłyśmy na szczyt, zobaczyłyśmy kobiety w woalkach, które niosły do małego lasku poskładane prześcieradła. Ich twarze, ręce i szyje były przysłonięte grubym, białym materiałem.

- Spójrz na te panny - powiedziała Dolores.

- Zakonnice - poprawiłam ją.

Kobiety rozkładały prześcieradła pod drzewami i trzęsły gałęzmi. Z góry padał deszcz mieniących się owoców, tysiące poszczepianych robaczek, zbyt ospałych w porannym chłodzie, by wzbić się w powietrze. Kobiety zawiązały je starannie w prześcieradła i ruszyły tam, skąd przyszły, tworząc dziwną, milczącą procesję.

Później, kiedy wracałyśmy tą samą drogą z pełnymi koszykami, gdy szłam, rozmyślając, jaką nagrodę zdobędę dzięki swojej pracy - zabawkę, garść cukierków czy aksamitną wstążkę - jeden z pięknych owadów zaświecił na spódnicy Dolores. Schował drżące, szkliste skrzydełka pod ochronną łuskę. Dolores strąciła go bez namysłu i krzyknęła z bólu. Sparzyła sobie koniuszek palca. Po chwili wrażliwy naskórek podniósł się nad banieczką z przejrzystym płynem. Pozostałą część drogi Dolores przeszła z wyprostowanym, sztywnym palcem. W domu mama spojrzała na ten palec, posmarowała go maścią i owinęła kawałkiem płótna.

- Unikaj tych robaczek - powiedziała. - Nigdy ich nie dotykaj. - Podała mojej starszej siostrze napar z szanty i ostu i położyła ją do łóżka. Owinięta dłoń nadal piekła. Po kilku dniach z oparzonego palca zszedł naskórek, pozostawiając otwartą ranę.

Słyszałam, że za dnia kantaryda może trafić w oko i oślepić. Owady te zbiera się o brzasku, kiedy już je widać, ale jeszcze nie opuszczają drzew. Kobiety, które się tym zajmują, strząsają je, ale ich nie dotykają. Zawijają je dokładnie w materiał i zanoszą do swoich domów. Przez tydzień pozostawiają owady uwięzione w tym samym płótnie. Po upływie tego czasu wydobywają martwe robaczki i suszą je w piecu, ale nadal ich nie dotykają. Na koniec robią z nich proszek. Tłuczkami miazdzą odnoża, panczerzyki, skrzydełka i główki, póki nie powstanie czarny, gryzący pył.

Opalizujący proszek sprzedawany jest na targu z medykamentami. Nabywcy płacą niemało za ów preparat, nie mniej niż dukata za uncję. Rozpuszczają go w winnym spirytusie.

Otrzymałą tynkturę rozlewają do fiolek o pojemności stołowej. Mieszkańcy Madrytu nazywają ten specyfik muszką namiętności, mieszkańcy Paryża - hiszpańską muszką. Kiedy chodziłyśmy z tatą na rynek, widziałyśmy maleńkie buteleczki stojące rzędem u perfumiarza, pomiędzy aloesem a olejem korzennym u handlarza przyprawami i na stoisku golarza pośród kostek mydła i słoiczków z maściami.

Zakupu dokonuje zwykle mężczyzna - w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Później sporządza z tego wodę toaletową, którą wręcza swojej wybrance do przemycia dolnych części jej ciała. Jedna kropla specyfiku rozpuszczona w dużej butelce nie powoduje oparzeń, nie piecze, po

prostu przyjemnie rozgrzewa, a przy tym budzi namiętności i pożądanie.

Jedna kropla, jedna kropla pośród tysięcy innych na najintymniejszych częściach ciała kobiety to afrodyzjak. Dwie krople przyjęte doustnie razem z winem albo innym środkiem zabijającym gorycz - powiedzmy dawką laudanum - tworzą śmiertelną truciznę.

\* \* \*

Królowa matka staje tak blisko łóżka Marii, że ta wyczuwa gryzący zapach gliceryny, której używa Marianna do natłuszczania włóczki. Owa woń, jednocześnie słodka i gryząca, nie jest jej obca. Królowa poznała ją całkiem niedawno. Minie chwila, nim przypomni sobie, kiedy i gdzie.

Gliceryną pachniały dłonie Eduarda. Pachniały nią tamtego wieczoru, kiedy królowa w towarzystwie Olympe udała się do teatru i kiedy nagle zachorowała. Królowa i karzeł spotkali się, gdy Maria wchodziła do powozu.

- Obiło mi się o uszy, że przedstawienie jest niezwykle nudne - powiedział Eduardo i pokazał jej dyskretnie buteleczkę z laudanum.

Odebrawszy fiołkę, Maria szybko pocałowała go w rękę.

- Czy to nowa pomada? - zapytała. Skrzywiła się, wyczuwając ostry, słodkawy zapach. - Powinieneś używać lepszych perfum - stwierdziła. Eduardo nie zareagował na tę uwagę, a ona nie pamiętała o tym aż do tej chwili.

Aby przesiąknąć zapachem gliceryny, dłoni Eduarda musiała się zetknąć z ręką Marianny. Z pewnością nie wystarczyło zwykłe dotknięcie, chodziło raczej o mocny uścisk. O wyjęcie czegoś z jej gorzko - słodkich palców.

Serce królowej, choć już prawie zastygło w bezruchu, nagle zaczyna bić szybciej. Maria z wysiłkiem odwraca się i patrzy na Mariannę.

To ty sprawiłaś, że zabiłam sama siebie! - oskarża teściową w myślach. Sprawiałaś, że osobiście przyjąłam truciznę. Uczyniłaś swoim posłańcem mego przyjaciela. Bez wahania połknęłam kilka kropel z maleńkiej, niebieskiej fiołki, tak jak to robiłam wiele razy wcześniej. Wiedziałaś, że niczego nie zauważę. Nie zauważę zmiany smaku laudanum, zawartej w nim goryczy. Wiedziałaś też, że prędzej pomyślę o wszystkich chorobach, których mogłam się nabawić po spożyciu potraw w trakcie obiadu, niż obwinę przyjaciela.

To było łatwe. Nie wymagało żadnej finezji. Oczywiście nie sprzeciwiłaś się, żeby mnie odwiedziła Olympe. Jej reputacja stwarzała zabezpieczenie, którego potrzebowałaś. W tej chwili

Olympe jest w podróży i szybko podąża powozem z Madrytu na północ. Droga urwie się nagle, więc Olympe będzie musiała przesiąść się do lektyki. Wytrzęsie ją i wykołysze podczas przeprawy przez skały. Ale z bożą pomocą zdoła przekroczyć granicę, zanim zostanie aresztowana.

Marianna wręcza robótkę swemu małemu paziowi. Zamyka wieczko niewielkiej puszki z gliceryną. Znakomita rzecz ta gliceryna. Pozwala pracować bez żadnego wysiłku. Jak to się stało, że wcześniej nigdy o niej nie słyszała? Szczęśliwym trafem znalazła ją u aptekarza. Długo przygląda się królowej, napotyka spojrzenie jej szeroko otwartych oczu, chwilę później wychodzi.

Maria zamyka oczy. Tysiąc pomarańczowych drzewek - brzmią słowa w jej głowie. I wyobraża sobie ich kręgi, jeden wewnątrz drugiego. I swoją matkę w samym środku wszystkich białych kwiatów.

Czy powinna komuś powiedzieć o postępku Marianny? Kto by w to uwierzył? Nie ma żadnych dowodów, a na dodatek zarzuty kobiety uzależnionej od narkotyku łatwo zdyskredytować.

O jednym Maria w ogóle nie myśli. Nie mogłaby znieść tej myśli: że karzeł konspirował przeciwko niej.

A jednak jej przyjaciel poszedł do królowej matki po tym jak przyłapano go na schodach. Opowiedział jej o wszystkim za wszystko przeprosił, ucałował brzeg jej sukni i podeszwy butów. Sam zaproponował, że zabije Marię. Oświadczył, że pragnie odwetu. Pragnie zemsty tak samo jak królowa matka. Twierdził, że królowa rzuciła na niego urok. Twierdził, że uległ czarom, które obudziły w nim miłość do Marii. Kiedy świńska krew spłynęła po stopniach schodów, stało się z nim coś nadzwyczajnego, karzeł otrząsnął się z zauroczenia.

Eduardo w rozmowie z królową matką nie kłamał. Kochał Marię. Kochał ją tak bardzo, że na pewien czas stracił głowę. Wszelako zdecydowanie bardziej kochał życie. Doskonale znał mechanizmy życia pałacowego. Od chwili przybycia do Madrytu francuskiej księżniczki domyślał się, że jej los jest przesądzony. Kiedy przedłużał się okres bezdzietności królowej, ostrzegał ją przed tym, co mogło nastąpić. Przeczynał, że właśnie on padnie ofiarą okoliczności, i powiedział jej o tym. Przyznawał się do morderstwa na wiele lat przed jego popełnieniem.

Marianna skrzyżowała ręce. Skinęła na karła, który klęczał u jej stóp. Kazała mu wstać. Chciała go wypróbować. Potrzebowała go. Bądź co bądź nieczęsto spotykało się osobę

zdecydowaną na popełnienie zbrodni. Postanowiła poczekać z pozbyciem się go, mógł się bowiem okazać niezwykle pożyteczny.

- Poczekamy do przybycia hrabiny de Soissons - powiedziała. Do tego czasu Marianna miała sama postarać się o truciznę. O coś powszechnie dostępnego, możliwego do nabycia niemal w każdym madryckim sklepie.

Eduardo wiedział, że Maria obawia się teściowej, tak się jej boi, że po odkryciu oszustw z poronieniami nie zechce przyjąć narkotyku z zasobów Marianny. Z pewnością obawiała się, że z jej powodu teściowa zechce wyrządzić karłowi krzywdę. Dlatego powiedział królowej, że zgromadził pewną ilość laudanum, że posiada zapas z dawnych lat. Zapas miał rzekomo wystarczyć do chwili znalezienia nowego źródła.

Kiedy Marianna wezwała Eduarda do swojej komnaty, kiedy wręczyła mu truciznę i wypowiedziała jej nazwę, karzeł drgnął. Muszka namiętności! Czyżby królowa matka wybrała ją przez ironię? Czy ów gest nie zawierał przesłania: ponieważ Maria Luisa nie była w stanie pobudzić jej syna do spółdzenia następcy, to powinna umrzeć po niewłaściwym zażyciu afrodyzjaku? Oczywiście nie postawił tych pytań królowej matce. Odebrał pakiecik z czarnym proszkiem i wrócił do siebie, aby przyrządzić truciznę.

\* \* \*

Ostatnie puszczenie krwi nie sposób nazwać sukcesem. Uzyskana krew zmieściłaby się w naparstku - Maria już nie miała w sobie dość życia, aby się nim dzielić. Królewski medyk przesyła wiadomość królowi i królowej matce, którzy akurat siedzą przy obiedzie.

- Proszę tam pójść! - powiada asystent Severa. - Proszę tam iść bezzwłocznie.

Królowa jest rozpalona. Chce, aby uchylono okna. Pragnie, by chłodne powietrze owiało jej ciało, by technienie zimy schłodziło jej skórę, oprószyło szronem tak samo jak podczas konnej jazdy, podczas przejażdżki w okresie, gdy jesień ustępuje przed zimą. Gdy liście toczą się po ziemi, spadają, pędzą, szeleszczą. Liście zdawały się szeptać, kiedy trącały je kopyta Lucie. Rosynant stapał mocniej, wciskając je w błoto.

Drzewa są nagie, światło pada przez gałęzie. Oszronione gaje odbijają promienie słońca. Wszystko srebrzy się i mieni.

- Otwórzcie okno! - woła Maria. - Proszę, błagam was, otwórzcie! - Ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Gdyby nawet ktoś usłyszał jej prośby, i tak by ich nie otworzono. Okien w komnacie królowej w ogóle nie można otworzyć.

- Otwórzcie okno! - Jest pewna sprawa, którą musi załatwić, istnieje pewne miejsce, do którego musi się udać.

- Sama je otwórz - podpowiedziałam jej. - Zbierz siły, skoncentruj wolę.

Wszyscy milczą. Służące, Eduardo, Carlos, Marianna. Pracowite palce królowej matki nie dotykają już paciorków różańca. Maria zastygła w bezruchu, ale wydaje się, że zbiera siły do działania. Marianna rozmyśla, co by się stało, gdyby synowa była w stanie mówić. Co by się stało, gdyby ją oskarżyła? Królowa matka nie będzie bezpieczna, póki Maria nie spocznie w grobie.

Na zewnątrz zawodzi wiatr, jęczy, ryczy pod dachem, trzęsie oknami. Szkło skrzypi i drży.

„Otwórz je” - powiadam. „Nie bój się. Teraz możesz iść. Możesz iść do swojej matki”.

Kiedy byłam dzieckiem, powiedziała mi Dolores, że umarli marzną. Że podchodzą do naszego pieca, gdy śpimy i dmuchają w żar, póki nie pojawią się płomienie. Że podnoszą polana i ciskają je w ogień, lecz polana nie palą się ani nawet nie nadpalają w ogniu roznieconym przez umarłych. Jeśli rano znajdowałyśmy na palenisku nie spalone drewno, mówiłam:

- Spójrz! Mama przyszła do nas i chciała się ogrzać.

Jakżeż Dolores nie cierpiała słuchać moich opowieści i myśleć o przemarzniętej mamie, która wędruje po świecie i przychodzi ogrzać ręce przy naszym piecu. W tamtym okresie ojcu zdarzało się chodzić podczas snu.

- To był tata, ty idiotko! - odpowiadała Dolores. - On włożył polano do pieca! - krzyczała.

Odpowiadałam spokojnie i stanowczo:

- Nie - mama tutaj wraca.

Dolores wierzyła, że wiem coś, czego ona nie wie. Wierzyła, że mama odwiedza nasz dom i rozmawia ze mną, a nie z nią.

- Oni są bardzo zajęci, ci umarli - mówiłam często do mojej siostry.

- A co takiego robią? - pytała.

- Och, odbywają pielgrzymki.

Każdy człowiek umiera z pewnymi grzechami, za które żałuje albo których nie wyznał. Zawsze jest wiele do zrobienia, także po śmierci. Większość ludzi umiera młodo, dlatego starych dusz jest niewiele. Powiedziała mi Dolores coś jeszcze: że w nowym życiu starzy ludzie ważą niewiele, krążą to tu, to tam, dokąd niesie ich tchnienie Boga lub diabła, i nigdy stopami nie

dotykają ziemi. Jeśli przed śmiercią zestarzejesz się, to już nie będzie ważne, czy za życia grzeszyłeś, czy wiodłeś życie cnotliwe, ponieważ nie zostanie z ciebie nic poza resztką powłoki, targanej wiatrami zaświatów.

- Musimy się modlić - mówiłam. - Modlić się bez ustanku, aby mama spoczywała w pokoju i nie musiała przez wieczność krążyć po czyścisku. - Twierdziłam, że kiedy mama będzie gotowa, gdy odpokutuje za grzechy, wróci na ziemię w nowym ciele.

W głębi serca nie bardzo wiedziałam, cóż złego mama mogła uczynić za życia. Jeśli przybył święty Michał, stanął u śmiertelnego łóżka mamy i czytał z księgi jej uczynków, to na pewno zorientował się, że wynikało z nich więcej dobra niż zła. A czyż każdy popełniony przez nią grzech nie został zmażany przez szczery żal?

Pierwsze pęknięcia w oknie naprzeciwko łóżka królowej pojawiły się bez większego hałasu. Eduardo dostrzegł jednak, że w szkłe pojawiła się sieć żyłek. Naraz całe okno ustąpiło. Szyby eksplodowały nad głowami zgromadzonych, a na zewnątrz tłum buntowników aż westchnął. Kawałeczki szkła spadły niczym deszcz. Odezwały się dzwony i gawiedź umilkła. Ludzie przestali nucić przerażającą pieśń.

Tak, zmarli rzeczywiście odbywają pielgrzymki, ale inaczej niż opisywałam to siostrze. Już nie wierzę, że ludzie po śmierci wędrują, by odpokutować za grzechy. Nie. Wyruszają, żeby ostatni raz dotknąć ludzi, których kochali najbardziej.

Zabrałam swoje dziecko do wszystkich świętych miejsc do których mogłam się dostać, do wszystkich miejsc, o których słyszałam, wszędzie tam, gdzie zdarzył się jakiś cud. W owym czasie przystąpiłam do grupy pielgrzymujących poszukiwaczy cudów.

Nie wiara nas łączyła, nie wyznanie, lecz strach. Byliśmy zrozpaczonymi, oszukanymi ludźmi, którzy podążali naprzód, usiłując wyprzedzić swój los. Rozpoznawaliśmy się przy różnych ołtarzach, dzieliliśmy wieściami o rozmaitych medykamentach i sukcesach, na przykład o synku niejakiego Xaviera, chłopcu, którego przygniół pług i który odzyskał zdolność chodzenia po odwiedzeniu płaczącej figurki Świętej Dziewicy w Campo. Zlitowała się nad nim, tak przynajmniej powiadali ludzie, więc my również wyruszyliśmy tam w nadziei, że ulituje się także nad nami.

Stałam całymi dniami i spałam w długich kolejkach, aby zdrapać odrobinę ziemi, po której stąpił jakiś święty, aby potrzymać Mateo pod strużką z cudownego strumienia, aby

dłożyć własne wotum do stosu innych, złożonych u stóp drewnianych i gipsowych świętości.

*Libera nos, Domine. Libera nos.* Wybaw nas, o Panie. Odwieczna modlitwa ludzkości, wszystkich nas, zmęczonych życiem.

*Anima Christi, sanctifica me. Coprus Christi, salva me. Sanguis Christi, inebria me.* Dusza, ciało i krew Chrystusa, niechaj mnie uświęcą, uzdrowią, napełnią.

Czasami wyłącznie napór innych ludzi pozwalał mi utrzymać się na nogach; na rękach trzymałam dziecko. Bywałam tak zmęczona, że wydawało się ono ciężkie jak kamień, a przecież ważyło zaledwie odrobinę. Gdy zasypiałam, bez przerwy musiałam przeżywać ten sam koszmar. Śniło mi się morze czerwieni, nieustanny przyływ barwy. Z morza czerwieni wynurzały się schody, takie same jak te, po których w kościele wchodziło się na ambonę. Część z nich znajdowała się pod powierzchnią czerwonego morza. Niebo było białe. Nie błękitne, ale białe jak całun. Za każdym razem, kiedy miałam ten sen, większa część schodów była zanurzona. Nawet jeśli nie miałam dość odwagi, aby po nich zejść, co, jak czułam, powinnam była uczynić, woda nieuchronnie podnosiła się sama. Zamiast Mateo trzymałam na rękach dziecko, które dawno temu karmiła moja mama, to samo, które kiedyś zaczęłam dusić. Wrzucałam je w czerwone fale, a potem budziłam się przestraszona, tuląc kurczowo mojego synka.

Jego włosy straciły połysk, oczy patrzyły, nie widząc. Przestały reagować na słońce, światło padało na nie i znikało. One zgasły na samym początku. Później zorientowałam się, że Mateo stał się woreczkiem z pomarszczonej skóry, zaciągniętym wokół maleńkiego szkieletu. Ustawicznie odzywały się we mnie skrupuły. Coś ścisnęło mnie za gardło. Kiedy otwierałam usta, aby coś powiedzieć, ku mojemu zdziwieniu zamiast słów wydobywał się z nich szloch.

Drogi do świętych miejsc pełne były mężczyzn i kobiet handlujących wszystkim, co ich zdaniem nadawało się do sprzedaży. Świecidełkami albo pamiątkami ze świętych miejsc - różańcami, modlitewnikami, relikwiami dla naiwnych, którzy gotowi byli uwierzyć, że oferowane psie łapy i królicze skórki przesiąkły niegdyś duchem tego czy tamtego świętego. Desperacja budziła w pielgrzymach najohydniejsze cechy. Ludzi przejmował strach, że świętość wyczerpie się, zanim połowa długiej kolejki będzie miała okazję czegoś dotknąć albo coś zobaczyć - jak gdyby cud nie był cudem i mógł się wyczerpać jak chleb u piekarza w przeddzień święta. W ruch szły pięści, tymczasem złodzieje wykorzystywali chwilę na kradzież wszystkiego, co się tylko dało.

Jeden bardzo sławny *santiguado*, człowiek, który zajmował się uzdrawianiem wiary,



siódmy z kolei syn w związku, z którego nie narodziła się ani jedna córka, żył i mieszkał u podnóża gór niedaleko Avili. Był bardzo stary. Już nawet nie schodził z siennika, by pozdrowić pragnących go dotknąć Pielgrzymów. Trzeba było przytrzymywać ludzi, aby go nie rozgnietli, tak wiele rąk szarpało za jego postrzępioną odzież usiłując oderwać choć jedną nitkę i ocalić swe życie. Widziałam go. Na jego widok pomyślałam o małych kawałkach mydła produkcji mojej mamy. Po pewnym okresie używania wizerunek z ich powierzchni stawał się niczym więcej, jak tylko niewielkim wybrzuszeniem; podobnie dotknięcia zbyt wielu osób zdawały się zacierać wyrazistość rysów mężczyzny. Po wielu godzinach oczekiwania wreszcie się do niego zbliżyłam. Nachyliłam się i przycisnęłam gorącą rączkę Mateo do jego ust, a kiedy ją odjęłam, widniały na niej białe plamy śliny starca.

Przyzwyczałam się docierać do świętych miejsc o najróżniejszych porach, wędrować nocą, gdy normalnie większość ludzi śpi. Maszerowałam pod zachmurzonym, bezgwiazdowym niebem i wsłuchiwałam się w głosy nocy. Słyszałam kaszel owiec na odległym pastwisku, powiew wiatru, nawet psa liżącego się gdzieś w pobliżu. Niski odgłos jakby chłęptania wypełnił mrok i narastał, póki nie ujrzałam kłów zwierzęcia i jego wilgotnej gardzieli, która zdawała się być samym czasem, gotowa pochłonać nas wszystkich. Nieważne, jak bardzo byłam zmęczona, i tak nie umiałam zachować spokoju, musiałam coś zrobić dla Mateo. Nawet godziny nie potrafiłam przeleżeć spokojnie, by nie podnieść się i nie usłyszeć gałązki pękającej pod moimi butami.

Świątynia w Tordesdo składała się tylko z krzyża wkopanego w ziemię. Pielgrzymi zabierali stąd tyle ziemi, ile się dało, ziemi, nad którą płakała Święta Matka. Przed wielu laty Dziewica zjawiła się jako postać niewielkiego wzrostu. Mnie sięgałaby niewiele powyżej kolan. Podobno siedziała na śnieżnobiałym osle nie większym od kota. Młoda wieśniaczka, która była świadkiem objawienia, widywała Ją przez piętnaście kolejnych nocy; podczas ostatniego objawienia Dziewica sprawiła, że z ziemi wyrosła lilia. Wieśniaczkę zabrały białe kaptury. Stała przed trybunałem w autodafe roku 1616 i została ukamienowana przez gapiów. Od tamtej pory ludzie przybywają do miejsca, w którym wyrosła lilia.

Dotarłam do Tordesdo przed świtem. Jakiś starzec zasypywał dziurę ziemią, wybieraną z beczki na kółkach.

- Kim jesteś? - zapytałam. - Co czynisz? - Zaczęłam się śmiać, nie mogłam przestać. - Czy to właśnie jest święta ziemia? Przywieziona przez ciebie taczka?! - Tamtej nocy przebyłam szmat drogi. Kilka razy ja i Mateo musieliśmy położyć się na ziemi, aby odpocząć przed dalszą

drogą. Starszy mężczyzna zerknął na mnie, nie przerywając pracy.

- Señora - powiedział głosem mojego dziadka. - Jakżeż wyglądałoby to miejsce po wizycie takiej gromady ludzi? Lasu już by tu nie było.

- A więc to kłamstwo? - powiedziałam. - Święta ziemia, niesłychane! Całą noc wędrowałam, aby tutaj dotrzeć!

- To nie kłamstwo. - Wrzucił szpadel do pustej beczki, z której dobiegł głuchy, dźwięczący odgłos, jakby małego dzwonu.

Słońce wychylało się na wschodzie - pasma światła przebijały się między drzewami. Jedno z nich padło na twarz mężczyzny. Zobaczyłam wyraziste rysy, zmarszczki wyryte głęboko wokół ust: ust mojego dziadka, przekrzywionych z jednej strony ku dołowi, dokładnie tak samo jak podczas jego sporów z moim ojcem. Wiatr syczał w listowiu niczym wąż.

- Nic tak naprawdę się nie liczy poza wiarą - powiedział dziadek. Wyciągnął rękę i dotknął szala tuż przy moim sercu, do którego tuliłam chorego synka. Potem zabrał rękę, potarł palcem o palec, jakby nadal pomiędzy nimi była warstwa mojego ubrania albo mojej duszy, jakby chciał się przekonać, z jakiego materiału zostałam zrobiona.

Gestem wskazał na pusty kubek, który trzymałam w dłoni. Zerknęłam na naczynie i wręczyłam mu je. Pochylił się i zaczerpnął kubkiem ziemi, którą przywiózł w beczce i rozrzucił. Podał mi ją jak napój.

- Twoje dziecko umiera - rzekł. - Kończy się ród Luarca. Spojrzałam na śpiącego w szalu Mateo, na jego bladą twarz.

Tego poranka zlizawałam ropę z jego powiek. Wyssałam smarki z noska, aby mógł swobodnie oddychać. W bladym świetle wczesnego świtu twarz Mateo wyglądała staro, pod policzkami wyraziście rysowały się kości, jakby ostatnie tygodnie zamieniły się w lata i szybciej zbliżał się do śmierci: mały stary człowieczek.

- Złożyłaś już wszystkie zwykłe obietnice? - zapytał mnie dziadek. - Złożyłaś śluby, co zrobisz i jak żarliwie będziesz wyznawała wiarę, jeśli on przeżyje?

Milczałam. Spojrzałam na niego. Miał na sobie szary fartuch z kieszeniami; taki sam nosił w domku gaśienic. W kieszeni trzymał małą miarę, której używał do badania wielkości kokonów. Musiał wiedzieć, kiedy kokony osiągną odpowiednią wielkość, aby mogły zostać zaliczone do najlepszego gatunku.

- Francisco? - ponaglił mnie.

Skinęłam głowę.

- Tak, obiecałam już co trzeba - szepnęłam.

Nagle wytrącił mi kubek z ręki.

- Masz rację - rzekł. - Wędrowałaś przez całą noc, aby dać się nabrać.

Otworzyłam usta, ale nie odezwałam się. Ziemia spadła na nasze buty.

Nie pozostało ani jedno święte miejsce, w którym bym nie była. Nie pominęłam żadnej prowadzącej doń drogi. Tydzień po Wielkiejnocy obietnica Pańska wypełniła się w kwiatach na każdej gałęzi. Dolores i tata wcale nie wyglądali na zdziwionych, kiedy się pojawiłam. Nawet mnie nie zapytali, gdzie byłam. Może wydawało się im, że moje wędrówki odbywały się jedynie w ich dziwnych snach.

W nocy spałam, trzymając Mateo na sobie, jego główka spoczywała pod moją brodą. Wdychałam woń drzewek morwowych, słodki zapach unoszący się nad wzniesieniem, napływający przez szpary i wypaczenia w oknach i drzwiach, przez komin.

Pragnęłam przejąć chorobę mojego chłopca, podobnie jak to robią niektórzy uzdrowiciele. Skoncentrowałam się i zawołałam do niej. Niezbyt głośno, bezwiednie, pod wpływem impulsu. Moje ciało samo prosiło się o gorączkę: Chodź do mnie, przejdź z niego na mnie. Czasami łudziłam się, że to działa. Mateo odprężył się, zaczynał oddychać swobodniej, a ja odczuwałam dreszcze. Ale nigdy nie umiałam doprowadzić tego do końca. Brakowało mi sił i umiejętności. Główka Mateo kołysała się chaotycznie, póki nie rozpiął mi się staniczek. Na moim ciele pozostawał śluz, który po wyschnięciu ściągał skórę jak strup.

Na sam koniec Mateo zaczął gorączkować. Pewnej nocy, gdy starałam się go lepiej okryć, w świetle świecy dojrzałam, że spogląda na mnie. Jego oczy były puste. Zrozumiałam, że mnie nie poznaje. Dojrzałam w nich strach. Każdy odgłos, choćby nawet węgielek spadający z rusztu, sprawiał, że z przestachu drgały mu nóżki. Rozpłakałam się. To wszystko wydawało się takie niesprawiedliwe. Jakież koszmary mogło mieć małe dziecko?

Mateo nie umiał mówić. Znał zaledwie kilka słów. Nie rozumiałam nawet pomruków, które wydawał. Długie godziny nauki poszły na marne! To jedno teraz wiedziałam i nie miałam z tej wiedzy żadnego pożytku. Język mojego dziecka był jedynym językiem, który powinnam rozumieć, ale ja go nie rozumiałam.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie udusić Mateo, czy nie byłaby to najbardziej miłosierna rzecz, którą mogłam zrobić. Bez przerwy starałam się modlić, mówić coś do siebie.

Francisco, Francisco, po prostu oddychaj, musisz oddychać, musisz go zatrzymać. W mroku zobaczyłam własne serce, skrwawione, zranione, przerażające.

Widywałam serca zaszlachtowanych zwierząt, świń albo owiec. Będąc dzieckiem, często przyglądałam się, jak tata odziera ze skóry i patroszy wiewiórki, które pochwycił we wnyki. Rozkładał wszystko na trzy małe stosy, jeden składał się ze skórek, drugi z mięsa, trzeci z wnętrzności. Przecinał gładki mięsień, który oddzielał płuca od brzucha i wsuwał palec między żebra w poszukiwaniu serca. Zdarzało się często, że maleńkie serce nadal biło, bezmyślna mała maszyna, nieświadoma swego położenia.

Poczułam na obnażonej piersi gorącą, suchą twarzyczkę synka i już więcej nie przemawiałam do choroby. Teraz przemawiałam bezpośrednio do niego. Wracaj. Schowaj się z powrotem we mnie, Mateo. Schowaj się we mnie, a stworzę cię powtórnie. Podaruję ci inne, silniejsze ciało. Oddychał prawie niedostrzegalnie, niemal bezgłośnie, bez ruchu. Wstałam, zapaliłam świecę i delikatnie odsunęłam od siebie ciało Mateo. Trzymałam go tak daleko, abym mogła go widzieć, kiedy zaś na niego spojrzałam, to właśnie się stało: życie uszło z niego na zawsze.

Czekałam na ten moment z przerażeniem, a wszystko odbyło się tak szybko. Było drobnostką niewartą uwagi. Odejście Mateo wyglądało nijako, brzmiało nijako, nie miało smaku ani zapachu. Była tylko jedna różnica: chłopiec nagle zaczął mi bardziej ciążyć w ramionach. Zdmuchnęłam świeczkę, wróciłam z nim do łóżka i zasnęłam. Zasnęłam, mocno do niego przytulona i spałam, sama nie wiem jak długo.

Dolores opowiedziała mi później, że tata wyjął Mateo z moich ramion. Byłam z nimi, gdy grzebaliśmy syna Alvara w morwowym gaju w pobliżu miejsca pochówku dzieci mojej mamy, moich małych braci. Wszyscy spoczywają w rzędzie przy domku gąsienic. Prócz nas nie było tam nikogo, nie było także księdza. Niedaleko naszej grupki zobaczyłam dwóch robotników ciągnących pług. Posuwali się w stronę chmielowego pola. Obserwowałam, jak z mozołem posuwają się naprzód, a wielkie ostrze otwiera ziemię i odsuwa na bok trawę, pozostawiając ślad podobny do przedziałka. Ślad niczym dwie części gładkich maminych włosów, odchodzących na boki od białej linii. Czułam, że gdyby mama przy mnie była, umiałabym znieść utratę synka.

Być może sama jeszcze byłam dzieckiem. Nadal tak bardzo kochałam mamę, że cały świat wokoło wydawał mi się niczym innym jak tylko sekwencją wspomnień o niej, o osobie, którą kochałam najbardziej - jakby ból po stracie Alvara i Mateo stanowił echo pierwszego

nieszczęścia: jej śmierci. Jakby stała między lustrami, jakby cała rzeczywistość przypominała o Conception de Luarca. Ziemia otwierała się pod ostrzem pługa. Przyglądałam się temu, póki robotnicy nie zniknęli z zasięgu wzroku. Tata co pewien czas trafiał szpadlem w kamień. Brzęczało żelazo.

Morwowy gaj był pełen ptaków. Sów i innych najrozmaitszych gatunków. Bezużyteczne drzewka, nie przycinane, nie pozbawiane liści, rosły pięknie i dostarczały zwierzętom pokarmu. Jesienią wzgórze stawało w żółtych płomieniach morwowych liści. Gaj stał się zakątkiem, gdzie chętnie spotykali się zakochani, gdzie robotnicy z pobliskiej plantacji lnu przychodzili na codzienny posiłek, gdzie lubiałam spacerować i gdzie teraz spaceruję w swych marzeniach.

Pochowaliśmy Mateo w najwyższym położonym miejscu morwowego sadu, pod gałęziami drzewa, które zostało zasadzone jako pierwsze. Przychodziłam tam, siadałam i wiedziałam, że moje dziecko jest w ziemi pode mną. Z tej samej ziemi pochodził ból, który wchodził w moje kości nawet w najbardziej upalne dni. Ciało mojego synka miało rozłożyć się, powrócić do ziemi, dostać się do pierwszego spośród tych wszystkich drzew, które kochałam. To drzewo miało przyjąć moje kości, moje ciało. Kładłam się pod jego liśćmi i przytulałam policzek do ziemi.

Upłynęło wiele tygodni od czasu, gdy przestałam karmić Mateo własnym mlekiem. W tym czasie moje piersi zmniejszyły się tak bardzo, jakbym ich w ogóle nigdy nie miała. Ale po pogrzebie znowu popłynęło z nich mleko. Pojawiło się jak przekleństwo. Paliło mnie pod skórą jakby w odwecie, sprawiało ból od karku do krocza. Biłam się pięściami i powtarzałam: „Dlaczego?! Dlaczego?!” Dlaczego pojawiło się właśnie teraz, nazbyt późno?

Przez tydzień mleko spływało niczym łzy. Staniczek i spódnica mniej więcej do wysokości kolan zeszywniały i pachniały kwaśnym mlekiem. Jednak nie chciałam zmienić bielizny, nie godziłam się na jej wypranie. Zdecydowałam się nosić na sobie świadectwo mojego nieszczęścia.

Następnego dnia po śmierci mamy, zanim zaczęłam płakać, wyliczyłam tacie wszystkie złe uczynki, których się względem mnie dopuściła. Przypomniałam, że zawsze wpadała w złość podczas czwartego linienia gąsienic. Że swego czasu ścięła mi włosy, gdy marudziłam przy ich rozczesywaniu. Oświadczyłam, że wymagała od nas wypełniania zbyt wielu obowiązków domowych i że obcymi dziećmi zajmowała się chętniej i z większym poświęceniem niż mną i moją siostrą. Stwierdziłam, że zbyt chętnie przeniosła się do pałacu, gdzie zresztą zachorowała. Wygłosiłam długą litanie, którą, siedząc na pustym łóżku mamy, przećwiczyłam wcześniej w

myślach, wyliczając jej cięższe i lżejsze przewiny.

Tata podniósł na mnie wzrok i rzekł: „Ależ Francisco, moje dziecko, toż to za ledwie chwila wobec długich lat prawdziwej miłości, jaka nas wszystkich z nią łączyła”. Spojrzałam w łagodne oczy taty i wówczas pojęłam, co się ze mną działo: starałam się załagodzić ból wspomnianiem drobnych przykrości. Wmawiałam sobie, że jeśli mama odeszła, to tym lepiej dla mnie. Wspominanie szczęśliwych chwil w jej ramionach, miłości, jaka mnie wówczas przepełniała, budziło rozpacz. A rozpacz łączyła się z pamięcią o chwilach szczęścia.

Przez kilka miesięcy po śmierci Mateo dostrzegałam wokół siebie wyłącznie rozpad. Przez resztę wiosny padały deszcze i nawet tam, gdzie drogi były wybrukowane, w kałużach wiły się dżdżownice. Kroczyłam nad nimi, spoglądałam na ich różowe, ślepe, poskręcane ciała i próbowałam smaku śmierci. Nie znosiłam swojego ciała za jego żywotność. Pragnęłam, by współczuło duszy, jakże chorej i znużonej.

Ciągle spałam. Zasypiałam przy stole, przy piecu, poza domem. Potrafiłam spać w każdej pozycji i w każdych warunkach. Czasem mogło się komuś wydawać, że czuwam; miałam otwarte oczy, a tymczasem spałam.

Pewnej nocy obudziłam się. Domek taty tonął w odgłosach głębokiego snu: męskiego chrapania i oddechów Dolores, przerywanych częstymi westchnieniami, jakby podczas marzeń sennych żałowała, że żyje z nami pod jednym dachem. Wstałam, szybko się ubrałam i po cichutku wyszłam na zewnątrz. Księżycowi daleko jeszcze było do pełni, ale widziałam dostatecznie wiele, aby bez trudu odnaleźć swoją drogę, drogę, którą bardzo dobrze znałam - do miejsca, gdzie dawniej mieszkał Alvaro. Trafiałabym tu nawet z zawiązanymi oczyma.

Postałam przez chwilę pod jego oknem, dokładnie w tym samym miejscu, w którym, nasłuchując, spędziłam wiele wieczorów. Noc pełna była odgłosów, których wcześniej nigdy nie słyszałam, pochłonięta całkowicie osobą Alvara: krzyków wielkich nocnych ptaków, odgłosów żerowania łasic i borsuków, jeżozwierzy, owych stworzeń, które jak ja szły za głosem swych pragnień, podczas gdy reszta stworzenia drzemała. Oberwane okiennice skrzypiały na wietrze.

Po aresztowaniu Alvara jego książki i pisma, pióra, kałamarze i suszki - wszystko - zapakowano w worki i skrzynie, a następnie przewieziono czarnymi powozami do Madrytu, gdzie urzędnicy Boga rozpoczęli swe długotrwałe narady. Ludzie w Quintanapalli dobrze wiedzieli, że miną miesiące i lata, zanim wyrok zostanie wydany. A ponieważ nie mogli się spodziewać, że kiedykolwiek będą świadkami spalenia człowieka na stosie, zdecydowali się

przeprowadzić własne egzorcyzmy. Zbzcześcili małe izby, w których Alvaro niegdyś czytał i robił notatki. Chłopcy powybijali kamieniami szyby i porozbijali wszystko, co tylko zdołali. Potem zamieszkały tu małe zwierzęta.

Stałam w pokoju, gdzie razem studiowaliśmy i gdzie wspólnie przeżyaliśmy rozkosze. Blade światło księżyca ledwie wydobywało z mroku zarys ścian. Powiodłam palcami po stole, przy którym siadywaliśmy. Położyłam się na podłodze, na której razem się kładliśmy. Wpatrywałam się w mrok, lecz niczego nie ujrzałam - nawet duch Alvara tu nie pozostał.

Nie było Alvara. Nie znalazłam go nigdzie. Skulona na podłodze w jego dawnej pracowni, starałam się przypomnieć sobie tamte trzy dni, które spędziliśmy w domku gąsienic. Pamiętałam śnieżną zamieć, swoją twarz między jego ciepłym ciałem a futrzanym podbiciem peleryny. Nie zdołałam wyczarować jego ramion, które brały mnie w objęcia. Ta sztuka udawała mi się bez trudu, gdy myślałam o mamie albo o moim synku. Dziwiłam się, że nie płaczę.

Rozbudzona po długim śnie, otwierałam nowy, bardziej niebezpieczny rozdział mego życia, który zawiódł mnie do ostatniego domu.

To tutaj - rzekł pewien profesor w Lejdzie, omawiając dzieło wielkiego Fallopio i wyciągając dłoń z czymś niedużym, co wyglądało na dwa postrzępione i poszarpane kwiaty - tutaj tkwi źródło naszego życia, życia każdego z nas.

Severo pochylił się na krzesło stojącym przy podwyższeniu sławnego lejdejskiego teatru anatomicznego. Nie widział dokładnie, co pokazywał jego nauczyciel, ale na kolanach trzymał niezwykle cenną księgę, w której pośród innych ilustracji znajdowała się seria rysunków, przedstawiających części ciała kobiety. Owe załączniki dojrzewały wewnątrz ciała kobiety. Były to dwa małe kwiaty na łodygach, nazwanych na cześć sławnego medyka. Severo zrobił notatkę w tekście. „Źródło życia” - zapisał i narysował strzałkę wskazującą właśnie na to miejsce.

Ciało królowej jest jeszcze ciepłe, gdy rozpoczyna się lekarskie dochodzenie. Król, królowa matka, karzeł i ambasador - wszyscy już opuszczają Marię; na jej czole składają ostatnie pocałunki. Potem za Severo wchodzi z zatłoczonego korytarza chirurgowie, którzy czekali tam od godziny, trzymając w rękach piły, naczynia, kolby, bandaże i błyszczące noże.

Pokojówki królowej obnażają jej zwłoki, wkrótce zaś przystępują do niego medycy. Robią jedno długie, głębokie cięcie od mostka po włosy, ocieniające wstydlive części ciała. Wydobywają ze środka serce i wątrobę. Na dużą szpulę nawijają długie jelita. Gąbczaste płuca -

pęcherzyki powietrza ostatnich westchnień nadal pękają w krwi z tchawicy - lądują w jednym z naczyń. Woreczek żółciowy, zielonkawy, napęczniały od żółci - ów mały mieszek, gdzie skupiały się wszystkie nienawiści i rozczarowania Marii - zostaje dyskretnie wyniesiony w butelce. Jeden z chirurgów odkłada do misy pomarszczone nerki, odłączone od rozgałęzień naczyń krwionośnych, trzewia przeniesione zostają kamiennymi schodami do laboratorium Severa. Tam ów medyk, wykształcony przez najtęższe umysły stulecia, przecina nożem każdą część ciała królowej. Otwiera tajemne komory serca; sprawdza pod mikroskopem fragmenty jelit. W sześciu misach ze stygnącymi i tężejącymi wnętrzościami Marii Severo szuka niewielkich kwiatów, takich samych jak te, które niegdyś jego nauczyciel wydobyl z trupa, leżącego na podwyższeniu. Dość długo poszukiwania jajników królowej nie przynoszą rezultatu, ale to medyka nie zraża. Wreszcie znajduje małe załącznik: przykleiły się do pęcherza.

- Miała je - oświadcza Mariannie.

- No cóż, zapewne były dotknięte jakąś chorobą - powiada królowa matka.

Medyk kiwa głową na znak zgody.

- Chyba tak - odpowiada.

Tymczasem Maria znajduje się daleko od swego ciała i laboratorium Severa. Skoro już raz udało się jej dźwignąć, skoro już zdobyła się na wysiłek, zeskoczyła z łóżka i roztrzaskała okno, to odnalezienie drogi do domu nie mogło jej nastreczyć żadnych trudności. Poradziła sobie w ciągu krótkiej chwili. Podróż sprzed wielu lat od boku matki do boku Carlosa zdawała się nie mieć końca. Lecz powrót trwa nieporównywalnie krótko. Maria po prostu nagle zjawia się w *chateau* pośród wszystkiego, co tak bardzo kochała i za czym tak bardzo tęskniła. Odczuwa ulgę, szlocha ze szczęścia, a odgłos płaczu niesie się wzdłuż korytarzy. Służąca dźwigająca skrzynkę z węglem kuli się, potem wygląda przez okno w poszukiwaniu wyjaśnienia. Może to wiatr zerwał się nagle.

Maria - nie, nazwijmy ją z powrotem Marie, nazwijmy ją Marie, skoro znowu znajduje się w domu - Marie jest w południowym skrzydle, gdzie mieszczą się apartamenty jej matki. Podłogi tu lśnią, cienie krzeseł i kolumn, wazonów i kwiatów skaczą i tańczą w łagodnym świetle świec.

Matka nie może być daleko. Zapach Henrietty, woń, której Marie nigdy nie zapomniała, jest silna i określona. Nie tak dawno Henrietta musiała pisać listy, gdyż prócz zapachu kobiety Marie wyczuwa specyficzny zapach laku, niewielkiej, kwadratowej, czerwonej tabliczki, którą jej matka przechowuje w zamkniętej szufladzie sekretarzyka.



Dawno temu wolno było Marie bawić się lakiem. Pewnego razu Marie nakapała go nieco na suszkę i odcisnęła pieczęć Czasem też zostawiała odciski palców na miękkiej, stygnącej substancji, trzymała ją nad ogniem, przyglądała się, jak spływa, tworząc spirale, najpierw szybciej, potem coraz wolniej i jak nieruchomieje. Mama siadała zwykle tuż obok Marie. Siadywała na brzegu krzesła, a wokół niej marszczył się materiał spódnicy. Henrietta odbierała Marie lak. „*Regarde*” - mawiała. - „Przyglądaj się uważnie”. Kiedyś wyciągnęła z małej szuflady kartkę papieru listowego i kopertę. U góry strony napisała: „*Chere, Marie, Maman t'aime*”, poniżej narysowała kobietę, trzymającą kwiat nieruchomo przy swoim boku. Złożyła kartkę i wsunęła ją do koperty, brzeg przytrzymała palcem, a nad knotem lampy roztopiła lak.

Matka Marie trzymała lak nad ogniem, póki krople tworzące maleńką kałużę nie skleiły koperty. Wówczas wyrwała sobie ze skroni jeden brązowy włos, który wystawał spod białej, upudrowanej peruki. Położyła włos na laku i wcisnęła go w głąb pieczęcią. Marie spojrzała na wystające z obu stron końce włosa. Henrietta przez chwilę machała kopertą, po czym wręczyła ją córce. „Oto co powinnaś uczynić, gdy pewnego dnia spotkasz na swej drodze ukochanego mężczyznę” - rzekła. - „Wyślesz mu liścik, a w wosku umieścisz swój włos”.

Marie nigdy nie miała okazji, aby zamknąć liścik miłosny włosiem ze swej głowy. Oszczędzała sentymentalne gesty dla mężczyzny, którego miała poślubić, ale, jak się okazało, nigdy nie odczuła potrzeby skorzystania z nich. Jednakże zachowała ów *billet doux* od własnej matki. Nigdy go nie otworzyła ani nie usunęła włosa. Pozostał w Hiszpanii, w sypialni, schowany gdzieś między drobiazgami.

Przeglądając rzeczy swej zmarłej żony, Carlos natknął się właśnie na ten stary list. Przez moment waży go w dłoni, potem łamie pieczęć i czyta tekst: „Kochana Marie, mama bardzo cię kocha”. Zna francuski dostatecznie dobrze, aby zrozumieć te słowa. Kładzie list na stosie innych przedmiotów przeznaczonych do spalenia, po czym powraca do porządków. Jego osobisty sekretarz sporządza zapiski i robi paczuszki to dla tej, to dla innej osoby. Po chwili Carlos sięga po list i kopertę ze złamaną czerwoną pieczęcią.

- Wyślij to z powrotem do Francji - powiada. - Włóż do szkatuły z jej warkoczem, modlitewnikiem i grzebieniami.

Po nocnym odpoczynku - po wypiciu gorącego mleka, kilku minutach spędzonych przy Estrellicie, wspólnej modlitwie ze spowiednikiem - Carlos bezwiednie zaczyna myśleć o liście, o miłości zaklętej w słowa i ukrytej w zapieczętowanej kopercie. Nie jest w stanie spać. Każę

przynieść świecę. Idzie przed służącym do sypialni zmarłej królowej. Zabiera stamtąd szkatułę przeznaczoną dla Henrietty, przenosi ją do własnej komnaty i umieszcza pod łóżkiem obok innych relikwii. Małą skrzynię z pamiątkami po zmarłej księżniczce, przypominającymi o utraconym szczęściu - zatrzyma pośród innych świętych przedmiotów.

Zapach laku wabi Marie na pierwsze piętro, na galerię i do małego gabinetu, gdzie Henrietta siedzi przy kominku. Czyta za zasłoną, chroniącą jej twarz przed żarem. Zdjęta perukę i włosy ma jeszcze nie uczesane. Przywierają do czaszki niczym wiele maleńkich, szarych liści.

Och! - myśli Marie. Jakaż ona jest już stara! Ma przerzedzone włosy i trzyma w ręku książkę tak niepewnie! Dlaczego? Jak to się stało, że mama tak bardzo się postarzała? Wcale nie przeszkadza jej to usadowić się na kolanach matki, tuż przed kartami książki, oprawionymi w czerwoną skórę.

Henrietta unosi się na krześle, odkłada książkę, powieść Scarrona, jego ostatnie, opublikowane pośmiertnie dzieło. Nożyk do papieru wsuwa dla bezpieczeństwa w skórzaną skuwkę. Gdyby upadł na podłogę, dzieci - albo jeden z jej kotów - byłyby narażone na przypadkowe zranienie. Dwie puszyste kotki spoglądają na Marie, syczą i chowają się pod sofę.

- Co ci jest, Minou? - pyta Henrietta. - Felicite! Głupie stworzenia.

Ucisk w brzuchu i ciężar na piersiach uznaje za objawy niestrawności. Sądzi, że nabawiła się jej po zjedzeniu bażanta, zwłaszcza po ciężko strawnym sosie. Jest już zbyt wiekowa, aby objadać się sosami, ale nie potrafi sobie tego odmówić. Gdzie się podziały węglowe pigułki? Och, na pewno zostały w pokoju bawialnym. Jakżeż daleko! Ale ciężar okazuje się zbyt duży, aby go po prostu zignorować. Będzie zmuszona zadzwonić po pokojówkę i posłać ją po specyfik. Ma nadzieję, że nic poważnego nie dzieje się z jej sercem, ale - o Matko Boska! - ledwie może oddychać.

Henrietta nienawidzi starości. Sądziła, że w miarę upływy lat zmieni się jej charakter, że zadowoli się wygodnym życiem i wspomnieniami namiętności. Wzorem innych kobiet Henrietta spodziewała się, że kiedy nadejdzie starość, w jej piersi będzie biło serce tak samo słabe, pozbawione życia i przyklapnięte jak jej włosy. Czuje się oszukana przez życie, które pozostawia żywotne serce młodej dziewczyny w zrujnowanym ciele.

Niewykluczone, że nie cierpi z powodu niestrawności, lecz z żalu. Matka Marie otrzymała dzisiaj wiadomość o śmierci człowieka, którego niegdyś kochała, który zachował w jej pamięci chłopięcą sylwetkę. Dokładnie tak samo ona zachowała młodość we wspomnieniach córki.

Pewnie, markiz de Brinvilliers był kiedyś chłopcem, chłopcem o złocistych włosach, silnych nogach i ramionach. Wiadomość o jego śmierci była jak nagłe ukłucie bólu, szybkie i brutalne, jak skręcenie karku małemu kotu. W jednej chwili zabiła w niej całą radość.

Henrietta ciągnie za dzwonek. Na widok służącej Marie schodzi z kolan matki.

- Moje pigułki - mówi Henrietta do pokojówki. - Przynieś mi je, proszę.

Marie zatrzymuje się w drzwiach, spogląda na matkę, która ponownie sięga po skuwkę na nożyk i bierze książkę do ręki. Henrietta rozdziela kolejne kartki, przenosi wzrok na następną stronę, ale nie czyta. Opiera się wygodnie na krześle, kładzie książkę na kolanach i przymyka oczy. Martwi się o Marie. Oczywiście nie po raz pierwszy dowiadywała się o chorobie córki. Tylko że dotychczas wszystko zawsze kończyło się pomyślnie. Najnowsze doniesienia wcale nie brzmiały bardziej groźnie niż poprzednie. Jak zwykle były utrzymane w rzeczowym tonie; ostatnie pismo zawierało niewiele szczegółów. *Maria Luisa, Regina etc, zachorowała nagle w teatrze wieczorem siedemnastego dnia grudnia. Rozpoznanie nadwornego medyka brzmi: cholera morbus.*

Pismo odczytano królowi. Nie zdradzał przy tym żadnych emocji. Później, podczas obiadu, Ludwik odszedł od stołu, nim podano ostatnie danie. Zatrzymał się przy krześle Henrietty.

- Pani? - zapytał. - Czy w bukietach ślubnych twojej córki znalazły się żonkile?

- Tak - odrzekła Henrietta.

- A narcyzy i lilie?

- Owszem - potwierdziła. - Wiele odmian lili. Skinął głową.

- Tak sądziłem - powiedział i wyszedł z pokoju.

Pierwszy z kilku ślubów Marie Louisy, francuskiej księżniczki z hiszpańskim królem, odbył się w Paryżu. Jej ojciec podprowadził ją do hiszpańskiego ambasadora, który trzymał na rękach poduszkę z miniaturowym portretem króla Hiszpanii. To był parny, sierpniowy dzień. Z trudem oddychało się i w *chateau*, i na zewnątrz. Goście weselni zebrali się w ogrodzie pod ogromnym namiotem. Wszystkim damom stopy odparzały się w pantofelkach, nawet w tych, które nie miały zakrytych nosków. Peruki ciążyły niczym wojskowe hełmy. Płatki opadały z więdnących lili. Nagie łądygi kwiatów ocierały się o suto marszczone suknie, a brązowy pyłek plamił materiał na zawsze. Kropelki potu zbierały się nad górnymi wargami kobiet i słone strużki potu ginęły pod ich staniczkami. Wypukłości piersi unosiły się i opadały w szybkim rytmie. Pot

zamieniał puder z peruk w kleistą maź, która powoli spływała za uszami i po karku, gasząc blask drogocennych kamieni w kolczykach.

Nim ceremonia dobiegła końca, każda dama dworu trzymała biżuterię swej pani i wszystko, co, nie ubliżając skromności, można było zdjąć: peruki, wstążki, gorsety, krezy, staniki, hałeczki, szarfy, wachlarze, chusty. Wszystko to tymczasowo przechowywano w podręcznych koszach na wypadek, gdyby zerwał się chłodny wiatr i ta czy inna dama zaczęła marznąć. Ale powietrze stało w miejscu. Nie poruszył się nawet jeden liść, więc pokojówki zupełnie niepotrzebnie krążyły za wytwornymi damami, które wyglądały równie dziwnie jak oskubane pawice.

Dopiero następnego dnia nadciągnęła nad Paryż prawdziwa wichura. Rozgoniła koszmarny upał i z *chateau* pozrywała dachówki, które, wirując, przelatowały nad parkami, fontannami, ścinały kwiaty i utraçały nosy marmurowym nimfom. Henrietta stała obok Marie. Obie przyglądały się atakowi żywiołu z galerii nad polami do krykieta. Wsunęła dłoń pod włosy córki, zatrzymała ją na gładkim, wilgotnym karku.

Choć zdaje sobie sprawę, że to głupie, ale od samego początku myśli o córce w taki sposób, jakby ta tworzyła rodzinę z małym portretem w ramach wysadzanych małymi kamieniami. Wyobrażała sobie Marie siedzącą obok portretu przy stole, wdającą się z portretem w konwersację i odpoczywającą z głową na poduszce przy portrecie, którego rama połyskuje w migotliwym świetle świecy. Głupie. Ale wcale nie bardziej niż większość opowieści na temat rzeczywistego Carlosa, a w dodatku znacznie bardziej uspokajające.

- Marie! - woła nagle Henrietta i otwiera oczy.

Marie Louise, jej ukochane dziecko, jej maskotka, skarb. W okresie połogu po urodzeniu Marie, Henrietta dostała gorączki. Chorowała, a brzuch miała tak samo wielki i napięty jak przed porodem. Przeżyła skok temperatury i nastroju. Wpadła w euforię, jaka czasem ogarnia matki, gdy dostają mleczej gorączki. Dzięki temu jeszcze bardziej pokochała swoją córkę i nigdy już nie kochała jej mniej.

*Henrietta wstaje i rusza do sekretarzyka. Siada, rozkłada kartkę. Chere Marie - pisze - myślę o Tobie bez ustanku. Ogromnie się martwię i doprawdy szczerze...*

Marie podchodzi z tyłu do krzesła matki i czyta list, którego nigdy nie otrzyma. Henrietta pisuje do córki pasjami, kilka razy w miesiącu. Wszystkie listy od niej są przewiązane wstążką. Leżą w jednej z szuflad w garderobie królowej matki. Kiedy Marianna umrze, może ktoś je

odnajdzie.

*Wszyscy o tobie myślimy i modlimy się, abyś szczęśliwie wyzdrowiała - pisze Henrietta. - Twój stryj, król, zapytał podczas ostatniego obiadu, jakie kwiaty składały się na twój ślubny bukiet. Nie widziałyśmy się już - nie do wiary - dziesięć lat? Jakże trudno mi spacerować po ogrodzie, radować się urodą krajobrazu, alejek, małego mostu, ścieżek, a przy tym boleśnie za tobą nie tęsknić. Wydaje się...*

Marie rzuca się matce na szyję, Henrietta upuszcza pióro, uwięziona w niesamowitym uścisku. Kiedy córka uwalnia ją osuwa się na sekretarzyk.

Nazajutrz lekarz nazwie jej nagłe zasłabnięcie niedyspozycją, wywołaną spożyciem nadmiernie tłustych potraw i zaleci ścisłą dietę. Henrietta oczywiście będzie spierała się z lekarzem, sławnym medykiem, wykształconym w równie sławnej szkole medycznej w Montpellier. Zapyta, co wspólnego może mieć ciężko strawny sos z wrażeniem, że ma się złamany kark, z kołataniem serca i ściśniętym gardłem.

- Tego rodzaju objawy - stwierdzi bełkotliwym głosem, szlochając - nie miały nic wspólnego z niestrawnością. Nigdy wcześniej nie miałam podobnych dolegliwości! W żadnym wypadku!

Na razie Marie opuszcza matkę, złożony wprzód żarliwy pocałunek na jej skroni, czole, karku i ramieniu. Ostatni pojedynczy pocałunek zostawiła na dłoni, otwartej i pustej. Wcześniej pióro upadło na podłogę.

Gdybym chociaż zdobyła się na odrobinę rozsądku wymyśliła jakiś plan, znalazła uzasadnienie. Nie wiem dlaczego nie pojechałam do Madrytu - cóż bowiem trzymało mnie w Quintanapalli? - albo do Paryża. O tak, dlaczego nie opuściłam Hiszpanii i nie zaszyłam się w jakimś mieście na północy?

Teraz czasami sobie wyobrażam, że jednak pozostawiłam wszystko i odeszłam. Moje *sanbenito*, owa zabawna, długa szata zostaje na ławie przy piecu. Opuszczam małą szkatułę z rzeczami mamy, kubeczek i łyżeczkę Mateo, maleńki, złocisty lok z jego głowy, który włożyłam do skrzyni z pamiątkami po naszych przodkach. Opuszczam tatę i Dolores. Podążam na północ, odnajduję drogę przez Góry Kantabryjskie, potem przez Pireneje.

W myślach odbywam podróż, jaką niegdyś wymyśliłam dla jedwabnej przędzy, poszukującej igły w Paryżu, igły, która by przymocowała guzik zrobiony przez Alvara. Podobnie

jak jego brat, gubię się w tym ogromnym mieście, gdzie moja rozwiązłość pozwala mi zarobić na utrzymanie.

Nigdzie nie odeszłam. W okresie, kiedy jeszcze mogłam uciec nie miałam dość energii, aby przygotować jakiś plan, czy to duży, czy to mały. Upływała minuta za minutą, mijały dni, godziny, tygodnie i miesiące, a ja nic nie robiłam.

Nie miałam miesięcznych krwawień - może nie miałam dość krwi do stracenia - i już nigdy nie zaszłam w ciążę. Nie dlatego, że żyłam w cnotcie. Przeciwnie. Miałam wrażenie, że na sukni noszę całkowicie inny znak niż ostrzeżenie, które było tam wyszyte. Jakieś zaproszenie, jakąś zachętę. Naraz ni z tego, ni z owego każdy wieśniak wiedział, że byłam gotowa do wzięcia. Nie musieli nawet prosić: byłam gotowa obłapiać się z każdym.

Wiedzieli, gdzie mnie znaleźć - w starym domku gąsienic, który już na zawsze opuścił mój ojciec. Ludzie przestali kupować od taty małe drewniane zabawki, ozdoby do włosów, kubeczki i grzechotki. Tata spędzał całe dni na sprawdzaniu, czy wiewiórki dały się złapać we wnyki, albo na uprawie naszego nędznego ogródka. Domek gąsienic miałam dla siebie. Rozpalałam ogień w jednym z czterech pieców i kuliłam się blisko jego światła i ciepła.

Spodziewałam się, że nawiązywany w milczeniu kontakt ciał przyniesie pocieszenie. Ale mężczyźni nie chcieli uszanować ciszy. Bez przerwy musieli coś mówić. Opowiadali, że cena wełny ustawicznie spada, że ich synowie chorują na gruźlicę albo że ich siostry są zbyt brzydkie, aby znaleźć kandydatów na mężów. Przysuwałam dłoń do ich ust albo zatykałam sobie uszy. Głuchłam. Niczego nie chciałam wiedzieć o chorych owcach i chorych matkach, uprawach fasoli, cenie słoniny albo o tym, jak bardzo martwią się, że śpiąją ze mną i muszą opowiadać rozmaite kłamstwa własnym żonom.

Nad naszymi głowami, głośniej niż cokolwiek innego, brzmiał głos mojego dziadka.

- Ten świat dzieli się na tych, co dają, i na tych, co biorą - rzekł pewnego razu. - Do których ty się zaliczasz?

- Nie wiem, dziadku - odparłam.

Tamci mówili do mnie, a ja odzywałam się tylko do niego.

Robiłam jeszcze jedną rzecz, która przerażała mężczyzn. Robiłam to nieświadomie. Nic groźnego ani magicznego. Niewiele trzeba, by przestraszyć człowieka. Wiecie, czego oni się obawiali? Ciemności. Wystarczyło, że zdmuchnęłam świecę, i już rzucali się na czworakach po ubranie, zaczęli się jękać, wzdychać i czołgać ze strachu.

Jedna pora roku następowała po drugiej - wiosna, potem lato. Znowu zjawiała się jesień. Chodziłam po kamieniach, po kobiercu z żółtych liści, które szeleściły, poruszane lekkim wiatrem. Ziemia pod moimi stopami zdawała się żyć, poruszać. Jaskrawe światło raziło mnie w oczy. Wiatr z sykiem owiewał resztę liści, które pozostały na drzewach. Ze wszystkich stron dobiegały jakieś szepty.

Morwowe drzewka rosły teraz dziko, lecz ja nadal zmagalam się z nosidłami i wiadrami. Nie przeszkadzało mi, że często wylewałam chłodną wodę na spódnicę. Z przyjemnością troszczyłam się o nie. Kochałam je jeszcze bardziej teraz, gdy stały się bezużyteczne. Jak klejnoty, jak jedwab, którym się nigdy nie stały. Miały wartość same w sobie.

Staralam się nie rozczulać nad sobą. W przeszłości, gdy już wiedziałam, że Mateo jest poważnie chory, nauczyłam się przeżywać własne cierpienie z pewnego dystansu. Myślamy wybiegałam w przyszłość do wszystkiego, w czym zawierało się cierpienie, i liczyłam liście udręki na każdym drzewie. Jak się okazało, cierpienie wcale nie było mrocznym lasem pełnym chaszczy, lecz płaską, szarą pustynią. Jakby robactwo pożarło wszystko do ostatniej gałązki uczucia. Jakby mój ojciec przeszedł z pochodnią przez ów las, podпалиł drzewa, a ogień zamienił je w popiół. Wszystko umarło, zbrązowiało, wyschło, nie pozostał żaden, najmniejszy nawet listek bólu ani rozkoszy.

Dwa lustra, a między nimi próżnia, zimowa pustka.

Może nie miałam dość wstydu. Nie chowałam się w magicznym płaszczu opanowania, jak przystało na kobietę. Chyba powinnam była ukrywać swą niedolę.

Dawno temu pewien handlarz sprzedawał perfumy, bransoletki i małe lusterka z wizerunkami świętej Łucji na drugiej stronie. Świętej Łucji bez oczu. Świętej, która widziała zupełnie inny świat, nie nasz. Ów handlarz wiele razy przejeżdżał przez nasze miasteczko. Pewnego razu mama kupiła u niego małe zwierciadelko za pieniądze zaoszczędzone z zarobku w ochronie dla sierot.

Nosiłam to lusterko zawsze przy sobie. Trzymałam je w kieszeni spódnicy. Kiedy nikt nie widział, przyglądałam się własnej twarzy, ale nie z próżności. Spoglądałam w lustro, aby zobaczyć, kto się w nim chowa. Kim była ta Francisca, która oddawała się cielesnym rozkoszom z księdzem i urodziła mu anioła? Sądziłam, że przeobrażam się w potwora, dlatego za każdym razem, kiedy patrzyłam na swoje odbicie w lustrze, zadziwiał mnie widok bladej twarzy dziewczyny o ciemnych oczach. Twarz *mozy*, bo tak nazywaliśmy dziewczęta, które utraciły

niewinność.

Spoglądanie w zwierciadelko stało się moim nawykiem. Doszło do tego, że nigdzie się bez niego nie ruszałam. Czasami szłam i po drodze poruszałam nim w taki sposób, że mały, świetlny krążek przesuwał się przede mną na drodze albo grał na ścianach domów.

- Rzuca na nas uroki - usłyszałam kiedyś szept pewnego chłopca. - Uważaj, aby nie dotknął cię krążek światła. Spaliby cię jak nic. - Poświeciłam na jego uda. Krzyknął.

Szalona Francisca. Czarownica.

Wszędzie słyszałam płacz Mateo. W szumie wiatru, w wyciu wygłodniałych kotów, w targowym gwarze. Usłyszawszy podejrzany dźwięk, odwracałam się gwałtownie. Ale za mną nikogo i niczego nie było - ani kota, ani nawet krowy. Przechodziłam przez targ z lusterkiem w ręku, nie podnosząc głowy. Nie patrzyłam przed siebie, nie patrzyłam nikomu w oczy. Wpatrywałam się w ziemię pod swoimi stopami i unikałam kolizji, zrećnie posługując się lusterkiem.

Widziałam usta, poruszające się wewnątrz mojej dłoni, i czarne wloty nozdrzy. Dzień dobry, Francisco. Jak ci się wiedzie? W wybuchu wesołości rozciągały się wilgotne wargi. Na dłoni widziałam ich zęby. Wyczuwałam, że nawet ci ludzie, którzy ze mną rozmawiali, bali się i walczyli ze strachem.

Włóczyłam się bez ustanku. Czasami dostrzegałam, jak ludzie wymieniają spojrzenia, odprowadzają mnie wzrokiem, potrząsają głowami. Wypowiadali imię mamy, przekazywali je jeden drugiemu. Słyszałam je jak westchnienie niesione na wietrze: Conception, Conception. Kiwali głowami, zastanawiali się, w jaki sposób do tego doszło. Jaka smutna byłaby Conception, gdyby mogła ujrzeć teraz swoją córkę.

Jeszcze raz odwiedziłam święte miejsca. Wędrowałam bez celu, bezwiednie. Zdarzało się czasem, że szłam, póki nie zemdlałam, póki nie straciłam oparcia pod stopami. W jakiś cudowny sposób wracałam zawsze do morwowego gaju, do wiatru, który wprawiał w ruch chmury pożółkłych liści. Każda z nich, jasna, utkana w świetlane kręgi, wirowała, wznosiła się, opadała. Pełna nadziei, pogodna, płonąca jasnymi barwami. Zanim ostatecznie opadła w czarne, listopadowe błoto, jeszcze raz wzbijała się w powietrze. Deptałam te liście. Dużym palcem u nogi rozmazywałam błoto na złocie.

Z nikim nie rozmawiałam. Słowa - łacińskie i hiszpańskie - formowały się w mojej głowie jedynie po to, aby pomóc mi siebie strofować. Dawniej wierzyłam w ich moc; teraz



zdawałam sobie sprawę, że nie przynoszą ratunku. Czułam się oszukana. Tyle że umiałam lepiej sobie uświadomić swój beznadziejny stan, potrafiłam wyrazić cierpienie.

Tamtej jesieni w Quintanapalli spłonęło trzynaście domów i to nie za sprawą wysłanników Kościoła, cywilizowanego Kościoła, tylko podejrzliwych sąsiadów. Niektórzy spośród mieszkańców podpalonych domów nie mieli czasu na ucieczkę przed swoimi zamaskowanymi prześladowcami. Manuela Xaviera, hodowcę chmielu, pochwycono w bramie. Następnego dnia ujrzałam w niej jego kapelusz i buty. W błocie zastygły ślady walki, dalej zaś odciski bosych stóp Manuela. Mróz nie zdążył mu dokuczyć. Ślady urywały się w młynie, gdzie pozostało martwe ciało, zmiażdżone między kamieniami. W taki oto sposób na pewno wybito mu z głowy wszelkie heretyckie myśli. Z kolei Ilenia Xavier ucięto język za fałszywe świadczenie przeciwko bliźniemu, gdyż wymieniła nazwisko mężczyzny, którego podejrzewała o zabicie męża.

Po aresztowaniu Alvara pozwolono mi pozostać na wolności w Quintanapalli pod warunkiem, że zawsze, nawet podczas snu, będę miała na sobie *sanbenito*, które miało mnie powstrzymać przed głoszeniem herezji i rozpustnymi uczynkami. Dzięki temu człowiek nie zaznajomiony z moimi grzechami, na przykład jakiś wędrowiec, dowiadywał się o chorobie, jaka mnie dotknęła, i trzymał się ode mnie z daleka.

Tylko inkwizytor mógł jeździć wierzchem. Czasem wieczorem prószył śnieg, w powietrzu unosił się zapach palonego drewna, kropla wieprzowego tłuszczu skwierczała na kuchni. Zawołał jakiś ptak, polano upadło na żar, skrzypiały drzewa na wietrze. A może taki właśnie odgłos wydają owinięte szmatami kopyta na wybrukowanej drodze? Zerwał się wiatr, gdzieś w oddali pękła gałązka. Wszystko przypominało mi odgłos stąpającego wierzchowca inkwizytora.

Mężczyźni ubrani w białe kaptury regularnie przejeżdżali przez nasze miasteczko. Podążali do wielkiej katedry w Burgos, tej kościelnej twierdzy. Pewnego popołudnia jechali przez rynek. Jeden z nich powiedział coś do swego pomocnika. Tyle wystarczyło. Pochwycili mnie i wrzucili do czarnego powozu, gdzie znajdowały się już dwie osoby: Ilena Xavier, której skonfiskowany język pewnie tylko zaostrzył apetyt Świętego Oficjum na całą resztę, oraz starszy mężczyzna, znany jako Caballo. Ten ostatni miał podobno widzenia. Podobno anioł w cudowny sposób przeniósł go do areny w niebie i pokazał mu Jezusa w stroju matadora.

Aresztowana na podstawie podejrzania o czary, dołączyłam do tych wygłodniałych

kobiet, które twierdziły, że spotykają się w środku nocy na bankietach; do całkiem zwyczajnych kobiet, które pragnęły oderwać się od swych trosk i twierdziły, że potrafią latać; do samotnych, które opowiadały, że kładły się do łóżka z tajemniczym, rogatym mężczyzną. Dołączyłam do innych kobiet, które dotknęło nieszczęście utraty dziecka.

Spod opieki Inkwizycji można się było uwolnić przez zapłacenie grzywny, lecz tata nie miał pieniędzy. Niewiele pieniędzy mieli ludzie w Quintanapalli, a grzywna za czarownicę wynosiła dużo, dziesięć dukatów. Dla zwykłego śmiertelnika była to suma niemożliwa do wyobrażenia. Nie zarobiliśmy tak dużej kwoty, pracując od świtu do zmroku przez okrągły rok. Oddaliśmy jednego dukata, ostatniego z oszczędności po dziadku, ostatniego zarobionego na jedwabnikach. Dzięki temu na osiem tygodni zostałam powierzona opiece taty. Pozostało do zapłacenia dziewięć dukatów długu.

Tata na serio przystąpił do zarabiania większych pieniędzy. Podkradał kolejne minuty z codziennego snu, ażeby zrobić więcej pułapek, schwytać więcej wiewiórek, zdjąć z nich skórki i więcej ich sprzedać handlarzowi, który raz na miesiąc przybywał do miasteczka: pięćdziesiąt małych skórek za dukata. Zanim jednak ojciec sam wpędził się do grobu, nasz los przeciął się z losem niejkiej Cristiny Garcii, córki jednego z miejscowych kupców. To ostatecznie rozstrzygnęło sprawę. Wreszcie zakończyło się to, co niegdyś rozpoczęła moja siostra.

Jeśli w ogóle istnieje Bóg w niebie, musiał wiedzieć, że Cristina była dziewczyną, której krew burzyła się nadmiernie szybko i mąciła jej myśli. Była jedną z tych, które malowały usta i policzki. Zawsze potrafiła zdobyć pieniądze na wstążki albo na nowy amulet na szyję. Chodziła bez nakrycia głowy. Lubiałam przyglądać się jej dyskretnie, ponieważ była pogodna i żywa. Ledwie schodziła z oczu starszym kobietom, zaraz poprawiała ubranie tak, aby stanik przysłaniał mniej ciała. Tamtego roku kupiła dzwoneczki u kupca handlującego błyskotkami, tego samego, który sprzedawał lusterka, i przywiązała te maleńkie dzwoneczki do butów. Od tej pory zawsze było słychać, jak ucieka przed rozochocionymi chłopcami.

Jednak krew domaga się swego. Cristina zakochała się w chłopcu o imieniu Alonso. Ów młodzieniec w ogóle nie miał dla niej czasu. Wszyscy jego bracia pomarli, więc sam musiał ciężko pracować, aby niczego nie zabrakło jego starym, niedołężnym rodzicom. Nigdy nawet nie zwrócił uwagi na wesołe pobrzękiwanie srebrnych dzwoneczków przy błyszczących, natłuszczonych butach Cristiny. Więc przyszło jej do głowy, że został zauroczony.

Francisca - pomyślała. To Francisca poświęciła na niego lusterkiem. Poświęciła mu w

oczy i serce. Pomaszerowała do kołodzieja. Oświadczyła, że Francisca posiada magiczne szkło. Jeśli trafi kogoś odbitym światłem, zabiera mu duszę. Właśnie w taki sposób pozbawiła duszy Alonsa Mantem, wyssała szpik z jego kości.

Los sprzyjał Cristinie Garcii. Nie minął tydzień od dnia oskarżenia, a Alonso poważnie zachorował. Nikt się nie łudził, że przeżyje chorobę. Nie miało znaczenia, że nabawił się tej samej choroby, która dosięgnęła także służących jego ojca. Nikomu nie przyszło do głowy, aby zauważyć: Zastanówcie się, ten chłopiec sypiał w tym samym miejscu, gdzie śpią krowy i świnię jego ojca, a także oracz, który kaszlał i pluł krwią przez całą zimę.

Siedziałam w domu przy piecu, gdy weszła Dolores.

- Alonso ciężko zachorował - powiedziała. - Wszyscy mówią, że tego nie przeżyje. - Ani wyraz twarzy mojej siostry, ani sposób mówienia nie zdradził, co czuła, gdy przyniosła tę wieść.

Upuściłam pułapkę, którą pomagałam zbudować ojcu. Bliska śmierć Alonso stawiała pod znakiem zapytania sens naszych starań. W końcu musieliśmy się poddać. Podeszłam do taty i wyjęłam mu z rąk zwój szpagatu. Powstrzymałam go przed przygotowaniem następnej pułapki.

- Wiewiórki odetchną z ulgą - powiedziałam. Pocałowałam ojca w czoło.

Tak się złożyło, że Alonso jeszcze żył. Odwlokła się chwila jego odejścia z tego świata. Śmierć przyszła wcześniej po mego tatę. Ojciec zapowiedział jej przyjście tydzień wcześniej. Niedługo po tym, jak rozeszła się wieść o chorobie Alonsa, tata przewrócił się zaraz za progiem domu. Kręciło mu się w głowie, nie mógł się podnieść, a kiedy zabraliśmy go do domu, okazało się, że nie ma władzy w jednej ręce i że tylko jedna noga jest sprawna. Siła opuściła całą prawą stronę jego ciała. Kiedy pił wodę, ta wypływała z bezwładnych w połowie ust.

Oświadczył nam, że umrze. Stwierdził, że nie ma co do tego wątpliwości, ponieważ przez całą noc śnił o swym ojcu, matce i o Ernesto, który niegdyś runął w przepaść razem z osłem i medalionami przeciwko zarazie.

- Wiercie mi, jest tam łoże całe zrobione z masy perłowej - powiedział nam podnieconym głosem. - Conception miała rację. Jest dokładnie tak, jak to nam przepowiedziała.

Oczywiście widziałam mamę z jego snów. Tata spędzał w jej ramionach każdą noc. Pod prześcieradłem tańczył z nią na jednej nodze i był szczęśliwy. Wreszcie znowu nie był sam. Mama go odwiedzała. Wkrótce miał się z nią połączyć i ponownie ujrzeć swe odbicie w błyszczących czubkach jej czarnych pantofelków. Poinformował nas, że teraz mama nosi wyłącznie najpiękniejsze suknie.

- Podobne do tej, jaką miała na sobie w dniu naszego ślubu.

Dolores usiadła przy łóżku taty i położyła dłoń na jego czole. Pochyliła się i uważnie przyjrzała jego twarzy. Gdy spał, kciukiem podnosiła jego powieki. Pograżone we śnie oczy poruszały się żywo, przemykały po jej twarzy, ale zupełnie obojętnie. Przesuwały się po ścianach, suficie, ogniu, oknie i jeszcze raz dookoła, lecz nie spoczęły na niczym. Dolores zabierała rękę i wracała na krzesło. Wołała ojca i szarpała go za ramię. Nie mogła tego znieść: tak się starała, a on po prostu uciekał do innego świata, pozostawiając za sobą niewdzięczne ciało.

Moja siostra nie chciała robić dobrych uczynków, o których nikt by się nie dowiedział. Listę prawych czynów miała bardzo krótką. Do tego zaś nigdy nie zapomniała o żadnym święcie, nigdy nie opuściła ani jednego paciorka w różańcu. Wierzyła, że ta cała arytmetyka okaże się przydatna i zapewni jej miejsce w niebie.

Byłam przy ojcu, gdy odchodził. Dolores ustawiła zapaloną świecę przy jego łóżku. Czekałyśmy, kiedy tata wyda ostatnie tchnienie, kiedy na powierzchni lusterka po raz ostatni pojawi się mgielka.

- Francisco! - krzyknął. Otworzył oczy i spojrzał mi w oczy. - Córko!

Chwycił materiał spódnicy i przyciągnął mnie do siebie. Bezwładna część jego ust była biała od śliny. Ochrypłym głosem i stanowczym tonem rzekł: - Nie zaniedbuj gaśienic! - po czym przestał oddychać.

Przez pozostałą część nocy leżał martwy w swoim łóżku. Zostawiłyśmy zapaloną lampę, traciłyśmy olej aż do świtu. Z umyciem ciała czekałyśmy do nadejścia nowego dnia. Po wschodzie słońca Dolores przyniosła miskę z wodą i dwie czyste ściereczki.

- Weź to - powiedziała. - Sama to zrób.

\* \* \*

Moja siostra nie miała dzieci. Wyszła za mąż w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, zgodnie z tym, co jej powiedziałam, gdy była dzieckiem. Jednakże nie poślubiła Luisa Robredo i nie przeniosła się na południe. Zamieszkała niedaleko naszego rodzinnego miasteczka, nie gdzie indziej, jak tylko w sąsiedniej Rubenie. Jej mąż zajmuje się uprawą lnu. Tyle wiem. Nie byłam na jej ślubie, ale mimo to wiem.

Na wiosnę, mniej więcej w okresie Wielkiejnocy, kiedy niegdyś wykluwały się gaśienice, Dolores pomaga mężowi w siewie lnu. Sieje się go bardzo gęsto, tak gęsto, że każda roślinka

próbuję prześcignąć sąsiednią w wyścigu ku słońcu. Wszystkie rosną prosto i wysoko. Latem wrywa się rośliny tuż przy korzeniach. Uzyskane nasiona przechowuje się do następnej wiosny, natomiast łądygi wrzuca do stawu. To właśnie Dolores międli łądygi, oddziela włókna i wyczesuje paździerze. Używa cierlicy, grzebienia o dwunastu stalowych zębach, które tkwią w drewnianej oprawie.

Gromadzi razem wszystkie długie, lepkie włókna. Potem w towarzystwie sąsiadek plotkuje i przedzie, póki lniany plon nie zostanie nawinięty na szpule. Ta praca trwa tygodniami. Gąsienice pracują nieporównywalnie szybciej, lecz przedzenie lnu to długotrwałe zajęcie. Mieszkańcy Rubeny nie rozpalają ognisk na świętego Jana, nie mają bowiem na to czasu. Nie świętują udanych zbiorów. Nie pochłaniają ich żadne inne sprawy poza obróbką lnu, ponieważ późną jesienią przybywa tkacz.

Ów małowówny mężczyzna rozstawia swój warsztat w obórcie, należącej do Dolores. Krowa i koza muszą przeżyć ten czas pod gołym niebem. Wracają do swojego mieszkania, gdy skończy się lniana przedza. Rzemieślnik nie odzywa się do Dolores, milczenie odpowiada charakterowi jego pracy. Nie podnosi głowy, gdy Dolores stawia przed nim kolację, jakby nadal przed oczyma miał wyrabiany materiał. I przekłada łyżkę z ręki do ręki, jakby to było czótenko przy krośnie. Na wykonanie pracy wystarcza mu tydzień. Jako wynagrodzenie bierze dla siebie najlepszy kawałek lnianego płótna. Resztę Dolores bieli, dzieli na prześcieradła albo obrusy i sprzedaje na targu.

Moja siostra należy do zamożnych gospodyń. Jako jedna z niewielu w Rubenie posiada w domu piec do pieczenia chleba. Do niej przychodzą sąsiadki zrobić wypieki i wymienić plotki. Uważa się za osobę szczęśliwą, jeśli nie wspominać o bezdziejności. Przez pierwsze kilka lat małżeństwa zasięgała porady uzdrowicieli, którzy starali się przywrócić płodność jej łonu. Usiłowali odwrócić działanie złych oczu, mojej klątwy, skażenia moimi grzechami. Teraz Dolores systematycznie siada na koszu, ustawionym nad parującym naczyniem z dziką rutą i kozieradką. Łyka gorzkie medykamenty.

Dużo mówi na temat niemożności zajścia w ciążę. Opowiada mężowi, że jej organizm jest bardziej delikatny niż większości kobiet, że pranie zimą jego ubrań i ustawiczne oziębianie się lodowatą wodą odebrało jej ciału zdolność poczęcia. Twierdzi, że nie może brodzić w stawie, aby wybierać namoknięte łądygi, i że międlenie oraz czesanie lnu może jeszcze pogorszyć jej stan. Mąż kocha ją mocno. Z myślą o niej wynajął nawet służącą. Zabiera ją do wszystkich świętych

miejsce w promieniu trzystu mil. Jest szczupłym mężczyzną z wąsami, które szarpie, gdy jest zdenerwowany. Z powodu Dolores powyrywał sobie z nich niemal wszystkie włosy.

Moja siostra marzy, aby dowieść, że jest prawdziwą kobietą. Tego najbardziej pragnie. Nawet poronienie zaspokoiłoby jej ambicje. Wiązałoby się z cierpieniem, które mogłaby dzielić z przyjaciółkami; wszystkie by się nad nią użalały, traktowały ją bardziej serdecznie; chciałyby jej pomóc zapomnieć. Jednak bezpłodność to ciężar, z którym kobieta musi sobie radzić w samotności.

Po sezonie Dolores zajmuje się wyrobem mydła, tak jak niegdyś nasza babcia i mama. Wyrabia mydło. Ceruje. Krząta się. Diabeł uwielbia nierobów, więc moja siostra stale sobie znajduje jakieś zajęcie. Palce ma kościste i czerwone. Kiedy wieczorami miesza mydło w kociołku, z pewnością rozmyśla o mamie. Zmarli zawsze są z nami, nie możemy się od nich uwolnić.

\* \* \*

Właśnie tej nocy odwiedził mnie Alvaro. Płakałam przez sen, płakałam i śmiałam się jednocześnie. Krzyknęłam i poderwałam z posadzki, na której leżałam. We śnie potrząsnęłam kratami mojej celi.

Tak, to prawda, Alvaro. Przyszedłeś do mnie. Całą noc parzyliśmy się w moich snach. Miałeś gorący język i ścisnąłeś mnie niezwykle mocno. W objęciach złamałeś mi kręgosłup, ustami poparzyłeś skórę na moim czole. Wsuwałeś język do moich oczu i uszu. Twoje wilgotne usta wydawały się ogromne. W pewnym momencie poczułam, że cała wślizguję się do twojego gardła. Gryzłeś mnie wszędzie, z moich brodawek spływała krew.

Krzyknąłeś, gdy rozchyliłeś mi nogi. Zdumiałeś się, że moje pożądanie było tak oczywiste, tak widoczne, jakbym stała się naczyniem, z którego mogłeś cokolwiek uronić. Lecz ty zacząłeś pić. Najpierw umarłam, potem odrodziłam się dla ciebie. Otworzyłeś mnie i sięgnąłeś do mojego serca.

Przyszedłeś. Jakżeż się uradowałam! Nie jestem przecież aż taka dumna, aby odprawić cię jedynie dlatego, że to nie mogło się zdarzyć, że to niemożliwe. Sama jestem niemożliwa. Niemożliwe, że nie żyjesz, niemożliwe, że ja żyję nadal.

Wszystko, co pozostało z królowej, wyparowało jak słodki zapach z dłoni, za którymi tęskniła. W jednej chwili jej matka poczuła ją - jako ciężar na karku, ból w piersi - ale w

następnej nie działa się już nic.

W Madrycie trucizna dokonywała ostatnich magicznych przeobrażeń. Śmierć przywróciła królowej - jak to czyni z nami wszystkimi - jej prawdziwą, pierwotną naturę. Jeszcze raz jej kibić jest wąską kibicią Marie Louise de Bourbon, najpiękniejszej księżniczki w Europie. Jeszcze raz setka guzików jej ślubnej sukni zapina się bez trudności, każdy maleńki krążek z łatwością prześlizguje się przez objęcia wyczekującej pętelki. Po raz ostatni ludzie mogą zobaczyć jej wysokość w ślubnym strój stroju, we francuskiej sukni, którą niegdyś miała na sobie podczas dyskretnej ceremonii. Hiszpanii nie było stać na taką drugą suknię - ani wówczas, ani teraz. Podobnie jak nie było jej stać na zakup takiej ilości kwiatów, na jakiej leży martwa królowa.

W całym naszym królestwie nie ma kwiatów podobnych do tych, jakie nadesłał Król Słońce. Konwój z kwiatami wyekspediowano w najwyższym pośpiechu. Podobnie szybko podąża francuska armia na bitwę i dociera do wrogów, nim ci zdążą się zorientować, że są okrążeni. Król Ludwik wysłał go natychmiast po otrzymaniu wieści o chorobie Marii. Tak czy inaczej kwiaty są odpowiednie na każdą okazję, czy to będzie ozdrowienie, czy śmierć. Ale żeby tyle kwiatów zimą!? Nawet jako gest ze strony monarchy, którego każdy gest jest wspaniały, stanowią absurdalną ekstrawagancję. Czyżby króla nękały skrupuły, czy postąpił właściwie, wydając swą bratanicę za Carlosa? Że nieugięcie przedkładał politykę nad uczucia, jeśli, rzecz jasna, akurat przypadkiem nie chodziło o niego samego?

Być może, kiedy Król Słońce dowiedział się o jej nagłej chorobie, przypomniał sobie o listach, które Maria nadsyłała od lat, przypomniał jej błagania, aby coś uczynić. Pomóc jej w jakikolwiek sposób. Ocalić. To prawda, Ludwik otrzymywał te listy. Szpiedzy i wrogowie może i mieli dość śmiałości, aby opróżniać z listów koperty adresowane do królowej, lecz nikt nie ważył się uczynić tego samego z korespondencją do francuskiego króla.

Być może po przybyciu posłańców z wiadomością o chorobie Marii, Król Słońce wstał wprost z objęć kochanki i stwierdził w duchu, że oto kochał się z czterechsetną sześćdziesiątą siódmą kobietą. Może zauważył, że pod ufarbowaną na czarno peruką włosy mu się bardzo przeredziły i straciły blask, i że tylko czterysta sześćdziesiąt siedem próżnych, kapryśnych metres mogło się do tego przyczynić. A może po przeprowadzonych ostatnio zabiegach chirurgicznych, owych szeroko znanych próbach częściowego zaszycia zbyt luźnego królewskiego odbytu, który dawnymi czasy także cieszył się wiadomymi względami - co sprawiło, że w kręgach paryskiego dworu w dobrym tonie było ponarzekać na fistuły, hemoroidy

i inne podobne dolegliwości - może to wszystko uświadomiło najmożniejszemu z monarchów, że życie jest krótkie, a cierpi się długo.

Tak czy inaczej z jakiegoś powodu Ludwik przypomniał sobie o swej najpiękniejszej bratanicy i wezwał do sypialni królewskiego ogrodnika - tego samego, który chętnie dostarczał Marie bukietki dla wisielców. Pan Clement wszedł i delikatnie przestąpił przez staniczek aktualnej faworyty króla. Ta część damskiej garderoby zsunęła się poprzedniego wieczoru z szelągą po namiętym, niszczycielskim dla bielizny uścisku.

- Wasza wysokość? - odezwał się Clement.

- Pamiętasz Marie? - zapytał król.

- Pamiętam. Jakżebym mógł nie pamiętać? - odparł ogrodnik.

- A pamiętasz, jakie kwiaty lubiła najbardziej?

- Oczywiście.

- Jakie? - zapytał król.

- Lawendę. Bez. Lewkonię. Narcyzy. Peonie...

- Rozumiem, nie musisz ich wszystkich wymieniać. - Ludwik zerknął na pozamarzane szyby swoich szklarni, odcinających się lekko różowawą barwą na tle przykrytego śniegiem trawnika. - Dobierz je odpowiednio - polecił ogrodnikowi. - Nie żałuj ich. Dołóż też kilka pomarańczowych drzewek.

- Jak sobie wasza wysokość życzy - odrzekł Clement. Cofnął się o kilka kroków, jakby zabierał się do odejścia, wymijając przy tym gorset.

- I przygotuj się do podróży - dodał król i pozwolił mu odejść.

Tuberozy. Jaśminy. Żonkile i fiołki. Lilie. Kalie. Tulipany. Narcyzy. Lawenda, bez i lewkonia. Dwanaście miniaturowych drzewek, stale pokrytych kwiatami. Drzewek, które nie wydawały owoców, ale za to kwitły bez przerwy. Kwiaty pochodziły z najrozmaitszych stref klimatycznych, a mimo to kwitły niezależnie od pór roku w królewskich szklarniach. Na dodatek wszystkie jednocześnie.

W szklanych budowlach pomocnicy ogrodnika zgromadzili kwiaty - w donicach - i umieścili je w dziewięciu wielkich szklanych skrzyniach. Zabezpieczone przed śniegiem i wiatrem, zostały przeniesione przez chłopców stajennych na wybrukowany plac przed wschodnią bramą do Wersalu. Tam umieszczono je w trzech czarnych powozach ze złotymi wizerunkami słońca po bokach. Usunięto z nich siedzenia, tak że w każdym zmieściły się trzy skrzynie,



ułożone jedna na drugiej i przedzielone ciepłą skórą z jelenia.

Podczas ładowania ostatniej, dziewiętej skrzyni jeden z chłopców, którzy ją dźwigali, potknął się i przewrócił na bruk. Wszyscy gapie, cała służba i rezydenci Wersalu - publiczność w liczbie mniej więcej czterystu osób - wstrzymali oddechy. Szklana skrzynia, pełna żywych kwiatów, osunęła się na ziemię. Matka hiszpańskiej królowej oparła się ciężko na ramieniu pokojówki i przymknęła oczy.

Wściekły krzyk pana Clementa zagłuszył odgłos szkła uderzającego o kamienie. A może nie było żadnego odgłosu, ponieważ skrzynia ani nie zadrżała, ani nie doznała uszczerbku. Być może był to pierwszy znak czuwania bożej opatrności lub zdumiewającego szczęścia, jakim miało się cieszyć owo romantyczne przedsięwzięcie. Podróż kwiatów przez zimowe śniegi, których dokuczliwość wstrzymywała handel i działania militarne, przebiegała jak w bajce.

Nic nie mogło powstrzymać trzech olbrzymich powozów. Chociaż drogi na pozór zdawały się nieprzejezdne i niebezpieczne, chociaż gwiazd nie było widać, a księżycy ubywało, choć reszta świata zamarła, zdrętwiała, zapadła w sen, kwiaty zmierzały do celu.

Błotniste drogi ściał mróz, więc jeśli było można, kwiaty podróżowały rzekami. Po całym dniu jazdy trzy zaprzęgi koni - wybatozonych i okulałych - dotarły do Bonneval. Clement przez cały dzień stał na koźle pierwszego pojazdu i krzyczał wprost do czerwonego ucha woźnicy: „*Plus vite! Cochon! Ty szubrawcze!*” Tutaj zdjęto powozy z osi i przeniesiono je na barki na Loarze. Wewnątrz pierwszego opuszczonego powozu na prowizorycznym siedzeniu, na przybitym do podłogi balowym krześle bez poręczy zasiadł Clement. Stąd doglądał ładunku w szklanych skrzyniach i popijał brandy z płaskiej butelki. Od czasu do czasu poprawiał podbitą futrem pelerynę, która okrywała jego kolana. Na zewnątrz - pozbawieni jakiegokolwiek okrycia poza derkami i sianem, cierpiący na chorobę morską, ponieważ prądy rzucały łodziami jakby to były gałęzie - woźnice, tragarze i inni uczestnicy wyprawy trzęśli się z zimna. Zbili się w gromadkę, ażeby nawzajem ogrzać się ciepłem swoich ciał.

Kiedy w pewnym momencie kawałki kry zagroziły przejście, barki przybiły do brzegu. Z powrotem ustawiono powozy na kołach. Problem z końmi błyskawicznie rozwiązała sakiewka pełna ludwików. Kiedy właściciele stajni zobaczyli w świetle latarni błysk złota, natychmiast poderwali na równe nogi parobków i kazali otworzyć bramę, choć pora była późna. Maleńki wizerunek króla na każdej monecie zdawał się mrugać porozumiewawczo. Następnego dnia chłopcy stajenni zachodzili w głowę, co takiego mogło się wydarzyć, że konie same odnalazły

drogę do domu, miały pokaleczone i drżące nogi, ogony wilgotne, języki spuchnięte, podkowy rozgrzane i złote wędzidła.

Kwiaty pojechały zamarzniętymi, wyboistymi drogami do najbliższego miejsca, gdzie woda płynęła swobodnie i gdzie powozy kolejny raz zdjęto z osi i ustawiono na barkach. Biała piana wyskakiwała z nurtu rzeki ku czarnemu niebu i mieszała się ze śniegiem, spadającym na dachy karet. Coraz dłuższe soople zwisały z wygaszonych bocznych latarni. Jeden z powozów trzeba było siekierą oddzielić od pokładu barki.

Na szczęście rzeki płyną ustalonym nurtem. Przy ciągłym zachmurzeniu nawigacja na podstawie położenia gwiazd byłaby niemożliwa. W tym samym czasie wiatry smagały wody oceanów tak mocno, że setki okrętów zgubiły kurs i połamały maszty; bezużyteczne sekstansy błyskawicznie znikwały pod powierzchnią fal. Kursu rzeki nawet trąba powietrzna nie jest w stanie zmienić, więc barki płynęły naprzód bez potrzeby sterowania. Z Loary przepłynęły do Vienne, stąd do Vézère, Dordogne, potem do spienionej Garonny i w końcu do Baise, rzeki, której nazwa oznacza pocałunek.

Aby zdobyć fortecę Pirenejów, zdjęto koła. Zamiast uchwytów wykorzystano osie. Przeniesiono kwiaty w tych niewiarygodnie wielkich i nieporęcznych lektykach. Powozy były tak ciężkie, że każdy z nich musiał nieść co najmniej szesnastu mężczyzn. Teraz przyszła pora na rzeki hiszpańskie: Gallego, Jalon i Duero. Ta ostatnia opływała pętlą Sorię oraz jej unieruchomione przez okrutny mróz młyny. Ścięta grubą warstwą lodu rzeka Henares okazała się wygodną drogą. Aby ją pokonać, ustawiono powozy na płozach. Ciągnęły je konie biegnące brzegiem. Słowem, zmieniono karety w sanie.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem roku pańskiego 1689 otworzyły się szeroko bramy Madrytu, aby powitać ogrodnika króla Francji, wjeżdżającego pierwszym z trzech czarnych powozów, których boki zdobiły słońca o złotych promieniach. Ponieważ obyczaj nakazuje, aby ustąpić z drogi każdemu królewskiemu pojazdowi, transport kwiatów z Paryża wjechał do miasta bez żadnych przeszkód.

Tłumy pozdrawiały orszak. Pomimo chłodu ludzie tłoczyli się na ulicach. Żadne straże nie były w stanie ich powstrzymać. Napierali na boki powozów, pragnęli przytrzymać je, zajrzeć do środka i ujrzeć twarze kwiatów, ciemnookie fiołki i smukłszyje tuberozy, rozkołysane w szklanych skrzyniach. Spłoszone konie rżały. Clement musiał dla bezpieczeństwa zejść z kozła na ziemię.

W owych dniach, które nastąpiły po śmierci królowej, milczały głosy tych poddanych, którzy tak wytrwale skandowali jej imię, rozbijali bramy do królewskiego pałacu i całkowicie zdeptali monarszy hart ducha. Wszelako nie powrócili oni do swoich domów. Mogło się zdawać, że wszyscy mieszkańcy Madrytu zapomnieli o własnych domach, by rozbić obozy na podwórku królewskiego pałacu, który wyglądał, jakby był przez nich oblężony.

Marianna nie mogła zrozumieć, na co oni wszyscy czekają. Należało mieć jednak nadzieję, że oczyszczająca atmosfera i przepych pogrzebu usatysfakcjonują gawieź, sprawią, iż właśnie ustaną, tak jak ustało życie królowej.

Orszak z kwiatami wolno przedzierał się w kierunku królewskiej rezydencji, tak wolno, iż Clementowi zdawało się, że ostatnie mile pokonuje wolniej niż całą drogę z Francji. Powozy, skrzypiąc, mijają tłące się ogniska, zbliżają się do silnie strzeżonego pałacu. Maria leży wewnątrz, w wielkiej sali audiencyjnej, wystawiona na widok publiczny. Czeką z pustymi rękoma na swój ostatni bukiet kwiatów.

W Hiszpanii wprawdzie nie dba się o hodowlę kwiatów w środku głębokiej zimy, ale hiszpańska sztuka pogrzebowa nie ma sobie równych. Po usunięciu całej krwi, Severo oraz inni medycy wypełnili żyły królowej słodkim eliksirem miłosnym, cybetem, mirtem i innymi tajemniczymi substancjami, rozpuszczonymi w spirytusie. Przemienili jej ciało w fantastyczną kadzielnicę. Teraz aromatyczne opary wydobywają się przez wszystkie pory w skórze Marii i przesycają powietrze wonią świętości. Zapach ten jest tak intensywny, że nawet oczy nieskore do płaczu ronią łzy. Bezdušní dworzanie, którzy wcześniej spacerowali niecierpliwie na zewnątrz sypialni królowej, nie mogąc doczekać się jej śmierci, teraz nie potrafią powstrzymać łez nad ciałem królowej; biją się w piersi, rwą sobie włosy z głowy. Wszyscy grandowie i diukowie, którzy zdobyli pozwolenie na obejrzenie zwłok królowej, pchają się do środka całymi rodzinami. Oni także lamentują na głos.

Clement i jego załoga sami układają kwiaty. Rozpakowują je i rozmieszczają dookoła: pomarańczowe drzewka, peonie i tysiąc kwitnących tulipanów. W ramiona królowej kładą ogromny bukiet, kaskady białych kwiatów: róż, narcyzów, konwalii i chryzantem, lilii, kalii i jeszcze bielszych gladioli.

Ciało Marii idzie na wieczny spoczynek z włosami rozpuszczonymi, przemytymi wodą różaną i przyozdobionymi perłami. Perły po to bowiem powstały, by zdobić włosy takie jak te - pukle ciemne jak fale odległych oceanów, z których je wydobyto. Twarz królowej jest piękna,

gdyż to smutek zmarł, zmarły gorycz i monotonia. Uleciało z ciała poczucie braku nadziei. Oczy wyglądają, jakby miały się w każdej chwili otworzyć, usta są lekko otwarte, a ich uroda niezmiennie taka sama, nawet po wielu dniach ciągłych nabożeństw, po nieszpórach, czuwaniach, modlitwach o zbawienie duszy, po hymnach śpiewanych przez setkę eunuchów i sumach, odprawianych przez armię świątobliwych księży.

Przed ostatnimi nabożeństwami żałobnymi otwierają się drzwi do skrzydła pałacu, gdzie mieszkają żywi święci. Jego lokatorzy pod silną strażą opuszczają królewską rezydencję i udają się do katedry. Tam siostra Tomita unosi się, płaczki zawodzą, bliźniaki składają hołd. Łoże Estrellity niosą przez nawę aż do balustrady przy prezbiterium. Gdy nareszcie wszystko jest przygotowane do procesji, która ma przejść od ołtarza do grobowca, królowa zdaje się dyskretnie uśmiechać, jakby wreszcie była zadowolona. Istotnie, wydarzenia układają się w sposób, który mógłby ją chyba uradować.

Czy to z powodu intensywnego aromatu kwiatów rozrzuconych przed katafalkiem i zgniecionych pod jego kołami? A może zapach i długo oczekiwany widok królowej, jej olśniewająca uroda to sprawcy tego oczarowania? Czyżby to ten zapach i widok? Czy dlatego tłum, już przecież raz uspokojony, znowu zaczyna ulegać wzburzeniu? Długiej procesji przez miasto towarzyszą przybierające na sile krzyki, wołania, płacz, słowem - odgłosy rozpacz.

Czy podobna? - myśli Marianna, krocząc przy boku Carlosa. Żałują jej? Jak to? Przecież ledwie przed tygodniem życzyli jej śmierci, upajali się jej cierpieniem.

Nawet Rebenac, który w trakcie dłużących się uroczystości skraca sobie czas rozmyślaniami o pakowaniu i przepakowywaniu kufrów, napominaniem siebie, aby nie zapomnieć o odebraniu surduta od szwaczki, liczeniem, ile tygodni upłynie, nim powróci do swej rezydencji w Paryżu; tak jest, nawet oschły francuski ambasador zauważa płaczliwe, żałobne zawodzenie ludzi.

Zapomnieli o rymach, wierszykach i drwinach. Teraz jedynie wołają:

- Maria Luisa! - Krzyczą coraz głośniejsze i głośniejsze, nie ustają. Dziewięć dziewcząt, których zajęcie polega na rozsypywaniu kwiatów przed katafalkiem, kuli się od hałasu. Mają zajęte ręce, nie mogą przysłonić uszu. A koń ciągnący wóz pogrzebowy, zwierzę nawykłe do udziału w publicznych pogrzebach, płoszy się.

To ze wszech miar niezwykły wypadek. Później nikt nie będzie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co się stało. Nagle koń wydaje rżenie i rzuca się w bok. To czarny, wysoki na

ponad siedem stóp ogier. Do głowy ma przymocowany czarny pióropusz, a na grzbiecie udrapowany czarny jedwab. Gdy staje dęba, jedynie jego zęby i wywrócone oczy połyskują bielą. Cała reszta jest złowieszcą ciemnością, burzą czarnego jedwabiu.

- Ale chyba Marianna musiała iść za zwłokami w pewnym oddaleniu? - zapytają ludzie następnego dnia.

Uczestnicy pogrzebu i gapię tłoczą się i tylko nieliczni widzą wszystko wyraźnie. Popiół z kotłów i rozżarzone kawałki cedrowego drewna z ognisk oraz pochodni proszą gapiom w oczy. Dym snuje się wszędzie.

*Jestem przeświadczony, że stała przy boku Carlosa* - napisze Rebenac w liście do króla Ludwika. Carlos włożył na pogrzeb żony obcisłe bryczesy z czarnego aksamitu i krótki surdut z długimi mankietami, które podszyto purpurą. Mimo iż można by się spodziewać, że jest zbyt delikatnej konstrukcji, by udźwignąć jednocześnie ciężar sztyletu, szpady i laski, podążał przy zwłokach żony, mając ze sobą owe środki walki i lokomocji. Był ubrany w koszulę, której kołnierz sięgał tak wysoko, że król nie mógł swobodnie poruszać głową. Kiedy więc końskie kopyta spadły na jego matkę, on tego po prostu nie widział.

*Zdumiewające* - napisze Eduardo do hrabiny de Soissons, rezydującej bezpiecznie w jakimś zamku w Antwerpii - *bestia, która zabiła Mariannę, okazała się bratem tego samego ogiera, na którym niegdyś jeździła Maria: Rosynanta. Koń ruszył po trenie Marianny, uszytym z ciężkiego, czarnego brokatu. Właśnie dlatego tren nie rozerwał się, tylko wciągnął królową matkę pod końskie kopyta.*

Olympe przystanie na chwilę, aby przeczytać list karła. Po drugiej stronie jednego z okien jej pałacyku powierzchnia rzeki będzie się skrzyć w promieniach słońca. *A oto najlepszy ze wszystkich możliwych dopisków* - skonkludował Eduardo. *Chłopiec stajenny nie zabił zwierzęcia. Tym razem nie wypełnił rozkazu króla. Uciekł z Madrytu na końskim grzbiecie.*

Hrabina przedrze ten list na czworo i wrzuci go do ognia. No i co teraz będzie, przyjacielu? - pomyśli. Co się z tobą stanie po śmierci wielmożnego opiekuna? Olympe nie zaszczyci Eduarda odpowiedzią na jego list.

Oczywiście żałobną procesję wstrzymano. Wstrzymano ją na wiele godzin. Mówiło się, że zwłoki królowej przetrzymano w Madrycie, a następnie razem z ciałem Marianny przetransportowano do Escorialu. Podobno nie chciano ponownie ekscytować tłumów, które chociaż uspokoiły się po śmierci królowej matki, nie przestały domagać się zobaczenia ciała

Marii, przeniesionego na pewien czas do strażnicy przy zachodniej bramie.

Ostatecznie Carlos powrócił do pałacu z Estrellitą i zwłokami matki. Natomiast Maria pozostała na marach przed swoimi żałobnikami. Potem przewieziono ją do białego grobowca w górach, grobowca przeznaczonego dla bezdzietnej panny młodej.

Marię Luisę - dziecko już na wieki, na wieki pannę młodą - okryto bielą, zastrzeżoną dla bezdzietnych królowych, oślepiającą bielą przywróconej niewinności. Maria umarła bezpotomnie, jakby była dziewicą, jakby symbolicznie wynagrodzono jej okrucieństwa, jakich doznała, pośmiertnie przywrócono jej wszystkie cnoty. Była kobietą najniewybredniej i najgłośniej wyszydzaną. Teraz robi się z niej świętą. A dzieje się to w następujący sposób:

Ludzie zaczynają się modlić za duszę zmarłej królowej. Proszą świętych, żeby Maria nie musiała zbyt długo pokutować w otchłani. Przecież dostatecznie wiele wycierpiała na ziemi. Tak powiadają ci sami ludzie, którzy jeszcze nie tak dawno maszerowali z teatru pod pałac, którzy nazywali ją ladacznicą i domagali się, aby ją wychłostano. Ci sami ludzie wydają pieniądze na msze, pragnąc skrócić pobyt królowej w czyścju.

Bo ona tam właśnie jest, w czyścju. Razem z moją mamą, ojcem, z Alvarem. Ale bez Mateo. Dzieci nie przechodzą przez otchłań. Starsi ludzie, wysłannicy dusz, utrzymują, że w czyścju nie ma dzieci w wieku poniżej siedmiu lat. Twierdzą, że jeśli ktoś umrze tak młodo, od razu zyskuje spokój wieczny i wcale nie musi czekać w żadnym ponurym, chłodnym i smutnym miejscu.

Podobne myśli podnosiły mnie na duchu. Po wielokroć powtarzałam sobie tę obietnicę.

W co wierzyłam? W nic nie wierzyłam i jednocześnie wierzyłam we wszystko. Gdy zmarł Mateo, przestałam wierzyć w miłosierdzie boże. Jak znika z lusterka nikła warstewka wilgoci ostatniego tchnienia, tak samo po śmierci Mateo ulotniła się moja wiara.

Mimo wszystko modłę się. Przecież wszyscy się modlimy. To jest od nas silniejsze.

Pod Madrytem jest jeszcze inne miasto, jeszcze inny kraj jest pod Hiszpanią. I wszyscy jego mieszkańcy dobrze wiedzą, co dzieje się na górze. Znają świat widoczny dzięki słońcu, którego sami nie oglądają.

Mieszkańcy Hiszpanii, ci z dołu i ci z góry, modlą się za Marię. Wkrótce zaś okaże się, że modlą się do niej. Może z powodu imienia zmarłej królowej. Ponieważ nazywała się Marie, ponieważ my nazywamy ją Marią, proste umysły szybko i bezrefleksyjnie utożsamiają ją ze Świętą Dziewicą.

Ludzie nieświadomie mamrocą modlitwy, dodając przy tym jedno imię. Zamieniają nieśmiertelną Królową Niebios na dawną królową Hiszpanii. Ave Maria Luisa - modlą się.

W Querannie, gdzie kiedyś mój tata urządził huczną libację, chcąc sobie zapewnić powodzenie w hodowli gąsienic, gdzie pochowano Natalię i dokąd nosiłam moje umierające dziecko, zatrzymał się pewien wędrowiec, który domalował wizerunkowi Dziewicy zupełnie nową twarz. Jak twarze Dziewic w tym czy tamtym sanktuarium, jej rysy były rysami Marii Luisy.

Przy białych stopach Dziewicy znajdziemy wszędzie tuberozy, jaśmin i pewne małe kwiatki, które rosną nie gdzie indziej, jak tylko w laskach za Wersalem. Nieprawdopodobne, ale to prawda. Maria ma swoje kwiaty, pielgrzymi ciągle je przynoszą.

Dziewica z Queranny ma na sobie szatę z białego jedwabiu - tak samo jak wszystkie Dziewice aż po San Sebastian - białą jedwabną szatę pod spodem i błękitną na wierzchu, ale ta ostatnia już wyblakła w ostrych promieniach słońca, które każdego ranka docierają tu przez okna kaplicy. Jedwab zaczął butwieć i strzępić się, pęka w miejscu, gdzie staniczek styka się ze spódnicą. Szwy puszczają, ale połysk nie znika. Jedwab będzie się błyszczał, póki nie zamieni się w pył.

Szata na Dziewicy z Queranny jest stara. Powstała przed wielu laty, kiedy jeszcze mój tata był hodowcą jedwabników. W czasach, gdy Francisca de Luarca wyobrażała sobie, że pewnego nadzwyczajnego roku jedwabniki jej ojca wysnują dość jedwabiu, aby powstało z niego tysiąc sukien dla królowej Hiszpanii albo dla Królowej Niebios. Gdybym wówczas ujrzała tę sukienkę Dziewicy, zapewne uznałabym ją za dzieło gąsienic należących do mojego rodu.

Gąsienic, które żyły, przędły i umarły dawno temu. Przędły jedwab i sny.

## PODZIĘKOWANIA

Wśród osób, którym pragnę podziękować za wskazówki w tworzeniu tej książki, są Jack Hitt, profesor Karl Krober, Christine Pevitt, Diane Sabbarese oraz doktor filozofii Thomas Spaccarelli. Dziękuję też Bibliotece Uniwersytetu Columbia, Stowarzyszeniu Hiszpanów w Ameryce, Muzeum Sztuki Metropolitan, Narodowemu Muzeum Zdrowia, Muzeum Prado i Bibliotece Muzeum Włókiennictwa w Waszyngtonie.

Wiele zawdzięczam Janet Gibbs i Joan Gould, które wspierały mnie duchowo i w ogóle zachęcały do pisania. W dodatku miałam to szczęście, że gdy ja siedziałam nad książką, moimi małymi dziećmi opiekowała się Elauriana Hunter.

Jestem dłużniczką mojej agentki, Amandy Urban, i wydawcy, Kate Mediny. Obu paniom wyrażam szczerze uznanie.

Oczywiście muszę podziękować Colinowi, zawsze pierwszemu orędownikowi mojej pracy.

\* \* \*

Wiele z tego, co inspirowało intrygę otrucia, zaczerpnęłam z historii, a ponieważ postąpiłam dość dowolnie z okruciami prawdy, jakie ostały się po trzech wiekach, doszłam do wniosku, że odwoływanie się do poszczególnych dzieł, z których czerpałam wiedzę, raczej zdyskredytuje niż uhonoruje umysły, które je stworzyły.

Prawdą jest, że Marie Louise de Bourbon była bratanicą Ludwika XIV. Jej ojciec, brat króla, był sławnym hulaką, diukiem Orleanu; matka, Henrietta, była rodem z Anglii. Umarła w Paryżu w 1670 roku, otruta, jak twierdzą niektórzy, przez dwóch amatorów mocniejszych wrażeń, kawalera de Lorraine i markiza d'Effiata. Z tej racji, że wrażliwość większości czytelników mogłaby zanadto ucierpieć i ponieważ tragedia podawana w większych dawkach zazwyczaj przemienia się w burleskę, pozwoliłam Henriecie żyć parę lat dłużej, niż to było w rzeczywistości. Pozwoliłam jej także przeżyć śmierć córki. To było pierwsze świadome odstępstwo od tego, czego się dużym nakładem pracy nauczyłam, i zarazem pierwsze kłamstwo, które stało się początkiem całej serii przekłamań.

Podobnie jak Francisca miałam dziadka, który był miłośnikiem aforyzmów. Jego ulubiony brzmiał: „Kłamstwo ma krótkie nogi”. Rozumiałam to w ten sposób, że jedno



kłamstewko nie może się na tych krótkich nogach utrzymać, dlatego muszą je wspierać następne. „Oj, jak już raz się ubrudzisz...” - mógłby ciągnąć mój dziadek, i muszę przyznać, że od tamtego momentu nie jestem w stanie odróżnić faktów od fantazji, przynajmniej jeśli chodzi o siedemnastowieczną Hiszpanię.

Historycy są jednak zgodni, że Marie Louise de Bourbon wyszła za Carlosa II, ostatniego z hiszpańskich Habsburgów, do czego doszło w Quintanapalli w 1679 roku. Państwo młodzi mieli po osiemnaście lat. Oboje byli potomkami Juany la Loca, błyskotliwej, a zarazem szalonej córki Ferdynanda Aragońskiego i Izabeli Kastylijskiej. Maria Luisa, jak ją nazywano w Hiszpanii, żyła bezdzietnie od dnia ślubu do chwili śmierci w 1689 roku, kiedy miała dwadzieścia osiem lat.

Okoliczności śmierci królowej Hiszpanii nadal owiane są tajemnicą. Najpełniejszy opis tych chwil znalazłam w *Carlosie Zauroczonym* Johna Nady. Również stamtąd zaczerpnęłam niezbyt miłą rymowaną, która pojawia się na stronie 46. We wtorkowe popołudnie 8 lutego Maria miała wypadek podczas jazdy konnej. Na obiad, który spożyła wówczas w łóżku, podano jej ciasto francuskie, chińskie pomarańcze i chłodne mleko. W środę 9 lutego jej posiłek składał się z bulionu, ostryg z cytryną, chłodnego mleka, francuskich oliwek oraz chińskich pomarańczy. 10 lutego około piątej rano obudziła się, czując duszności i ostre dolegliwości gastryczno - jelitowe. Jej stan pogarszał się szybko i stale. Zmarła rankiem 12 lutego. Choć nie istnieją dowody na to, że królową otruto, większość historyków opowiada się za taką właśnie hipotezą. W scenariuszach, które mają wyjaśnić przebieg zdarzeń, występuje zwykle Olympe de Soissons (Olympe, niezmordowaną w szukaniu zemsty na Ludwiku XIV za okazaną jej wzgardę, podejrzewa się o próbę rozbicia aliansu Francji z Hiszpanią).

Ich autorzy sugerują, że śmiertelna dawka trucizny znalazła się w filiżance z gorącą czekoladą. Natomiast brakuje choćby wskazówki, by oskarżać teściową Marii, Mariannę Austriaczkę. Nikt nie ośmielił się sugerować, że Maria Luisa zginęła od kantarydyny, jak to się przydarzyło ofiarom pewnego niebezpiecznego dżentelmena, który żył w Paryżu wiek później. Był nim markiz de Sade.

Następczynią Marii Luisy de Bourbon została austriacka księżniczka, Maria Anna z Neuburga. Również ona nigdy nie nosiła w sobie dziecka króla Hiszpanii.

Carlos II umarł w dniu Wszystkich Świętych 1700 roku, nie pozostawiając spadkobierców połączonych z nim więzami krwi. W sporządzonym na miesiąc przed śmiercią

testamencie oddał wszystkie hiszpańskie dominia Filipowi, diukowi Anjou, wnukowi Ludwika XIV. Spośród potencjalnych spadkobierców Carlos wybrał diuka Anjou, ponieważ ten zapowiadał się na silnego władcę i obiecał zamieszkać na stałe w Hiszpanii.